Nie potrafię wyrazić, jak bardzo ujęła mnie ta książka!
Chciałam, aby opowieść trwała bez końca!

REESE WITHERSPOON

GDZIE ŚPIEWAJĄ RAKI

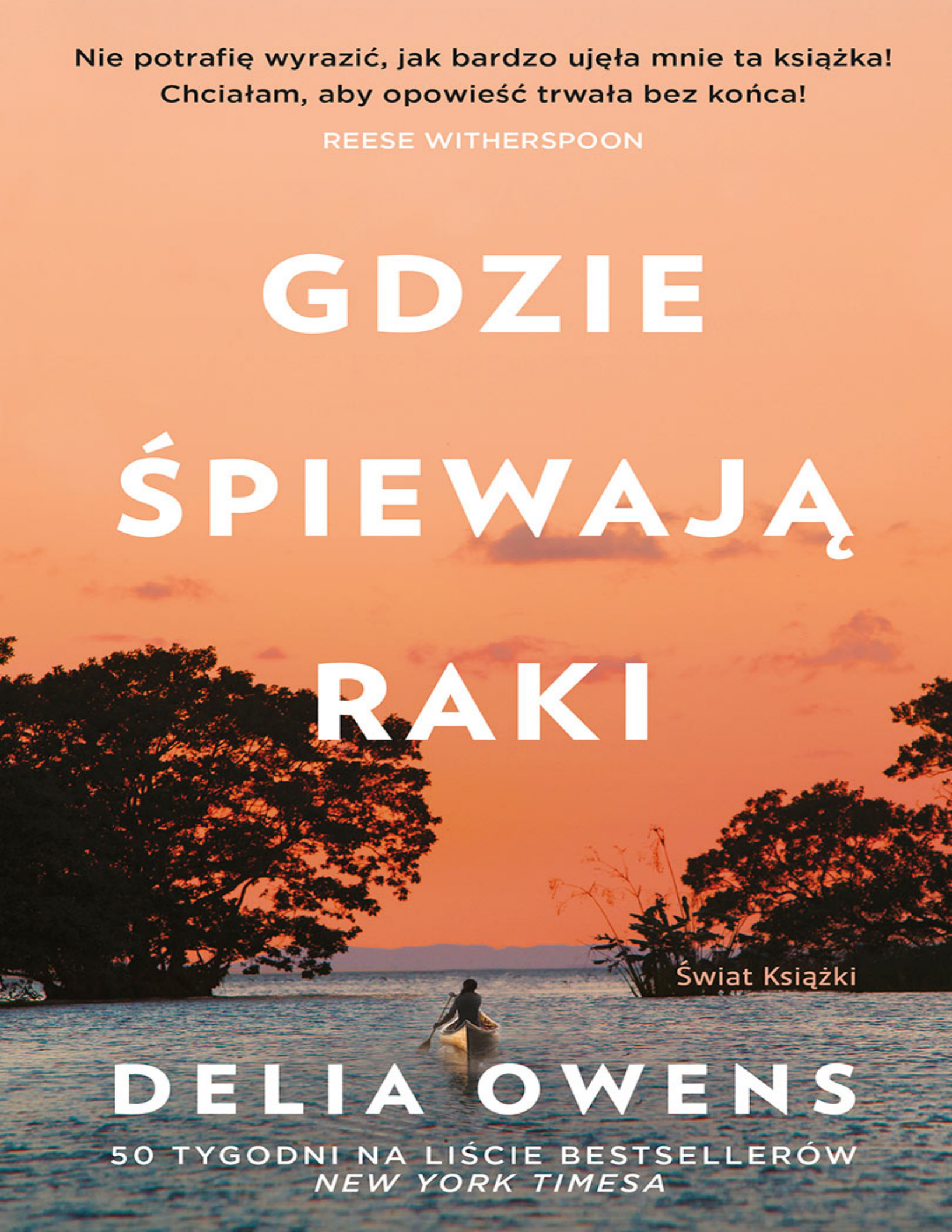

Świat Książki

DELIA OWENS

50 TYGODNI NA LIŚCIE BESTSELLERÓW
NEW YORK TIMESA

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Mapa

Część pierwsza. MOKRADŁA

- Prolog – 1969
- 1. Mama – 1952
- 2. Jodie – 1952
- 3. Chase – 1969
- 4. Szkoła – 1952
- 5. Śledztwo – 1969
- 6. Chłopiec w łódce – 1952
- 7. Sezon połowów – 1952
- 8. Żadnych konkretów – 1969
- 9. Skoczek – 1953
- 10. Tylko trawa i wiatr – 1969
- 11. Worki pełne małży – 1956
- 12. Miedziaki i kasza – 1956
- 13. Pióra – 1960
- 14. Czerwone włókna – 1969
- 15. Gra – 1960
- 16. Czytanie – 1960
- 17. Przekroczenie progu – 1960
- 18. Białe czółno – 1960

19. On coś tam kręcił – 1969
20. Czwarty lipca – 1961
21. Krogul – 1961

Część druga. BAGNA

22. Fala gorąca – 1965
23. Muszla – 1965
24. Wieża obserwacyjna – 1965
25. Wizyta Patti Love – 1969
26. Łodzią do brzegu – 1965
27. Nieopodal Hog Mountain Road – 1966
28. Poławiacz krewetek – 1969
29. Wodorosty – 1967
30. Prąd odpływowy – 1967
31. Książka – 1968
32. Alibi – 1969
33. Blizna – 1968
34. Przeszukać chatę – 1969
35. Kompas – 1969
36. Usidlić lisa – 1969
37. Stado szarych rekinów – 1969
38. Niedzielny Sędzia – 1970
39. Przypadkowe spotkanie – 1969
40. Cyprysowa Zatoka – 1970
41. Stadko – 1969
42. Cela – 1970
46. Mikroskop – 1969
44. Współwięzień – 1970

45. Czerwona czapka – 1970
46. Król życia – 1969
47. Biegły – 1970
48. Wycieczka – 1969
49. Przebieranki – 1970
50. Pamiętnik – 1970
51. Blednący księżyc – 1970
52. Motel Three Mountains – 1970
53. Brakujące ogniwo – 1970
54. Dokładnie na odwrót – 1970
55. Kwitnące trawy – 1970
56. Ślepowron – 1970
57. Świetlik

Podziękowania

DELIA OWENS

GDZIE ŚPIEWAJĄ RAKI

Z angielskiego przełożył
BOHDAN MALIBORSKI

Świat Książki
wydawnictwo

Tytuł oryginału
WHERE THE CRAWDADS SING

Wydawca
Urszula Ruzik-Kulińska

Redaktor prowadzący
Sylwia Ciuła

Redakcja
Joanna Mika

Korekta
Katarzyna Bielawska-Drzewek
Ewa Grabowska

Copyright © 2018 by Delia Owens
All rights reserved including the right of reproduction in whole or in part in any form. This edition published by arrangement with G.P. Putnam's Sons, an imprint of Penguin Publishing Group, a division of Penguin Random House LLC.
Copyright © for the Polish translation by Bohdan Maliborski, Warszawa 2019

Wydawnictwo Świat Książki
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Warszawa 2019

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Skład i łamanie
włoska robota

Dystrybucja
Dressler Dublin Sp. z o.o.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
tel. + 48 22 733 50 31/32
www.dressler.com.pl

ISBN 978-83-813-9537-3

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Dla Amandy, Margaret i Barbary

To dla Was.
Gdybym was nie zobaczyła,
Nigdy bym nie poznała.
Zobaczyłam,
Poznałam,
Pokochałam
Na zawsze.

1. Wieża obserwacyjna
2. Barkley Cove

3. Colored Town
4. Punkt tankowania paliwa i sklep Skoczka
5. Point Beach
6. „Czytelnia”
7. Chata Kyi

Część pierwsza

MOKRADŁA

Prolog

1969

Mokradła to nie bagna. Mokradła to przestrzeń wypełniona światłem, gdzie trawa wyrasta z wody, a woda płynie ku niebu. Jej strumienie suną powoli, niosąc słoneczną kulę do morza, a długonogie ptaki – jakby stworzone nie do lotu – unoszą się z niespodziewaną gracją pośród wrzasku tysiąca gęsi śnieżnych.

W mokradła tu i ówdzie wpełzają bagna, trzęsawiska skryte w oślizgłych lasach. Tam woda jest nieruchoma i mroczna, bo zassała światło w swoją mulistą gardziel. Nawet nocne pełzaki buszują w nich za dnia. Oczywiście, można usłyszeć tu dźwięki, lecz w porównaniu z mokradłami bagno jest ciche, bo rozkład dokonuje się na poziomie komórkowym. Życie próchnieje, cuchnie i wraca do zbutwiałej ściółki – rodzi je przejmujący pław śmierci.

Rankiem trzydziestego października 1969 roku na bagnach spoczęło ciało Chase’a Andrewsa. Wchłonęłyby je w milczeniu, jak to one, ukryłyby na zawsze. Bagna wiedzą o śmierci wszystko i niekoniecznie uznają ją za tragedię, a już na pewno nie za grzech. Tyle że tamtego ranka dwóch chłopców z miasteczka ruszyło na rowerach do starej wieży obserwacyjnej i za trzecim zakrętem wypatrzyło dżinsową kurtkę Chase’a.

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

1.

Mama

1952

Ranek palił sierpniowym skwarem, wilgotny bagienny oddech obwieszał mgłą dęby i sosny. Kępy karłowatych palm trwały w niezwyczajnej ciszy przerywanej jedynie powolnym stukotem skrzydeł czapli wzbijających się do lotu nad laguną. Nagle Kya – wówczas ledwie sześcioletnia – usłyszała trzaśnięcie moskitiery przy drzwiach. Stojąc na stołku, przestała szorować rondel i upuściła go do wypełnionego brudnymi mydlinami zlewu. Żadnych dźwięków, tylko odgłos jej oddechu. Kto wyszedł z chaty? Nie mama. Ona nigdy nie trzaska drzwiami.

Kiedy jednak dziewczynka wybiegła na ganek, ujrzała właśnie matkę. Szła zamaszystym krokiem, ubrana w długą brązową spódnicę, spod której raz po raz wyłaniały się tępe noski szpilek ze skóry aligatora. Wyjściowych, jedynych. Kya chciała ją zawołać, ale wiedziała, że nie wolno budzić taty, więc tylko otworzyła drzwi i przystanęła na ceglano-drewnianych

schodach. Dostrzegła w dłoni mamy niebieską walizkę. Ufna niczym szczenię, była pewna, że mama wróci z owiniętym w szary zatłuszczony papier mięsem bądź kurczakiem z dyndającą głową. Z drugiej strony mama nigdy nie wkładała szpilek ze skóry aligatora ani nie zabierała walizki.

Zawsze patrzyła za siebie w miejscu, gdzie piaszczysta ścieżka łączy się z szosą, machała wysoko uniesioną, bladą od wewnątrz dłonią i wchodziła na drogę wijącą się wśród bagnistych lasów i obrośniętych sitowiem lagun, w czasie odpływu wprost do miasteczka. Dziś jednak mama poszła dalej, potykając się w koleinach. Jej wysoka postać pojawiała się i znikała w leśnych ostępach, aż w końcu pomiędzy liśćmi migała już tylko biel jej chustki. Kya popędziła w miejsce, z którego widać było drogę, pewna, że mama jej pomacha, lecz gdy tam dotarła, zdążyła jedynie dostrzec niebieską walizkę, która po chwili zniknęła między drzewami. Jej kolor niemal raził pośród zieleni. Ciężar przytłaczający jak czarna błotnista ziemia na polu bawełny zaległ na sercu Kyi, gdy dziewczynka wracała na ganek, by czekać.

Była najmłodsza z pięciorga rodzeństwa; pozostali byli dużo starsi, choć później nie mogła sobie przypomnieć o ile. Mieszkali z rodzicami, stłoczeni jak króliki w naprędce skleconej szopie, której obity moskitierą ganek wyzierał spomiędzy dębów niczym wielkie oko.

Jodie, brat, z którym – choć siedem lat starszy – była najbardziej zżyta, wyszedł z domu i stanął za jej plecami. Ciemnooki i czarnowłosy jak ona, uczył ją rozróżniania ptasich treli, nazw gwiazd i sterowania łódką pośród kłoci.

– Mama wróci – pocieszył ją.

– No nie wiem. Włożyła buty z aligatora.

– Mamy nie zostawiają swoich dzieci. Tak mają.

– A opowiadałeś, że lisica porzuciła swoje młode.

– Tak, ale miała rozerwaną łapę. Padłaby z głodu, próbując wykarmić siebie i szczeniaki. Lepiej było zostawić tamte, wykurować się, znów się oszczenić i porządnie odchować nowe. Mama nie głoduje, wróci. – Jodie wcale nie był tego pewien, lecz mówił z przekonaniem, żeby pocieszyć siostrę.

– Ale zabrała ze sobą tę niebieską walizkę, jakby wyprawiała się gdzieś hen, daleko – wyszeptała Kya ze ściśniętym gardłem.

*

Chata usadowiła się na wprost palmiczek porastających piaszczystą równinę aż po paciorki zielonych lagun i leżące w oddali moczary, ze ścielącą się kilometrami trawą tak hardą, że wybijała ponad słoną wodę. Jej połacie upstrzone były tu i ówdzie zwichrowanymi drzewami, które przejęły kształt wiatru. Z pozostałych stron chatę otaczał dębowy las kryjący najbliższą, tętniącą życiem lagunę. Znad oceanu poprzez korony drzew wraz ze słoną bryzą płynął krzyk morskich ptaków.

Prawo własności na tych terenach niewiele zmieniło się od szesnastego stulecia. Rozrzucone wśród moczarów działki nie zostały opisane w księgach. Ich granice wytyczyli renegaci w sposób naturalny – a to wedle strumienia, a to wedle uschniętego dębu. Człowiek nie szuka dachu nad głową pod palmiczką na mokradłach, chyba że przed kimś ucieka lub dociera do kresu swej drogi.

Moczarów strzegła poszarpana linia brzegowa, nazwana przez odkrywców „Cmentarzyskiem Atlantyku”, gdyż odpływy, wściekłe wichry i mielizny wybrzeży przyszłej Karoliny Północnej zatapiały ich okręty niczym papierowe łódki. Jeden z żeglarzy zapisał w dzienniku: „Sunęliśmy podle wybrzeża… lecz nie wypatrzyliśmy wniścia… Opadł nas srogi sztorm… By

chronić siebie i okręt, musieliśmy wyjść na pełne morze, na które wypchnął nas rwący silny prąd...”.

„Ląd podmokły i bagnisty, wróciliśmy na statek (…) Zniechęci każdego, kto zawita w te strony, by się osiedlić”.

Ci, którzy szukali normalnej ziemi, ruszyli w głąb i tak oto owe niesławne moczary stały się niczym sieć wyłapująca zbuntowanych marynarzy, wyrzutków, dłużników i zbiegów umykających przed wojnami, podatkami bądź prawem. Ci, których nie zabiła malaria i nie wciągnęły bagna, utworzyli leśne plemię potomków różnych ras i kultur; każdy z nich potrafił własnoręcznie wykarczować siekierą mały las lub kilometrami tropić kozła. Niczym szczur wodny miał swoje terytorium, lecz jeśli nie pasował do reszty, któregoś dnia po prostu znikał na bagnach. Po dwustu latach do osadników dołączyli kryjący się na mokradłach zbiegli niewolnicy, zwani „kasztanami”, a także ci, którym zwrócono wolność i którzy bez centa przy duszy trafiali tam z braku lepszych opcji.

Kraina może i była wredna, lecz w żadnym razie nie uboga. Na ziemi i w wodzie roiło się od najrozmaitszych stworzeń: biegających zygzakiem krabów, drepczących w błocie raków, ptactwa, ryb, krewetek, ostryg, opasłych jeleni i pulchnych gęsi. Ten, kto nie bał się grzebać rękami w szlamie, by zdobyć strawę na kolację, nigdy tu nie głodował.

Teraz, w roku 1952, grunty te były zamieszkane od czterech stuleci. Po najdawniejszych osadnikach, tych sprzed wojny secesyjnej, nie przetrwały żadne zapiski. Reszta pojawiła się tu później, głównie po wojnach światowych, gdy do kraju wracali rozbici psychicznie weterani bez środków do życia. Moczary nie ograniczały ich, lecz dawały nową tożsamość i – jak każde miejsce święte – głęboko skrywały ich sekrety. Nikogo nie obchodziło, że zajęli tę ziemię, bo i tak nikt jej nie chciał. W końcu było to tylko leżące odłogiem trzęsawisko.

Mieszkańcy bagien sami pędzili whiskey i sami ustanawiali swoje prawa – nie wykute na kamiennych tablicach czy spisane w dokumentach, lecz głębsze, odciśnięte w genach, pradawne i naturalne, jak prawa jastrzębi i gołębi. Człowiek osaczony, zdesperowany bądź osamotniony ucieka się do odruchów, których celem jest wyłącznie przetrwanie. Można powiedzieć, że w takim miejscu przetrwanie zapewniają tylko karty atu. To nie kwestia moralności, lecz prostej arytmetyki. W swoim gronie gołębie walczą równie często jak jastrzębie.

*

Tamtego dnia mama nie wróciła. Nikt tego nie skomentował, zwłaszcza tata. Cuchnąc rybą i bimbrem, z brzękiem unosił pokrywki.

– Gdzie kolacja?

Spuściwszy wzrok, rodzeństwo wzruszyło ramionami. Tata zaklął i pokuśtykał na dwór, z powrotem do lasu. Kłócili się już wcześniej, nawet raz czy dwa mama odeszła, ale zawsze wracała i brała w objęcia każdego, kto chciał się przytulić.

Dwie starsze siostry przygotowały kolację – czerwoną fasolę i chleb kukurydziany – lecz nikt nie zasiadł przy stole jak wówczas, gdy w kuchni krzątała się mama. Każdy nałożył sobie fasoli z garnka, rzucił na wierzch chleb i poszedł jeść na swój rozłożony na podłodze siennik albo wyblakłą sofę.

Kya nie mogła nic przełknąć. Przysiadła na stopniach ganku i patrzyła na ścieżkę. Wysoka jak na swój wiek i chudziutka, miała opaloną na brąz skórę i gęste proste włosy, czarne jak skrzydła kruka.

Zmierzch położył kres wypatrywaniu. Rechot żab zagłuszyłby odgłos kroków, jednak Kya wciąż tkwiła na ganku i nasłuchiwała.

Jeszcze tamtego ranka obudziło ją skwierczenie słoniny na żeliwnej patelni i zapach ciasteczek pieczonych w piecu opalanym drewnem. Wciągając ogrodniczki, pobiegła do kuchni, by przygotować talerze i widelce i usunąć chrząszcze z kaszy kukurydzianej. Zwykle o świcie mama ściskała ją cała roześmiana, wołając: „Dzień dobry, moja wyjątkowa córeczko!”, po czym razem, niczym w tańcu, krzątały się po domu. Czasami mama nuciła ludowe przyśpiewki, deklamowała dziecięcy wierszyk: *Mały prosiaczek poszedł na targ* albo porywała Kyę do jitterbuga. Wówczas ich bose stopy dudniły na sklejkowej podłodze, póki muzyka płynąca z radia na baterie nie spowolniła i nie brzmiała tak, jakby dochodziła z dna beczki. W inne dni mama mówiła o dorosłych rzeczach, których Kya nie rozumiała, lecz domyślała się, że jej słowa muszą znaleźć ujście, więc chłonęła je przez skórę, upychając drewno do pieca i kiwając głową, jakby wiedziała, o co chodzi.

A potem następowało zamieszanie – pobudka i karmienie wszystkich domowników. Tata miał tylko dwa biegi: milczenie bądź wrzaski. Cieszyli się, kiedy spał lub nie wrócił na noc.

Tego ranka jednak mama się nie odzywała, jej uśmiech zniknął, a oczy były zaczerwienione. Obwiązała sobie po piracku głowę białą chustą przesłaniającą czoło, lecz wystawała spod niej fioletowo-żółta obwódka sińca. Tuż po śniadaniu, nawet zanim zdążyli pozmywać, mama włożyła do walizki parę swoich rzeczy, wyszła z domu i ruszyła przed siebie.

*

Następnego ranka Kya znów objęła posterunek na schodach. Świdrowała ścieżkę ciemnymi oczami, jakby wypatrywała w tunelu nadjeżdżającego pociągu. Mgła zawisła nad moczarami tak nisko, że aż szorowała miękkim podbrzuszem

po błotnistej ziemi. Kya wystukiwała rytm bosymi stopami i wkręcała źdźbła trawy w stonogi, ale sześciolatka długo nie usiedzi w miejscu, więc wkrótce zapuściła się na tereny zalewane przez wodę w czasie przypływu. Błoto chlupotało jej pod stopami. Przykucając nad brzegiem przejrzystej wody, obserwowała rybki, które śmigały między plamami słońca i cienia.

Jodie krzyknął do niej spod karłowatych palm. Spojrzała w tamtą stronę; może przyniósł jakieś wieści. Lecz gdy wynurzał się spomiędzy sterczących liści, domyśliła się po jego nieśpiesznych ruchach, że mama nie wróciła.

– Pobawimy się w odkrywców? – spytał.

– Mówiłeś, że jesteś na to za duży.

– Tak tylko gadałem. Na to nigdy nie będę za duży. Ścigajmy się!

Popędzili przez równinę, a potem przez las, na plażę. Kya zapiszczała, kiedy ją wyprzedził, i nie przestała chichotać, póki nie dobiegli do wielkiego dębu, który rozpościerał nad piaskiem swe rozłożyste ramiona. Jodie i ich starszy brat, Murph, przybili do gałęzi kilka desek; odtąd dąb służył im za wieżę obserwacyjną i fort. Teraz większość już się połamała i zwisała na zardzewiałych gwoździach.

Jeśli wpuszczali Kyę, to wyłącznie jako niewolnicę, która przynosiła braciom podwędzone mamie gorące ciasteczka.

Tym razem jednak Jodie oznajmił:

– Możesz być dowódcą.

Kya uniosła prawą dłoń w rozkazującym geście.

– Przepędzić Hiszpanów!

Odłamali gałęzie-miecze i zaczęli się przedzierać przez krzaki jeżyn, krzycząc i dźgając wrogów.

Nagle – bo nastrój zabawy równie łatwo przychodzi, co odchodzi – Kya przysiadła na omszałej kłodzie. Jodie

w milczeniu zajął miejsce obok. Chciał coś powiedzieć, żeby odciągnąć jej myśli od mamy, ale zabrakło mu słów, więc tylko obserwowali rozmyte cienie sunących po wodzie nartników.

Później Kya wróciła na schody. Wyczekiwanie zdawało się nie mieć końca, lecz wpatrując się w ścieżkę, nie zapłakała ani razu. Jej twarz pozostała spokojna, z cienką linią ust i wytężonym spojrzeniem. Tamtego dnia mama też nie wróciła.

2.

Jodie

1952

W ciągu paru tygodni po odejściu mamy najstarsi – brat i dwie siostry Kyi – jakby za jej przykładem też odpłynęli. Znosili wściekłe napady szału taty, które rozpoczynały się od wrzasków, a kończyły na uderzeniach pięścią lub otwartą dłonią, aż w końcu, jedno po drugim, zniknęli. Zresztą byli prawie dorośli. Potem Kya zapomniała, ile mają lat i nie mogła sobie też przypomnieć ich prawdziwych imion; pamiętała jedynie, że wołali na nich Missy, Murph i Mandy. Na wyciągniętym przez nią na ganek sienniku znalazła stosik skarpetek, które zostawiły jej siostry.

Nazajutrz, gdy z całego rodzeństwa pozostał jej tylko Jodie, Kyę obudziły stukoty, pobrzękiwania i zapach rozgrzanego smalcu. Pobiegła do kuchni z nadzieją, że mama jest już w domu i smaży kukurydziane placki albo kukurydzę w cieście. Tymczasem to Jodie stał przy piecu, mieszając na patelni kaszę kukurydzianą. Uśmiechnęła się, by ukryć rozczarowanie, a on pogłaskał ją po głowie i bez słów dał do zrozumienia, żeby była

cicho; jeśli nie obudzą taty, będą mogli zjeść śniadanie sami. Jodie nie umiał piec ciasteczek, a bekonu nie było, więc usmażył na smalcu kaszę i jajecznicę. Jedli w milczeniu, wymieniając spojrzenia i uśmiechy.

Szybko pozmywali i wybiegli na dwór, po czym skierowali się w stronę moczarów. On przodem. Nagle usłyszeli wrzask kuśtykającego za nimi ojca. Był niemożliwie chudy i cały zdawał się chwiać, jakby nie mógł złapać środka ciężkości. Jego trzonowce były żółte niczym u starego psa.

Kya zerknęła na Jodiego.

– Możemy uciec, schować się w tamtym omszałym miejscu.

– Spokojnie. Będzie dobrze – odpowiedział.

*

Później, przed zachodem słońca, Jodie odnalazł Kyę na plaży. Wpatrywała się w ocean. Kiedy podszedł, nie odwróciła wzroku, wciąż obserwując drżące fale. Wyczuła jednak po tym, jak do niej przemówił, że tata walnął go w twarz.

– Muszę się wynieść, Kyu. Dłużej nie mogę tu mieszkać.

Prawie się do niego odwróciła. Chciała go błagać, żeby nie zostawiał jej samej z tatą, ale słowa uwięzły jej w gardle.

– Kiedy dorośniesz, zrozumiesz – dorzucił.

Chciała krzyknąć, że może i jest mała, ale nie jest głupia. Wiedziała, że odchodzili z powodu taty, zastanawiało ją tylko, dlaczego żadne nie zabrało jej ze sobą. Ona też chciała odejść, ale nie miała dokąd, nie miała nawet pieniędzy na autobus.

– Uważaj na siebie, Kyu. Jeśli ktoś przyjdzie, nie wchodź do domu, bo cię dopadną. Biegnij na moczary, ukryj się w zaroślach. Zawsze zacieraj ślady, tak jak cię uczyłem. Przed tatą też się tam ukryjesz. – Nie odezwała się, a on się pożegnał

i ruszył przez plażę do lasu. Nim dotarł do linii drzew, wreszcie odwróciła się w jego stronę. Patrzyła, jak odchodzi.

– Ten prosiaczek został w domu – rzuciła w stronę fal.

Otrząsnąwszy się z bezruchu, pobiegła do chaty. Na progu zawołała brata po imieniu, ale jego rzeczy już zniknęły, a na podłodze leżało gołe posłanie.

Opadła na swój siennik i patrzyła, jak ostatnie promienie słońca przesuwają się po ścianie. Gdy zaszło, światło jeszcze się ociągało – jak to ono – i zalewało izbę. Na krótką chwilę kształty i kolory wygniecionych posłań i stert ubrań stały się bardziej wyraziste niż drzewa za oknem.

Kyę zaskoczyło dotkliwe poczucie głodu. Głód – taka przyziemna rzecz. Poszła do kuchni i stanęła w drzwiach. Odkąd pamiętała, miejsce to wypełniało ciepło pieczonego chleba, gotowanej fasoli masłowej czy pyrkającego na ogniu gulaszu rybnego. Teraz było zatęchłe, ciche i mroczne.

– Kto dziś gotuje? – spytała na głos. Równie dobrze mogłaby zapytać: „Kto dziś tańczy?”.

Zapaliła świeczkę, rozgrzebała żar pod paleniskiem i dorzuciła podpałki. Podmuchała miechem, a gdy pojawił się płomień, jeszcze dołożyła drewna. Lodówka służyła im za szafkę, bo do chaty nie dochodził prąd. By zapanować nad pleśnią, drzwi pozostawały uchylone, zaklinowane packą na muchy, a mimo to we wszystkich szparach rozkwitały czarnozielone żyły wilgoci.

Kya wyciągnęła resztki jedzenia i powiedziała do siebie:

– Wymieszam kaszę ze smalcem i usmażę.

Tak też zrobiła i zjadła ją wprost z patelni, wypatrując ojca przez okno. Ten jednak się nie pojawił.

Gdy blask półksiężyca wreszcie zawitał do chaty, dziewczynka ułożyła się na swoim posłaniu na ganku – powypychanym, leżącym na podłodze sienniku z prawdziwą

pościelą w niebieskie różyczki, którą mama kupiła w miasteczku na wyprzedaży garażowej. Pierwszy raz w życiu była w nocy sama.

Z początku co kilka minut przysiadała i wyglądała przez pokryte moskitierą drzwi. Nasłuchiwała odgłosu kroków w lesie. Znała na pamięć kształt wszystkich drzew, ale zdawało się jej, że niektóre poruszyły się nagle w księżycowej poświacie. Przez jakiś czas była tak zmartwiała, że aż nie mogła przełknąć śliny, lecz wkrótce, jak na zawołanie, nocne powietrze wypełniły dobrze jej znane pieśni żab i koników polnych, dodające więcej otuchy niż dziecięca kołysanka o trzech ślepych myszkach i kuchennym nożu. Ciemność pachniała słodyczą, ziemistym oddechem ropuch i jaszczurek, którym udało się przetrwać jeszcze jeden upalny dzień. Moczary wtuliły się w nisko wiszącą mgłę i Kya zasnęła.

*

Tata nie wracał przez trzy dni, a Kya na śniadanie, obiad i kolację gotowała liście rzepy z maminego warzywnika. Zaszła po jajka do kurnika, ale był pusty – nigdzie śladu jaja ani kury.

– Kurze gówna! Banda kurzych gówien!

Miała się nimi zająć po odejściu mamy, lecz niewiele z tym zrobiła. Teraz pstre stado się rozpierzchło i gdakało gdzieś w oddali między drzewami. Musi rozsypać im kaszy, może uda się je tu zatrzymać.

Czwartego dnia wieczorem tata wrócił z butelką i rozwalił się na swoim posłaniu.

Nazajutrz wszedł do kuchni i krzyknął:

– A gdzie reszta?!

– Nie wiem – odpowiedziała Kya, unikając jego wzroku.

– Ty w ogóle guzik wiesz. Taki z ciebie pożytek jak z cycków u wieprza.

Wymknęła się po cichu przez drzwi na ganku. Gdy szła plażą w poszukiwaniu muszli, poczuła woń spalenizny. Obejrzała się w stronę chaty i dostrzegła słup dymu. Pędem zawróciła, wybiegła spod drzew i zobaczyła na podwórzu wielkie ognisko. Tata wrzucał do niego malunki mamy, jej sukienki i książki.

– Nie! – krzyknęła Kya. Nawet na nią nie spojrzał, tylko cisnął w płomienie stare radio na baterie. Kya próbowała sięgnąć po obrazki, ale poczuła żar ognia na twarzy i ramionach, więc się cofnęła.

Nie spuszczając z oczu ojca, pobiegła do chaty, żeby uratować resztę rzeczy. Podniósł na nią rękę, ale się nie cofnęła. Nagle zawrócił i pokuśtykał do swojej łodzi.

Kya osunęła się na schody ganku i patrzyła, jak płomienie trawią mamine akwarele z widokami mokradeł. Siedziała tam do zachodu słońca, póki wszystkie guziki nie zamieniły się w rozżarzone węgielki i płomienie nie stopiły jej wspomnień o tańczeniu z mamą jitterbuga.

Przez kilka kolejnych dni uczyła się na cudzych błędach – a jeszcze bardziej od rybek – jak żyć z ojcem. Nie wchodź mu w drogę, niech cię nie widzi, umykaj z plam słońca w cień. Budziła się i wychodziła, nim wstał. Mieszkała w lesie i nad wodą, po czym zakradała się cichutko na swój siennik na ganku, by spać tak blisko mokradeł, jak było to możliwe.

*

W czasie drugiej wojny światowej tata walczył z Niemcami. To wtedy oberwał odłamkiem szrapnela, który zmiażdżył mu kość udową, co było dla jego bliskich ostatnim powodem do dumy, a jego cotygodniowa renta – jedynym źródłem utrzymania.

Tydzień po odejściu Jodiego w lodówce nie zostało już nic, rzepa też się kończyła. Gdy w poniedziałkowy ranek Kya weszła do kuchni, tata skinął ręką na pomięty jednodolarowy banknot i garść miedziaków na stole.

– Kup se za to żarcia na tydzień. Ale nic za darmo, wszystko ma swoją cenę. Będziesz ogacać dom, szykować podpałkę i prać.

Pierwszy raz w życiu Kya ruszyła sama po zakupy do Barkley Cove. „Mały prosiaczek wybrał się na targ". Wlokła się ponad sześć kilometrów po sypkim piachu i czarnym błocie, nim jej oczom ukazała się połyskliwa zatoka z osadą na brzegu.

Zewsząd otaczały ją bagna. Ich słona mgiełka łączyła się tu z tą znad oceanu, który podczas przypływu wzbierał po drugiej stronie Main Street. Mokradła i ocean oddzielały miasteczko od reszty świata, z którym łączyła je tylko wąska szosa utkana z popękanego betonu i dziur.

Ulice były dwie. Przy Main, biegnącej wzdłuż wybrzeża, stał rząd sklepów: spożywczy Piggly Wiggly na jednym końcu, Western Auto na drugim, a pośrodku tania restauracja. Mieściły się tam jeszcze Kress's Five and Dime, Penney's (oferta tylko z katalogu), piekarnia Parkera i obuwniczy Bustera Browna. Z Piggly sąsiadowała piwiarnia Dog-Gone Beer Hall serwująca grillowane hot dogi, ostre chili con carne i smażone krewetki w papierowych łódeczkach. Kobiety i dzieci tam nie zachodziły, bo uznawano to za niestosowne, jednak w ścianie wybito okienko ze sprzedażą na wynos, żeby mogły kupować hot dogi i colę. Kolorowym nie wolno było wchodzić do środka ani korzystać z okienka.

Druga ulica, Broad, prowadziła od starej szosy i kończyła się nad oceanem na Main. Zatem w Barkley Cove krzyżowały się jedynie Main, Broad i Atlantyk. Sklepy i siedziby firm nie stały jedne przy drugich jak w większości miast, lecz rozdzielały je niewielkie puste działki porośnięte nadmorską trawą

i palmiczkami, jakby co noc mokradła przesuwały się o centymetr dalej. Przez ponad dwieście lat ostre słone wiatry nadały obitym cedrem domom barwę rdzy, a farba z okiennych framug, zwykle biała lub niebieska, obłaziła i pękała. Ogólnie miasteczko zdawało się zmęczone kłótnią z żywiołami i zwyczajnie odpuściło.

Molo, upstrzone postrzępionymi cumami i starymi pelikanami, wrzynało się w zatoczkę, której wody – przy dobrej pogodzie – odbijały czerwienie i żółcie łodzi poławiaczy krewetek. Tam, gdzie kończyły się sklepy, nieutwardzone drogi z małymi cedrowymi domkami wiły się wśród drzew, lagun i wybrzeża oceanu. Barkley Cove było w sensie dosłownym miastem na wodzie, rozsianym wśród ujść rzek i szuwarów niczym gniazdo czapli, które poszarpał wiatr.

Bosa, ubrana w przykrótkie ogrodniczki Kya stanęła w miejscu, gdzie ścieżka prowadząca z mokradeł łączyła się z szosą. Przygryzała wargi, chciała zawrócić biegiem do domu. Nie wiedziała, jak ma się odezwać do sprzedawcy ani czy połapie się z pieniędzmi. Głód był jednak silniejszy, więc ze spuszczoną głową ruszyła Main Street w stronę Piggly Wiggly zniszczonym chodnikiem przezierającym tu i ówdzie spomiędzy kęp trawy. Zbliżywszy się do Five and Dime, usłyszała dobiegający gdzieś z tyłu hałas i odskoczyła na bok w chwili, gdy trzej niewiele starsi od niej chłopcy przemknęli obok na rowerach. Ten, który jechał pierwszy, odwrócił głowę i zaśmiał się z niedoszłej kolizji, po czym niemal wpadł na wychodzącą ze sklepu kobietę.

– Chase Andrews!!! Wracaj tu zaraz! Wszyscy trzej!

Przejechali jeszcze parę metrów, lecz po chwili się zreflektowali i zawrócili do panny Pansy Price, sprzedawczyni ze sklepu z materiałami i pasmanterią. Jej rodzina posiadała kiedyś największą farmę na obrzeżach mokradeł i choć już

dawno była zmuszona ją sprzedać, panna Price wciąż wczuwała się w rolę ziemianki. Nie było to łatwe, gdyż gnieździła się w niewielkim mieszkanku nad barem. Zwykle nosiła kapelusze o kształcie jedwabnych turbanów, tamtego ranka różowy, podkreślający karmin szminki i upudrowane policzki.

Obsztorcowała chłopców:

– Zamierzam powiedzieć o tym waszym mamom. Albo jeszcze lepiej ojcom. Żeby tak pędzić po chodniku, niemal mnie rozjechać! Co masz na swoją obronę, Chase?

Chase miał spośród nich najbardziej wymuskany rower – z czerwonym siodełkiem i chromowaną, zadartą do góry kierownicą.

– Przepraszamy, panno Pansy, nie zauważyliśmy pani, bo ta dziewczyna weszła nam w drogę. – Opalony, ciemnowłosy Chase wskazał na Kyę, która uskoczywszy z chodnika, stała teraz tuż przy krzaku mirty.

– Akurat! Nie wolno obarczać innych odpowiedzialnością za własne przewinienia, nawet hołoty z mokradeł. Zróbcie dobry uczynek, żeby mi to wynagrodzić. Tam idzie panna Arial z zakupami, pomóżcie jej zanieść je do auta. I wpuśćcie koszule w spodnie!

– Dobrze, proszę pani – odpowiedzieli chłopcy i ruszyli w stronę panny Arial, która uczyła ich, kiedy byli w drugiej klasie.

Kya wiedziała, że rodzice tego ciemnowłosego chłopaka są właścicielami sklepu z częściami samochodowymi Western Auto i że to dlatego jeździ najbardziej wdechowym rowerem. Widziała, jak nosił z furgonetki wielkie pudła z towarem, lecz nigdy nie zamieniła z nim – tak jak z pozostałymi – choćby słowa.

Odczekała kilka minut i znów spuściwszy głowę, ruszyła do spożywczego. Już na miejscu uważnie przyjrzała się wszystkim rodzajom kaszy, aż w końcu wybrała funtową torebkę żółtej gruboziarnistej, bo na czerwonej przywieszce było napisane „promocja tygodnia”. Tak uczyła ją mama. Kręciła się między półkami do chwili, gdy przy kasie nie było klientów i dopiero wtedy podeszła do pani Singletary. Ta spytała:

– A gdzie twoja mama?

Miała krótkie, kręcone włosy, fioletowe niczym irys w słońcu.

– Uwija się w domu, psze pani.

– A pieniądze na kaszę masz?

– Mam. – Nie umiejąc odliczyć właściwej sumy, Kya położyła na ladzie jednodolarowy banknot.

Pani Singletary nie wiedziała, czy mała rozróżnia monety, więc kładąc je na jej dłoni, powoli odliczała resztę:

– Dwadzieścia pięć, pięćdziesiąt, siedemdziesiąt, osiemdziesiąt, osiemdziesiąt pięć i jeszcze trzy centy. Bo kasza kosztuje dwanaście.

Kya poczuła mdłości. Miała coś dopłacić? Z zakłopotaniem wpatrywała się w bilon.

Pani Singletary złagodniała na ten widok.

– W porządku. No już, zmykaj.

Kya wypadła ze sklepu i próbowała jak najszybciej dojść do dróżki na mokradła. Mama nieraz powtarzała: „Nigdy nie biegaj w miasteczku, bo pomyślą, że coś ukradłaś”. Lecz gdy dotarła wreszcie do ścieżki, natychmiast pokonała pędem dobrych kilkaset metrów. Resztę drogi przebyła szybkim krokiem.

Wydawało się jej, że umie ugotować kaszę. Wsypała ją do wrzątku, tak jak robiła to mama, ale ścięła się w wielką grudę, przypaliła na spodzie, a w środku pozostała surowa. Była tak gumowata, że Kya zdołała zjeść ledwie parę łyżek, więc ruszyła

do ogródka, gdzie między nawłociami wypatrzyła jeszcze trochę liści rzepy. Ugotowała je i zjadła, siorbiąc wywar.

Nauczyła się przyrządzać kaszę w ciągu kilku kolejnych dni, choć bez względu na to, jak długo ją mieszała, zawsze tworzyły się grudki. Tydzień później kupiła oznaczoną czerwoną przywieszką polędwicę i ugotowała ją z kaszą i kapustą. Była całkiem smaczna.

Często robiła pranie razem z mamą, więc wiedziała, że należy trzeć ubrania na tarce pod kranem na podwórku, używając do tego kostek szarego mydła. Mokre ogrodniczki taty były takie ciężkie, że nie mogła ich wyżąć swoimi małymi dłońmi ani dosięgnąć sznura, żeby je powiesić, dlatego rozkładała je, żeby obciekły na liściach palmiczki na skraju lasu.

Mieszkała z ojcem w jednej chacie, lecz żyli jakby w odrębnych światach, czasami nie widywała go przez wiele dni. Prawie się do siebie nie odzywali. Sprzątała po sobie i po nim jak mała kobietka. Nie była na tyle dobrą kucharką, żeby mu gotować – zresztą zwykle nie było go w domu – ale ścieliła siennik, zbierała po nim, zamiatała i zmywała. Nie dlatego, że jej kazał, ale ponieważ był to jedyny sposób, by utrzymać chatę w jako takim stanie do powrotu mamy.

*

Mama zawsze powtarzała, że urodziny Kyi przypadają na jesienną pełnię księżyca. Nawet jeśli nie pamiętała daty swoich urodzin, któregoś wieczoru, gdy nad laguną zawisł nabrzmiały i złocisty księżyc, Kya szepnęła do siebie:

– Czyli mam siedem lat.

Tata nie zająknął się na ten temat; na pewno nie było tortu. Nie wspomniał też ani słowem, że pójdzie do szkoły, a Kya się

na tym nie znała i bała się go zapytać.

Ale przecież mama na pewno wróci na jej urodziny. Rankiem nazajutrz po pełni księżyca Kya włożyła płócienną sukienkę i wpatrywała się w ścieżkę. Pragnęła ujrzeć mamę idącą w stronę chaty w długiej sukni i w butach ze skóry aligatora. Nikt się jednak nie pojawił, więc wzięła garnek z kaszą i ruszyła przez las na plażę. Przyłożywszy dłonie do ust, odchyliła głowę i zawołała:

– Kiau, kiau, kiau!

Zewsząd znad brzegu i fal wzbiły się ku niebu srebrzyste plamki.

– Lecą. Nawet nie policzę do tylu, ile jest tych mew – powiedziała do siebie Kya.

Wrzeszcząc, ptaki wirowały, nurkowały, zawisały nad jej głową, po czym lądowały na piasku, gdy rozrzucała im kaszę. W końcu ucichły i zaczęły czyścić sobie pióra. Kya usiadła, rozrzuciwszy nogi na boki. Jakaś duża mewa przysiadła obok na piasku.

– Dziś moje urodziny – oznajmiła jej Kya.

3.

Chase

1969

Przegniłe słupy starej opuszczonej wieży obserwacyjnej rozkraczyły się na bagnisku, znad którego unosiły się smużki oparów. Rankiem trzydziestego października 1969 roku, jeśli nie liczyć kraczących wron, las pozostawał w milczącym wyczekiwaniu, gdy dwaj chłopcy, Benji Mason i Steve Long, dziesięciolatkowie o blond włosach, ruszyli po zawilgoconych schodach na górę.

– Jesienią nie powinno być tak gorąco! – zawołał Steve.

– No. A w ogóle cicho tu, tylko te wrony!

Zerknąwszy przez szpary między schodami, Steve rzucił:

– Patrz! Co to?

– Gdzie?

– Tam. W niebieskim ubraniu. Ktoś leży w błocie.

– Hej, ty! – krzyknął Benji. – Co tam robisz?

– Widzę twarz, ale się nie rusza.

Machając rękami, zbiegli na dół. Zielonkawe błoto oblepiało im buty, gdy przedzierali się przez krzaki na drugą stronę

wieży. Jakiś mężczyzna leżał tam na plecach z groteskowo wykręconą ku górze lewą nogą i szeroko otwartymi oczami i ustami.

– Jezu Chryste! – zawołał przerażony Benji.

– Rany, to Chase Andrews!

– Lepiej wezwijmy szeryfa.

– Przecież nie wolno nam się tu kręcić!

– Teraz to już nieważne. Te wrony zaraz się do niego dobiorą.

Odwrócili głowy w stronę, skąd dobiegało krakanie.

– Może jeden z nas zostanie, żeby je odganiać – zaproponował Steve.

– Chyba zgłupiałeś, nie zostanę tu sam! I założę się o skalp Indianina, że ty też nie masz na to ochoty.

Wskoczyli na rowery i pedałując z wysiłkiem, pomknęli lepką jak syrop, błotnistą ścieżką do Main Street. Przejechali przez miasteczko, aż w końcu wbiegli do przysadzistego budynku, w którym szeryf Ed Jackson siedział za biurkiem w swoim gabinecie oświetlonym zwisającymi na kablach żarówkami. Zwalisty, średniego wzrostu, z rudawymi włosami i twarzą oraz ramionami upstrzonymi bladymi piegami. Właśnie przeglądał „Sports Afield", magazyn dla myśliwych i wędkarzy.

Chłopcy wpadli tam bez pukania.

– Szeryfie…

– Steve, Benji! Pali się?

– Chase Andrews leży na bagnach pod wieżą obserwacyjną! Chyba nie żyje. Nie rusza się.

Od momentu założenia Barkley Cove w 1751 roku żaden stróż prawa nie objął swoją jurysdykcją mokradeł. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych dwudziestego wieku kilku szeryfów spuściło psy za przestępcami zbiegłymi na bagna i teraz wciąż trzymano tu te czworonogi, na wszelki wypadek.

Szeryf Jackson jednak zwykle ignorował popełniane tam zbrodnie. Niech się pozabijają, szczury.

Ale tu chodziło o Chase'a. Szeryf wstał i zdjął kapelusz z wieszaka.

– Pokażcie gdzie.

Gałęzie dębów i ostrokrzewów drapały policyjny radiowóz, którym szeryf manewrował po piaszczystej ścieżce. Obok niego siedział doktor Vern Murphy, szczupły, wysportowany, szpakowaty mężczyzna, jedyny lekarz w miasteczku. Obaj podskakiwali na głębokich koleinach, tak że Vern niemal walił głową w szybę. Byli mniej więcej w tym samym wieku i od dawna się przyjaźnili, wyprawiali się razem na ryby i często współpracowali przy śledztwach. Teraz milczeli, pomni, że wkrótce będą musieli zidentyfikować ciało leżące na bagnach.

Steve, Benji i ich rowery jechali z tyłu, na pace. Nagle samochód się zatrzymał.

– Tam leży, panie Jackson. Za tymi krzakami.

Ed wysiadł z ciężarówki.

– Zaczekajcie tu – rzucił i wraz z doktorem Murphym ruszył przez błoto do miejsca, gdzie leżał Chase. Kiedy tam dotarli, wrony odleciały, lecz wokół roiło się od innych ptaków i owadów. Pomruk bezczelnego życia.

– Zgadza się, to Chase. Sam i Patti Love tego nie przeżyją – orzekł szeryf.

Andrewsowie zamawiali każdą świecę zapłonową, płacili wszystkie rachunki i zawieszali wszystkie etykietki z ceną w sklepie Western Auto z myślą o swoim jedynaku, Chasie.

Vern przykucnął, osłuchał mu serce i obwieścił, że Chase nie żyje.

– Kiedy zmarł? – spytał Ed.

– Jakieś dziesięć godzin temu. Koroner dokładnie to ustali.

– Pewnie wieczorem wszedł na wieżę i spadł.

Nie dotykając denata, Vern przeprowadził krótkie oględziny, po czym stanął obok Eda. Zapatrzyli się w nabrzmiałą twarz Chase'a, w jego oczy skierowane ku niebu i w jego rozdziawione usta.

– Ile razy powtarzałem ludziom w miasteczku, że coś takiego musi się kiedyś zdarzyć? – spytał szeryf.

Znali Chase'a od urodzenia. Patrzyli, jak zmienia się ze słodkiego dziecka w uroczego nastolatka, z rozgrywającego, gwiazdora szkolnej drużyny futbolowej, w pracownika rodzinnej firmy, a wreszcie w przystojnego mężczyznę, który poślubił najładniejszą z miejscowych dziewczyn. Teraz leżał tu samotnie, lichszy niż to błoto. Brutalna śmierć zawsze ma ostatnie słowo.

Ciszę przerwał Ed:

– Nie rozumiem, dlaczego nikt nie udzielił mu pomocy. Masa ludzi tu przyjeżdża, choćby parki, żeby się migdalić. – Szeryf i doktor spojrzeli na siebie porozumiewawczo; mimo że Chase był żonaty, mógł się tu wybrać z inną. – Rozejrzyjmy się trochę – dorzucił, unosząc nogi wyżej niż zwykle. – A wy, chłopcy, zostańcie tutaj, żeby nie zadeptać śladów. – Następnie, wskazując na odciski butów biegnące od schodów na jakieś trzy metry w głąb mokradeł, spytał: – To wasze ślady z dzisiejszego ranka?

– Tak, proszę pana, właśnie tam się zatrzymaliśmy – odpowiedział Benji. – Jak tylko zobaczyliśmy, że to Chase, zawróciliśmy. Właśnie w tamtym miejscu.

– Dobra. Vern, coś mi się tu nie zgadza. Wokół ciała nie ma śladów. Jeśli był ze znajomymi albo z kimkolwiek, przybiegliby tutaj i stanęli obok albo przykucnęli, żeby sprawdzić, czy żyje. Patrz, jak nasze buty zagłębiają się w błoto. A innych świeżych śladów nie ma. Nie prowadzą do albo od schodów, nie ma ich też przy zwłokach.

– Może był sam? To wszystko by wyjaśniało.

– Poza jednym. Gdzie są jego ślady? W jaki sposób Chase Andrews przeszedł błotnistą ścieżką do schodów, żeby wejść na górę, nie pozostawiając śladów?

4.

Szkoła

1952

Kilka dni po swoich urodzinach brodząca w błocie bosa Kya pochyliła się i patrzyła, jak u kijanki pojawiają się żabie nogi. Nagle się wyprostowała. Na końcu leśnej drogi, przy której mieszkali, grzęznął w piachu samochód. Nikt nigdy tu nie przyjeżdżał. Później spośród drzew dobiegł ją szmer rozmowy – kobiety i mężczyzny. Kya podbiegła do zarośli, skąd mogła obserwować przybyszów, nie pozbawiając się możliwości ucieczki. Tak uczył ją Jodie.

Z samochodu wysiadła jakaś wysoka kobieta w szpilkach i niepewnym krokiem – tak jak wcześniej mama – ruszyła po piaszczystej ścieżce. Pewnie przyjechali z sierocińca, żeby ją zabrać.

„Jej na pewno ucieknę. Prędzej się wywali w tych butach”. Nieruchoma Kya obserwowała, jak kobieta podchodzi do obitych moskitierą drzwi ganku.

– Hej, jest tam kto? Inspekcja szkolna. Mamy zawieźć Catherine Clark do szkoły.

A to ci heca! Kya nie odezwała się. Była prawie pewna, że powinna była pójść do szkoły, kiedy miała sześć lat. A ci przyjechali rok później.

Nie wiedziała, jak rozmawiać z innymi dziećmi, a już na pewno z nauczycielami, ale chciała umieć czytać i liczyć nie tylko do dwudziestu dziewięciu.

– Catherine, skarbie, jeśli mnie słyszysz, przyjdź tutaj. Takie przepisy, słonko. Musisz chodzić do szkoły. Zresztą spodoba ci się. Codziennie gorący lunch za darmo. Dzisiaj bodajże chrupiący placek z kurczakiem.

A, to inna rozmowa. Kya była bardzo głodna. Na śniadanie ugotowała kaszę ze słonymi krakersami, bo nie miała soli. Jedno wiedziała na pewno: nie sposób zjeść kaszy bez soli. Placek z kurczakiem jadła ledwie parę razy w życiu, ale wciąż miała przed oczami tę złocistą skórkę, chrupiącą na wierzchu i miękką w środku, wciąż czuła w ustach smak gęstego sosu. To żołądek zadecydował i kazał Kyi wychynąć spomiędzy liści palmiczki.

– Witaj, skarbie, nazywam się Culpepper. Jesteś już duża i gotowa pójść do szkoły, prawda?

– Tak, psze pani – odrzekła Kya, spuściwszy głowę.

– Możesz być boso, inne dzieci też tak chodzą, ale jesteś dziewczynką i musisz włożyć spódniczkę. Masz spódniczkę albo sukienkę, słonko?

– Mam.

– No to musimy cię przebrać.

Pani Culpepper podążyła za Kyą przez ganek, stąpając nad rzędem ułożonych tam przez nią ptasich gniazd. W sypialni dziewczynka włożyła jedyną sukienkę w jej rozmiarze, plisowaną, na ramiączkach, z których jedno było spięte agrafką.

– W porządku, skarbie, wyglądasz całkiem nieźle.

Pani Culpepper wyciągnęła rękę. Kya tylko się w nią wpatrywała. Od tygodni nikogo nie dotknęła, a obcej osoby – nigdy w życiu. Mimo to podała pani Culpepper swoją drobną rączkę, a ta poprowadziła ją ścieżką do forda crestlinera, za którego kierownicą siedział milczący mężczyzna w szarej fedorze. Usiadłszy na tylnym siedzeniu, Kya nie uśmiechała się. Nie czuła, jakby ktoś wziął ją pod swoje skrzydła.

W Barkley Cove była jedna szkoła dla białych, licząca dwanaście klas. Mieściła się w piętrowym ceglanym budynku, który stał na drugim końcu Main Street, patrząc od biura szeryfa. Czarne dzieci miały własną szkołę, parterowy betonowy klocek wzniesiony nieopodal Colored Town.

W sekretariacie znaleźli w spisie nazwisko Kyi, ale bez daty urodzenia, więc przydzielili ją do drugiej klasy, choć dotąd nie spędziła w szkole ani jednego dnia. Powiedzieli, że w pierwszej klasie już i tak jest za dużo uczniów. Zresztą co za różnica, skoro ci z bagien przychodzili góra na kilka miesięcy, a potem i tak nikt ich już nie widział? Kiedy dyrektor prowadził Kyę szerokim korytarzem, w którym ich kroki niosły się echem, na jej czoło wystąpił pot. Potem dyrektor otworzył drzwi do jednej z klas i lekko popchnął dziewczynkę, by weszła do środka.

Plisowane spódniczki, długie spódnice, buty, mnóstwo butów, parę bosych stóp i oczy – wszystkie wpatrzone w Kyę. Nigdy nie widziała tylu osób naraz. Było ich pewnie z tuzin. Nauczycielka, pani Arial, której tamci chłopcy pomogli nieść zakupy, zaprowadziła Kyę do ławki w głębi sali. Wyjaśniła jej, że może schować rzeczy do przegródki, ale Kya nie miała żadnych rzeczy.

Nauczycielka wróciła do biurka i poprosiła:

– Catherine, wstań, proszę, i podaj nam swoje imię i nazwisko.

Kyę zemdliło.

– No, kochanie, nie wstydź się.

Kya wstała.

– Panna Catherine Danielle Clark – oznajmiła. Mama powiedziała jej kiedyś, że to jej nazwisko w pełnym brzmieniu.

– Możesz przeliterować słowo „kot”?

Kya wbiła wzrok w ziemię i milczała. Mama i Jodie nauczyli ją paru liter, ale nigdy nie literowała słów na głos.

Wciąż ją mdliło, mimo to spróbowała:

– T-o-k.

Dzieci zaniosły się śmiechem.

– Cisza! – krzyknęła pani Arial. – Nigdy, powtarzam, nigdy nie śmiejemy się z innych. Przecież wszyscy to wiecie.

Kya śpiesznie usiadła na swoim miejscu w głębi sali, próbując stopić się z otoczeniem jak kornik z porowatym pniem dębu. Mimo zdenerwowania wychyliła się gorliwie w ławce, licząc, że w trakcie lekcji dowie się, jaka liczba następuje po dwudziestu dziewięciu. Tymczasem pani Arial skupiła się wyłącznie na czymś, co nazwała „fonetyką”. Uczniowie układali usta w dzióbek i powtarzali za nią „a”, „o”, „u”, niemiłosiernie się przy tym wijąc.

Około jedenastej korytarz i sale lekcyjne wypełniła ciepła maślana woń pieczonych bułeczek i ciasta. Kya poczuła ssanie w żołądku. Kiedy uczniowie wreszcie ustawili się w szeregu i pomaszerowali do stołówki, jej usta były pełne śliny. Wzorem innych sięgnęła po tacę, zielony plastikowy talerz i sztućce. Kuchnię dzieliło od stołówki duże okno z kontuarem i nagle Kya ujrzała tuż przed sobą wielgachną emaliowaną patelnię, a na niej kurczaka w grubym chrupiącym cieście. Obok skwierczał gorący sos. Wysoka, uśmiechnięta ciemnoskóra kobieta, która wcześniej wołała do niektórych dzieci po imieniu, nałożyła na talerz Kyi solidną porcję, a także dodatki: słodki groszek

z masłem i bułkę. Oprócz tego Kya dostała bananowy pudding i mały czerwono-biały kartonik mleka.

Ruszyła z tacą w stronę stolików, przy których dzieci śmiały się i rozmawiały. Rozpoznała Chase'a Andrewsa i jego kolegów, którzy niemal rozjechali ją rowerami. Odwróciła głowę i usiadła przy wolnym stoliku. Mimowolnie raz po raz zerkała w ich stronę, bo nie znała tu nikogo więcej. Oni jednak, podobnie jak reszta, nie zwracali na nią uwagi.

Kya popatrzyła na placek, pełen mięsa, marchewki, ziemniaków i groszku, ze złocisto-brązową skórką. Zobaczyła, że idą ku niej dwie dziewczynki w długich spódniczkach z krynolinami: Wysoka Chuda Blondynka i Pulchna o Pełnych Policzkach. Kya zastanawiała się, jak w takim stroju udałoby im się wspiąć na drzewo albo choćby wsiąść do łódki. A już na pewno nie mogłyby szukać żab w błocie; przecież nie widziały własnych stóp!

Kiedy się do niej zbliżyły, Kya wbiła wzrok w talerz. Co im powie, jeśli się przysiądą? Wyminęły ją jednak i trajkocząc niczym ptaszki, przysiadły się do koleżanek przy innym stoliku. Kyę skręcało z głodu, ale usta miała całkowicie wyschnięte i trudno jej było cokolwiek przełknąć. Skubnęła więc tylko parę kęsów, wypiła mleko i dyskretnie, tak żeby nikt nie widział, upchnęła do kartonika tyle placka, ile się dało, po czym, podobnie jak bułkę, owinęła go serwetką.

Już do końca dnia nie odezwała się ani razu. Milczała, nawet kiedy nauczycielka zadała jej pytanie. Uznała, że to ona ma się uczyć od niej, a nie na odwrót. Po co wystawiać się na śmiech innych?

Po ostatnim dzwonku oznajmiono jej, że autobus wysadzi ją pięć kilometrów od domu, bo droga jest zbyt piaszczysta, i że codziennie rano będzie musiała dochodzić w to miejsce. Kiedy wracała i pojazd podskakiwał w głębokich koleinach, mijając

ugory zarośnięte wysoką trawą, ktoś siedzący z przodu zaintonował:

– PANNA Catherine Danielle Clark!

Chuda Blondynka i ta druga, pulchna, zawołały:

– Gdzie nasza bagienna kura?! Gdzie twój kapelusz, szczurze z mokradeł?!

Autobus wreszcie się zatrzymał, głęboko w lesie, na bezimiennym skrzyżowaniu krętych ścieżek. Kierowca otworzył drzwi, a Kya wyskoczyła na drogę i puściła się pędem przed siebie; gnała tak kilkaset metrów, z trudem łapiąc oddech. Potem też biegła, ale już wolniej, aż dotarła do ścieżki prowadzącej do chaty. Nie zatrzymała się przy domu, lecz pobiegła przez gaj palmiczek nad lagunę, a potem dróżką wśród gęstych, opiekuńczych dębów nad ocean. Gdy dotarła na opustoszałą plażę, ten szeroko otworzył przed nią ramiona, a wiatr rozwiewał jej warkoczyki. Przystanęła na linii przypływu. Była bliska płaczu, tak jak wcześniej, przez cały dzień.

Przekrzykując szum fal, Kya zaczęła nawoływać ptaki. Ocean śpiewał basem, a mewy sopranem. Z wrzaskiem kołowały nad mokradłami i plażą, gdy rzucała im okruchy placka i bułki. Prostowały nogi, przekręcały łebki i opadały na piasek.

Kilka delikatnie wydziobywało okruchy spomiędzy palców Kyi. Czując łaskotanie, śmiała się, lecz nagle po jej policzkach pociekły łzy, a w ściśniętym gardle wezbrał gwałtowny szloch. Kiedy w kartoniku po mleku nie zostało już nic, do Kyi dotarło, że nie zniesie już więcej cierpienia; ogarnął ją strach, że mewy też ją porzucą, jak wszyscy. Te jednak przycupnęły przy niej i zajęły się sobą, rozpostarły skrzydła i czyściły swoje szare piórka. Kya też usiadła. Żałowała, że nie może zabrać ich wszystkich do siebie na ganek, żeby z nią spały. Wyobraziła je

sobie na swoim posłaniu, puchate, ciepłe ciałka razem z nią pod kołdrą.

Dwa dni później znów usłyszała forda crestlinera grzęznącego w piachu i pobiegła na mokradła. Zostawiała wyraźne głębokie ślady na piaszczystych łachach, wspiąwszy się na palce, wchodziła do wody, potem się cofała i ruszała w przeciwnym kierunku. Gdy pojawiało się błoto, biegała po nim w kółko, kompletnie myląc trop. Po ubitej ziemi przemykała, skacząc z kęp trawy na uschłe patyki, tak że jej stopy nie pozostawiały żadnych odcisków.

Potem przez kilka tygodni przyjeżdżali co dwa lub trzy dni. Mężczyzna w fedorze próbował ją dopaść, ale nawet się do niej nie zbliżył. W którymś tygodniu nie przyjechali. Słychać było tylko krzyk wron. Kya opuściła ręce i wpatrywała się w pustą ścieżkę.

Już nigdy nie wróciła do szkoły. Znów podpatrywała czaple i zbierała muszle, bo uznała, że to czegoś ją nauczy.

– Umiem już gruchać jak gołąb – powiedziała sama do siebie. – Dużo lepiej od nich, nawet jeśli mają piękne buty.

*

Pewnego ranka, parę tygodni po dniu spędzonym w szkole, Kya w palącym słońcu wdrapała się na drzewną fortecę braci przy plaży i wypatrywała okrętów pod banderą trupiej czaszki i skrzyżowanych piszczeli. Puszczając wodze wyobraźni, krzyknęła:

– Hej, piraci! – Po czym z mieczem w dłoni zeskoczyła z drzewa i ruszyła do ataku.

Nagle poczuła ból w prawej stopie, który – niczym pożar – rozpełzł się po całej nodze. Upadła na bok i zawyła. Dostrzegła długi zardzewiały gwóźdź, który tkwił głęboko w ciele.

– Tato! – zawołała. Próbowała sobie przypomnieć, czy wrócił na noc do domu. – Tato, pomóż mi! – zaszlochała, lecz na próżno. Sięgnęła ręką i jednym szybkim ruchem wyciągnęła gwóźdź, wrzeszcząc, by odreagować cierpienie.

Wodziła rękami po piasku i łkała. W końcu usiadła i obejrzała stopę. Niemal nie było krwi, jedynie mała głęboka rana. Wtedy przypomniała sobie o tężcu. Poczuła skurcz w żołądku i przeszył ją chłód. Jodie opowiedział jej kiedyś o chłopcu, który po tym jak nastąpił na zardzewiały gwóźdź, nie miał zrobionego zastrzyku przeciwtężcowego. Dostał takiego szczękościsku, że nie mógł otworzyć ust. Kręgosłup wygiął mu się w łuk, ale nikt nie mógł mu pomóc. Wszyscy tylko patrzyli, jak umiera w konwulsjach.

Jodie powiedział wyraźnie: „Zrób zastrzyk w ciągu dwóch dni od nadepnięcia na gwóźdź, bo będzie po tobie”. Kya nie miała pojęcia, jak zdobyć taką szczepionkę.

– Muszę coś zrobić, bo prędzej dostanę szczękościsku, niż doczekam się na tatę. – Z twarzą zalaną potem pokuśtykała plażą, aż w końcu dotarła w cień dębów rosnących wokół chaty.

Mama zwykle przemywała rany słoną wodą i opatrywała je błotem wymieszanym z różnymi miksturami. W kuchni nie było soli, więc Kya podreptała do słonego strumienia w lesie. Był tak zasolony, że podczas odpływu na jego brzegach osiadały lśniące białe kryształki. Usiadła i zanurzyła stopę w mule, poruszając przy tym ustami. Otwierała je i zamykała, udawała, że ziewa, potem, że żuje, robiła wszystko, byle tylko nie dostać szczękościsku. Po niecałej godzinie woda opadła na tyle nisko, że Kya zdołała wykopać dołek i delikatnie wsunąć stopę w jedwabiście gładkie błoto. Było tu chłodno, a pokrzykiwania orła dodawały jej otuchy.

Późnym popołudniem zaczął doskwierać jej głód, więc wróciła do chaty. Taty nie było; pewnie minie wiele godzin, nim

się zjawi. Poker i whiskey sprawiały, że często spędzał noce poza domem. Kaszy też nie było, ale grzebiąc w szafkach, Kya znalazła starą puszkę smalcu do wypieków. Rozsmarowała odrobinę na słonym krakersie. Najpierw spróbowała, a potem zjadła pięć.

Umościła się na swoim posłaniu na ganku i nasłuchiwała, czy nie nadpływa łódź taty. Szybko zapadła noc, a z nią przyszedł rwany sen; na dobre Kya musiała zasnąć dopiero nad ranem, bo obudziło ją słońce świecące prosto w twarz. Od razu otworzyła usta. Szczękościsk wciąż się nie pojawił. Raz po raz, powłócząc nogami, chodziła nad słony strumień i z powrotem do chaty. Obserwacja słońca podpowiedziała jej, że trwało to dwa dni. Otworzyła i zamknęła usta. Może jednak się udało.

Tamtego wieczoru, otulając się pościelą na sienniku, z nogą pokrytą błotną skorupą, owiniętą szmatą, zastanawiała się, czy nie obudzi się martwa. Nie, przypomniała sobie, to nie takie proste – wygięty w łuk kręgosłup i poskręcane kończyny.

Nagle usiadła gwałtownie, bo poczuła kłucie w lędźwiach.

– Och, nie, nie! Mamo, mamo! – Gdy kłucie się powtórzyło, zamilkła. – Tylko mnie swędzi – mruknęła. Aż w końcu, wyczerpana, zasnęła i nie otworzyła oczu, póki gołębie nie zaczęły gruchać na dębie.

Przez tydzień chodziła do słonego strumienia dwa razy dziennie. Żywiła się słonymi krakersami i smalcem. Tata nie pojawił się ani razu. Ósmego dnia mogła swobodnie pokręcić stopą, a ból czuła już tylko na wierzchu. Zatańczyła w miejscu na skaleczonej stopie i pisnęła:

– Udało się, udało!

Następnego ranka znów ruszyła na plażę w poszukiwaniu piratów.

– Najpierw każę moim ludziom zebrać wszystkie gwoździe.

*

Codziennie budziła się skoro świt i nasłuchiwała, czy czasem mama nie krząta się w kuchni. Na śniadanie najbardziej lubiła podawać jajecznicę z jaj od własnych kur, krojone dojrzałe pomidory i placuszki kukurydziane; wlewała rzadkie ciasto z mąki kukurydzianej, wody i soli na tłuszcz tak gorący, że aż tworzyły się bąble, a na brzegach chrupiąca koronka. Mawiała, że jak coś smażysz, to skwierczenie musi być słychać w sąsiednim pokoju, i Kya przez całe życie po przebudzeniu słyszała, jak placki syczą w gorącym tłuszczu, czuła też zapach niebieskawego dymu ze smażonej kukurydzy. Teraz w kuchni było cicho i zimno, więc ześlizgnęła się z siennika i ostrożnie ruszyła w stronę laguny.

Mijały miesiące, aż wreszcie zawitała zima, łagodna, jak to na południu. Promienie słońca, ciepłe niczym koc, otulały ramiona Kyi i zachęcały do wypraw w głąb mokradeł. Czasami słyszała nocą nieznane dźwięki i aż podskakiwała, gdy piorun uderzał zbyt blisko, lecz nawet kiedy upadała, ziemia zawsze brała ją w swe ramiona. I w końcu, w bliżej nieokreślonym momencie, z serca Kyi wysiąkło cierpienie, jak woda, która znajduje ujście między ziarnkami piasku. Niby wciąż gdzieś tam było, ale głęboko. Dziewczynka wsunęła dłoń w oddychającą, wilgotną ziemię i od tej chwili jej matką stały się mokradła.

5.

Śledztwo

1969

W palącym słońcu jazgotały cykady. Wszelkie inne formy życia stchórzyły przed skwarem, wydając z siebie głuche brzęczenie spod ściółki.

Otarłszy pot z czoła, szeryf Jackson rzucił:

– Vern, sporo tu roboty, ale tak się nie godzi. Żona i rodzice Chase’a wciąż nie wiedzą, że nie żyje.

– Pojadę i ich powiadomię – zobowiązał się doktor.

– Byłbym ci wdzięczny. Weź mój samochód. A potem przyślij tu karetkę i Joego z moim autem. Tylko nikomu ani słowa, bo jeśli komuś o tym wspomnisz, zjedzie się tu całe miasto.

Vern przyglądał się Chase’owi dłuższą chwilę, jakby coś przeoczył. Jako lekarz powinien wyjaśnić przyczynę śmierci. Wokół unosiły się ciężkie bagienne opary, cierpliwie czekając na swoją kolej.

Ed zwrócił się do chłopców:

– Zostańcie tu. Nie chcę, żeby kłapali o tym w mieście. Tylko niczego nie dotykać i nie zadeptywać śladów.

– Tak jest – potaknął Benji. – Myśli pan, że go zabili? Nie ma odcisków palców. Może ktoś go zepchnął?

– Niczego takiego nie powiedziałem. Prowadzę rutynowe działania. Nie plączcie mi się tu i nie rozpowiadajcie o tym, co tu usłyszycie.

Zastępca szeryfa Joe Purdue, drobny mężczyzna z gęstymi bokobrodami, nadjechał radiowozem po niespełna kwadransie.

– Jeszcze to do mnie nie dociera. Chase nie żyje. Najlepszy rozgrywający, jakiego tu mieliśmy. To ostatnie, co spodziewałem się usłyszeć.

– Racja. Bierzmy się do roboty.

– Co ustaliłeś?

Ed oddalił się nieco od chłopców.

– Tak z zewnątrz wszystko wskazuje na nieszczęśliwy wypadek. Spadł z wieży i zginął. Ale nie znalazłem żadnych odcisków butów wiodących do schodów, w tym należących do kogoś innego. Może są tu gdzieś dowody na to, że ktoś zatarł ślady?

Obaj stróże prawa przeczesywali teren przez dobre dziesięć minut.

– Masz rację, nikogo tu nie było oprócz tych chłopców – podsumował Joe.

– I żadnych oznak zacierania śladów. Nie rozumiem, ale róbmy swoje. Wrócimy do tego później – odparł Ed.

Sfotografowali ciało, jego ułożenie względem schodów, rany głowy i dziwacznie wygiętą nogę. Joe notował uwagi Eda. Kiedy mierzyli odległość między zwłokami a ścieżką, usłyszeli karetkę przedzierającą się przez gęste zarośla.

Kierowca, starszy ciemnoskóry mężczyzna, który od lat jeździł po rannych, chorych, konających i martwych, z szacunkiem skinął im głową.

– Dobra, ręce ma rozłożone, więc nie idzie przetoczyć go na wózek – powiedział cicho. – Trzeba go podnieść, a trochę waży. Szeryfie, podtrzyma mu pan głowę. Właśnie tak.

Tak oto późnym rankiem oblepione błotem ciało Chase'a trafiło do karetki.

Doktor Murphy zdążył już powiadomić rodziców Chase'a o tragedii, więc Ed pozwolił chłopcom wrócić do domu. Potem wraz z Joem ruszyli po schodach, które z każdą kondygnacją robiły się coraz węższe. Gdy się po nich wspinali, wszędzie wokół widzieli gęste, bujne lasy i ciągnące się aż po horyzont, przetykane strumieniami mokradła.

Kiedy pokonali ostatni stopień, Jackson pchnął żelazną kratę, a gdy stanęli na platformie, zasunął ją z powrotem, żeby zabezpieczyć otwór w podłodze. Spękane i poszarzałe ze starości deski pokrywały jej środek, a wokół po bokach ułożono kwadratowe kratki, które można było unosić lub opuszczać. Gdy leżały na miejscu, można było bezpiecznie po nich chodzić, lecz gdyby którąś podnieść, powstawał otwór; podejście doń groziło upadkiem z wysokości około dwudziestu metrów.

– Spójrz. – Ed wskazał na przeciwległą stronę platformy, gdzie jedna z krat była otwarta.

– Co, u diabła?! – zdziwił się Joe, kiedy podeszli bliżej. Gdy spojrzeli w dół, zobaczyli idealny obrys ciała Chase'a, odciśnięty w błocie. Rozbryzgi żółtawej brei i rzęsy wodnej okalały go niczym plamy farby na obrazie.

– Dziwne – skonstatował Ed. – Czasami ludzie, kiedy schodzą na dół, zapominają zasunąć kratę nad schodami. Widziałem to już parę razy. Ale żeby zamknąć tamtą, raczej pamiętają.

– Po co Chase ją otworzył? Po co w ogóle ją otwierać?

– Chyba tylko po to, żeby kogoś przez nią wypchnąć – odparł Ed.

– Ale czemu ten ktoś potem jej nie zamknął?

– Bo jeśli Chase wypadł ot tak, to nie mógł jej zamknąć. Musiała zostać w takiej pozycji, żeby wyglądało to na wypadek.

– Spójrz na ten legar pod otworem. Jest mocno uszkodzony.

– Widzę. Chase musiał rąbnąć w niego głową, kiedy spadał.

– Wdrapię się tam, może znajdę krew albo włosy. Zbiorę kilka drzazg.

– Dzięki, Joe. Zrób też zdjęcia. Przyniosę linę, żeby cię asekurować. Dwa trupy w jeden dzień to byłoby za dużo. Trzeba też zebrać odciski palców z tej kraty, z tej nad schodami, z balustrady i z poręczy. Ze wszystkiego, czego można tu dotknąć. Poza tym wszystkie włosy i włókna.

*

Ponad dwie godziny później nareszcie rozprostowali plecy po całym tym schylaniu się i kucaniu.

– Nie twierdzę, że ktoś go wykończył – rzucił Ed. – Był na to za młody. Poza tym nie znam nikogo, kto życzyłby mu śmierci.

– A według mnie lista jest całkiem długa – odparł zastępca szeryfa.

– Na przykład kto? Co ty pleciesz?

– Daj spokój, Ed. Znałeś go. Brykał na lewo i prawo, jak byk spuszczony z postronka. Przed ślubem, po ślubie, z pannami, z mężatkami. Nawet jurne psy na pokazie suk w rui byłyby bardziej wstrzemięźliwe.

– Przesadzasz. Fakt, mówili o nim, że podrywacz, ale nie sądzę, żeby ktoś w tym mieście chciał go za to zamordować.

– Chcę tylko powiedzieć, że są tacy, którzy go nie lubili. Może jakiś zazdrosny mąż? Na pewno ktoś, kogo znał. Ktoś, kogo wszyscy znamy. Bo nie przypuszczam, żeby wybrał się tu z kimś obcym.

– Chyba że zadłużył się po uszy gdzieś za miastem i o tym nie wiedzieliśmy. U kogoś silnego, komu dałby się zepchnąć, a to przecież nie było takie proste.

– Znam tu paru takich, którzy daliby radę – odpowiedział Joe.

6.

Chłopiec w łódce

1952

Któregoś ranka tata, ogolony i ubrany w pogniecioną koszulę, wszedł do kuchni i oznajmił, że jedzie autobusem do Ashville, żeby rozmówić się z wojskiem. Powiedział, że należy mu się wyższa renta, że chce to załatwić i że wróci za trzy, cztery dni. Nigdy nie opowiadał się Kyi, dokąd się wybiera ani kiedy wróci, dlatego, stojąc w przykrótkich ogrodniczkach, spojrzała na niego zdumiona i nie odpowiedziała.

– Nie dość, że głupia, to głucha – rzucił i trzasnął drzwiami na ganku.

Patrzyła, jak kuśtyka ścieżką. Lewą nogę odstawiał najpierw na bok, a potem przed siebie. Zacisnęła palce. Może on też ją zostawi i odejdzie tą ścieżką jak pozostali. Kiedy dotarł do drogi i nieoczekiwanie się obejrzał, wyciągnęła rękę i energicznie mu pomachała. Jakby w ten sposób mogła go ze sobą związać. Uniósł dłoń i niedbale jej zasalutował. Zawsze coś. Więcej niż zrobiła mama.

Kya poszła nad lagunę, gdzie promienie świtu roziskrzyły setki skrzydeł ważek. Rosły tam dęby i gęste zarośla, sprawiając, że nad zatoką było ciemno niczym w jaskini. Kya przystanęła i zerknęła na dryfującą na linie łódź taty. Jeśli popłynie nią na mokradła, a on się o tym dowie, oberwie od niego paskiem. Albo wiosłem, które trzymał przy drzwiach na ganku – „powitalnym kijem", jak nazywał je Jodie.

Mimo to coś – może tęsknota za tym, co gdzieś w oddali – popchnęło ją ku tej metalowej, poobtłukiwanej jednoosobowej łupinie, którą tata wyprawiał się na ryby. Kya pływała nią od urodzenia, zwykle z Jodiem. Czasami pozwalał jej sterować. Znała nawet wąskie przesmyki i ujścia, gdzie woda przeplatała się z lądem, by w końcu trafić do oceanu. Choć był tuż za drzewami okalającymi chatę, łodzią można było do niego dotrzeć, płynąc w przeciwną stronę, w głąb lądu, ciągnącym się kilometrami labiryntem wiodących do niego wodnych połączeń.

Kya miała jednak tylko siedem lat i była dziewczyną, więc nigdy nie płynęła łódką sama. A ta kołysała się teraz na wodzie, przywiązana pojedynczą bawełnianą liną do drewnianej kłody. Wewnątrz była szara i brudna, walały się w niej stary sprzęt wędkarski i zgniecione puszki po piwie. Wsiadając, Kya powiedziała do siebie:

– Tak jak mówił Jodie: „Sprawdź, ile jest paliwa, żeby tata się nie połapał". – Wsunęła zerwaną trzcinę do zardzewiałego zbiornika. – Na krótką wyprawę wystarczy.

Jak każdy porządny złodziej, rozejrzała się wokół, ściągnęła linę z kłody i wiosłując jednym wiosłem, ruszyła przed siebie. Rozstąpił się przed nią obłok milczących ważek.

Nie mogła się powstrzymać. Pociągnęła za linkę. Szarpnęło nią, kiedy silnik zaskoczył za pierwszym razem, warkocząc i krztusząc się białym dymem. Chwyciła za rumpel, ale dodała

za dużo gazu, silnik zawył i łódka weszła w ostry skręt. Puściła gaz, wyrzuciła ręce do góry. Łódź mruczała, dryfując.

„Kiedy masz kłopot, odpuść. Nie rób nic”.

Teraz dodała gazu już delikatniej. Opłynęła stary, powalony cyprys i żeremie. Później, wstrzymawszy oddech, skierowała łódź w stronę wejścia do laguny ukrytego wśród krzaków jeżyn. Chowając głowę w ramionach, by nie zahaczyć o zwisające gałęzie ogromnych drzew, mknęła ponad sto metrów przez gąszcz i patrzyła, jak żółwie zsuwają się z zanurzonych w wodzie kłód. Kożuch rzęsy wodnej zabarwiał wodę na zielono; zielone były też liście na sklepieniu tego szmaragdowego tunelu. W końcu drzewa się rozstąpiły i Kya dotarła do miejsca, gdzie było tylko bezkresne niebo, sięgające ku niemu szuwary i śpiew ptaków. Właśnie to widzi pisklę, kiedy wreszcie przebije skorupkę, pomyślała.

Popłynęła dalej – maleńkie dziewczątko w łódce – klucząc niekończącą się siecią rozwidleń i krętych odnóg. „Kiedy kierujesz łódką, zawsze skręcaj w lewo”, radził jej Jodie. Gdy sunęła pod prąd, ledwo dodawała gazu, żeby nie robić hałasu. Opłynąwszy kępę trzcin, natknęła się na łanię z młodymi, które chłeptały wodę. Zwierzęta nagle uniosły głowy, rozbryzgując krople. Kya nie przystanęła, żeby ich nie płoszyć. Nauczyła się tego, gdy podpatrywała dzikie indyki: jeśli zachowujesz się jak drapieżnik, zwierzęta przyjmują rolę ofiary. Zignoruj je, omiń powoli. Kya popłynęła więc dalej, a łania zamarła w bezruchu i trwała tak, póki łódka nie zniknęła wśród szuwarów.

Gdy dziewczynka błądziła pośród ocienionych dębami lagun, przypomniała sobie o rzeczce po drugiej stronie, która wpadała do ogromnego rozlewiska. Kya kilka razy utknęła w ślepym zaułku i musiała zawrócić. Zapamiętywała wszystkie szczegóły trasy, by nie zabłądzić w drodze powrotnej. W końcu dotarła do

rozlewiska; było tak wielkie, że aż stapiało się z niebem i sunącymi po nim obłokami.

Obserwując brzegi strumieni, Kya domyśliła się, że to czas odpływu. Kiedy woda całkiem opadnie, niektóre przesmyki staną się bardzo płytkie i wtedy ugrzęźnie tu na amen. Musi wrócić zawczasu.

Opłynąwszy kępę wysokich szuwarów, raptem ujrzała przed sobą szare, srogie, pulsujące oblicze oceanu. Fale wpadały na siebie, taplały się we własnej białej ślinie i z łoskotem uderzały o brzeg – przyczółek, na którym wyładowywały energię. Potem przemieniały się w płaskie, ciche jęzory piany i czekały na kolejny szturm.

Te spienione fale szydziły z niej, wyzywały na pojedynek, by je przełamać i ruszyć na otwarte morze, lecz bez Jodiego nie miała odwagi. Zresztą już czas wracać. Z zachodu nadciągały burzowe chmury; przypominały wielkie, szare grzyby pękające w szwach.

Wokół nie było żywej duszy, nawet łodzi w oddali, więc Kya bardzo się zdziwiła, gdy wpłynąwszy z powrotem na rozlewisko, ujrzała w pobliżu szuwarów chłopca łowiącego ryby. Stał w łódce równie sfatygowanej co ta jej i musiała go minąć ledwie o kilka metrów. Teraz wyglądała już jak typowe dziecko z mokradeł – rozwiane kosmyki włosów i brudne policzki poznaczone śladami łez wyciśniętych przez wiatr.

Ani zbyt niski poziom paliwa, ani groźba sztormu nie wywołały u niej takiego zdenerwowania jak widok drugiej osoby, zwłaszcza chłopca. Mama przestrzegała przed nimi jej starsze siostry. Jeśli wyglądasz zbyt kusząco, mężczyźni przemieniają się w drapieżców. Mocno zacisnąwszy wargi, Kya pomyślała: Co robić? Muszę przepłynąć tuż obok.

Kątem oka dostrzegła, że jest szczupły i że jego czerwona czapeczka bejsbolowa skrywa złociste loki. Był dużo starszy od

niej, mógł mieć jedenaście, dwanaście lat. Kiedy się zbliżała, spoglądał ponuro, ale uśmiechnął się do niej ciepło i szczerze i trącił palcem daszek czapeczki niczym dżentelmen pozdrawiający elegancką damę w sukni i kapelusiku. Skinęła lekko głową i zapatrzyła się w dal, dodając gazu jednocześnie.

Myślała wyłącznie o tym, żeby być już u siebie, ale widocznie skręciła nie tam, gdzie trzeba, bo gdy dotarła do drugiej linii lagun, nie mogła odnaleźć rzeczki prowadzącej do chaty. Kręciła się w kółko wśród dębowych konarów i krzaków mirtu, szukając właściwej drogi. Z wolna ogarniała ją panika. Nagle wszystkie porośnięte trawą brzegi, piaszczyste łachy i zakręty wyglądały tak samo. Kya wyłączyła silnik, utrzymując równowagę, szeroko rozstawiła stopy, stanęła pośrodku łódki i próbowała sięgnąć wzrokiem ponad trzciny – lecz daremnie. Usiadła. Zabłądziła. Było mało paliwa, a tymczasem nadciąga burza.

Wzorem ojca przeklęła brata, że odszedł.

– Niech cię szlag, Jodie! Sraj ogniem i w nim płoń! Sraj i płoń!

Zaszlochała, ale tylko raz, gdy łódka zaczęła powoli dryfować z prądem. Ciężkie, milczące chmury sunęły nad jej głową, coraz bardziej przesłaniały słońce i rozpychały się na niebie, zasnuwając cieniem przejrzystą wodę. Za chwilę będzie szkwał i, co gorsza, jeśli Kya nie wróci na czas, tata dowie się, że wzięła łódkę. Ruszyła naprzód – może jeszcze odnajdzie tego chłopca.

Po paru minutach strumień doprowadził ją do rozlewiska, gdzie – po drugiej stronie – był chłopiec w łódce. Czaple wzbiły się do lotu niczym sznur białych flag na tle wypiętrzonych chmur barwy ołowiu. Kya wbiła wzrok w chłopca. Bała się ruszyć przed siebie i bała się zawrócić. W końcu popłynęła przez rozlewisko.

Spojrzał, kiedy się zbliżyła.

– Hej! – rzucił.

– Hej. – Kya obejrzała się za siebie na kępę trzcin.

– A ty właściwie dokąd? – spytał. – Chyba nie w morze? Idzie sztorm.

– Nie… – Kya spojrzała w wodę.

– Wszystko dobrze?

Szloch ścisnął jej gardło. Skinęła głową, ale nie była w stanie się odezwać.

– Zabłądziłaś?

Znów skinęła głową. Przecież nie rozbeczy się jak dziewczyna.

– Ja tam bez przerwy błądzę – powiedział i się uśmiechnął. – Hej, ja cię znam! Siostra Jodiego Clarka.

– Kiedyś tak. Jodie odszedł.

– Ale wciąż jesteś jego… – Nie dokończył zdania.

– Niby skąd wiesz, kim jestem? – Spojrzała mu w oczy.

– Wędkowaliśmy trochę z Jodiem. Widziałem cię parę razy. Byłaś maleńka. Kya, tak?

Ktoś znał jej imię. Szok. Wreszcie jakaś kotwica, wyzwolenie od samotności.

– Tak. Wiesz, jak stąd do mnie trafić?

– No, raczej. Najwyższy czas. – Skinął głową na chmury. – Płyń za mną. – Wyciągnął żyłkę z wody, wrzucił do pudełka kołowrotek i zapuścił silnik. Już na rozlewisku pomachał, by podążyła za nim. Powoli, lecz bez wahania, wpłynął do prawej odnogi, obejrzał się, by mieć pewność, że skręciła za nim, i ruszył dalej. Oglądał się za siebie za każdym zakrętem w drodze przez obrośnięte dębami laguny. Kiedy skierował łódkę w ocieniony kanał prowadzący do chaty, Kya zorientowała się, gdzie pomyliła drogę; już więcej nie popełni tego błędu.

Poprowadził ją przez lagunę aż pod samą chatę przycupniętą na brzegu – mimo że jakiś czas wcześniej Kya machnęła mu na

znak, że zna drogę. Podpłynęła do starej, tkwiącej w wodzie sosny i zacumowała łódź. Gdy odbił nieco w przeciwnym kierunku, ich łódki podrygiwały na falach.

– Już w porządku?

– Tak.

– Idzie burza, spadam.

Kya skinęła głową i przypomniała sobie, czego uczyła ją mama.

– Dzięki.

– Dobra. Jakby co, mam na imię Tate.

Nie odpowiedziała.

– Na razie – dorzucił.

Kiedy się oddalał i na plażę nad laguną spadły pierwsze krople deszczu, powiedziała:

– Będzie lało jak z cebra, chłopak przemoknie do suchej nitki.

Pochyliła się nad zbiornikiem paliwa i wsunęła doń trzcinę, a następnie osłoniła otwór dłońmi, żeby deszcz nie napadał do środka. Forsy może i nie umiała liczyć, ale wiedziała jedno – że woda nie może się nalać do benzyny.

O wiele za mało. Tata się połapie. Muszę lecieć z kanistrem na stację, nim wróci, pomyślała.

Wiedziała, że właściciel stacji benzynowej Sing Oil, pan Johnny Lane, nazywa ich hołotą z bagien, ale stawienie czoła jemu, burzom i przypływom warte było zachodu, bo Kya teraz marzyła już tylko o jednym – żeby wrócić do gęstych szuwarów, do bezkresu nieba i wody. Przedtem bała się wyprawiać tam sama, ale teraz myśl o wyruszeniu w pojedynkę wywoływała u niej dreszcz podniecenia. I jeszcze coś. Spokój tego chłopaka. Nie znała nikogo, kto mówiłby albo się poruszał z taką pewnością siebie. I z taką swobodą. Już samo to, że był obok, nawet niekoniecznie blisko, pozwoliło jej pozbyć się napięcia. Pierwszy raz, odkąd odeszli mama i Jodie, oddychała wolna od

cierpienia i odczuwała coś więcej niż tylko krzywdę. Potrzebowała tego chłopaka i jego łodzi.

*

Tego samego popołudnia Tate Walker szedł przez miasteczko, prowadząc rower. Skinął głową do panny Pansy z Five and Dime, po czym minął Western Auto i skierował się na koniec mola. Wypatrywał „Cherry Pie", kutra do połowu krewetek swojego ojca, aż w końcu dojrzał w oddali kołyszący się na falach, jaskrawoczerwony kadłub z szerokimi siatkami po bokach. Gdy podpłynął bliżej w eskorcie chmary mew, Tate pomachał do niego. Ojciec, zwalisty mężczyzna o szerokich barach z gęstą, rudą czupryną i brodą, uniósł rękę. Scupper, jak nazywali go w miasteczku, rzucił Tate'owi linę, a ten okręcił ją wokół polera, po czym wskoczył na pokład, by pomóc załodze rozładować połów.

Scupper zmierzwił Tate'owi włosy.

– Jak tam, synku? Dzięki, że przyszedłeś.

Tate uśmiechnął się i kiwnął głową.

– Nie ma sprawy.

Potem wszyscy się uwijali. Przerzucali krewetki do skrzynek i przenosili je na molo, pokrzykując przy tym, że skoczą na piwo do Dog-Gone, i pytając Tate'a, co tam w szkole. Scupper, wyższy od pozostałych o głowę, chwytał po trzy metalowe skrzynki naraz, przechodził z nimi po desce na molo i wracał po następne. Dłonie miał jak łopaty, całe spierzchnięte i poznaczone bliznami. Wystarczyło niespełna czterdzieści minut, żeby załoga zmyła pokład, poskładała sieci i zabezpieczyła kuter cumami.

Scupper powiedział swoim ludziom, że skoczy z nimi na piwo innym razem, bo nim wróci do domu, musi jeszcze naprawić to

i owo. Puścił płytę Milizy Korjus na gramofonie przymocowanym do pulpitu w sterówce i podkręcił głośność, po czym zszedł za synem pod pokład do ciasnej maszynowni. Tate podawał ojcu narzędzia, a ten w świetle słabej żarówki oliwił części i dokręcał śruby. Wszystko to przy ulatujących ku niebu dźwiękach uroczej opery.

Prapradziadek Scuppera, imigrant ze Szkocji, rozbił się u wybrzeży Karoliny Północnej w latach sześćdziesiątych osiemnastego wieku. Z całego okrętu przeżył tylko on. Dopłynął do wyspy Outer Banks, znalazł sobie żonę i spłodził trzynaścioro dzieci. Ród, który założył, stał się naprawdę liczny, lecz Scupper i Tate już nie garnęli się do krewnych i nie bywali na niedzielnych piknikach, by zajadać sałatkę z kurczaka i faszerowane jaja – nie tak jak kiedyś, za życia matki i siostry Tate'a.

Gdy nastał zmierzch, Scupper poklepał syna po ramieniu.

– Gotowe. Chodźmy na kolację.

Przeszli molem, skręcili w Main Street, a potem ruszyli krętą drogą do piętrowego dziewiętnastowiecznego budynku, pokrytego zniszczoną przez żywioły cedrową licówką, z odmalowanymi na biało framugami okien i przystrzyżonym, biegnącym niemal do samego oceanu trawnikiem. Przydomowe azalie i krzaki róż były jednak zaniedbane i obrośnięte zielskiem.

Ściągając buty w przedsionku, Scupper spytał:

– Nie znudziły ci się jeszcze hamburgery?

– Nigdy mi się nie znudzą.

Tate stanął przy kuchennym blacie i lepił pulpety z siekanego mięsa, po czym układał je na talerzu. Jego matka i siostra, Carianne, obie w bejsbolowych czapeczkach, uśmiechały się do niego z wiszącego przy oknie zdjęcia. Carianne uwielbiała tę czapeczkę drużyny Atlanta Crackers, wszędzie w niej chodziła.

Tate odwrócił wzrok. Pokroił pomidory i zamieszał fasolkę. Gdyby nie on, byłyby tutaj – piekąca kurczaka mama i krojąca ciasto Carianne.

Scupper jak zwykle trochę przypalił hamburgery, ale były soczyste w środku i grube jak książka telefoniczna. Wygłodniali jedli przez chwilę w milczeniu, po czym Scupper spytał syna, co w szkole.

– Biologia jest fajna, ale na angielskim uczymy się o poezji. Nie przepadam za nią. Każdy musi zadeklamować jakiś wiersz na głos. Recytowałeś mi kilka, ale ich nie pamiętam.

– Mam dla ciebie coś w sam raz na tę okazję – oznajmił Scupper. – Mój ulubiony, *Kremacja Sama McGee* Roberta Service'a. Często go wam recytowałem. To był też ulubiony wiersz mamy. Zawsze się przy nim śmiała, nigdy się jej nie nudził.

Tate spuścił wzrok na wzmiankę o matce i pogrzebał widelcem w fasolce.

– Niech ci się nie wydaje, że poezja to coś dla panienek. Owszem, są łzawe wiersze miłosne, ale są też zabawne, o przyrodzie, a nawet o wojnie. Chodzi w nich o to, żeby rozbudzić emocje. – Tata powtarzał mu nieraz, że prawdziwy mężczyzna nie wstydzi się płakać, odbiera poezję i operę sercem i zrobi wszystko, by bronić honoru kobiety. Scupper przeszedł do saloniku i zawołał: – Kiedyś znałem go na pamięć, ale wyleciał mi z głowy. Jest! Zaraz ci przeczytam. – Usiadł przy stole i zaczął recytować.

Siedział sobie Sam
Spokój w sobie miał
W sercu syczącego pieca

Wszyscy widzieli, że
Uśmiecha się, gdy rzekł:
Domknąć drzwi zalecam.

Nie jest mi źle
Lecz obawiam się
Że wedrą się deszcz i chłód

A pierwszy raz
Od Plumtree w Tennessee
Ciepła mam wreszcie w bród[1].

Tu Scupper i Tate się zaśmiali.

– Twoja mama też śmiała się w tym momencie.

Uśmiechnęli się na to wspomnienie i posiedzieli chwilę w ciszy. Potem Scupper powiedział, że pozmywa naczynia, i kazał Tate'owi odrobić lekcje. Tate, już w swoim pokoju, przeglądając tomik wierszy w poszukiwaniu tego, który wyrecytuje w klasie, znalazł utwór Thomasa Moore'a.

…wypłynęła na Jezioro Posępnych Bagien,
gdzie całą noc w blasku świetlików
wiosłuje na swej białej łodzi.

Wkrótce ujrzę owadzią poświatę
dotrze do mnie plusk jej wiosła
I połączy nas miłość na wieki.
Ukryję swą pannę w koronie cyprysa
gdy kroki śmierci usłyszę…

Te słowa skojarzyły mu się z małą Kyą, siostrą Jodiego. Wydawała się taka krucha i samotna w bezmiarze mokradeł. Wyobraził sobie tam własną siostrę, która zabłądziła. Tata ma rację – wiersze poruszają serce.

---

1 Wszystkie wiersze w książce w przekładzie tłumacza.

7.

Sezon połowów

1952

Wieczorem, po tym jak napotkany chłopak pokierował ją przez mokradła do domu, Kya siedziała ze skrzyżowanymi nogami na swoim sienniku na ganku. Mgła po ulewie wdzierała się do środka przez połataną moskitierę i głaskała ją po twarzy. Kya rozmyślała o tym chłopcu. Miły, ale silny, jak Jodie. Jedynymi osobami, z którymi rozmawiała, byli teraz – z rzadka – tata i – jeszcze rzadziej – kasjerka z Piggly Wiggly, pani Singletary, która ostatnio postanowiła nauczyć ją rozróżniania dwudziestopięciocentówki, pięciocentówki i dziesięciocentówki – bo centówki Kya już opanowała. Kasjerka bywała przy tym jednak wścibska.

– Słonko, właściwie jak ty masz na imię? I dlaczego twoja mama już tu nie przychodzi? Nie widziałam jej, odkąd wystawiłam rzepę.

– Ma mnóstwo pracy w domu, dlatego posyła mnie do sklepu.

– No tak, ale przecież to, co kupujesz, nie wystarczy dla całej rodziny.

– Proszę pani, muszę już iść. Mama czeka na kaszę.

Kya unikała pani Singletary i kiedy tylko mogła, płaciła u drugiej kasjerki, której nic nie interesowało oprócz tego, że dzieci nie powinny wchodzić do sklepu boso. Już miała na końcu języka, że nie zamierza wybierać winogron palcami u nóg. Zresztą, kogo było stać na winogrona?

Z czasem Kya rozmawiała właściwie już tylko z mewami. Zastanawiała się, czy może uda się jej dogadać z tatą co do łódki. Będąc na mokradłach, mogła zbierać pióra i muszle i może od czasu do czasu spotkać tego chłopca. Nigdy nie miała przyjaciela, ale czuła, że jest potrzebny – chciała go mieć. Mogliby razem pływać po rozlewiskach i odkrywać tajemnice moczarów. Pewnie traktował ją jak malucha, ale znał okolicę i mógłby ją wiele nauczyć.

Tata nie miał samochodu. Łódź służyła mu do wędkowania, wypraw do miasteczka i do Swamp Guinea, zapuszczonego baru i szulerni, gdzie grywał w pokera. Szło się do niego po chybotliwym pomoście wśród trzcin. Sklecony z byle jak przyciętych desek i pokryty blaszanym dachem, tworzył ciąg przybudówek z podłogą na różnych poziomach w zależności od tego, jak wysoko podtrzymujące go ceglane słupy wyrastały ponad bagna. Tam i dokądkolwiek indziej tata zawsze pływał łodzią – rzadko chadzał na piechotę – więc niby dlaczego miałby ją pożyczać?

Jej braciom pozwalał korzystać z łodzi, choć pewnie tylko dlatego, że łowili ryby na kolację. Kya nie była zainteresowana wędkowaniem, ale może mogłaby mu zaproponować coś innego – uznała bowiem, że tylko to go przekona. Może będzie mu gotować albo bardziej zadba o dom, póki nie wróci mama?

Deszcz zelżał. Tu i tam wstrząsały liśćmi już tylko pojedyncze krople. Kya poderwała się, zrobiła porządek w służącej za szafkę lodówce, przetarła mopem poplamioną sklejkową

podłogę w kuchni i zdrapała z fajerek pieca zalegające miesiącami warstwy przypalonej kaszy. Nazajutrz skoro świt uprała cuchnącą potem i whiskey pościel taty i rozwiesiła ją na palmiczkach. Ogarnęła też pokój braci – nie większy niż garderoba; zamiotła tam i starła kurze. W głębi szafy zalegały sterty brudnych skarpetek, a na podłodze przy dwóch utytłanych siennikach walały się pożółkłe komiksy. Kya próbowała przypomnieć sobie twarze chłopców i ich stopy w tych skarpetkach, ale szczegóły zatarły się w jej pamięci. Nawet twarz Jodiego wyblakła; przez moment Kya widziała jego oczy, lecz po chwili zamknęły się i zniknęły.

Kolejnego dnia rano chwyciła galonowy kanister i ruszyła piaszczystą ścieżką do Piggly Wiggly. Kupiła zapałki, polędwicę i sól. Zaoszczędziła dwie dziesięciocentówki.

– Nie kupię mleka, muszę mieć na benzynę – powiedziała do siebie.

Poszła na stację benzynową Sing Oil mieszczącą się w sosnowym lesie tuż pod Barkley Cove. Wokół niej stały pordzewiałe ciężarówki i stare auta bez kół, podparte na betonowych cegłach.

Na jej widok pan Lane rzucił:

– Wynocha, mała szmaciaro! Hołota z bagien!

– Mam pieniądze, panie Lane. Potrzebuję benzyny i oleju do motorówki taty. – Kya wyciągnęła dłoń, na której spoczywały dwie dziesięciocentówki, dwie pięciocentówki i pięć centówek.

– Szkoda mi się schylać po te miedziaki, ale dobra, daj. – Wziął od niej poobijany, kanciasty kanister.

Kiedy mu podziękowała, tylko coś burknął. Zakupy i benzyna ciążyły jej z każdym kilometrem coraz bardziej, więc minęło trochę czasu, nim dotarła do domu. W końcu jednak przelała paliwo do zbiornika łodzi cumującej w cienistej lagunie

i wyszorowała ją szmatami i mokrym piaskiem tak, że spod warstwy szlamu i brudu wreszcie wychynął metal.

*

Czwartego dnia od wyjazdu taty Kya zaczęła go wypatrywać. Późnym popołudniem poczuła niepokój i jej oddech stał się krótki i nerwowy. Znowu wpatrywała się w tę ścieżkę. Był wrednym ojcem, ale chciała, żeby wrócił. Wreszcie, wczesnym wieczorem, pojawił się, brnąc przez piaszczyste koleiny. Kya pobiegła do kuchni i postawiła na stół gulasz z kapusty, polędwicy i kaszy. Nie umiała przyrządzić sosu, więc wlała rosół z pływającymi kawałkami białego tłuszczu to słoika po dżemie. Talerze były poszczerbione i nie od kompletu, ale Kya ułożyła widelec po lewej, a nóż po prawej stronie – tak jak uczyła ją mama. Potem czekała, przyklejona do drzwi lodówki, niczym rozjechany bocian na drodze.

Tata rąbnął drzwiami wejściowymi o ścianę i trzema krokami przemierzył przestrzeń dzielącą je od jego pokoju, nie witając się z nią ani nie zaglądając do kuchni. Normalka. Kya słyszała, jak stawia na podłodze walizkę i wyciąga szuflady. Na pewno zauważy czystą pościel i umytą podłogę. A nawet jeśli nie, to nos mu podpowie, że coś się tam zmieniło.

Po paru minutach wszedł do kuchni i zobaczył nakryty stół i talerze z gorącym jedzeniem. Dostrzegł też stojącą przy lodówce Kyę. Spojrzeli na siebie, jakby widzieli się pierwszy raz.

– Łabądku, co to? Widzę, że wreszcie dorosłaś. Gotujesz i nie tylko. – Nie uśmiechnął się, ale twarz miał spokojną. Nie golił się od kilku dni, a ciemne, brudne włosy lepiły mu się do czoła po lewej stronie. Ale był trzeźwy. Kya umiała to ocenić.

– Tak, tato. Chciałam też upiec chleb, ale mi nie wyszedł.

– Dzięki! Dobra z ciebie dziewczyna. A ja padam z nóg i jestem głodny jak wilk. – Odsunął krzesło i usiadł.

Zrobiła to samo. W milczeniu nałożyli sobie jedzenie i oskubywali łykowate mięso z ostrych kości. Tata wyssał szpik z kręgosłupa. Jego zarośnięte policzki zalśniły od tłuszczu. Ogryzał te kości, póki nie stały się gładkie jak jedwabna wstążka.

– Lepsze to niż kanapka z kapustą – pochwalił.

– Szkoda, że chleb mi nie wyszedł. Może za mało proszku i za dużo jajek. – Była zaskoczona, że tak się rozgadała, ale nie mogła się powstrzymać. – Mama piekła taki pyszny. Powinnam była uważniej się przyglądać… – Przyszło jej nagle do głowy, że nie powinna wspominać o mamie, więc zamilkła.

Ojciec podsunął jej swój talerz.

– Wystarczy na dokładkę?

– Pewnie, dużo ugotowałam.

– Dorzuć ten chleb do gulaszu. Niech nasiąknie, mam na niego chętkę. Założę się, że będzie dobry i kleisty jak zapiekanka.

Kya uśmiechnęła się pod nosem, kiedy nakładała tacie drugą porcję. Kto by pomyślał, że podstawą ich porozumienia stanie się chleb?

Po namyśle zaczęła się jednak martwić, że jeśli spyta go teraz o łódź, ojciec pomyśli, że przygotowała jedzenie i posprzątała z wyrachowania. Taki miała plan, ale sytuacja uległa zmianie. Kya cieszyła się, że jedzą razem przy stole jak rodzina. Czuła ogromną potrzebę rozmowy.

Dlatego nie wspomniała o łodzi wprost, tylko spytała:

– Mogę kiedyś popłynąć z tobą na ryby?

Gromko się roześmiał, ale życzliwie. To był jego pierwszy wybuch śmiechu, odkąd mama i pozostali odeszli.

– Chcesz popłynąć na ryby?

– Tak.

– Jesteś dziewczyną – odparł, patrząc w talerz i żując mięso.

– Twoją córką.

– No, może któregoś razu cię zabiorę.

Następnego ranka Kya rozpędziła się na piaszczystej ścieżce, rozpostarła ramiona i wydymała usta, bryzgając śliną. Uniesie się i poszybuje nad moczarami, szukając gniazd, a potem wzleci jeszcze wyżej, by zrównać się z orłami. Na tle nieba jej palce przemieniły się w długie pióra, którymi zagarniała pod siebie wiatr. Nagle ojciec, który krzyczał coś z łodzi, sprowadził ją na ziemię. Jej skrzydła opadły, poczuła skurcz w żołądku. Pewnie się domyślił, że wypłynęła jego łódką – już czuła uderzenia wiosła na tyłku i udach. Umiała się jednak schować i przeczekać, aż się upije, a wtedy jej nie znajdzie. Teraz jednak stała pośrodku ścieżki, na widoku, a on wołał ją i wymachiwał wędkami. Podeszła, milcząca i wystraszona. Na dnie łódki walał się sprzęt wędkarski, a spod siedzenia sterczała flaszka bimbru kukurydzianego.

– Wskakuj – rzucił oschle ojciec.

Chciała okazać wdzięczność, aby wiedział, jak bardzo się cieszy, lecz beznamiętny wyraz jego twarzy skłonił Kyę do milczenia. Przeszła na dziób i usiadła na ławeczce. Tata odpalił silnik i ruszyli wzdłuż kanału. Schylali się pod zwisającymi gałęziami i wpływali w kolejne wodne odnogi, a Kya zwracała baczną uwagę na powalone drzewa i stare, umieszczone na pniach znaki. Na jednym z rozlewisk tata wygasił motor i dał jej znak ręką, by usiadła na środkowej ławce.

– Wygrzeb parę robaków z puszki – nakazał.

Z kącika ust zwisał mu skręt. Nauczył ją zahaczać przynętę, zarzucać wędkę i zwijać żyłkę. Przybierał różne dziwne pozycje, żeby tylko jej nie dotknąć. Rozmawiali wyłącznie o wędkowaniu, nie poruszali innych tematów i niezbyt często

się uśmiechali, ale znaleźli wspólny język. Tata wypił trochę bimbru, ale potem musiał się pokrzątać i już więcej po niego nie sięgnął. Późnym popołudniem słońce westchnęło i zmieniło kolor na maślany. Pewnie żadne z nich tego nie zauważyło, ale ich ramiona i karki też stały się mniej napięte.

Kya miała cichą nadzieję, że nie złapie ani jednej ryby, lecz nagle poczuła szarpnięcie. Odruchowo zaczęła zwijać żyłkę i wyciągnęła tłustego leszcza o niebieskawosrebrzystej łusce. Tata wychylił się, zgarnął go podbierakiem, a potem usiadł, klepnął się w kolano i – jak jeszcze nigdy w obecności Kyi – zakrzyknął:

– Hura!

Uśmiechnęła się do niego. Spojrzeli sobie w oczy. Tak oto zadzierzgnęli nić porozumienia.

Nim tata powiesił leszcza, ten miotał się na dnie łódki. Kya wytężała wzrok, by dojrzeć lecący w oddali sznur pelikanów, i przyglądała się obłokom, byle tylko nie patrzeć w oczy konającej rybie, oglądającej świat bez wody i z trudem łapiącej bezużyteczne powietrze. Mimo to opłacało się jej, podobnie jak rybie, zapłacić taką cenę za ten okruch rodzinnego życia. No, może rybie nie do końca.

Wypłynęli też nazajutrz i w cienistej lagunie Kya wypatrzyła na wodzie delikatne pióra puchacza wirginijskiego. Były zwinięte na końcach i dryfowały po powierzchni jak maleńkie, pomarańczowe łódeczki. Zgarnęła je i wsunęła do kieszeni. Później odkryła opuszczone gniazdo kolibrów utkane na gałęzi i ułożyła je w bezpiecznym miejscu na dziobie.

Wieczorem tata usmażył ryby w panierce z mąki kukurydzianej i pieprzu, które zjedli z kaszą i kapustą. Kiedy potem Kya zmywała, tata przyniósł do kuchni swój plecak z czasów drugiej wojny światowej. Stanąwszy przy drzwiach,

cisnął go niedbale na krzesło. Gdy upadł ciężko na podłogę, Kya aż podskoczyła.

– Może przyda ci się na te pióra, ptasie gniazda i co tam jeszcze zbierasz.

– Och, dziękuję! – wykrzyknęła Kya z zachwytem, ale tata już wyszedł na ganek.

Podniosła wystrzępiony plecak z wytrzymałego płótna, pokryty małymi kieszonkami i pełen tajnych schowków. Suwaki wyglądały na solidne. Kya zerknęła przez okno. Tata nigdy wcześniej nic jej nie dał.

*

We wszystkie cieplejsze dni zimy, a wiosną codziennie, Kya wypływała z tatą w morze na dalekie wyprawy wzdłuż wybrzeża, żeby szukać łowisk, zarzucać wędkę i ściągać żyłkę. Na rozlewiskach i w ich odnogach wypatrywała Tate'a i jego łódki, licząc, że znów go spotka. Czasami o nim rozmyślała i chciała się z nim zaprzyjaźnić, ale nie miała pojęcia, jak się do tego zabrać ani nawet gdzie go szukać. Aż tu pewnego popołudnia, gdy okrążyli z tatą kępę trzcin, nagle go zobaczyła. Łowił ryby prawie w tym samym miejscu, w którym spotkała go pierwszy raz. Od razu do niej pomachał i się uśmiechnął. Bez namysłu wyrzuciła rękę w górę w geście pozdrowienia i prawie odwzajemniła uśmiech, ale szybciutko się zmitygowała, widząc zdziwione spojrzenie taty.

– To kolega Jodiego – wyjaśniła.

– Lepiej uważaj na tych, co się tu kręcą – przestrzegł ją. – W tych lasach roi się od białej hołoty, a prawie każdy z nich to nicpoń.

Kya przytaknęła. Chciała obrócić głowę, ale się przemogła, a potem zmartwiła się, że chłopak dojdzie do wniosku, że go nie

lubi.

Tata znał mokradła tak, jak jastrząb zna swoją łąkę. Wiedział, gdzie polować, gdzie się skryć i jak przepłoszyć intruzów. Pełne ciekawości pytania Kyi sprawiły, że opowiadał jej o sezonie na kaczki, zwyczajach ryb i o tym, jak przewidzieć pogodę na podstawie ruchu obłoków i kierunku fal.

Czasami pakowała im kolację do plecaka; nad mokradłami zachodziło słońce, a oni jedli kruszący się chleb kukurydziany – którego wypiek Kya już prawie opanowała – z plasterkami cebuli. Zdarzało się, że tata zapominał zabrać bimbru, wtedy pili herbatę ze słoików po dżemie.

– Wiesz, moi rodzice nie zawsze byli biedni – wypalił któregoś dnia tata, kiedy siedzieli pod dębem ocieniającym brunatne wody laguny, spowitej przez rój brzęczących owadów. – Mieli ziemię, żyzną, uprawiali tytoń, bawełnę i takie tam. Pod Asheville. Twoja babcia nosiła czepki wielkie jak koła u wozu i długie spódnice. Mieszkaliśmy w domu z werandą naokoło, piętrowym. Porządnym, bardzo porządnym.

„Babcia”. Kya aż otworzyła buzię. Ma, a raczej miała, babcię. Gdzie teraz była? Ogarnęła ją przemożna chęć, by spytać, jaki los ich spotkał, ale się bała.

Tymczasem tata ciągnął:

– A potem wszystko poszło nie tak. Byłem wtedy mały, więc nie wiem zbyt wiele, ale nadszedł Wielki Kryzys, chrząszcze zżarły bawełnę czy jakoś tak… i przepadło. Zostały tylko długi, masa długów.

Na podstawie tych szczegółów Kya próbowała wyobrazić sobie jego przeszłość. O przeszłości mamy nie wiedziała nic. Tata się wściekał za każdym razem, kiedy któreś z dzieci napomknęło o ich życiu przed narodzinami Kyi. Wiedziała jedynie, że przedtem jej rodzina mieszkała z dala od mokradeł, niedaleko drugich dziadków. Mama nosiła tam kupowane

w sklepach sukienki z małymi perłowymi guziczkami, satynowymi wstążkami i wykończeniem z koronki. Po przeprowadzce do chaty trzymała je w kufrach i co parę lat wyjmowała po jednej, żeby przerobić na strój roboczy, bo na nowe rzeczy nie było pieniędzy. Te piękne ubrania i historia ich małżeństwa poszły z dymem po odejściu Jodiego, gdy tata rozpalił ognisko.

Zarzucili wędkę jeszcze parę razy, tnąc żyłką kożuchy ścielącego się na wodzie żółtego pyłku. Kya myślała, że to już koniec wspomnień, ale raptem tata rzucił:

– Kiedyś zabiorę cię do Asheville i pokażę naszą ziemię, która miała być twoja. – Po chwili podciął wędkę. – Patrz, skarbie, duża sztuka, wielka jak Alabama!

Kiedy wrócili do chaty, usmażyli rybę i kukurydziane pączki, „tłuste jak gęsie jaja". Potem Kya wyjęła swoje znaleziska. Starannie przypięła szpilkami owady do kawałków kartonu i przykleiła pióra do ściany w sypialni, tworząc z nich subtelny, ciekawy kolaż. Później położyła się na sienniku na ganku i słuchała szumu sosen. Zamknęła oczy i nagle je otworzyła. Nazwał ją „skarbem".

8.

Żadnych konkretów

1969

Po zakończeniu oględzin przy wieży obserwacyjnej szeryf Ed Jackson i jego zastępca Joe Purdue zawieźli Pearl, wdowę po Chasie, oraz jego rodziców, Patti Love i Sama, do służącego za kostnicę, wychłodzonego szpitalnego laboratorium, by pożegnali się ze zmarłym. Zwłoki leżały na metalowym stole pod prześcieradłem. W pomieszczeniu było zbyt zimno dla jakiejkolwiek matki czy żony – i obydwie kobiety trzeba było stamtąd wyprowadzić.

Gdy wrócili do biura szeryfa, Joe skomentował:

– Koszmar. Można się było tego spodziewać.

– Racja. Nie wiem, jak ludzie dają sobie z tym radę – zgodził się Ed.

– Sam nie odezwał się słowem. Zawsze był małomówny, ale to go wykończy.

Powiadają, że słone moczary mogą wchłonąć betonowy blok, nic więc dziwnego, że nie oparł się im nawet przypominający bunkier budynek biura szeryfa. Ściany poznaczone śladami po

zalaniach z osiadłymi kryształkami soli zdawały się falować nad podłogą, ku górze pięły się zaś czarne żyłki pleśni, nasuwające skojarzenia z układem krwionośnym. W kątach zagnieździł się grzyb.

Szeryf wyciągnął butelkę z dolnej szuflady biurka i nalał podwójną porcję trunku do kubków po kawie. Sączyli go w milczeniu, póki słońce, złociste i lepkie jak bourbon, nie osunęło się do oceanu.

*

Cztery dni później, wymachując dokumentami, do gabinetu wparował Joe.

– Są wstępne wyniki testów laboratoryjnych.

– Pokaż.

Usiedli naprzeciwko siebie przy biurku i je przeglądali. Od czasu do czasu Joe brał zamach, żeby odgonić latającą po pokoju muchę.

Ed przeczytał na głos:

– „Czas zgonu: między dwunastą a drugą w nocy z dwudziestego dziewiątego na trzydziestego października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku”. – Przez minutę przebiegał wzrokiem tekst i podsumował: – Tak jak sądziliśmy. Żadnych konkretów.

– Faktycznie. Niczego tu nie ma, szeryfie.

Popołudniowy zarost skrył rumieńce na twarzy Eda.

– Oprócz świeżych odcisków palców chłopców, którzy dotarli do trzeciej kondygnacji schodów. Na balustradzie i na kratach nie ma żadnych innych, nawet Chase’a. Czyli ktoś wszystko wytarł. No bo dlaczego nie byłoby tam odcisków palców Chase’a?

– Otóż to. Najpierw żadnych śladów butów, a teraz zero odcisków palców. Żadnego dowodu na to, że podszedł po błocie do schodów, wdrapał się na górę i odsunął dwie kraty: tę nad schodami i tę w miejscu, gdzie spadł. Nie ma też tropu, który wskazywałby na kogoś innego. Ale taki brak konkretów to też dowód. Na to, że ktoś starannie wszystko wyczyścił lub zamordował go w innym miejscu i przewiózł ciało.

– Gdyby tak było, zostałyby ślady opon.

– Trzeba tam wrócić i sprawdzić, czy oprócz nas i karetki podjechał tam ktoś jeszcze. Mogliśmy coś przeoczyć.

Po kolejnej krótkiej lekturze raportu Ed dorzucił:

– Teraz przynajmniej mam pewność, że to nie był wypadek.

– Zgadzam się. Byle kto nie zatarłby śladów tak dokładnie.

– Zgłodniałem. Zajrzymy po drodze do baru.

– Szykuj się na przepytywanki. W całym miasteczku aż huczy. Zabójstwo Chase'a to tutaj afera wszech czasów. Wszyscy plotkują jak najęci.

– Nadstaw uszu. Może ktoś coś chlapnie. Łajzy zwykle bywają gadatliwe.

Front baru z widokiem na port zdobiła przeszklona ściana z okiennicami. Wzniesiony w 1889 roku budynek dzieliła od oślizgłych schodków nabrzeża tylko wąska uliczka. Porzucone kosze na krewetki i sieci rybackie walały się pod oknami, a tu i ówdzie na chodniku leżały muszle po mięczakach. Wokół rozbrzmiewały wrzaski wodnego ptactwa i unosiła się woń guana. Na szczęście zapach kiełbasek, ciastek, gotowanych liści rzepy i smażonego kurczaka tłumił ostrą rybią woń stojących wzdłuż przystani beczek.

Szeryf otworzył drzwi, ze środka dobiegał harmider rozmów. Wszystkie kanapy z wysokimi, czerwonymi oparciami były zajęte, podobnie jak większość stolików. Joe wskazał ręką na

dwa wysokie stołki przy dystrybutorze napojów i tam się skierowali.

Po drodze usłyszeli, jak pan Lane ze stacji Sing Oil mówi do swojego mechanika od diesli:

– To pewnie Lamar Sands. Pamiętasz, nakrył żonę z Chase'em na pokładzie swojej wypasionej motorówki. To motyw, a Lamar miał nie po drodze z prawem.

– Że niby co zrobił?

– Zadawał się z tą bandą, która przecięła opony w wozie szeryfa.

– Był wtedy małym gnojkiem.

– Ale potem było coś jeszcze, tylko nie pamiętam co.

Tymczasem za kontuarem miotał się właściciel baru i jednocześnie szef kuchni, Jim Bo Sweeny, przerzucając na grillu kotleciki z krabów, mieszając krem z kukurydzy i sprawdzając miękkość kurzych udek we frytkownicy. Do tego co jakiś czas porywał ze stosu talerze, które następnie stawiał przed gośćmi. Mówiło się, że potrafi jedną ręką wyrabiać ciasto, a drugą filetować suma. Serwował swoją słynną flądrę nadziewaną krewetkami z kaszą w sosie z paprykowo-serowym ledwie kilka razy do roku. Bez reklamy – wystarczała poczta pantoflowa.

Gdy szeryf i jego zastępca kluczyli między stolikami, zmierzając w stronę kontuaru, usłyszeli, jak Pansy Price z Five and Dime mówi do znajomej:

– Może to ta kobieta z bagien? Wariatka nadaje się do psychiatryka. Założę się, że mogłaby zrobić coś takiego.

– Jak to? A co jej do tego?

– Cóż, przez jakiś czas zadawała się z…

Gdy Ed i Joe zbliżyli się do baru, ten pierwszy rzucił:

– Zamówmy kanapki na wynos i spadajmy. Lepiej, żeby nas w to nie wciągali.

9.

Skoczek

1953

Siedząc na dziobie, Kya obserwowała, jak macki mgły oplatają ich łódź. Najpierw przemknęły nad ich głowami strzępy chmur, potem osaczył ich obłok szarej wilgoci, w którym słychać było tylko ciche pomruki silnika. Po paru minutach przed ich oczami pojawiły się zaskakujące barwne plamy – był to punkt tankowania paliwa na przystani, zwykle chłostany przez wiatr. Zdawało się im, jakby to on się przesuwał, a nie oni. Tata podpłynął do nabrzeża; łódka delikatnie się o nie obiła. Kya była tu dotąd tylko raz. Właściciel punktu tankowania, starszy ciemnoskóry mężczyzna, zerwał się z krzesła, żeby obsłużyć przybyłych – dlatego wszyscy nazywali go Skoczkiem. Miał siwe bokobrody, szpakowate włosy, szeroką, dobrotliwą twarz i sowie oczy. Wysoki i szczupły, mówił niemal bez przerwy; co chwilę odchylał głowę i zaciskając wargi, w charakterystyczny sposób parskał śmiechem. Nie nosił drelichów, jak większość tutejszych robotników, lecz wyprasowaną niebieską koszulę,

przykrótkie ciemne spodnie i robocze buty. Z rzadka, w wyjątkowo upalne dni, także zniszczony słomkowy kapelusz.

Jego punkt tankowania i sklep z przynętą kolebały się na chwiejnym pomoście. Solidnie zamocowany przewód elektryczny przewieszony przez rosnący przy brzegu dąb, biegł kilkanaście metrów ponad taflą wody. Pradziadek Skoczka wybudował pomost i szopę z cyprysowych desek w zamierzchłych czasach, jeszcze przed wojną secesyjną.

Przedstawiciele kolejnych trzech pokoleń ozdobili to miejsce jaskrawymi, metalowymi szyldami reklamowymi – Nehi Grape Soda, Royal Crown Cola i Camel Filters – oraz najróżniejszymi tablicami rejestracyjnymi z Karoliny Północnej, pochodzącymi z ostatnich dwudziestu lat. Te kolorowe plamy przytwierdzone do ścian szopy nie były widoczne od strony oceanu jedynie w naprawdę gęstej mgle.

– Witam, panie Jake. Jak tam?

– Dzisiaj wstałem prawą nogą – odkrzyknął tata.

Skoczek roześmiał się, jakby nigdy nie słyszał tej wyświechtanej odpowiedzi.

– Przypłynął pan z córunią. Pięknie.

Tata skinął głową i po namyśle rzekł:

– Zgadza się, to moja córka, panna Kya Clark.

– Jestem zaszczycony, że mogę cię poznać.

Kya wbiła wzrok w bose palce stóp, lecz nie znalazła właściwej odpowiedzi.

Niezrażony tym Skoczek opowiadał, jak to ostatnio dobrze biorą ryby, po czym spytał:

– Do pełna, panie Jake?

– Po sam brzeżek.

Potem było o pogodzie, o wędkowaniu, znów o pogodzie, aż wreszcie zbiornik był pełny.

– Miłego dnia – pożegnał ich Skoczek, odrzucając cumę.

Tata powoli skierował łódź na rozświetlony ocean; słońce szybciej rozgoniło mgłę, niż Skoczek napełnił im zbiornik. Opłynąwszy porośnięty sosnami cypel i przebywszy parę kilometrów, dotarli do Barkley Cove. Tam tata zacumował łódkę do mola, osadzonego na umocowanych w dnie palach. Wokół kręcili się rybacy, przerzucając połowy i zabezpieczając łodzie.

– Może zjedzmy w restauracji – zaproponował tata i poprowadził Kyę wzdłuż nabrzeża w stronę Barkley Cove Diner.

Kya nigdy jeszcze nie jadła w tym barze ani nawet nie przestąpiła jego progu. Serce waliło jej jak młotem, gdy oskrobywała przyschnięte błoto z o wiele za krótkich ogrodniczek i przyklepywała potargane włosy. Kiedy tata otworzył drzwi, wszyscy goście zaniemówili. Paru mężczyzn powitało go lekkim skinieniem; kobiety skrzywiły się i poodwracały głowy. Ktoś burknął:

– Pewnie nie umieją przeczytać napisu „Koszula i buty obowiązkowe”.

Tata wskazał Kyi stolik z widokiem na nabrzeże. Nie umiała przeczytać jadłospisu, więc wszystko jej objaśnił. Zamówiła smażonego kurczaka i tłuczone ziemniaki z sosem, fasolką i pieczywem lekuchnym jak świeżo zebrana bawełna. Tata wziął smażone krewetki, kaszę z serem, smażoną okrę i pieczone zielone pomidory. Kelnerka postawiła przed nimi naczynie z porcjami masła na lodzie oraz koszyk z chlebem kukurydzianym i ciasteczkami. Do tego mogli pić tyle mrożonej herbaty, ile dusza zapragnie. Na deser zjedli placek z jeżynami i lody. Kya była przekonana, że się od tego wszystkiego rozchoruje, ale pomyślała, że nawet jeśli, to warto.

Kiedy tata płacił przy kasie, wyszła przed bar, gdzie unosiła się ciężka woń kutrów kołyszących się w zatoce. W ręku trzymała owinięte zatłuszczoną serwetką ciasteczka i resztki

kurczaka. Kieszenie ogrodniczek wypchała paczuszkami krakersów, które przyniosła im kelnerka.

– Cześć. – Kya usłyszała dobiegający z tyłu dziecinny głosik.

Kiedy się obejrzała, zobaczyła mniej więcej czteroletnią dziewczynkę z blond loczkami, ubraną w jasnoniebieską sukienkę. Nieznajoma wyciągnęła do niej rączkę – pulchną, delikatną i niebywale czystą. Na pewno nie szorowała jej szarym mydłem i nie miała brudu pod paznokciami. Kya spojrzała jej w oczy i dostrzegła w nich własne odbicie – drugiej małej dziewczynki.

Przełożywszy serwetkę do lewej dłoni, nieśmiało wyciągnęła w jej stronę prawą.

– Hej, uciekaj stąd! – Pani Teresa White, żona pastora kościoła metodystów, biegła ku nim od drzwi sklepu z butami.

W Barkley Cove serwowano religię na twardo i dobrze wysmażoną. W tym maleńkim miasteczku były cztery świątynie – te dla białych, bo czarni mieli trzy własne.

Rzecz jasna pastorzy i kaznodzieje, a w szczególności ich żony, cieszyli się wyjątkowym szacunkiem, a te ostatnie ubierały się i zachowywały stosownie do swojej pozycji. Teresa White zwykle nosiła pastelowe spódniczki i białe bluzki, a do tego białe czółenka i torebkę.

Zbliżywszy się do córki, wzięła ją na ręce i postawiła z powrotem na chodniku z dala od Kyi.

– Meryl Lynn, słonko, nie podchodź do tej dziewczyny, słyszysz? Ona jest brudna.

Kya obserwowała, jak matka gładzi palcami loczki małej; zauważyła, jak spoglądają sobie w oczy.

Tymczasem z Piggly Wiggly wybiegła jakaś kobieta.

– Wszystko w porządku, Tereso? Co się stało? Ta mała zaczepiała Meryl Lynn?

– W samą porę ją dostrzegłam, ale dziękuję, Jenny. Wolałabym, żeby tacy jak ona nie przychodzili do miasta. Spójrz tylko, brudna, paskudna. Krąży teraz grypa żołądkowa i wiem, że to oni ją przywlekli. A w zeszłym roku odrę. To poważna sprawa. – Teresa ruszyła w swoją stronę, tuląc do siebie córkę.

Nagle Kya usłyszała głos taty. Niósł w ręku piwo zapakowane w szarą papierową torbę.

– Co tam robisz? Musimy się pośpieszyć. Zbliża się odpływ.

Podążyła za nim. Gdy płynęli przez mokradła do domu, wciąż miała przed oczami loczki i spojrzenia matki i jej córki.

Zdarzało się, że tata znikał na kilka dni, ale już nie tak często jak przedtem, a kiedy wracał, nie padał nieprzytomny na siennik, lecz jadał z nią i rozmawiał. Któregoś wieczoru grali w remika. Śmiał się, kiedy go ogrywała, a ona chichotała, zakrywając usta dłońmi, jak to dziewczynka.

*

Zawsze wychodząc przed chatę, Kya spoglądała na ścieżkę. Nawet późną wiosną, gdy przywiędły dzikie glicynie, liczyła, że zobaczy mamę, jak zmierza po piachu w stronę domu w tych butach ze skóry aligatora. Choć przecież odeszła poprzedniego lata. Teraz, kiedy Kya łowiła ryby i rozmawiała z tatą, może znów mogliby być prawdziwą rodziną. Tata lał ich wszystkich, zwykle po pijaku. Bywało, że przez parę dni było dobrze – jadali gulasz z kurczaka, a raz puszczali nawet latawiec na plaży. A potem, nagle, pojawiał się bimber, wrzaski i ciosy. Szczegóły tych awantur głęboko zapadły jej w pamięć. Kiedyś tata pchnął mamę na ścianę w kuchni i bił, póki nie osunęła się na podłogę. Szlochając i prosząc, by przestał, Kya dotknęła jego ręki. Chwycił ją za ramiona, wrzasnął, żeby ściągnęła dżinsy i majtki, i pchnął na stół. Sprawnym, wyćwiczonym ruchem wyciągnął

pasek ze spodni i okładał ją. Jasne, że pamiętała piekący ból przeszywający nagie pośladki, lecz – co ciekawe – jeszcze bardziej wyrazisty był obraz dżinsów, które zsunęły się na jej chude łydki. I widok płaczącej, sponiewieranej mamy w kącie przy piecu. Kya nie wiedziała, jaki był powód tej awantury.

Gdyby mama wróciła teraz, kiedy tata zachowuje się jak trzeba, może mogliby zacząć wszystko od nowa? Kya nigdy by nie przypuszczała, że to mama odejdzie, a tata zostanie. Była jednak pewna, że nie porzuciła jej na zawsze i że jeśli wciąż jest na świecie, wróci. Nadal miała przed oczami pełne, czerwone usta mamy, gdy podśpiewywała do muzyki z radia i wciąż słyszała jej słowa: „Słuchaj uważnie pana Orsona Wellesa, bo wysławia się jak prawdziwy dżentelmen. I nigdy nie mów »se«, bo nawet nie ma takiego słowa".

Mama malowała rozlewiska i zachody słońca farbami olejnymi i akwarelami o barwach tak nasyconych, że wyglądały jak żywe. Trochę akcesoriów malarskich przywiozła ze sobą, a resztę dokupowała w Five and Dime. Czasami pozwalała Kyi malować obrazki na szarych papierowych torbach z Piggly Wiggly.

*

Na początku września tamtego lata, gdy zaczęła wędkować z tatą, któregoś upalnego popołudnia Kya poszła do skrzynki pocztowej stojącej na końcu ścieżki. Przerzucając ulotki, stanęła jak wryta na widok niebieskiej koperty zaadresowanej starannym pismem mamy. Liście platanów właśnie zmieniały kolor na żółty, jak wtedy, gdy odeszła. Tyle czasu bez wieści i nagle list. Kya obejrzała go ze wszystkich stron, wystawiła pod światło i przebiegła palcami po pięknych pochylonych literach. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

Mama żyje. Mieszka gdzieś indziej. Dlaczego nie wraca? – Kya chciała natychmiast rozedrzeć kopertę, ale umiała przeczytać tylko swoje imię, a jego tam nie było.

Pobiegła do chaty, ale tata popłynął dokądś łódką. Oparła list o solniczkę na stole, tak żeby go zauważył. Gotując fasolę czarne oczko z cebulą, wciąż na niego zerkała, jakby bała się, że zniknie.

Co parę chwil podbiegała do okna i nasłuchiwała warkotu motorówki. Raptem usłyszała, jak tata kuśtyka przez ganek. Opuściła ją odwaga i przemknęła obok niego, wołając, że musi do wychodka i że zaraz będzie kolacja. Stanęła w cuchnącej latrynie, żołądek podchodził jej do gardła. Balansując na desce, wyjrzała przez otwór w kształcie półksiężyca; nie wiedziała, czego może się spodziewać.

Drzwi ganku otworzyły się z łoskotem i ujrzała tatę śpieszącego w stronę laguny. Wsiadł do łodzi z flaszką w ręku i odpłynął. Kya puściła się pędem do kuchni, ale list zniknął. Wysunęła szuflady w komodzie i przetrząsnęła jego szafę.

– To jest też mój list! – zawołała. – Tak samo mój, jak twój!

W kuchni zajrzała do kosza na śmieci i znalazła w nim spalone szczątki błękitnego listu. Wyciągnęła je łyżką i ułożyła na stole kupkę czarno-niebieskich skrawków. Przejrzała wszystkie śmieci – może jakieś słowa opadły na dno? – ale nie było tam nic oprócz popiołu oblepiającego łuski cebuli.

Usiadła przy stole, fasola wciąż podśpiewywała w garnku. Kya spojrzała na resztki listu. Mama dotykała tych kartek. Może tata powie mi później, co napisała… Nie, nie bądź głupia – pomyślała – prędzej na mokradłach spadnie śnieg.

Nawet stempel się spalił. Teraz Kya już się nie dowie, gdzie jest mama. Przesypała popiół do małej buteleczki, którą włożyła do stojącego obok siennika pudełka po cygarach.

*

Tata nie pojawił się w domu tamtej nocy ani następnej, a kiedy wreszcie wrócił, wtoczył się do chaty pijany jak dawniej. Gdy Kya zdobyła się na odwagę i spytała o list, odburknął:

– Nie twoja sprawa. – A potem dodał: – Ona nie wróci, więc nie rób se nadziei. – Chwycił flaszkę i powlókł się do łódki.

– Nieprawda! – krzyknęła Kya, zaciskając pięści. Patrzyła, jak się oddala, a później zawołała w stronę pustej laguny: – „Se”! Nawet nie ma takiego słowa!

Później żałowała, że nie otworzyła tego listu i że w ogóle pokazała go tacie. Mogłaby zachować te słowa i przeczytać je w przyszłości, a tata byłby szczęśliwszy, gdyby ich nie poznał.

Już nigdy nie zabrał jej na ryby. Te ciepłe dni okazały się tylko epizodem. Nisko wiszące chmury rozstąpiły się na moment, na krótko zaświeciło słońce, lecz zaraz niebo się zamknęło i znów zapadł mrok.

*

Kya już nie umiała się modlić. Liczy się to, jak składasz dłonie czy jak nisko spuszczasz powieki? Może jeśli będę się modlić, mama i Jodie wrócą? – myślała. – Nawet te wrzaski i awantury są lepsze niż skawalona kasza.

Intonowała po swojemu pieśni – choćby *Pan kroczy ze mną, gdy róże wciąż pokryte rosą*, a także inne, zapamiętane z małego, białego kościółka, do którego kilka razy zabrała ją mama. Ostatni raz były tam w Wielkanoc przed odejściem mamy. Kya zapamiętała z tych świąt tylko krzyki, krew, to, że ktoś upadł, i to, jak razem uciekały, więc wolała porzucić to wspomnienie.

Popatrzyła przez gałęzie drzew na warzywnik, gdzie mama sadziła kukurydzę i rzepę, a gdzie teraz rosło tylko zielsko. Na pewno nie było tam róż.

– Nic z tego. Do tego ogrodu nie zawita żaden bóg.

10.

Tylko trawa i wiatr

1969

Piach skrywa sekrety lepiej niż błoto. Szeryf zaparkował wóz u wylotu drogi prowadzącej do wieży obserwacyjnej, żeby nie zniszczyć dowodów obecności potencjalnego sprawcy. Gdy jednak wraz ze swym zastępcą ruszył ścieżką, szukając śladów opon, przy każdym kroku piasek tworzył pod ich butami bezkształtne wgłębienia.

Natomiast dalej, w błocie i podmokłej trawie w pobliżu wieży, ślady występowały w nadmiarze: samica szopa z czworgiem młodych przemierzyła ścieżkę zygzakiem, nieopodal widniał koronkowy szlak wędrówki ślimaka przerwany odciskami łap niedźwiedzia, z kolei w miejscu, gdzie mały żółw zażywał ochłody w szlamie, widniał płytki, gładki dołek.

– Wszystko jak na dłoni. Oprócz naszych śladów, wyłącznie zwierzęce – podsumował Ed.

– No, nie wiem – zaoponował Joe. – Widzisz tę prostą linię i mały trójkącik? Może to po oponie?

– Nie. Myślę, że to ślad indyka przydeptany przez jelenia. Stąd ten geometryczny wzór.

Po kwadransie szeryf zaproponował:

– Chodźmy nad tę małą zatoczkę. Może ktoś zacumował tam łódkę, zamiast przyjeżdżać tu autem.

Chroniąc twarze przed kłującym mirtem, ruszyli w tamtą stronę. Na mokrym piasku widniały ślady krabów, czapli i jeżowców, ale nie ludzi.

– Spójrz na to. – Joe wskazał na duże wgłębienie w piasku, tworzące niemal idealne półkole. – Może to po łódce z krągłym dziobem, wciągniętej na brzeg?

– Nie. Kiedy wiał wiatr, połamana trawa szorowała po piachu, kreśląc półkole. To tylko trawa i wiatr.

Przystanęli i rozejrzeli się wokół. Resztę tej niewielkiej plaży w kształcie półksiężyca pokrywała gruba warstwa pokruszonych muszli, rozczłonkowanych skorupiaków i szczypiec krabów. A nie ma lepszych powierniczek tajemnic niż one.

11.

Worki pełne małży

1956

Zimą 1956 roku, kiedy Kya miała dziesięć lat, tata pojawiał się w chacie coraz rzadziej. Mijały całe tygodnie bez flaszek whiskey na podłodze, bez niego rozwalonego na sienniku i bez wypłacanej co poniedziałek renty. Kya liczyła, że ujrzy go z flaszką kuśtykającego wśród drzew. Minęła jednak najpierw jedna pełnia księżyca, potem druga, a jego wciąż nie było.

Platany i hikory wyciągały nagie gałęzie na tle szarego nieba, a nieustający wiatr przepędzał wszelką radość, jaką mogło dać słońce w te ponure dni. Bezużyteczny suchy wiatr w krainie nad oceanem, który niczego nie osuszy.

Kya rozmyślała o tym, przysiadłszy na schodach przed chatą. Awantura przy partii pokera mogła sprawić, że tatę zatłukli i porzucili ciało na mokradłach w jakąś zimną deszczową noc. A może się urżnął, zabłądził w lesie i padł twarzą w bagno?

– Pewnie odszedł na amen.

Kya przygryzła wargę, aż ta kompletnie zbielała. To nie był taki sam ból, jak po odejściu mamy. W istocie musiała się

przemóc, żeby w ogóle go opłakiwać. Teraz została jednak całkiem sama, co przepełniało ją bezbrzeżnym smutkiem. Ktoś z kuratorium na pewno się o tym dowie i ją stąd zabierze. Musi udawać – nawet przed Skoczkiem – że wciąż mieszka z tatą.

No i nie będzie poniedziałkowej renty. Ostatnie dolary, jakie jej zostały, wydawała przez parę tygodni, żywiąc się kaszą, gotowanymi małżami i czasami jajkiem zniesionym przez kręcące się wokół chaty chude kury. Miała jeszcze skromne zapasy – kilka zapałek, ogryzek mydła i garść kaszy. A bez zapałek nie przetrwa zimy, nie ugotuje kaszy dla siebie, mew i kur.

– Nie wiem, jak tu żyć bez kaszy – powiedziała do siebie. A w myślach dodała: Gdziekolwiek przepadł tym razem, to przynajmniej pieszo. Miała łódkę.

Oczywiście musiała wymyślić sposób na zdobycie jedzenia, lecz chwilowo zepchnęła ten problem w najdalsze zakamarki świadomości. Na kolację zjadła gotowane małże, które nauczyła się ścierać na pastę, z krakersami, i później przeglądała ukochane książki mamy, udając, że czyta bajki, bo – mimo skończonych dziesięciu lat – wciąż nie umiała czytać.

Nagle płomień lampy naftowej zadrżał, przygasł, aż w końcu zamarł. Krąg łagodnego światła przemienił się w ciemność. Kya się zasępiła – to tata zawsze kupował naftę i napełniał lampę, więc w ogóle o tym nie myślała. Aż do teraz.

Przez parę chwil próbowała wycisnąć płomień z resztek nafty, lecz na próżno. Z czasem z mroku wyłoniły się obły kształt lodówki i okienna rama. Kya po omacku obszukała kuchenny blat i znalazła tam ogarek świecy. Żeby zapalić knot, należało poświęcić zapałkę, a zostało ich już tylko pięć. Musiała jednak jakoś zaradzić ciemnościom.

Gdy zapaliła świeczkę, mrok wycofał się w kąty, ale wciąż czaił się w nich i przypominał, że światło to konieczność, a na

naftę potrzebne są pieniądze. Dysząc z niepokoju, Kya pomyślała: Może jednak pójść do miasteczka i zgłosić się na policję? Przynajmniej mnie nakarmią i wyślą do szkoły.

Po namyśle doszła jednak do innego wniosku: Nie zostawię mew, czapli i chaty. Te mokradła to moja jedyna rodzina.

W świetle dogasającej świecy wpadła na pewien pomysł.

Nazajutrz wstała podczas odpływu, wcześniej niż zwykle. Włożyła ogrodniczki, wzięła wiadro, zakrzywiony nóż i worki marynarskie. Przykucnąwszy, zaczęła zbierać na mokradłach małże, tak jak uczyła ją mama, i po czterech godzinach pełzania i klękania worki były pełne.

Gdy słońce nieśpiesznie wychynęło z oceanu, Kya płynęła łodzią w gęstej mgle do punktu tankowania i sklepu Skoczka. Kiedy się zbliżała, stał na pomoście.

– Witam, panno Kyu, potrzeba benzyny?

Spuściła głowę. Od czasu swojej ostatniej wizyty w Piggly Wiggly nie zamieniła z nikim ani słowa i trochę plątał się jej język.

– Może. Zależy. Słyszałam, że skupuje pan małże, a ja mam tu trochę. Zapłaci mi pan i dorzuci benzyny? – Kiwnęła ręką na torby.

– Jasna sprawa. Świeże?

– Wydłubałam z błota przed świtem.

– Dobra, dam ci pięćdziesiąt centów za jedną torbę, a za drugą pełny bak.

Lekko się uśmiechnęła. Sama zarobi pieniądze.

– Dzięki – odpowiedziała.

Kiedy Skoczek nalewał benzynę, Kya zajrzała do jego sklepiku na pomoście. Przedtem nie zwracała na niego uwagi, bo zakupy robiła w Piggly, ale teraz zauważyła, że oprócz przynęty i tytoniu są tu też zapałki, smalec, mydło, sardynki, parówki, kasza, krakersy, papier toaletowy i nafta. Właściwie

wszystko, czego potrzebowała do życia. Na ladzie stało pięć galonowych słojów ze słodyczami – pikantnymi drażetkami z cynamonem, kulkami i mordoklejkami. Kya nie przypuszczała, że na świecie jest aż tyle słodkości.

Za zarobione pieniądze kupiła zapałki, świeczkę i kaszę. Nafta i mydło musiały poczekać na kolejny worek pełen małży. Z trudem przemogła się, by kupić świecę zamiast mordoklejki.

– Ile worków tygodniowo pan ode mnie weźmie? – spytała.

– Chcesz rozkręcić ze mną interes? – Roześmiał się, tak po swojemu, z zamkniętymi ustami i odchyloną głową. – W ciągu dwóch czy trzech dni skupuję po jakieś dwadzieścia kilo. Ale inni też mi je przynoszą. Jeśli przyjdziesz, a będę już miał dość, odejdziesz z kwitkiem. Kto pierwszy, ten lepszy. Inaczej się nie da.

– Dobrze, dziękuję. Do widzenia – odpowiedziała Kya, po czym dodała: – A tak przy okazji, tata przesyła pozdrowienia.

– Świetnie. Pozdrów go też ode mnie. Do widzenia.

Uśmiechał się szeroko, kiedy odpływała. Mało brakowało, a ona odwzajemniłaby uśmiech. Fakt, że sama zatankowała i zrobiła zakupy, sprawił, że poczuła się dorosła. Kiedy w chacie rozpakowywała swoje skromne zakupy, znalazła na dnie torby żółto-czerwoną niespodziankę. Nie była jeszcze na tyle dorosła, by Skoczek nie dorzucił jej mordoklejki.

Żeby ubiec innych zbieraczy, Kya wychodziła po małże nocą, ze świecą w dłoni, lub gdy świecił księżyc i jej cień tańczył na lśniącym piasku. Poszerzyła swój asortyment o ostrygi i czasami sypiała na mokradłach, by zameldować się u Skoczka już o brzasku. Na pieniądzach, które zarabiała, mogła polegać bardziej niż na rencie ojca, bo zwykle udawało się jej sprzedać zebrany towar.

Przestała kupować w Piggly, gdzie pani Singletary zawsze wypytywała, dlaczego nie jest w szkole. Prędzej czy później by

ją tam dopadli i na siłę do niej zaciągnęli. Zakupy u Skoczka utrzymywały ją przy życiu, a poza tym miała więcej małży, niż była w stanie zjeść. Z kaszą nie były takie złe, zwłaszcza roztarte na papkę. Nie miały oczu i na nią nie patrzyły – nie tak jak ryby.

12.

Miedziaki i kasza

1956

Po odejściu taty Kya całymi tygodniami wypatrywała kruków. Może widziały, jak kuśtyka gdzieś przez las? Gdy wiatr przyniósł jakiś obcy dźwięk, nadstawiała uszu i nasłuchiwała. Ucieszyłby ją nawet odgłos energicznych kroków pani z inspekcji szkolnej.

Przede wszystkim jednak szukała chłopca z łódki. Parę razy w ciągu tych kilku lat widziała go z daleka, lecz nie rozmawiała z nim od trzech lat, od dnia, gdy poprowadził ją przez mokradła do domu. Był jedyną znaną jej osobą – prócz Skoczka i paru sprzedawczyń – dlatego płynąc łódką, zawsze się za nim rozglądała.

Pewnego ranka, wpłynąwszy między szuwary, ujrzała w trzcinach jego łódź. Nosił teraz inną czapeczkę bejsbolową i był wyższy, ale nawet z odległości ponad pięćdziesięciu metrów rozpoznała jego blond loczki. Wyłączyła silnik, wprowadziła łódź w gęste sitowie i przyglądała się mu. Zagryzając wargi, zastanawiała się, czy podpłynąć do niego

i spytać, czy biorą. Tata i inni tutejsi właśnie tak by zagadnęli kogoś, na kogo nagle się natknęli: „Biorą? Złapałeś coś?”.

Ona tymczasem ani drgnęła, tylko się w niego wpatrywała. Jednocześnie coś bardzo ją do niego ciągnęło i odpychało, dlatego wciąż tkwiła w miejscu. W końcu zawróciła do domu, czując, jak łomocze jej serce.

Za każdym razem kończyło się to tak samo – podpatrywała go, jak czaple.

Nadal zbierała pióra i muszle, lecz zostawiała je – słone, wilgotne i zapiaszczone – na stopniach ganku. Rozleniwiła się; w zlewie rosła góra naczyń, poza tym po co prać ogrodniczki, skoro znów się pobrudzą? Kiedyś donaszała stare ubrania po rodzeństwie. Teraz chodziła w dziurawych koszulach, a butów nie miała w ogóle.

Któregoś wieczoru zdjęła z wieszaka różowo-zieloną letnią sukienkę w kwiaty, w której mama chadzała do kościoła. Była to jedyna rzecz mamy, której tata nie spalił. Przez lata przesuwała po tym cudzie palcami, dotykając różowych kwiatków. Z przodu widniała plama, a poniżej ramiączek biegł wyblakły brązowawy ślad, być może po krwi, teraz prawie niewidoczny, zatarty jak inne złe wspomnienia.

Wciągnęła na siebie sukienkę, a ta okryła jej szczupłe ciało. Sięgała prawie do ziemi – nie może jej nosić. Zdjęła ją i odwiesiła. Musi poczekać jeszcze kilka lat. Bo przecież szkoda byłoby ją skracać i wkładać do zbierania małży.

Kilka dni później Kya popłynęła do Point Beach, półksiężyca białego piasku parę kilometrów na południe od pomostu Skoczka. Czas, fale i wiatry utworzyły tam przylądek, gdzie zbierało się więcej muszli niż na innych plażach, w tym tych rzadko spotykanych. Zacumowawszy łódkę przy południowym krańcu plaży, Kya skierowała się na północ i rozpoczęła

poszukiwania. Nagle usłyszała dobiegające z oddali głosy, ostre i podekscytowane.

Natychmiast puściła się biegiem w stronę drzew, pod rozłożysty dąb obrośnięty przez tropikalne paprocie, którego korona mierzyła dobre trzydzieści metrów. Ukrywszy się za pniem, obserwowała sunącą po plaży grupę dzieciaków, które od czasu do czasu wbiegały do oceanu i rozkopywały spienioną wodę. Jeden z chłopców pobiegł przodem, drugi rzucił mu piłkę. Ich jaskrawe szorty na tle białego piasku wyglądały niczym kolorowe ptaki i były zapowiedzią zmiany pór roku. Po plaży ku Kyi szło lato.

Kiedy się zbliżyli, przylgnęła do kory i wyjrzała zza drzewa. Pięć dziewczynek i czterech chłopców nieco starszych od niej, może dwunastoletnich. Rozpoznała Chase'a; rzucał piłkę chłopcom, z którymi zawsze się kręcił.

Dziewczynki – Chuda Blondynka, Piegowaty Koński Ogon, Krótkowłosa Brunetka, Zawsze w Perłach i Pulchna o Pełnych Policzkach – ciągnęły z tyłu nieśpiesznym krokiem niczym osobne stadko, paplając i chichocząc. Ich głosy dobiegały do uszu Kyi jak dźwięki karylionu. Była jeszcze dzieckiem i nie zwracała uwagi na chłopaków; jej wzrok przykuł zastęp dziewczynek, które przykucnęły, obserwując kraba przebiegającego na skos po plaży. Rozrechotane, opierały ręce na ramionach koleżanek, aż w końcu opadły na piasek.

Kya przygryzła wargę. Ciekawe, jak by to było znaleźć się wśród nich. Gdy tak siedziały na tle intensywnie niebieskiego nieba, ich radość zdawała się niemal namacalna. Mama zawsze powtarzała, że kobiety potrzebują bardziej siebie nawzajem niż mężczyzn, ale nigdy jej nie wyjaśniła, jak zawrzeć z nimi więź. Kya bezszelestnie zagłębiła się w las i patrzyła spod olbrzymich paproci, jak zawracają, póki nie przemienili się w małe punkciki na piasku.

*

Kiedy Kya dobiła do pomostu Skoczka, pod szare chmury wdarł się świt. Mężczyzna wyszedł z szopy i pokręcił głową.

– Przykro mi, Kyu – powitał ją – inni byli szybsi. Mam już małży na tydzień, więcej nie kupię.

Kya wyłączyła silnik, motorówka obiła się o pomost. Ubiegli ją już drugi raz z rzędu. Pieniądze się skończyły, nic nie kupi, zostały jej same miedziaki i kasza.

– Musisz znaleźć inne sposoby na zdobycie gotówki. Z jednej krowy nie wyżyjesz.

Po powrocie do domu Kya usiadła na schodach ganku i rozmyślała. Wkrótce wpadła na jeszcze jeden pomysł. Wybrała się na ryby, a wróciwszy po ośmiu godzinach, zostawiła na noc w solance dwadzieścia sztuk. O brzasku ułożyła je na półkach starej wędzarni taty – wyglądem i rozmiarem przypominającej wychodek – rozpaliła ogień i, tak jak tata, wcisnęła w płomienie świeże gałązki. Z komina i przez wszystkie szpary ulatywał niebieskawy dym.

Nazajutrz Kya popłynęła do Skoczka i pozostając w łódce, wyciągnęła ku niemu wiadro. Zawartość – rozpadające się drobne leszcze i karp – prezentowała się żałośnie.

– Skupujesz wędzone ryby? Mam tu kilka.

– Widzę. Wiesz co? Przyjmę je w komis. Jeśli sprzedam, zapłacę ci, jeśli nie, oddam z powrotem. Stoi?

– W porządku. Dzięki.

*

Wieczorem Skoczek ruszył piaszczystą ścieżką do Colored Town – skupiska chat, przybudówek i paru prawdziwych domów przycupniętych wzdłuż kanałów i mulistych rowów. Osada

powstała w głębi lasu, z dala od oceanu. Nie wiała tam bryza, a komarów – jak mówiono – „było więcej niż w całej Georgii”.

Przebywszy około pięciu kilometrów, poczuł wśród sosen woń dymu z przydomowych ognisk i usłyszał gaworzenie kilkorga swoich wnucząt. W Colored Town nie było ulic, jedynie ścieżki prowadzące przez las do poszczególnych domostw. Skoczek mieszkał w prawdziwym domu. Wzniósł go z ojcem z sosnowego drewna i wygrodził podwórko płotem z surowych desek; jego postawna żona Mabel zawsze zamiatała je do czysta niczym podłogę. W odległości trzydziestu metrów nie prześliznął się niezauważenie żaden wąż, bo natychmiast miał do czynienia z jej motyką.

Teraz jak zwykle z uśmiechem wyszła mężowi na powitanie, a on wręczył jej wiadro z wędzonymi rybami Kyi.

– Co to? – spytała. – Nawet psy by tego nie tknęły.

– Znów od tej dziewczynki, Kyi. Czasami spóźnia się z małżami, więc wzięła się do wędzenia ryb. Chce, żebym je sprzedał.

– Boże, trzeba jakoś pomóc temu dziecku. Tych ryb nikt nie kupi. Dorzucę do gulaszu. W kościele znajdą jej ubranie i inne rzeczy. Powiemy, że jakaś rodzina płaci ciuchami za karpie. Jaki nosi rozmiar?

– Mnie pytasz? Chudzina. Wszystko wisi na niej jak na kiju. Pewnie zjawi się jutro z samego rana. Nie ma ani centa.

*

Zjadłszy na śniadanie smażoną kaszę z małżami, Kya popłynęła do Skoczka, żeby sprawdzić, czy są jakieś pieniądze za wędzone ryby. Przez lata widywała tam tylko jego i klientów, lecz gdy tym razem powoli zbliżyła się do pomostu, ujrzała zażywną ciemnoskórą kobietę, która wymachiwała miotłą, jakby

zamiatała podłogę w kuchni. Skoczek siedział na krześle i oparty o ścianę podliczał w zeszycie rachunki. Na widok Kyi zerwał się na równe nogi i do niej pomachał.

– Dzień dobry – przywitała się cicho, z wprawą dobijając do pomostu.

– Cześć, Kyu. Chcę ci kogoś przedstawić. To moja żona Mabel. – Mabel podeszła do męża. Kya wysiadła z łódki i znalazła się tuż obok niej.

Mabel ujęła jej dłoń i lekko ją przytrzymała.

– Bardzo miło mi cię poznać. Wiem od Skoczka, że zuch z ciebie dziewczyna. Podobno jak nikt masz oko do ostryg.

Choć Mabel uwijała się z motyką w ogródku, przez pół dnia gotowała, szorowała i cerowała w domu u białych, jej dłonie pozostały delikatne. Kya czuła się, jakby włożyła aksamitną rękawiczkę. Nie wiedziała, co powiedzieć, więc milczała.

– Znamy jedną rodzinę, która chętnie da ci ubrania i inne rzeczy, których potrzebujesz, w zamian za twoje wędzone ryby.

Wbiwszy wzrok w ziemię, Kya skinęła głową, uśmiechnęła się i spytała:

– A paliwo do mojej łódki?

Mabel rzuciła pytające spojrzenie mężowi.

– No, cóż, dziś ci doleję, bo wiem, że nie masz, ale jak tylko będziesz mogła, przywoź mi małże.

Na te słowa kobieta rzekła dobitnie:

– Nie martw się o takie drobiazgi, moje dziecko. Niech no ci się przyjrzę. Muszę wiedzieć, jaki masz rozmiar. – Poprowadziła ją do sklepiku. – Usiądź i powiedz, jakich ubrań i w ogóle czego potrzebujesz.

Kiedy już sporządziły listę, Mabel obrysowała stopę Kyi na szarej papierowej torbie.

– Wróć tu jutro, a odbierzesz paczkę – powiedziała.

– Będę pani bardzo wdzięczna – zadeklarowała Kya, a potem, już ciszej, dorzuciła: – Jeszcze jedna rzecz. Znalazłam stare opakowania z nasionami, ale nie znam się na uprawie.

– No cóż… – Mabel odchyliła się na krześle i zaśmiała dobrodusznie. – W tym akurat mam wprawę.

Wyjaśniła Kyi wszystko w najdrobniejszych szczegółach, po czym sięgnęła do paru puszek na półce i dała jej nasiona kabaczka, pomidorów i dyni. Zawinęła je w osobne papierki, na których narysowała każde z warzyw. Kya nie była pewna, czy Mabel zrobiła to, bo nie umiała pisać, czy dlatego, że ona nie umiała czytać, ale obydwu odpowiadało takie rozwiązanie.

Wsiadając do motorówki, podziękowała Mabel i jej mężowi.

– Cieszę się, że mogę pomóc. Wróć tu jutro po swoją zapłatę – odrzekła Mabel.

Jeszcze tego samego popołudnia Kya przekopała grządki w dawnym warzywniku mamy. Motyka grzechotała w jej rękach, uwalniając zapach ziemi i wydobywając na powierzchnię różowawe robaki. Nagle Kya usłyszała jakiś inny brzęk. Schyliwszy się, znalazła starą, plastikowo-metalową spinkę mamy. Delikatnie wytarła ją do czysta o spodnie. I znów zobaczyła czerwone usta i ciemne oczy mamy, jakby odbijały się w tym tanim znalezisku. Rozejrzała się; mama na pewno idzie ścieżką, by pomóc jej przekopać tę ziemię. Wreszcie poczuła się jak w domu. Rzadko zdarzały się tu takie spokojne chwile; nawet wrony przycichły i Kya słyszała własny oddech.

Zebrała kosmyki włosów i spięła je spinką nad lewym uchem. Być może mama nigdy nie wróci. Może o niektórych marzeniach trzeba po prostu zapomnieć. Kya uniosła motykę i rozbiła w drobny mak ciężką bryłę ziemi.

*

Gdy następnego ranka przypłynęła do Skoczka, był sam. Może ta jego postawna żona i jej pomysły były tylko iluzją? A jednak na pomoście stały dwa pudła. Mężczyzna skinął na nie, śmiejąc się po swojemu.

– Witam panienkę. To dla ciebie.

Kya wyskoczyła na pomost i wpatrywała się w wypełnione po brzegi kartony.

– No, śmiało. To wszystko twoje.

Kya delikatnie wyciągnęła z nich drelichy, dżinsy i prawdziwe bluzki – nie jakieś tam podkoszulki. Do tego parę granatowych tenisówek i brązowo-białe wiązane pantofelki, tak wypastowane, że aż świeciły. Kya przyłożyła do szyi białą bluzkę z koronkowym kołnierzykiem i niebieską satynową kokardą. Aż rozdziawiła buzię.

W drugim kartonie znalazła zapałki, kaszę, pudełko margaryny, groch i całą kwartę domowego smalcu. Na górze, zawinięte w gazetę, leżały: świeża rzepa, fasolka, brukiew i okra.

– Przecież to warte więcej niż te ryby – powiedziała cichym głosem. – Tyle, ile mój miesięczny połów.

– A na co ludziom walające się po domu stare łachy? Oni ich nie chcą, a ty chcesz, ty masz ryby, a oni chcą ryb, więc dobiliście targu. Zabieraj mi się z tym, bo nie mam tu miejsca na te wszystkie rupiecie.

W to Kya akurat wierzyła. Skoczek nie miał gdzie tego trzymać, więc postanowiła zrobić mu przysługę i zabrać pudła z pomostu.

– No to wezmę. Tylko im ode mnie podziękuj. I przywiozę więcej ryb, jak tylko będę mogła.

– Dobra. Przywieź, jak będziesz miała.

Kya ruszyła w drogę powrotną. Kiedy już opłynęła cypel i Skoczek nie mógł jej zobaczyć, zgasiła silnik, pogrzebała

w pudle i wyciągnęła z niego bluzkę z koronkowym kołnierzykiem. Włożyła ją na sztywne, pocerowane na kolanach ogrodniczki i związała włosy satynową wstążką. Jedną ręką trzymając rumpel, a drugą gładząc koronkę, pomknęła przez ocean i rozlewiska do domu.

13.

Pióra

1960

Szczupła, ale krzepka jak na czternastolatkę Kya stała na plaży i rzucała okruchy mewom. Wciąż nie umiała ich policzyć, tak jak nie umiała czytać. Już nie śniła na jawie o lataniu z orłami; może gdy wygrzebujesz kolację z błota, wyobraźnia ubożeje, a człowiek staje się doroślejszy? Letnia sukienka mamy leżała teraz jak ulał i sięgała ledwie za kolana. Nabrałam ciała. I to jak! – pomyślała Kya. Wróciła do chaty, wzięła tyczkę i żyłkę i ruszyła wędkować w zaroślach po drugiej stronie laguny.

Gdy tylko zarzuciła wędkę, usłyszała za sobą trzask pękającego patyka. Obróciła głowę i zaczęła wpatrywać się w krzaki. Odgłos kroków w gęstwinie. Nie był to niedźwiedź, którego wielkie łapy mlaskają w błocie, lecz mocne stąpanie. Nagle zakrakały wrony, bo – tak jak szlam – nie umieją dochować tajemnic. Kiedy tylko zobaczą w lesie coś ciekawego, muszą o tym trąbić. Tych, którzy ich słuchają, spotyka nagroda – ostrzeżenie przed drapieżnikiem lub powiadomienie, że warto wyruszyć na żer. Kya wiedziała, że coś się kroi.

Ściągnęła żyłkę, oplotła ją wokół wędki i zaczęła po cichu przedzierać się przez zarośla. Przystanęła i nasłuchiwała. Ocieniona polana – jedno z jej ulubionych miejsc – przypominała jaskinię za sprawą okalających ją pięciu dębów. Rosły tak gęsto, że przebijały przez nie tylko wątłe smużki światła, padając na bujne trójlisty i białe fiołki. Kya obiegła ją wzrokiem, ale nikogo tam nie było.

Nagle w zaroślach przemknął jakiś cień. Serce waliło jej jak młotem. Zgarbiona przebiegła bezszelestnie w gęste krzaki na skraju polany. Kiedy się obejrzała, zobaczyła jakiegoś chłopaka, który szybkim krokiem przemierzał las, rozglądając się wokoło. Spostrzegł ją i się zatrzymał.

Kya skryła się za ciernistym krzewem i wczołgała w króliczy przesmyk wijący się wśród jeżyn, gęstych jak mury twierdzy. Skulona wpełzła głębiej, raniąc sobie ramiona o ostre kolce. Znów zamarła i nasłuchiwała. W upalnym skwarze zaschło jej w gardle. Po dziesięciu minutach, kiedy nie usłyszała nikogo, podczołgała się do obrośniętego mchem źródła i niczym łania łapczywie zgasiła pragnienie. Zastanawiała się, kim jest ten chłopak i po co tu przyszedł. Na tym polegał kłopot z wizytami u Skoczka – że można ją tam zauważyć. Była na widoku, jak brzuch jeżozwierza.

W końcu, jeszcze nim zapadł mrok, lecz o tej porze dnia, gdy cienie słabną, ruszyła ścieżką przez dębową polanę w stronę chaty.

– Nie złapałam dziś ani jednej ryby do uwędzenia, bo się tu kręcił – mruknęła.

Pośrodku polany stał przegniły pień obrośnięty mchem, który przypominał starca okrytego peleryną. Kya podeszła do niego. Z pnia wystawało cienkie, czarne, kilkunastocentymetrowe pióro. Większość uznałaby je za zwyczajne, może wronie, lecz Kya wiedziała, że jest wyjątkowe, bo pochodziło z „brwi” czapli

modrej, wyrastającej nad jej okiem i tworzącej wdzięczną ozdobę z tyłu głowy. Jedna z najbardziej niezwykłych rzeczy, jaką można znaleźć na przybrzeżnych mokradłach, właśnie tutaj! Kya nigdy wcześniej nie natrafiła na takie pióro, ale przez całe życie stawała oko w oko z czaplami, od razu wiedziała, z czym ma do czynienia.

Upierzenie czapli modrej ma kolor szarej mgły, odbija się w niebieskiej tafli wody i tak jak mgła stapia się z otoczeniem. Tylko okolone czarnymi piórami oczy pozostają widoczne. Czapla to cierpliwy samotny myśliwy, który potrafi wpatrywać się w wodę tak długo, dopóki nie pochwyci swej ofiary. Zdarza się też, że kiedy już ją namierzy, sunie za nią powoli niczym druhna polująca na męża. Z rzadka atakuje w locie, ostro pikując w dół z wyciągniętym dziobem wyglądającym jak szabla.

– Jak mogło utknąć w tym pniu? – szepnęła Kya i rozejrzała się wokół. – Pewnie ten chłopak je wetknął. Może mnie teraz podgląda? – Stanęła nieruchomo, serce znów skoczyło jej do gardła. Wyrzuciła pióro i puściła się pędem do chaty. Zamknęła drzwi z moskitierą, co robiła rzadko, bo dla intruza i tak nie stanowiłyby wielkiej przeszkody.

Jednak gdy między drzewa zawitał zmierzch, poczuła, że coś ciągnie ją do tego pióra. Chciała przynajmniej mu się przyjrzeć. O świcie pobiegła na polanę, rozejrzała się ostrożnie, podeszła do pnia i podniosła pióro. Było gładkie, niemal aksamitne. Wróciwszy do chaty, znalazła dla niego specjalne miejsce pośrodku swej ściennej kolekcji – wśród maleńkich piórek kolibrów i tych wielkich, z ogona orłów. Zastanawiała się, po co chłopak przynosiłby jej pióro.

*

Następnego ranka zapragnęła znów pobiec do pnia, by się przekonać, czy nie zostawił jej drugiego, ale się powstrzymała. Nie chciała ponownie na niego trafić. W końcu poszła tam przed południem, powoli, nasłuchując. Nie usłyszała ani nie zobaczyła nikogo, więc zbliżyła się do pnia i jej twarz na moment rozjaśnił uśmiech, gdy spostrzegła wetknięte w pień cienkie białe pióro. Było długie, sięgało od koniuszków jej palców do łokcia i lekko, z wdziękiem zakrzywiało się i zwężało ku górze. Chwyciła je i głośno się roześmiała. Wspaniałe pióro z ogona faetona żółtodziobego. Kya nigdy nie widziała tych ptaków, bo zwykle nie występowały w tym rejonie, a tylko z rzadka trafiały tu podczas huraganu.

Była zdumiona, że ktoś ma kolekcję takich wyjątkowych piór i że może jej je podarować.

Jako że wciąż nie umiała przeczytać zapisków mamy, nie znała nazw większości ptaków i owadów, więc wymyślała własne i mimo że nie umiała pisać, znalazła sposób na oznaczanie swoich okazów. Rozwinął się w niej talent do szkicowania, rysowania i malowania. W Five and Dime kupowała kredę lub akwarele i na papierowych torbach ze sklepu tworzyła wizerunki ptaków, owadów i muszli, po czym umieszczała je w swojej kolekcji.

Tamtego wieczoru zaszalała, zapaliła dwie świece i ustawiła je na spodkach na kuchennym stole, żeby dojrzeć wszystkie odcienie bieli i namalować pióro faetona.

*

Przez ponad tydzień na pniu nie pojawiło się nowe pióro. Kya zachodziła tam parę razy dziennie, łypała ostrożnie spod paproci, ale niczego nie wypatrzyła. Było południe. Siedziała w chacie, co rzadko jej się zdarzało o tej porze dnia.

Trzeba było namoczyć groch na kolację. Teraz już za późno, pomyślała. Chodziła po kuchni, zaglądała do kredensu, bębniła palcami w blat. Zastanawiała się, czyby czegoś nie namalować, ale zarzuciła tę myśl. Znów wybrała się na polanę.

Już z oddali dostrzegła długie, pasiaste pióro z ogona dzikiego indyka. Był to jeden z jej ulubionych ptaków. Kiedyś widziała, jak tuzin kurcząt lgnie pod skrzydła będącej w ruchu matki. Kilkoro spod nich wypadło, ale drepcząc, wkrótce ją dogoniły.

Przed rokiem podczas spaceru przez sosnowy zagajnik Kya usłyszała głośny krzyk. Liczące piętnaście sztuk stado ptaków – w przewadze indyczek, ale było tam też kilka indorów i kurcząt – pośpiesznie dziobało coś, co przypominało utytłaną w ziemi, zatłuszczoną szmatę. Wokół unosiła się chmura kurzu, która przesłaniała widok i ulatywała w górę ku gałęziom. Kiedy Kya podeszła bliżej, zobaczyła, że na ziemi leży indyczka i że reszta ptaków dziobie i drapie jej szyję i łepek. Biedaczka zaplątała się w krzak dzikiej róży; miała zmierzwione i połamane pióra i nie mogła latać. Jodie wyjaśnił kiedyś Kyi, że jeśli ptak nagle odstaje od innych – na przykład kiedy zostaje ranny – szybciej przyciąga drapieżniki, więc pozostali członkowie stada dobijają go. Lepsze to niż spotkanie z orłem, który mógłby jednego z nich upolować.

Duża samica drapała ubłoconą indyczkę zrogowaciałymi pazurami i dociskała ją do ziemi, a inna dziobała leżącą po głowie i szyi. Ranna piszczała, wpatrując się oszalałym wzrokiem we własne stado, które ją zaatakowało.

Kya wbiegła na polanę i zaczęła wymachiwać rękami.

– Hej, co wy robicie?! Wynocha! Przestańcie!

Wzbijając jeszcze większą chmurę kurzu, indyki zatrzepotały skrzydłami i skryły się w zaroślach, a dwa spośród nich w koronie dębu. Było już jednak za późno. Indyczka leżała

nieruchomo na ziemi z szeroko otwartymi oczami. Z jej pomarszczonej, przekrzywionej szyi ciekła krew.

– Sio! – Kya odgoniła ostatnie ptaki, które, spełniwszy zadanie, w końcu odpuściły. Przyklękła obok martwej indyczki i zakryła jej oczy liściem platanowca.

Wieczorem po tym zdarzeniu zjadła na kolację resztkę kukurydzianego chleba z grochem i położyła się na ganku. Patrzyła, jak księżyc osuwa się do wód laguny. Nagle usłyszała dobiegające z lasu głosy, podenerwowane i piskliwe. Chłopcy, nie mężczyźni. Usiadła na sienniku. Chata miała tylko jedno wejście – albo ucieknie natychmiast, albo będzie tu siedzieć, kiedy nadejdą. Niczym myszka doskoczyła do drzwi, lecz wokół już rozbłysło rozedrgane światło świec. Za późno na ucieczkę.

Głosy stały się wyraźniejsze.

– Nadchodzimy, Dziewczyno z Bagien!

– Hej! Jesteś tam? Panno Brakujące Ogniwo!

– Pokaż zęby! Oprowadź nas po bagnach!

Salwy śmiechu.

Przykucnęła niżej pod oknami ganku, słysząc, jak się zbliżają. Płomienie świec błyskały złowieszczo i nagle zgasły, gdy pięciu chłopców, trzynasto-, może czternastolatków, puściło się biegiem przez podwórko. Zaczepki ustały, kiedy przemknęli do drzwi ganku i zaczęli nimi szarpać.

A każde szarpnięcie było jak dziobnięcie w indycze serce.

Wtulonej w ścianę Kyi chciało się płakać, ale wstrzymała oddech. Bez trudu mogli się tu włamać. Jeden zdecydowany ruch i znaleźliby się w środku.

Cofnęli się jednak i zawrócili do lasu, pokrzykując z ulgą, że przeżyli spotkanie z Dziewczyną z Bagien, Małą Wilczycą, dziewczynką, która nie umie przeliterować słowa „kot”. Ich głosy i śmiech niosły się wśród drzew, gdy zniknęli w mroku, już bezpieczni. Kya obserwowała podskakujące w ciemnościach

ogniki ponownie zapalonych świec, po czym, pełna wstydu, usiadła i zapatrzyła się w noc.

Zawsze wspominała to zdarzenie, gdy zobaczyła dzikie indyki, lecz teraz ucieszyła się na widok wetkniętego w pień pióra, bo wiedziała, że ta gra wciąż trwa.

14.

Czerwone włókna

1969

Parny poranny skwar rozmazał ocean i niebo. Joe wyszedł z budynku biura szeryfa i natknął się na wysiadającego z radiowozu Eda.

– Pozwól na chwilę. Są nowe wyniki z laboratorium w sprawie Andrewsa. Jeszcze ciepłe.

Ruszył w stronę wielkiego dębu, którego stare korzenie sterczały z ziemi jak pięści. Rozdeptując żołędzie, szeryf podążył za nim. Stanęli w cieniu, wystawiając twarze do bryzy.

Ed czytał na głos:

– „Zasinienia i obrażenia wewnętrzne będące wynikiem upadku z dużej wysokości". Chase rzeczywiście uderzył głową o belkę, potwierdzały to ślady krwi i włosy. Wywołało to rozległy wylew i uszkodzenie płata tylnego mózgu, lecz go nie zabiło. Sprawa jest zatem jasna. Zginął tam, gdzie go znaleźliśmy, ciało nie zostało podrzucone. Dowodem są ślady krwi i włosy na belce. „Przyczyna zgonu: gwałtowne

uszkodzenie płatu potylicznego i ciemieniowego tylnej tkanki mózgowej oraz kręgosłupa w wyniku upadku z wieży".

– Czyli ktoś zatarł ślady i odciski palców. Coś jeszcze?

– Posłuchaj tego. Znaleźli na jego kurtce masę innych włókien, czerwonych, wełnianych, które nie pochodziły z jego ubrania. Załączyli próbki. – Szeryf potrząsnął plastikowym woreczkiem.

Spojrzeli na mechate czerwone nitki rozpłaszczone na folii jak pajęczyna.

– Piszą, że to wełna. Może ze swetra, szalika albo czapki? – zastanawiał się Joe.

– Z koszuli, spódniczki, skarpetek, peleryny. Mogą pochodzić ze wszystkiego. I musimy to znaleźć.

15.

Gra

1960

Nazajutrz w południe Kya powoli zbliżyła się do pnia z dłońmi przytkniętymi do policzków, niemal jakby się modliła. Ale pióra nie było. Wydęła usta.

Jasne. Teraz ja muszę coś mu zostawić.

Miała w kieszeni piórko z ogona młodego orlątka, które znalazła rankiem. Tylko ktoś, kto naprawdę zna się na ptakach, mógł wiedzieć, że to zapaćkane i zniszczone pióro należało do orła, trzylatka, jeszcze niedojrzałego. Nie było tak cenne jak sterówka faetona, ale też miało swoją wartość. Kya ostrożnie położyła pióro na pniu, pod kamykiem, żeby zabezpieczyć je przed wiatrem.

Wieczorem leżała na sienniku z rękami skrzyżowanymi pod głową i lekko się uśmiechała. Rodzina porzuciła ją na pastwę mokradeł, lecz znalazł się ktoś, kto z własnej woli zostawiał jej prezenty w lesie. Pewności nie miała, lecz im dłużej o tym rozmyślała, tym mniej wydawało jej się prawdopodobne, że ten

chłopak może zrobić jej krzywdę. Ktoś, kto lubi ptaki, nie może być zły.

Rankiem zerwała się z posłania i wzięła się do – jak nazywała to mama – „wielkiego sprzątania". Robiąc porządki w matczynej toaletce, zamierzała tylko wyrzucić rupiecie z szuflad, lecz gdy ujęła w dłoń jej mosiężno-stalowe nożyczki z uchwytem zdobionym misternym wzorem lilii, gwałtownym gestem odgarnęła włosy nieprzycinane od odejścia mamy – czyli od siedmiu lat – i skróciła je o dobrych dwadzieścia centymetrów. Teraz sięgały nieco za ramiona. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze, lekko odchyliła głowę i się uśmiechnęła. Oczyściła paznokcie i szczotkowała włosy tak długo, aż stały się lśniące.

Odłożyła szczotkę i nożyczki i zaczęła przeglądać stare mamine kosmetyki. Podkład i róż w płynie wyschły i popękały, ale szminka musiała mieć nieograniczony termin przydatności, bo po zdjęciu zatyczki, wyglądała zupełnie świeżo. Pierwszy raz w życiu – bo w dzieciństwie nie bawiła się w przebieranki i malowanie – Kya pociągnęła usta pomadką. Roztarła ją wargami i znów uśmiechnęła się do lustra. Wyglądała całkiem ładnie. Nie tak jak mama, ale nieźle. Zachichotała i starła szminkę. Nim zamknęła szufladę, zauważyła flakonik z wysuszonym lakierem do paznokci firmy Revlon. Blady róż.

Wzięła go do ręki, wspominając, jak mama wróciła z nim któregoś dnia z miasteczka. Stwierdziła, że ten kolor bardzo pasuje do ich oliwkowej skóry. Posadziła Kyę i jej dwie starsze siostry na sofie, kazała wyciągnąć stopy i pomalowała im paznokcie. Potem zrobiła to samo z własnymi. Wybiegły na podwórko, śmiały się i wygłupiały, pokazując sobie nawzajem róż na swoich palcach. Taty nie było w domu, ale łódź stała zacumowana w lagunie. Mama wpadła na pomysł, żeby się nią dokądś wyprawić, czego jeszcze nigdy wcześniej nie robiły.

Wdrapały się do starej motorówki, wciąż chichocząc i brykając, jakby się upiły. Silnik zaskoczył dopiero za którymś szarpnięciem, ale w końcu łódka wyszła w morze. Mama poprowadziła ją przez lagunę do wąskiego przesmyku wiodącego na mokradła. Sunęły wzdłuż wodnych odnóg, ale mama słabo znała się na żeglowaniu i gdy dotarły do płytkiej laguny, ugrzęzły w kleistym, gęstym jak smoła czarnym szlamie. Próbowały przepchnąć łódź tyczkami, lecz ta ani drgnęła. Nie miały wyjścia – musiały wysiąść i w sukienkach brnąć w błocie po kolana.

– Tylko jej nie przewróćcie! – wołała mama.

W końcu ściągnęły łódź z mielizny, z piskiem i ubłoconymi buziami. Wsiąść z powrotem też nie było tak łatwo, ale jakoś wskoczyły, lądując na dnie łódki jak złowione ryby. Zamiast usiąść na ławkach, usadowiły się jedna za drugą na dnie, wyciągnęły do góry stopy i poruszały palcami. Na paznokciach spod błota przebijał róż.

– Posłuchajcie uważnie – odezwała się mama. – To życiowa lekcja. Fakt, utknęłyśmy w miejscu, ale co zrobiłyśmy? Śmiałyśmy się z tego i żartowałyśmy. Tak właśnie jest między siostrami i przyjaciółkami. Trzymamy się razem, nawet w błocie. Zwłaszcza w błocie.

Nie kupiła acetonu, więc z czasem lakier zaczął się łuszczyć i kruszyć, pozostawiając na paznokciach u rąk i nóg różowe plamy, które przypominały dziewczynkom, jak było im dobrze, a także o tej życiowej lekcji.

Wpatrując się w ten stary flakonik, Kya próbowała przywołać w pamięci twarze sióstr. Powiedziała przy tym na głos:

– Gdzie jesteś, mamo? Dlaczego nie wytrwałaś?

*

Gdy następnego popołudnia Kya przyszła na polanę, spostrzegła, że na pniu leży coś, co mieni się nienaturalnie jaskrawymi kolorami odcinającymi się od przygaszonych zieleni i brązów lasu. Na pniu stał czerwono-biały kartonik po mleku, a obok tkwiło kolejne pióro. Chłopak najwyraźniej podbijał stawkę. Kya podeszła i najpierw wzięła do ręki pióro.

Było srebrzyste i miękkie, z grzebienia ślepowrona, jedno z najpiękniejszych na mokradłach. Kya zajrzała do kartonika. Upchnięto tam szczelnie opakowane paczuszki z nasionami – rzepy, marchwi i fasolki szparagowej – a na dnie leżała, owinięta szarym papierem, świeca zapłonowa do motorówki. Kya znów się uśmiechnęła i obróciła na jednej nodze. Nauczyła się obywać bez wielu rzeczy, ale czasami świeca zapłonowa była jej naprawdę potrzebna. Skoczek pokazał jej, jak dokonać drobnych napraw, lecz zakup części wymagał wyprawy do miasteczka, no i rzecz jasna pieniędzy.

Tymczasem oto dostała świecę, którą mogła schować i wymienić, kiedy zajdzie taka konieczność. Zapas. Urosło jej serce. Jak wtedy, gdy mogła zatankować do pełna lub na widok zachodu słońca jak z obrazu. Stanęła bez ruchu, próbując ogarnąć znaczenie tego gestu. Widziała, jak samczyki ptaków kuszą prezentami samiczki – lecz przecież była za młoda, żeby założyć gniazdo.

Na dnie kartonika był jeszcze liścik. Rozłożyła go i spojrzała na starannie wypisane, wyraźne słowa, które odczytałoby nawet dziecko. Znała na pamięć godziny przypływów, kierując się położeniem gwiazd, umiała trafić do domu, potrafiła wymienić wszystkie rodzaje piór orła, ale nawet w wieku czternastu lat nie mogła przeczytać kilku prostych wyrazów.

Zapomniała zabrać coś, co mogłaby mu zostawić. W kieszeniach miała tylko zwykłe pióra, muszle i strączki, więc szybko zawróciła do chaty i stanęła przed swoją ścienną

kolekcją, próbując dokonać wyboru. Najstrojniej prezentowały się sterówki łabędzia czarnodziobego. Odkleiła jedną, żeby następnym razem zostawić ją na pniu.

Gdy nadciągnął wieczór, wzięła koc i poszła spać na mokradła, nieopodal rowu, z którego po przebudzeniu zamierzała wygrzebać małże w blasku księżyca. O świcie miała dwa pełne worki. Wystarczy na benzynę. Były bardzo ciężkie, więc ruszyła nad lagunę, ciągnąc za sobą jeden. Choć wymagało to nadłożenia drogi, postanowiła pójść przez polanę, żeby zostawić tam pióro łabędzia. Weszła między drzewa, nie rozejrzawszy się wokół, i nagle ujrzała opartego o pień chłopaka od piór. Rozpoznała w nim Tate'a, który przeprowadził ją do domu przez mokradła, kiedy była mała. Tego, którego latami obserwowała z oddali, bo brakowało jej odwagi, by się do niego zbliżyć. Oczywiście był teraz wyższy i starszy, miał pewnie osiemnaście lat. Spod czapeczki wystawały mu blond loki, a jego twarz była opalona i miła. Na jej widok zareagował spokojnie, szerokim i promiennym uśmiechem. Lecz uwagę Kyi przykuły jego oczy, złocistopiwne, z plamkami zieleni. Wpatrywał się w nią jak czapla, która namierza płotkę.

Dziewczyna przystanęła, speszona nagłym naruszeniem niepisanych zasad ich gry. Cała zabawa polegała właśnie na tym, że nie musieli rozmawiać ani się widywać. Poczuła, że jej twarz płonie.

– Cześć, Kyu. Proszę… nie uciekaj. To ja… Tate – powiedział cichym głosem, powoli, jakby była głupia. Pewnie tak mówili o niej w miasteczku: że ledwie gada ludzkim językiem.

Tymczasem Tate nie mógł oderwać od niej oczu. Pewnie ma trzynaście, może czternaście lat, pomyślał. Lecz nawet w tym wieku miała twarz, jakiej jeszcze nie widział. Wielkie, niemal czarne oczy, delikatny nos i kształtne usta nadawały jej jakiś

egzotyczny rys. Była wysoka i szczupła, co sprawiało, że wydawała się krucha, ale zwinna, jakby ulepiona przez wiatr. Widać było też mięśnie, jeszcze młode, lecz mocne.

W pierwszym odruchu – jak zawsze – Kya chciała uciec. Ale poczuła coś jeszcze, jakiś rodzaj spełnienia, którego nie zaznała od lat – jakby ktoś wlał jej do serca coś ciepłego. Pomyślała o piórach, świecy zapłonowej i nasionach. To wszystko może zniknąć, jeśli ucieknie. Bez słowa wyciągnęła ku niemu dłoń z pięknym łabędzim piórem. Powoli, jakby się bał, że czmychnie niczym przestraszony jelonek, podszedł i przyjrzał mu się uważnie. A Kya wciąż milczała i wpatrywała się w pióro, unikając wzroku chłopaka.

– Łabędź czarnodzioby? Niesamowite. Dziękuję.

Był dużo wyższy, więc się pochylił, by je od niej wziąć. No tak, też powinna mu podziękować za prezenty – mimo to stała w milczeniu, licząc, że odejdzie i że będą mogli wrócić do swojej gry.

By przerwać krępującą ciszę, wyjaśnił:

– To tata nauczył mnie rozróżniać ptaki.

W końcu na niego spojrzała i powiedziała:

– Nie umiem przeczytać twojego listu.

– Jasne, przecież nie chodziłaś do szkoły. Zapomniałem. Napisałem tylko, że widziałem cię parę razy, kiedy wędkowałem, i pomyślałem, że może przydadzą ci się nasiona i świeca. Miałem je na zbyciu i przyszło mi do głowy, że oszczędzę ci wyprawy do miasteczka. A co do piór, to pewnie ci się podobają.

Spuściwszy głowę, odrzekła:

– Dziękuję. To bardzo miłe z twojej strony.

Tate zauważył, że choć jej twarz i ciało okazują pierwsze oznaki kobiecości, to jej zachowanie i sformułowania wydają się jeszcze dziecinne, w przeciwieństwie do zachowań

dziewczyn z miasteczka, które przesadzały z makijażem, przeklinały i paliły papierosy.

– Nie ma za co. Późno już, muszę iść. Wpadnę tu czasem, jeśli mogę.

Nie odpowiedziała. Widocznie gra zakończona. Gdy zrozumiał, że Kya już nic nie powie, ukłonił się, musnął palcem czapeczkę i ruszył w swoją stronę, ale jak tylko się schylił, by wejść między krzaki jeżyn, obrócił głowę.

– Wiesz, mógłbym cię nauczyć czytać.

16.

Czytanie

1960

Przez wiele dni Tate nie wracał, by rozpocząć lekcje czytania. Nim Kya podjęła grę w pióra, samotność była dla niej czymś oczywistym, jak dodatkowa kończyna. Teraz, gdy zapuściła w niej korzenie, zaczęła ciążyć.

Któregoś dnia późnym popołudniem Kya wskoczyła do motorówki. Nie mogę tu siedzieć i czekać, pomyślała.

Lecz zamiast udać się do Skoczka, gdzie ktoś mógłby ją zobaczyć, zacumowała łódkę w niewielkiej zatoczce nieco na południe od chaty, wzięła worek i ruszyła cienistą ścieżką do Colored Town. Przez większość dnia padał drobny deszczyk i teraz, gdy słońce z wolna opadało za horyzont, las tworzył własną mgłę, która dryfowała po soczystych polanach. Kya nigdy nie była w Colored Town, ale wiedziała, gdzie leży, i liczyła, że łatwo odnajdzie dom Skoczka i Mabel, kiedy tam dotrze.

Miała na sobie dżinsy i różową koszulę od Mabel. W worku niosła dwa półlitrowe słoiki z domową, płynną konfiturą

z jeżyn, którą przygotowała, by odwdzięczyć się Mabel i Skoczkowi za ich dobroć. Pchała ją ku nim potrzeba kontaktu z ludźmi i chęć rozmowy z życzliwą przyjaciółką. Jeśli Skoczek jeszcze nie wrócił do domu, może uda jej się posiedzieć trochę z Mabel.

Zbliżywszy się do zakrętu, usłyszała głosy. Przystanęła i pilnie nasłuchiwała. Pośpiesznie skręciła do lasu i skryła się za krzakiem mirtu. Po minucie dwóch białych chłopców w zniszczonych ogrodniczkach wyszło zza zakrętu, niosąc sprzęt wędkarski i nawleczone na linkę sumy długości jej ręki. Kya zamarła w bezruchu i czekała na rozwój wydarzeń.

Jeden z nich wskazał ręką na ścieżkę.

– Popatrz.

– Ale z nas szczęściarze! Czarnuch z Miasta Czarnuchów.

Kya spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła wracającego do domu Skoczka. Był już blisko, więc pewnie słyszał ich rozmowę, ale tylko spuścił głowę, skręcił do lasu, żeby ich przepuścić, i poszedł dalej.

Co z nim? Dlaczego nie zareaguje?, zdziwiła się w duchu wściekła Kya. Wiedziała, że „czarnuch” to paskudne słowo, bo tata używał go jako przekleństwa. Skoczek mógł ich sprać i dać im nauczkę, tymczasem przyśpieszył kroku.

– Stary czarnuch wraca do siebie. Uważaj, czarnuchu, żebyś się nie przewrócił – szydzili, a Skoczek tylko wbił wzrok w czubki butów.

Jeden z chłopaków sięgnął po kamień i rzucił nim Skoczkowi w plecy. Trafił tuż pod łopatkę. Ten lekko się zachwiał, ale nie przystanął. Chłopcy rechotali, gdy zniknął za zakrętem, a potem zebrali więcej kamieni i ruszyli za nim.

Wpatrując się w ich podskakujące wśród gałęzi czapeczki, Kya przemknęła przez zarośla i czekała w rosnących tuż przy ścieżce gęstych krzakach, obok których za chwilę mieli przejść

jakieś trzydzieści centymetrów od niej. Skoczek był już daleko i zniknął im z oczu. Kya mocno okręciła workiem słoiki z konfiturą. Gdy chłopcy podeszli do jej kryjówki, zamachnęła się ciężkim workiem i walnęła w głowę tego, który był bliżej. Wrzeszcząc, podbiegła do drugiego gotowa zrobić to samo, ale tamten uciekł. Ukryła się wśród drzew pięćdziesiąt metrów dalej i odczekała, aż ten, którego uderzyła, wstanie. W końcu się podniósł, trzymając się za głowę i klnąc.

Kya chwyciła worek, wróciła do łodzi i popłynęła do domu z myślą, że pewnie już nigdy nie wyprawi się tu z wizytą.

*

Nazajutrz na dźwięk silnika łódki Tate'a pobiegła nad lagunę i ukryła się w zaroślach. Patrzyła, jak chłopak wysiada z plecakiem. Rozejrzawszy się, zawołał ją. Wtedy wyszła z ukrycia ubrana w dopasowane dżinsy i krzywo zapiętą białą bluzkę.

– Cześć. Wybacz, nie mogłem przypłynąć wcześniej. Musiałem pomagać tacie, ale w mig nauczę cię czytać.

– Cześć, Tate.

– Usiądźmy tutaj. – Skinął ręką na wygięty, ocieniony pień dębu.

Wyjął z plecaka cienką, wyświechtaną książeczkę z alfabetem i liniowany notatnik. Powoli wypisał litery *a A*, *b B* i poprosił Kyę, żeby zrobiła to samo, cierpliwie i z mozołem. Kiedy pisała, wymawiał je na głos, cicho i powoli.

Kya pamiętała kilka liter, których nauczyli ją Jodie i mama, ale nie miała pojęcia, jak ułożyć je w słowa.

Ledwie po paru minutach Tate ocenił:

– Widzisz, już umiesz napisać słowo.

– Jakie?

– Baba. Umiesz napisać baba.

– A co to znaczy? – spytała.

Tate powstrzymał się od śmiechu.

– Nieważne. Piszemy dalej. Wkrótce utworzysz słowo, które znasz.

Później oznajmił:

– Musisz ćwiczyć alfabet. Trochę to potrwa, zanim go opanujesz, ale dzięki temu coś już przeczytasz. Pokażę ci.

Nie miał podręcznika gramatyki, więc pierwszą książką Kyi został należący do jego ojca *Almanach Okręgu Sand* Aldo Leopolda. Tate wskazał palcem pierwsze zdanie i poprosił, żeby je przeczytała. Musiała wrócić do książki z alfabetem i poćwiczyć wymowę zgłosek, ale on był cierpliwy. Kiedy wreszcie dobrze połączyła zlepek liter ch, wyrzuciła ręce w górę i się roześmiała, a on patrzył na nią rozpromieniony.

Powoli rozszyfrowała wszystkie słowa w zdaniu: „Niektórzy mogą żyć z dala od natury, a niektórzy nie”.

– Umiesz czytać. Już nigdy nie będzie to dla ciebie problem.

– Nie chodzi tylko o to – odpowiedziała niemal szeptem. – Nie przypuszczałam, że słowa mogą znaczyć tak wiele i że zdanie może zawierać aż tyle treści.

Uśmiechnął się.

– To bardzo dobre zdanie. Nie wszystkie znaczą aż tyle.

*

Przez następne dni, siedząc na wygiętym, ocienionym konarze lub na zalanej słońcem plaży, Tate uczył Kyę czytać słowa, które opowiadały o przelatujących nad ich głowami gęsiach i żurawiach. A co by się stało, gdyby nie było gęsiej muzyki?, zastanawiała się.

Tate pomagał tacie, grywał z kolegami w bejsbol, a w przerwach kilka razy w tygodniu pojawiał się u Kyi. Bez względu na to, czym się akurat zajmowała – pieleniem ogródka, karmieniem kurcząt czy poszukiwaniem muszli – zawsze nasłuchiwała pomruku silnika jego łodzi.

Któregoś dnia, gdy czytali na plaży o tym, co sikorki jadają na lunch, spytała go:

– Mieszkasz z rodzicami w Barkley Cove?

– Z tatą.

Nie dopytywała, czy ma jeszcze jakichś innych krewnych. Pewnie jego mama też odeszła. Dziwne, właściwie chciała dotknąć jego dłoni, lecz jej palce nie były w stanie tego zrobić. Zapamiętała więc tylko błękitne żyłki po wewnętrznej stronie jego nadgarstka, tak misterne jak te na skrzydełkach os.

*

Siedząc wieczorami przy kuchennym stole, powtarzała to, co przerabiali w czasie lekcji, przy świetle lampy naftowej sączącym się przez okno i zalewającym nisko opadające gałęzie dębów. Panujące wokół, ciągnące się kilometrami ciemności rozświetlał tylko delikatny blask świetlików.

Kya starannie zapisywała słowa i w nieskończoność je powtarzała. Tate powiedział, że te długie to zlepek krótszych, więc się ich nie bała i za jednym zamachem opanowała tak różne wyrazy, jak „usiadł” i „czwartorzęd”. Nic dotąd nie sprawiło jej takiej radości jak nauka czytania. Nie umiała tylko pojąć, dlaczego Tate zaproponował to komuś takiemu jak ona, dziewczynie z biednej białej hołoty, i przede wszystkim dlaczego przychodził na polanę i znosił jej te piękne pióra. Nie spytała go o to w obawie, że będzie o tym rozmyślał i się zniechęci.

Wreszcie mogła oznaczyć swoje cenne znaleziska. Brała do ręki pióro, owada, muszlę lub kwiat, sprawdzała nazwy w książkach mamy i zapisywała je starannie na sklepowej torbie z szarego papieru.

– Jaka liczba następuje po dwadzieścia dziewięć? – spytała któregoś dnia Tate'a.

Spojrzał na nią. Wiedziała więcej niż ktokolwiek o pływach, gęsiach śnieżnych, orłach i gwiazdach, a nie potrafiła policzyć do trzydziestu. Nie okazał zdziwienia, żeby jej nie zawstydzać. Doskonale czytała spojrzenia.

– Trzydzieści – rzucił obojętnie. – Teraz pouczymy się podstaw rachowania. To proste. Przyniosę ci podręczniki.

Kya wczytywała się we wszystko – w instrukcję gotowania kaszy na torebkach, notatki Tate'a i bajki. Przez lata tylko udawała, że je czyta. Pewnego wieczoru z lekkim westchnieniem wzięła z półki stary egzemplarz Biblii. Usiadłszy przy stole, ostrożnie przerzuciła cienkie stronice, aż dotarła do tej, na której zapisane były dane całej rodziny. Jej imię umieszczono na samym dole, wraz z datą urodzin: „Panna Catherine Danielle Clark, 10 października 1945". Wędrując wzrokiem w górę listy, przeczytała imiona swojego rodzeństwa:

„Pan Jeremy Andrew Clark, 2 stycznia 1939".

– Jeremy – powiedziała na głos. – Jodie, nigdy nie myślałam o tobie jako o „panu Jeremym".

„Panna Amanda Margaret Clark, 17 maja 1937". Kya przebiegła po wpisie palcami. Przeczytała go kilka razy.

I dalej: „Pan Napier Murphy Clark, 4 kwietnia 1936".

– Murph, miałeś na imię Napier – wyszeptała.

Na samej górze najstarsza „Panna Mary Helen Clark, 19 września 1934". Kya znów przebiegła palcami po imionach i stanęły jej przed oczami ich twarze. Były rozmazane, lecz ujrzała ich wszystkich, jak siedzą przy stole, jedzą gulasz,

podają sobie chleb, a nawet się śmieją. Wstydziła się, że zapomniała ich imiona. Teraz, gdy je odnalazła, już nigdy ich nie zapomni.

Nad nazwiskami dzieci widniał napis: „Pan Jackson Henry Clark poślubił pannę Julienne Marię Jacques 12 czerwca 1933 roku”.

Kilka minut wpatrywała się w otwartą na stole Biblię. Oto jej rodzina.

Upływ czasu sprawia, że dzieci nie znają swoich rodziców w młodości. Kya nigdy nie ujrzy przystojnego Jake’a kroczącego zamaszyście do dystrybutora napojów w Asheville na początku lat trzydziestych dwudziestego wieku, przy którym wypatrzył Marię Jacques, piękność z czarnymi lokami i karmazynowymi ustami, przybyłą tu z wizytą z Nowego Orleanu. Przy koktajlu mlecznym wyjawił jej, że jego rodzice są właścicielami plantacji i że po skończeniu ogólniaka będzie studiował prawo, a potem zamieszka w rezydencji z kolumnadą.

Niestety, kiedy Wielki Kryzys się pogłębił, bank zlicytował ziemię Clarków i ojciec wypisał Jake’a ze szkoły. Przenieśli się do stojącej przy tej samej drodze małej sosnowej chaty, którą kiedyś – wcale nie tak dawno temu – zajmowali niewolnicy. Jake pracował na plantacji wraz z czarnymi, układając w stosy liście tytoniu; kobiety nosiły tam ze sobą dzieci przytroczone szalami do pleców.

Po dwóch latach Jake odszedł stamtąd nocą bez słowa pożegnania. Zabrał ze sobą tyle najlepszych ubrań i rodzinnych skarbów – w tym złoty kieszonkowy zegarek po pradziadku oraz brylantowy naszyjnik babci – ile zdołał unieść. Ruszył autostopem do Nowego Orleanu i odnalazł Marię mieszkającą z rodzicami w eleganckim domu nad oceanem. Była potomkinią francuskiego przedsiębiorcy, właściciela fabryki obuwia.

Jake zastawił swoją schedę w lombardzie i zabawiał dziewczynę w najlepszych restauracjach z czerwonymi aksamitnymi storami. Obiecywał, że kupi jej tę rezydencję z kolumnadą. Gdy przykląkł przed nią pod magnolią, przyjęła jego oświadczyny. W 1933 roku wzięli skromny kościelny ślub w obecności jej milczących krewnych.

Pieniądze szybko się skończyły, więc Jake przyjął posadę w fabryce obuwia teścia. Liczył, że obejmie kierownicze stanowisko, lecz pan Jacques, człowiek, którego niełatwo było nabrać, nalegał, by – jak każdy nowy pracownik – rozpoczął pracę na samym dole fabrycznej hierarchii. Jake zaczął od wycinania podeszew.

Zamieszkali z Marią w niewielkiej oficynie, gdzie eleganckie meble z jej posagu sąsiadowały ze stołami i krzesłami z pchlich targów. Jake zapisał się do wieczorowego liceum, lecz najczęściej urywał się z zajęć, by grać w pokera. Cuchnąc whiskey, wracał do żony coraz później. Ledwie po trzech tygodniach został usunięty z listy uczniów.

Maria zaklinała go, żeby przestał pić i okazywał więcej entuzjazmu dla pracy, co zaowocuje szybkim awansem. Tymczasem na świat przychodziły dzieci, a Jake pił dalej. Między rokiem 1934 a 1940 urodziło się ich czworo, a on awansował tylko raz.

Wojna z Niemcami zrównała go z innymi. Przywdziawszy taki sam mundur jak pozostali żołnierze, mógł zapomnieć o wstydzie i znów obnosić się ze swoją dumą. Którejś nocy, gdy siedział w rozmiękłym okopie we Francji, ktoś krzyknął, że sierżant został ranny i leży dwadzieścia metrów dalej, obficie krwawiąc. Wszyscy oni byli jeszcze chłopcami, powinni siedzieć na ławce rezerwowych i podekscytowani dobrym zagraniem czekać, aż wejdą na boisko. Mimo to bez wahania rzucili się, żeby ratować rannego – wszyscy oprócz jednego.

Jake skulił się przy ścianie, zbyt przerażony, by się ruszyć. Tuż za okopem wybuchł biało-żółtą łuną pocisk z moździerza i zmiażdżył mu kości w lewej nodze. Gdy pozostali doczołgali się tam z rannym sierżantem, uznali, że Jake oberwał, pomagając pozostałym ratować ich towarzysza. Okrzyknięto go bohaterem. Nikt nie znał prawdy, oprócz niego.

Odznaczyli go, wypisali z wojska ze względu na stan zdrowia i odesłali do domu. Jake poprzysiągł sobie, że nie wróci do fabryki butów. Został w Nowym Orleanie tylko kilka dni. Maria milczała, gdy sprzedał jej piękne meble i srebra. Potem zapakował rodzinę do pociągu i przenieśli się do Karoliny Północnej. Jake dowiedział się od znajomego, że jego rodzice zmarli, dzięki czemu mógł zrealizować swój plan.

Przekonał Marię, że zamieszkanie w chacie, którą zbudował jego ojciec, by wyprawiać się tu na ryby, pozwoli im zacząć wszystko od nowa. Nie będą musieli płacić czynszu, a on skończy szkołę. Kupił małą łódź rybacką w Barkley Cove i przewiózł nią przez rozlewiska rodzinę oraz cały dobytek, w tym parę eleganckich pudeł z kapeluszami. Gdy w końcu wpłynęli do laguny, gdzie w cieniu dębów przycupnęła kurza chatka z zardzewiałymi drucianymi moskitierami, Maria przytuliła najmłodsze z dzieci, Jodiego, i powstrzymała się od płaczu.

– Spokojna głowa – uspokajał ją tata. – W mig ją wyrychtuję.

Nigdy jednak nie wyremontował chaty ani nie skończył szkoły. Tuż po przyjeździe zajął się piciem i grą w pokera w barze Swamp Guinea, by zapomnieć o obrazach z okopu.

Maria robiła, co mogła, by stworzyć im dom. Kupiła na wyprzedaży pościel na sienniki i blaszaną wannę; prała pod kranem na podwórku, rozplanowała warzywnik i postanowiła hodować kury.

Niedługo po przyjeździe ubrała dzieci w odświętne stroje i wyprawiła się z nimi do Barkley Cove, żeby zapisać je do szkoły. Niestety, Jake drwił z edukacji i zwykle namawiał Murpha i Jodiego, by urywali się z lekcji i przynosili do domu wiewiórki lub ryby na kolację.

Tylko raz zabrał Marię na rejs motorówką w świetle księżyca. Owocem tej wyprawy było ich ostatnie dziecko, córka Catherine Danielle, zwana później Kyą, bo gdy pierwszy raz spytali, jak ma na imię, właśnie tak im się przedstawiła.

Z rzadka, kiedy był trzeźwy, Jake znów marzył, żeby skończyć szkołę i zapewnić rodzinie lepsze życie, lecz wspomnienia z okopu zawsze powracały. Kiedyś pewny siebie, zarozumiały, przystojny i wysportowany, nie mógł zdzierżyć osoby, którą się stał, więc sięgał po flaszkę. Wcześniej nic w życiu nie przychodziło mu tak łatwo jak teraz awantury, picie i przeklinanie renegatów z mokradeł.

17.

Przekroczenie progu

1960

Tego lata, kiedy Kya uczyła się czytać, któregoś dnia popłynęła do Skoczka.

– Mam do ciebie sprawę – oznajmił. – Byli tu tacy jedni, rozpytywali o ciebie.

Tym razem spojrzała mu prosto w oczy.

– Kto? Czego chcieli?

– Zdaje się, że z inspekcji szkolnej. O różne rzeczy pytali. Czy tata mieszka w domu, gdzie mama, czy pojawisz się jesienią w szkole. I kiedy tu bywasz, o której godzinie. To interesowało ich najbardziej.

– I co im powiedziałeś?

– Robiłem, co mogłem, żeby ich zbyć. Powiedziałem, że z tatą w porządku, tyle że często wyprawia się na ryby. – Roześmiał się, odchylając głowę. – I że nigdy nie wiem, kiedy się ciebie spodziewać. Nic się nie bój. Jeśli tu wrócą, spuszczę ich na drzewo.

– Dzięki.

Napełniwszy bak, Kya wróciła do domu. Teraz musi się mieć na baczności. Może powinna znaleźć jakąś kryjówkę na mokradłach, póki tamci nie odpuszczą.

Po południu, gdy przy brzegu zacumował Tate i kadłub jego łodzi delikatnie zaszorował po piasku, Kya spytała:

– Możemy się spotykać gdzieś indziej, że nie tutaj?

– Miło cię widzieć – powitał ją, wciąż siedząc przy sterze.

– No, to jak myślisz?

– Nie „że nie”, tylko „a nie”, a poza tym najpierw wypada się przywitać, a dopiero potem o coś pytać.

– Ty też mówisz czasami „że nie” – odparła, niemal z uśmiechem.

– Jak jesteś z jakiejś dziury w Karolinie Północnej, to zawsze coś palniesz, ale trzeba się starać.

– Dzień dobry panu – rzuciła, dygając. Tate wyczuł w tym wyzwanie i kpinę. – Możemy się spotykać gdzieś indziej, a nie tutaj?

– Pewnie tak. Czemu?

– Skoczek doniósł, że interesuje się mną opieka społeczna. Boję się, że wyciągną mnie jak leszcza i oddadzą do jakiejś rodziny zastępczej.

– No, to lepiej poszukajmy kryjówki tam, gdzie śpiewają raki, bo nie chciałbym być w skórze ludzi, którzy cię do siebie przyjmą. – Tate uśmiechnął się promiennie.

– Gdzie śpiewają raki? Tak mówiła moja mama: „Zapuszczaj się jak najdalej. Tam, gdzie śpiewają raki”.

– Czyli w głąb lasu, tam, gdzie żyją dzikie zwierzęta. Masz jakiś pomysł?

– Kiedyś trafiłam w takie miejsce. Stoi tam rozpadająca się chata. Jeśli znasz drogę, możesz dotrzeć tam łódką. Ja wiem, jak dojść na piechotę.

– Dobra, wskakuj. Poprowadzisz mnie, a następnym razem dopłynę sam.

– Jeśli tam będę, usypię tu kopczyk z kamieni przy kłodzie do cumowania. – Skinęła w stronę laguny. – A jeśli będę tutaj, przyjdę, jak usłyszę warkot silnika twojej łódki.

Popłynęli nieśpiesznie przez mokradła, potem, już na pełnym morzu, skręcili na południe, oddalając się od Barkley Cove. Kya kolebała się na dziobie, a wiatr wyciskał jej z oczu łzy, które ciekły po policzkach i łaskotały w uszy. Gdy dotarli do niewielkiej zatoczki, Kya pokierowała Tate'a przez wąski słodkowodny strumień, cały obrośnięty jeżynami. Kilka razy zdawało się, że to ślepy zaułek, ale wówczas dziewczyna uspokajała swego towarzysza gestem ręki i dalej przedzierali się przez jeżyny.

W końcu ich oczom ukazała się rozległa łąka, gdzie strumień mijał starą, jednoizbową, zawaloną z jednego końca chatę z bali. Niektóre nie wytrzymały próby czasu i teraz walały się wokół niczym bierki, a podtrzymywany tylko z jednej strony dach opadał jak przekrzywiony kapelusz. Tate wepchnął łódź w błotnistą ziemię. W milczeniu podeszli do drzwi.

Wewnątrz panował mrok i cuchnęło szczurzą uryną.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz tu zamieszkać, bo to wszystko w każdej chwili może się zawalić. – Tate poklepał ścianę. Wydawała się mocna.

– To tylko kryjówka. Zrobię zapas jedzenia na wypadek, gdybym miała zostać tu na dłużej.

Tate spojrzał na nią, gdy ich wzrok oswoił się już z ciemnością.

– Nie pomyślałaś, że warto pójść do szkoły? Od tego się nie umiera, a wtedy może dadzą ci spokój.

– Pewnie już wiedzą, że zostałam sama. Jeśli tam pójdę, dorwą mnie i umieszczą w rodzinie zastępczej. Zresztą jestem

już za stara na szkołę. Miałabym iść do pierwszej klasy? – Przeraziła się na myśl, że będzie siedziała na malutkim krzesełku z dzieciakami, które umieją literować wszystkie słowa i liczyć do pięćdziesięciu.

– Masz zamiar do końca życia mieszkać samotnie na bagnach?

– Lepsze to niż rodzina zastępcza. Tata straszył, że nas tam odda, jeśli będziemy niegrzeczni. Mówił, że to okropni ludzie.

– Nieprawda. Nie zawsze. W większości są mili i lubią dzieci.

– Czyli ty wolałbyś rodzinę zastępczą niż życie na bagnach? – spytała z ręką na biodrze, odchylając głowę.

Tate przez chwilę milczał.

– Przywieź sobie koce i zapałki, bo może być zimno. I kilka puszek sardynek, one się nie psują. Tylko żadnego świeżego jedzenia, bo zwabi niedźwiedzie.

– Niech se wabi.

– Se? Nie ma takiego słowa.

*

Już do końca lata Kya i Tate odbywali lekcje w tej zniszczonej chacie. Do połowy sierpnia przebrnęli przez *Almanach Okręgu Sand*, choć Kya nie umiała przeczytać jeszcze wszystkich słów, z większością sobie radziła. Dowiedziała się od Aldo Leopolda, że terasy zalewowe to przedłużenia rzek, które – jeśli zechcą – mogą znów je zagarnąć, a każdy ich mieszkaniec jest zdany na ich łaskę. Dowiedziała się też, dokąd gęsi odlatują na zimę i co oznacza określenie „gęsia muzyka”. Czułe słowa autora, które brzmiały niemal jak wiersze, nauczyły ją, że gleba to kolebka życia i jedno z najcenniejszych bogactw Ziemi; że osuszanie bagien wywołuje suszę na wielkich połaciach sąsiadujących z nimi pól, przyczyniając się do wyginięcia różnych gatunków

roślin i zwierząt; że niektóre ziarna leżą uśpione w wysuszonej ziemi przez dziesiątki lat, a gdy wreszcie powraca do niej woda, kiełkują i ukazują swoje prawdziwe oblicza. Takich cudów i prawd Kya nigdy nie poznałaby w szkole. Prawd, które powinni znać wszyscy, lecz które – choć oczywiste – pozostają tajemnicą tak jak te nasiona.

Spotykali się w chacie z bali kilka razy w tygodniu, choć Kya zwykle sypiała w domu bądź na plaży, z mewami. Musiała nazbierać drewna na podpałkę przed zimą i uczyniła z tego swój priorytet. Dźwigała je z bliska i z daleka i układała w schludny stosik między dwiema sosnami. Rzepa w warzywniku ledwo wychynęła ponad nawłoć, a mimo to Kya miała więcej warzyw dla siebie i jeleni, niż potrzebowała. Zebrała ostatnie kabaczki i buraki i zmagazynowała je w chłodnym miejscu pod schodami.

Przez cały czas nasłuchiwała, czy aby w piachu nie rzęzi jakieś auto, należące do ludzi, którzy będą chcieli ją stąd zabrać. Czasami, zmęczona swoją czujnością, szła do chaty z bali i owinąwszy się kocem, zasypiała na klepisku. Zbierała małże i wędziła ryby w takich porach, żeby Tate mógł je zawozić do Skoczka i przywozić jej towary ze sklepiku. Wszystko po to, żeby nie rzucać się w oczy.

*

– Pamiętasz, jak przeczytałaś swoje pierwsze zdanie i powiedziałaś, że słowa niosą w sobie wiele znaczeń?

– Pamiętam, a co?

– Dotyczy to zwłaszcza wierszy. Tam słowa nie służą tylko do opowiadania. Wywołują emocje, a czasami śmiech.

– Mama często czytała wiersze, ale żadnego nie pamiętam.

– Posłuchaj tego. Napisał go Edward Lear. – Tate wyjął złożoną kopertę i zaczął czytać:

Wtem Tatuś Długonogi
I Pan Rozwiane Ucho
Wbiegli w spienioną kipiel
I okrzyk im z piersi gruchnął;

Znaleźli bowiem łódeczkę
O żaglach różowo-szarych
I wyruszyli, tnąc fale,
Za morza ścielące się w dali.

– Te słowa mają taki sam rytm, jak fale uderzające o brzeg. – Oceniła Kya z uśmiechem.

Później rozpoczął się u niej etap pisania wierszy. Wymyślała je, pływając przez mokradła lub szukając muszli. Takie tam, głupie rymowanki. „Wzleciała z gałęzi mama modrosójka, też bym to zrobiła, gdybym miała piórka". Rozśmieszały ją i choć na chwilę pozwalały zapomnieć o samotności.

Któregoś dnia, późnym popołudniem, kiedy czytała przy kuchennym stole, przypomniała sobie o tomiku poezji należącym do mamy. Szukała tak długo, aż wreszcie znalazła. Opleciony dwiema sparciałymi gumkami, dawno stracił okładkę i był bardzo sfatygowany. Kya ostrożnie zdjęła gumki i wertowała kartki, wczytując się w notatki na marginesach. Na końcu była lista z numerami stron zawierających ulubione wiersze mamy.

Najpierw Kya trafiła na ten autorstwa Jamesa Wrighta:

Raptem samotny i zziębnięty,
Patrzyłem na puste podwórze,

Tęskniąc za tym, by przytulić
Me dziecię, rozgadane dziecię,
Roześmiane, szalone, nieposkromione…

Drzewa i słońce odeszły,
Wszystko odeszło, prócz nas.
Jego matka nuciła w tym domu,
Czekała z gorącą kolacją
I kochała nas, Bóg jeden wie jak,
A teraz ziemia nagle pociemniała.

Potem Kya przeczytała ten wiersz Galwaya Kinnella.

Kochałem…
Wypowiadałem wszystkie swe myśli
Słowami najczulszymi, jakie znałem. A teraz…
Ulżyło mi, że już po wszystkim,
Bo pod koniec czułem tylko żałość
Dla niegasnącej żądzy życia.
…Żegnaj.

Kya dotykała tych słów palcami, jakby były przesłaniem, jakby mama celowo je zaznaczyła, by ona przeczytała je w przyćmionym świetle lampy naftowej i zrozumiała. Nie było to nic wielkiego – nie był to odręczny list wetknięty do szuflady ze skarpetkami – ale zawsze coś. Kya czuła, że w tych słowach kryje się jakaś wewnętrzna moc, lecz nie potrafiła jej jeszcze uwolnić. Jeśli kiedyś zostanie poetką, odszyfruje to przesłanie.

*

Odkąd we wrześniu Tate rozpoczął naukę w ostatniej klasie liceum, nie mógł odwiedzać Kyi tak często jak do tej pory, ale gdy już się zjawiał, zawsze przywoził jej szkolne podręczniki. Nie wspomniał ani słowem, że te do biologii mogą być dla niej zbyt zaawansowane, dlatego z mozołem przedzierała się przez kolejne rozdziały; zawierały wiedzę, którą w normalnych warunkach musiałaby posiąść w ciągu czterech lat.

– Nie przejmuj się – uspokajał ją Tate. – Z każdą ponowną lekturą będziesz rozumieć coraz więcej.

I rzeczywiście tak było.

Gdy dnie stały się krótsze, znów spotykali się u niej, bo nie wystarczyłoby im czasu na dopłynięcie do chaty z bali. Lekcje zawsze odbywały się na dworze, lecz gdy pewnego ranka powiał wściekły wiatr, Kya napaliła pod kuchnią. Odkąd zniknął tata – czyli od ponad czterech lat – nikt nie przestąpił progu ich chaty. To, że Kya kogoś tam zaprosi, wydawało się jej nie do pomyślenia. Jedynym wyjątkiem był Tate.

– Chcesz posiedzieć przy piecu w kuchni? – spytała, kiedy już wyciągnął łódź na brzeg laguny.

– Chętnie – odpowiedział, starając się nie okazać zaskoczenia.

Gdy przestąpił próg, prawie przez dwadzieścia minut zachwycał się jej kolekcją piór, muszli, kości i gniazd. Kiedy wreszcie usiedli przy stole, Kya przysunęła krzesło tak, by być jak najbliżej niego. Ich ramiona i łokcie niemal się stykały.

Na co dzień Tate był bardzo zajęty, pomagając ojcu, więc czas dłużył się Kyi niemiłosiernie. Kiedyś, późnym wieczorem, pierwszy raz sięgnęła na półkę po powieść – *Rebekę* Daphne du Maurier – i przeczytała o miłości. Po jakimś czasie odłożyła ją i podeszła do szafy. Włożyła letnią sukienkę mamy i wirowała przed lustrem. Zarzucała włosami, kręciła biodrami i wyobrażała sobie, że Tate prosi ją do tańca i kładzie dłoń na jej plecach. Jakby była panią de Winter.

Nagle się zatrzymała i zgięta wpół zaczęła chichotać. A potem stanęła w bezruchu.

*

– Chodź tu, moje dziecko – rzuciła śpiewnie Mabel któregoś popołudnia. – Mam dla ciebie rzeczy. – Zwykle to Skoczek przywoził pudła dla Kyi, a gdy zjawiała się Mabel, najczęściej miała ze sobą coś wyjątkowego.

– No, śmiało, zabieraj. Naleję ci benzyny – zachęcił ją Skoczek i Kya wskoczyła na pomost.

– Spójrz no tylko. – Mabel przyłożyła brzoskwiniową sukienkę z kwiecistym wzorem pod szyfonowym wierzchem, najpiękniejszą, jaką Kya kiedykolwiek widziała, jeszcze ładniejszą niż letnia sukienka mamy. – W sam raz dla takiej księżniczki jak ty – dodała Mabel, przytrzymując ją Kyi pod szyją. Ta dotknęła sukienki i się uśmiechnęła. Później Mabel, stanąwszy tyłem do męża, pochyliła się z pewnym wysiłkiem i wyjęła z pudła biały stanik.

Kya pokryła się rumieńcem.

– Nie wstydź się, skarbie. Teraz już ci się przyda. A gdybyś chciała ze mną o czymś porozmawiać, o czymkolwiek, czego nie rozumiesz, daj mi znać, jasne?

– Tak. Dziękuję. – Kya upchnęła stanik na dnie pudła pod dżinsami, koszulkami, torebką groszku czarne oczko i słoikiem z drylowanymi brzoskwiniami.

Parę tygodni później, kołysząc się na falach i obserwując żerujące nad wodą pelikany, Kya poczuła nagły skurcz w żołądku. Nigdy nie cierpiała na chorobę morską, zresztą ten ból był inny niż wszystkie. Podpłynęła do Point Beach i usiadła na plaży. Ból stawał się coraz bardziej dotkliwy. Kya jęknęła, na

jej twarzy pojawił się grymas. Pewnie mam biegunkę, pomyślała.

Nagle usłyszała warkot silnika motorówki i zobaczyła tnącą fale łódź Tate'a. Gdy tylko ją dostrzegł, skręcił w stronę plaży. Kya zaklęła jak jej ojciec. Zawsze cieszyła się na widok Tate'a, ale nie tym razem, bo być może za chwilę będzie musiała w te pędy biec do lasu. Tymczasem on wyciągnął motorówkę na piasek obok jej łodzi i usiadł.

– Cześć. Co porabiasz? Właśnie do ciebie płynąłem.

– Tate, miło cię widzieć. – Chciała, żeby to zabrzmiało zwyczajnie, lecz żołądek nie dawał jej spokoju.

– Co ci jest? – spytał.

– W jakim sensie?

– Marnie wyglądasz. Co się dzieje?

– Chyba jestem chora. Okropnie boli mnie brzuch.

Tate spojrzał w morze i pogrzebał palcem w piasku.

– Może lepiej już idź – powiedziała Kya i spuściła głowę.

– Może jednak zostanę, póki nie dojdziesz do siebie. Pewnie sama nie dopłyniesz do domu?

– Muszę pójść do lasu. Zaraz zwymiotuję.

– Możliwe, ale po tym i tak ci nie przejdzie.

– Jak to? Przecież nie wiesz, co mi jest.

– Boli cię inaczej niż zwykle?

– Tak.

– Masz prawie piętnaście lat?

– Tak, ale co to ma do rzeczy?

Tate przez chwilę milczał. Wepchnął stopy głębiej w piach. Odwróciwszy wzrok, w końcu powiedział:

– Może to ta rzecz, którą mają dziewczyny w twoim wieku. Pamiętasz, kilka miesięcy temu przyniosłem ci taką ulotkę. Razem z podręcznikami do biologii. – Rzucił jej krótkie spojrzenie i zmieszany znów odwrócił wzrok.

Kya spuściła oczy i okryła się rumieńcem. Faktycznie, nie mogła o tym porozmawiać z mamą, ale opisano to w ulotce, którą jej przywiózł. Teraz przyszła pora na nią, by stać się kobietą – i dzieje się to na plaży, na oczach tego chłopaka! Poczuła przypływ wstydu i paniki. Co powinna zrobić? Właściwie co się stanie? Ile będzie tej krwi? Wyobraziła sobie, jak wsiąka w piasek. Nie odezwała się, ból był coraz silniejszy.

– Zdołasz dotrzeć do domu? – spytał, wciąż na nią nie patrząc.

– Chyba tak.

– Wszystko będzie dobrze. Każda dziewczyna przez to przechodzi. Wracaj do domu. Popłynę za tobą, żeby mieć pewność, że nic ci się nie stanie.

– Nie musisz.

– Już ty się o mnie nie martw. No już, ruszaj.

Wstał i podszedł do swojej łódki. Odpalił silnik, odpłynął i czekał dość daleko od brzegu, póki nie skierowała swojej motorówki we właściwą odnogę rozlewiska. Z daleka wydawał się tylko plamką na oceanie. Podążał za nią, póki nie dotarła do laguny. Stanąwszy na brzegu ze spuszczoną głową, pomachała do niego, unikając spojrzeń.

Tak jak w wielu innych sytuacjach, tak i teraz uznała, że poradzi sobie sama. Mimo to o świcie, gdy na niebie pojawiło się otulone gęstą mgłą blade słońce, postanowiła, że popłynie do Skoczka. Zbliżywszy się do pomostu, wypatrywała Mabel, choć wiedziała, że szansa, iż ją tam zastanie, jest mała.
I rzeczywiście, tylko Skoczek wyszedł jej na spotkanie.

– Cześć. Chcesz zatankować?

Nie wysiadając z łodzi, Kya odpowiedziała:

– Muszę porozmawiać z Mabel.

– Bardzo mi przykro, moje dziecko, ale dzisiaj jej tu nie ma. Może ja ci pomogę?

Spuściwszy głowę, Kya nalegała:

– Muszę koniecznie się z nią spotkać, jak najszybciej.

– No cóż… – Skoczek rozejrzał się po niewielkiej zatoce, by mieć pewność, że żadna łódź nie kieruje się w tę stronę. Wszyscy chętni do tankowania, o każdej porze dnia i nocy, nawet w święta Bożego Narodzenia, mogli liczyć, że go tu zastaną. Od pięćdziesięciu lat bywał tu codziennie, oprócz dnia, kiedy zmarł ich aniołek, maleńka Daisy. Nie mógł opuścić swojego posterunku. – Poczekaj tu. Skoczę na drogę i poproszę jakieś dzieciaki, żeby ją tu ściągnęły. Gdyby ktoś przypłynął, powiedz, że zaraz wrócę.

– Dobrze. Dziękuję.

Przebiegł po pomoście i zniknął, a Kya czekała, co kilka chwil zerkając na zatokę w obawie, że zaraz przypłynie jakaś łódka. Na szczęście Skoczek szybko wrócił z wiadomością, że wysłał już jakieś dzieci po Mabel i że „potrwa to sekundkę, zanim się tu zjawi”.

Potem zabrał się do wykładania tytoniu do żucia z pudeł na półki i krzątał się w swoim sklepiku. Kya pozostała w łodzi. W końcu nadbiegła Mabel z papierową torbą w ręce; pomost tak trząsł się pod jej ciężarem, jakby przesuwano po nim fortepian. Nie powitała jej jak zawsze jowialnie, lecz stanęła nad łódką i cichym głosem spytała:

– Dzień dobry, Kyu. O co chodzi, dziecko? Co się stało, słonko?

Spuściwszy głowę jeszcze niżej, Kya bąknęła coś, czego Mabel nie była w stanie dosłyszeć.

– Wysiądziesz z łódki czy ja mam do niej wskoczyć?

Kya nie odpowiedziała, więc ważąca prawie sto kilogramów Mabel stanęła najpierw jedną, a potem dwiema nogami na dnie niewielkiej motorówki, która zaprotestowała, obijając się o pomost. Kobieta usadowiła się na środkowej ławce twarzą do siedzącej na rufie Kyi.

– No, moje dziecko, powiedz, w czym rzecz.

Pochyliły ku sobie głowy i Kya coś wyszeptała. Mabel przytuliła ją do swej okazałej piersi i długo kołysała. Z początku Kya siedziała sztywno, nienawykła do takiej serdeczności, lecz Mabel bynajmniej to nie zraziło. W końcu ciało dziewczyny zwiotczało i zatopiło się w ramionach pocieszycielki. Po jakimś czasie Mabel pochyliła się i otworzyła szarą papierową torbę.

– Domyśliłam się, o co chodzi, dlatego coś ci przyniosłam – to powiedziawszy, wyjaśniła Kyi, co powinna zrobić. – To żaden wstyd ani klątwa, jak niektórzy mówią. To początek wszelkiego życia, które może zaistnieć tylko dzięki kobiecie. Właśnie się nią stałaś, dziecinko.

*

Gdy nazajutrz po południu Kya usłyszała warkot motorówki Tate'a, ukryła się w gęstych jeżynach i obserwowała go. Może i było to dziwaczne, ale przecież wiedział o najintymniejszym przeżyciu, jakiego kiedykolwiek doświadczyła. Spłoniła się, kiedy o tym pomyślała, i zamierzała pozostać w ukryciu, póki Tate nie odpłynie.

Dobiwszy do brzegu laguny, Tate wysiadł z łodzi z białym pudełkiem przewiązanym sznurkiem.

– Kya! Gdzie jesteś? – zawołał. – Przywiozłem ci babeczki z cukierni Parkera!

Kya nie jadła babeczek od wielu lat. Tate zabrał z łódki jeszcze jakieś książki, więc w końcu wychynęła z krzaków.

– Tu jesteś! Spójrz. – Otworzył pudełko. Były w nim równiutko ułożone, małe, może dwucentymetrowe ciasteczka polane lukrem waniliowym z maleńkimi różyczkami na wierzchu. – Śmiało, częstuj się.

Kya wzięła babeczkę i nadgryzła ją, nie patrząc na Tate'a, po czym wsadziła ją w całości do buzi i oblizała palce.

– Proszę, zjedz, ile chcesz. – Położył pudełko obok dębu. – No, to zaczynamy. Przywiozłem ci nową książkę.

I tak to się odbyło. Wrócili do nauki, nie zająknąwszy się ani słowem na tamten drugi, krępujący temat.

*

Nadciągała jesień. Wiecznie zielone rośliny nie zwróciły na to uwagi, w przeciwieństwie do platanów, które pyszniły się tysiącami złocistych liści na tle szarego jak łupek nieba. Któregoś popołudnia, po lekcji, gdy Tate zwlekał z powrotem do domu, przysiedli razem na pniu w lesie i Kya wreszcie zadała pytanie, które chciała mu zadać od wielu miesięcy.

– Tate, jestem ci wdzięczna za to, że mnie uczysz i za te wszystkie prezenty, ale… dlaczego to robisz? Nie masz dziewczyny?

– Nie. Miałem, ale już nie mam. Lubię tu przyjeżdżać, żeby pobyć w ciszy, i podoba mi się to, że interesują cię mokradła. Dla większości ludzi liczy się tylko to, że mogą tu wędkować. Traktują je jak ugór, który trzeba osuszyć i zagospodarować. Nie rozumieją, że dla przeważającej liczby stworzeń, w tym dla tych, które stanowią ich pożywienie, mokradła są niezbędne.

Nie wspomniał, że było mu żal, że jest taka samotna, że wie, jak przez lata traktowały ją inne dzieci, a mieszkańcy Barkley Cove nazywali Dziewczyną z Bagien i opowiadali o niej niestworzone rzeczy. Zakradanie się do jej chaty i zabawy w berka w ciemnym lesie były okoliczną tradycją, a dla chłopców czymś w rodzaju inicjacji. Jakie wystawiało im to świadectwo? Niektórzy już się zakładali, który pierwszy

„zerwie jej wisienkę”. Tate’a jednocześnie irytowało to i martwiło.

Jednak nie był to główny powód, dla którego zostawiał jej w lesie pióra, a teraz często ją odwiedzał. Żywił do niej silne uczucia, coś pomiędzy czułym przywiązaniem do nieżyjącej siostry i płomienną miłością do niej jako do dziewczyny. Sam nie bardzo umiał się w tym połapać, lecz nigdy przedtem niczego nie odczuwał z taką intensywnością. Były to emocje równie bolesne, co miłe sercu.

Wetknąwszy źdźbło trawy w dziurkę mrowiska, Kya wreszcie spytała:

– Gdzie jest twoja mama?

Lekka bryza zaszeleściła liśćmi drzew. Tate milczał.

– Nie musisz mówić, jak nie chcesz.

– Jeśli nie chcesz.

– Nie musisz mówić, jeśli nie chcesz.

– Moja mama i młodsza siostra zginęły w wypadku samochodowym w Asheville. Siostra miała na imię Carianne.

– Współczuję ci. Twoja mama na pewno była bardzo miła i ładna.

– Obie takie były – odparł Tate, wpatrzony w ziemię między swoje kolana. – Nigdy o tym nie mówiłem. Nikomu.

Ja też, pomyślała Kya, a na głos powiedziała:

– Moja któregoś dnia wyszła z domu i nie wróciła. Łanie zawsze wracają do swoich młodych.

– Tobie przynajmniej została nadzieja. Moja mama już na pewno nie wróci.

Zamilkli, a potem znów odezwał się Tate.

– Myślę, że… – Tu jednak urwał i spuścił wzrok.

Kya spojrzała na niego, ale on bez słowa wpatrywał się w ziemię.

– Myślisz, że co? Mnie wszystko możesz powiedzieć.

Ale Tate wciąż milczał. Wiedziała, że musi być cierpliwa, więc go nie pośpieszała.

Wreszcie wyszeptał:

– Myślę, że pojechały do Asheville, żeby kupić mi prezent na urodziny. Marzyłem o takim jednym rowerze, musiałem go mieć. W Western Auto ich nie było, więc pewnie pojechały do Asheville, żeby mi go kupić.

– Ale to, że miały wypadek, to nie twoja wina.

– Wiem, a mimo to mam wyrzuty sumienia. Teraz już nawet nie pamiętam, jaki to był rower.

Przysunęła się do niego, ale go nie dotknęła. Czuła jednak, jakby ich ramiona były niemal połączone. Zastanawiała się, czy on też to czuje. Chciała się przysunąć jeszcze bliżej, żeby delikatnie się o niego otrzeć, żeby go dotknąć. Była ciekawa, czy to zauważy.

I właśnie w tym momencie wzmógł się wiatr, a tysiące żółtych liści platanów oderwało się od gałęzi i poszybowało w górę. Jesienne liście nie opadają, tylko lecą. Nie śpieszą się, zwlekają, bo to ich jedyna szansa, by wzbić się ku niebu. Wirowały, trzepotały i wzlatywały na wietrze, odbijając promienie słońca.

Tate zerwał się z kłody i zawołał:

– Zobaczmy, ile liści złapiesz, nim opadną!

Kya wyskoczyła w górę i razem pląsali w deszczu opadających liści, łapiąc je rozpostartymi rękoma, nim dotknęły ziemi. Tate rzucił się ze śmiechem po jeden, który już prawie leżał u jego stóp, złapał go i przeturlał się, po czym wzniósł go w geście triumfu. Kya rozpostarła ramiona i oddała te, które złapała, wiatrowi. Gdy biegła wśród nich, lgnęły do jej włosów niczym złoto.

A potem, kiedy zrobiła obrót i wpadła na Tate’a, zamarli w tej pozie, patrząc sobie w oczy. Już się nie śmiali. Tate chwycił jej

ramiona, zawahał się, po czym pocałował ją w usta w deszczu spadających, tańczących wokół nich liści, cichych jak płatki śniegu.

Kya nie wiedziała, co to pocałunek; jej głowa i usta pozostały sztywne. Gdy się rozdzielili i na siebie spojrzeli, kombinowali, skąd im się to wzięło i co dalej. Tate delikatnie strącił liść, który opadł na jej włosy. Serce Kyi biło jak oszalałe. Żadna z niewydarzonych miłości, jakie przytrafiały się w jej rodzinie, nie była taka jak ta.

– Odtąd będę twoją dziewczyną?

Uśmiechnął się.

– A chciałabyś?

– Tak.

– Chyba jesteś jeszcze za młoda.

– Ale znam się na piórach. Założę się, że inne nie mają o tym pojęcia.

– No dobra.

Znów ją pocałował. Tym razem odchyliła głowę, a jej usta stały się miękkie. Pierwszy raz w życiu zaznała pełni szczęścia.

18.

Białe czółno

1960

Odtąd każde nowe słowo rozpoczynało się od chichotu, a każde zdanie od igraszek. Tate chwytał ją nagle i oboje się przewracali, trochę jak dzieci, a trochę nie – po czym turlali się w kępkach czerwonego jesienią szczawiu.

– Bądź chociaż przez chwilę poważna. Tabliczki mnożenia można się nauczyć wyłącznie na pamięć.

Napisał na piasku: 12 × 12 = 144, ale Kya przebiegła obok i zanurkowała w fale, odbiła się od dna, a potem płynęła dalej, aż podążył za nią do miejsca, gdzie taflę wody barwiło szaro-niebieskie światło, podkreślając zarys ich sylwetek, gładkich jak te morświnów. Później, słoni i zapiaszczeni, turlali się po plaży, spleceni ze sobą, jakby byli jednym.

Następnego dnia Tate przypłynął do laguny po południu, lecz po przybiciu do brzegu pozostał w łodzi. U jego stóp stał koszyk przykryty biało-czerwoną, kraciastą serwetą.

– Co to? Co mi przywiozłeś?

– Niespodzianka. No już, wskakuj.

Ruszyli przez leniwe odnogi mokradeł do oceanu, gdzie skierowali się na południe, do niewielkiej zatoczki w kształcie półksiężyca. Rozłożywszy koc na piasku, Tate ustawił na nim koszyk i kiedy usiedli, zsunął serwetę.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – powiedział. – Skończyłaś piętnaście lat. – W koszyku znajdował się dwuwarstwowy tort wysoki jak pudło na kapelusz, przyozdobiony różowymi muszelkami z lukru z jej imieniem na wierzchu. Otaczały go prezenty owinięte w kolorowy papier z przyklejonymi kokardkami.

Kya była tak oszołomiona, że aż otworzyła usta. Odkąd odeszła mama, nikt nie składał jej życzeń w urodziny. I jeszcze nigdy nie dostała tortu z cukierni ze swoim imieniem ani prezentów opakowanych w zdobny papier ze wstążeczkami.

– Skąd wiesz, że mam dziś urodziny? – Kya nie miała kalendarza ani pojęcia, że wypadają tego dnia.

– Z waszej Biblii.

Zaklinała go, żeby nie rozciął nożem jej imienia, kiedy kroił tort i nakładał dwa wielkie kawałki na talerze. Patrząc sobie w oczy, odłamywali go po trochu, wkładali do buzi, głośno mlaskali, oblizywali palce i śmiali się umorusani lukrem. Jedli ten tort tak, jak należy – tak jak wszyscy chcieliby jeść tort.

– Rozpakujesz prezenty? – spytał Tate z uśmiechem.

Pierwszy: małe szkło powiększające; „żebyś dostrzegła wszystkie detale skrzydeł owadów”. Drugi: srebrzysta plastikowa spinka przyozdobiona mewą z kryształu górskiego; „do włosów”. Tate niezdarnie uwolnił parę kosmyków zza jej ucha i je spiął. Kya dotknęła spinki. Piękniejsza niż ta mamy.

Ostatni prezent był w nieco większym pudełku. Kya znalazła w nim dziesięć słoiczków farb olejnych, pojemniczki z akwarelami i pędzle w różnym rozmiarze; „żebyś mogła malować obrazy”.

Uważnie przyjrzała się wszystkim kolorom i pędzlom.

– W razie czego przywiozę ci więcej. Nawet blejtramy, z Sea Oaks.

Pochyliła głowę.

– Dziękuję, Tate.

*

– Powoli, powolutku – poinstruował syna Scupper.

Tate, w otoczeniu sieci rybackich, szmat uwalanych smarem i przechadzających się pelikanów uruchamiał kabestan. Dziób Cherry Pie podskoczył na helingu, zadrżał i nasunął się na podwodne szyny w stoczni remontowej Pete'a, która mieściła się na koślawym pomoście i w przerdzewiałym hangarze dla łodzi i dysponowała jedyną wyciągarką w Barkley Cove.

– Dobra, w porządku, zaskoczył. Wyciągaj.

Tate zwiększył moc i kuter wczołgał się po szynach do suchego doku. Zabezpieczyli go linami i zeskrobywali plamiste pąkle z kadłuba przy akompaniamencie dobywających się z głośnika gramofonu arii wyśpiewywanych krystalicznym głosem przez Milizę Korjus. Najpierw zamierzali nałożyć podkład, a dopiero potem – jak co roku – warstwę czerwonej farby. Kolor wybrała matka Tate'a i Scupper w życiu by go nie zmienił. Od czasu do czasu odrywał się od skrobania, by wykonać swymi potężnymi ramionami kilka dyrygenckich ruchów.

Co prawda teraz, na początku zimy, Tate dostawał od ojca normalną stawkę za pracę, którą wykonywał po lekcjach i w weekendy, ale nie mógł już tak często odwiedzać Kyi. Nie wspomniał o tym Scupperowi; w ogóle mu o niej nie powiedział.

Zbijali pąkle aż do zmroku, kiedy nawet Scuppera rozbolały ręce.

– Nie chce mi się gotować, tobie pewnie też. Zjemy w barze.

Kiwnąwszy na powitanie wszystkim gościom – bo Scupper i Tate znali tu wszystkich – usiedli przy stoliku w kącie sali. Obaj zamówili danie dnia: stek z piersi kurczaka, tłuczone ziemniaki z sosem, rzepę i sałatkę coleslaw. Do tego pieczywo i placek z orzechami pekan i lodami. Przy sąsiednim stoliku czteroosobowa rodzina chwyciła się za ręce i spuściła głowy, gdy ojciec wypowiadał słowa dziękczynienia. Kiedy padło „amen", przesłali sobie całusy, uścisnęli dłonie i puścili w obieg koszyk z chlebem kukurydzianym.

– Synku, wiem, że przez tę pracę zaniedbujesz inne sprawy – rzucił Scupper. – Jesienią nie poszedłeś na szkolną potańcówkę, a nie chcę, żeby cię omijały takie rzeczy, bo to przecież już ostatnia klasa. Wkrótce duża impreza pod namiotem. Zaprosisz tam jakąś dziewczynę?

– Nie. Nie wiem, czy pójdę. Nie ma takiej, którą chciałbym zaprosić.

– W szkole nie ma ani jednej takiej?

– Nie.

– No cóż… – Scupper odchylił się na krześle, kiedy kelnerka stawiała przed nim jedzenie. – Dzięki, Betty. Nałożyłaś nam od serca.

Betty obeszła stolik i postawiła przed Tate'em jeszcze większą porcję.

– Jedzcie na zdrowie. Dokładki dania dnia gratis. – Uśmiechnęła się do Tate'a i ruszyła do kuchni, jeszcze bardziej kołysząc biodrami.

– Moje szkolne koleżanki to kretynki. Gadają wyłącznie o fryzurach i szpilkach.

– Jak to dziewczyny. Czasami trzeba brać, co dają.

– Może.

– Synku, nie słucham plotek, nigdy nie słuchałem, ale w miasteczku aż huczy, że ponoć kręcisz się koło tej dziewczyny z mokradeł.

Tate uniósł ręce.

– Zaczekaj – poprosił Scupper. – Nie wierzę w to, co o niej wygadują. Pewnie jest miła. Ale bądź ostrożny. Nie śpiesz się z płodzeniem dzieci. Rozumiemy się?

– Najpierw mówisz, że nie wierzysz w to, co o niej wygadują, a potem, żebym nie śpieszył się z płodzeniem dzieci – syknął Tate. – Czyli jednak wierzysz. Ale coś ci powiem. Ona nie z tych. Jest bardziej niewinna niż te, z którymi chciałbyś mnie wysłać na tańce. Miasteczkowe dziewuchy! Są jak wataha wader, byle dopaść zdobycz! Owszem, spotykam się z Kyą. Wiesz dlaczego? Uczę ją czytać, bo tutejsi mieszkańcy są tak wredni, że przez nich nie mogła chodzić do szkoły!

– W porządku. To bardzo szlachetne. Ale zrozum, że ojciec musi uświadamiać syna w takich sprawach. Może nie jest to przyjemny temat, ale rodzice powinni przestrzegać swoje dzieci. Od tego jestem, więc się nie wkurzaj.

– Wiem – mruknął Tate, smarując bułkę masłem. Był wkurzony.

– Dobra, poprośmy o dokładkę, a potem placek z orzechami!

Kiedy placek pojawił się już na stole, Scupper ponownie podjął temat.

– Skoro już rozmawiamy szczerze, to chcę ci powiedzieć coś jeszcze.

Tate przewrócił oczami.

– Chcę, żebyś wiedział, że jestem z ciebie dumny. Sam z siebie interesujesz się mokradłami, świetnie się uczysz, złożyłeś papiery na biologię i cię przyjęli. Zwykle nie lubię gadać o takich rzeczach, ale naprawdę jestem z ciebie dumny. Gra?

– Gra.

Już w domu, w swoim pokoju, Tate zadeklamował fragment swojego ulubionego wiersza:

Och, kiedyż ujrzę mroczne jezioro
I białe czółno mej lubej?

Kiedy tylko nadarzyła się okazja i nie musiał pracować, odwiedzał Kyę, lecz zwykle na krótko. Czasami płynął czterdzieści minut, żeby przez dziesięć spacerować z nią po plaży, trzymając ją za rękę. Ciągle się całowali. Nie chcieli stracić ani chwili. A potem Tate musiał wracać, chociaż pragnął dotknąć jej piersi; zabiłby, by móc choć na nie spojrzeć. Leżąc nocą, rozmyślał o jej udach, o tym, jakie muszą być miękkie i jędrne. Wyobrażając sobie, co jest wyżej, miotał się w pościeli. Ale była taka młoda i nieśmiała. Gdyby popełnił jakiś błąd, mógłby ją skrzywdzić jeszcze bardziej niż chłopcy, którzy prześcigali się w opowieściach, jak to ją przelecą. Pragnienie, by ją chronić, było równie silne jak to drugie. Czasami.

Zawsze kiedy się do niej wyprawiał, zabierał podręczniki lub książki z biblioteki, zwłaszcza te o zwierzętach żyjących na bagnach i poświęcone biologii. Postępy, jakie robiła, były zadziwiające. Teraz mogła już przeczytać wszystko, a skoro tak, to mogła się wszystkiego nauczyć. Zależało to od niej.

– Jeszcze nikt nie wykorzystał możliwości mózgu do końca – tłumaczył jej. – Jesteśmy jak żyrafa, która nie używa swojej długiej szyi, żeby dosięgnąć najwyżej rosnących liści.

Kya spędzała długie godziny przy lampie naftowej, czytając o tym, jak rośliny i zwierzęta z czasem ulegają przemianom, by przystosować się do zmiennych warunków panujących na Ziemi; jak niektóre komórki dzielą się i przekształcają w płuca lub serca, a inne pozostają komórkami macierzystymi na

wypadek, gdyby organizm potrzebował ich później. Ptaki zwykle śpiewają o świcie, bo wtedy jest chłodno i wilgotne poranne powietrze niesie ich trele i zawarte w nich sygnały dużo dalej. Kya od urodzenia obserwowała te zjawiska, więc bez trudu pojmowała mechanizmy natury i próbowała znaleźć w nich odpowiedź na pytanie, dlaczego matka zostawia swoje młode.

*

Któregoś dnia, kiedy było już zimno, długo po tym, jak platany straciły liście, Tate wysiadł z łódki z prezentem zapakowanym w czerwono-zielony papier.

– Ja nic dla ciebie nie mam – zafrasowała się Kya, kiedy wręczył jej pakunek. – Nie wiedziałam, że dziś Gwiazdka.

– Coś ty, jaka Gwiazdka? – skłamał z uśmiechem. – Daj spokój, to nic wielkiego.

Kya ostrożnie rozpakowała prezent. Okazało się, że to używany słownik Webstera.

– Och, Tate, dziękuję!

– Zajrzyj do środka – nalegał. W części z hasłami na literę „P” znalazła pióro pelikana, między dwiema stronami z hasłami na „N” niezapominajki, a w sekcji z hasłami na „G” ususzony grzyb. Tate upchnął tam tyle skarbów, że słownik ledwo się domykał. – Postaram się przypłynąć tuż po świętach. Może przywiozę ci pieczonego indyka. – Pocałował ją na pożegnanie.

Kiedy odpłynął, Kya głośno zaklęła. Odkąd odeszła mama, wreszcie miała okazję obdarować kogoś, kogo kocha, i ją zmarnowała!

Kilka dni później, drżąc z zimna w brzoskwiniowej szyfonowej sukience bez rękawów, czekała na niego na brzegu laguny. Drepcząc nerwowo, tuliła do piersi prezent – kępkę

piórek z głowy samca kardynała – który zapakowała w papier z prezentów od niego. Gdy tylko wysiadł z łódki, wcisnęła mu go w dłoń i nalegała, by natychmiast go obejrzał.

– Dzięki, Kyu! Takich nie miałem.

Była uszczęśliwiona.

– Lepiej wejdźmy do domu. Musiałaś zmarznąć w tej sukieneczce.

W chacie było ciepło, bo napaliła pod kuchnią, ale Tate nalegał, żeby przebrała się w dżinsy i sweter.

Podgrzali jedzenie, które przywiózł: indyka, zapiekankę z chlebem kukurydzianym, sos żurawinowy, zapiekankę z patatami i placek z dynią – wszystko, co zostało ze świątecznej kolacji, na którą wybrał się z ojcem do baru. Kya upiekła jeszcze ciasteczka. Zjedli przy stole w kuchni, który przystroiła gałązkami ostrokrzewu i muszelkami.

– Pozmywam – powiedziała, przelewając do miski zagotowany na piecu wrzątek.

– Pomogę ci. – Stanął za nią i oplótł rękami. Odchyliła głowę i przymknęła oczy. Wsunął palce pod jej sweter i powoli przejechał po gładkim brzuchu ku piersiom. Jak zwykle była bez stanika. Pieścił jej sutki. Mimo że tam się zatrzymał, poczuła biegnący w dół dreszcz, jakby przesunął dłonie między jej uda. Ogarnął ją głód, który musiała natychmiast zaspokoić, ale nie wiedziała, co z tym dalej zrobić ani co powiedzieć, więc się odsunęła.

– W porządku – rzucił i tylko ją tulił. Oboje dyszeli.

*

Słońce, wciąż nieśmiałe i pokorne wobec zimy, wyglądało czasami zza chmur w dni przesycone porywistym wiatrem i ulewnym deszczem. Nieoczekiwanie któregoś popołudnia

zjawiła się wiosna i została już na dobre. Zrobiło się cieplej, a niebo lśniło jak wypolerowane. Kya przemawiała cicho do Tate'a, gdy szli porośniętym trawą brzegiem głębokiego strumienia, nad którym zwieszały się gałęzie wysokich ambrowców. Tate nagle chwycił ją za rękę i uciszył. Podążyła za jego wzrokiem i zobaczyła piętnastocentymetrową ropuchę, która przycupnęła nad wodą. Widok niby zwyczajny, tyle że ta była całkowicie biała.

Kya i Tate uśmiechnęli się i obserwowali ją, póki jednym susem nie wskoczyła do wody. W milczeniu wycofali się o jakieś pięć metrów w zarośla. Kya zakryła usta dłońmi i zachichotała, po czym odskoczyła od Tate'a z wdziękiem, jak dziewczynka, choć już nią nie była.

Tate przypatrywał się jej przez chwilę, zapomniawszy o żabie. Jego spojrzenie kazało się Kyi zatrzymać pod rosłym dębem. Chwycił ją za ramiona i pchnął na jego pień. Przytrzymując jej ręce, całował ją i napierał na jej krocze. Od Gwiazdki całowali się i poznawali swoje ciała – powoli, nie tak jak teraz. To Tate przejmował inicjatywę, ale zawsze szukał u Kyi przyzwolenia. Nie tym razem.

Odsunął się, przeszywając ją głębokim spojrzeniem swoich złocistopiwnych oczu. Powoli rozpiął i ściągnął jej bluzkę, spod której wyłoniły się nagie piersi. Zlustrował je nieśpiesznie i podrażnił sutki palcami. Potem rozpiął jej szorty, które opadły na ziemię. Pierwszy raz była w jego obecności prawie naga i dysząc, próbowała zakryć się dłońmi. Delikatnie je przytrzymał i napawał się widokiem jej ciała. Czuła pulsowanie w kroczu, jakby spłynęła tam cała krew. Tate ściągnął szorty i – pobudzony, wciąż w nią wpatrzony – przywarł do niej.

Kiedy się odwróciła onieśmielona, uniósł jej podbródek i wyszeptał:

– Spójrz na mnie. Spójrz mi w oczy, Kya.

– Tate, Tate! – Próbowała go pocałować, lecz ją powstrzymał i zmusił, by na niego popatrzyła. Nie miała pojęcia, że dzika nagość może wywoływać taką żądzę. Sięgnął dłońmi między jej uda, a ona instynktownie je rozchyliła. Masował palcami części jej ciała, o których istnieniu nawet nie miała pojęcia. Odchyliła głowę i zajęczała.

Raptem oderwał się od niej i cofnął o krok.

– Boże, Kyu, przepraszam! Przepraszam.

– Tate, proszę cię, ja chcę.

– Ale nie tak.

– Czemu?

Chwyciła go za barki i próbowała przyciągnąć.

– Czemu? – powtórzyła.

Pozbierał rzeczy i ją ubrał. Nie dotknął już Kyi tam, gdzie pragnęła być dotykana i wciąż czuła tętniącą krew. Wziął ją na ręce, przeniósł na brzeg strumienia, położył na trawie i sam usiadł obok.

– Pragnę cię ponad wszystko, na zawsze, ale jesteś za młoda, masz dopiero piętnaście lat.

– I co z tego? Jesteś tylko cztery lata starszy, czyli znów nie taki dorosły.

– I nie jestem jeszcze gotowy na dzieci. Nie chcę cierpieć. Nie zrobię tego, bo cię kocham.

„Kochać”. Kya nie potrafiła teraz pojąć, co oznacza to słowo.

– Wciąż masz mnie za małą dziewczynkę – powiedziała z wyrzutem.

– Bo z każdą chwilą coraz bardziej się tak zachowujesz. – Uśmiechnął się i przyciągnął ją do siebie.

– Czyli kiedy?

– Jeszcze nie teraz.

Przez chwilę milczeli, po czym Kya spytała:

– Skąd wiedziałeś, co robić? – Spuściła głowę, znów onieśmielona.

– Ty też to wiedziałaś.

*

Któregoś majowego popołudnia, gdy wracali znad laguny, Tate oznajmił:

– Wiesz, że wkrótce wyjeżdżam na studia.

Mówił jej, że wybiera się na uniwersytet stanowy w Chapel Hill, ale wyparła tę informację, bo cieszyła się, że mają przed sobą całe lato.

– Kiedy? Chyba nie teraz?

– Niedługo. Za kilka tygodni.

– Ale dlaczego? Przecież studia zaczynają się jesienią.

– Przyjęli mnie do pracy w uczelnianym laboratorium biologicznym. Nie zmarnuję takiej szansy. Dlatego zaczynam już latem.

Spośród wszystkich, którzy opuścili Kyę, tylko Jodie się z nią pożegnał. Reszta przepadła bez śladu, lecz nie było to dla niej żadne pocieszenie. Krwawiło jej serce.

– Będę przyjeżdżał, jak tylko będę mógł. To nie tak daleko, niecały dzień jazdy autobusem.

Kya milczała, aż w końcu spytała:

– Dlaczego musisz wyjechać? Czemu nie możesz zostać i łowić krewetek jak twój tata?

– Wiesz dlaczego. Chcę zostać biologiem, badaczem mokradeł.

Doszedłszy do plaży, usiedli na piasku.

– A potem? Tu nie znajdziesz takiej pracy. Już nigdy tu nie wrócisz.

– Wrócę. Nie zostawię cię. Przyrzekam. Wrócę do ciebie.

Zerwała się na równe nogi, płosząc siewki, które z krzykiem wzleciały ku niebu. Pobiegła do lasu. Tate podążył za nią, lecz gdy dotarł do linii drzew, przystanął i rozejrzał się wokół. Już go zgubiła.

W nadziei, że jeszcze go usłyszy, zawołał:

– Kya, nie możesz zawsze uciekać! Czasami warto porozmawiać, zmierzyć się z problemem! – Po czym, straciwszy cierpliwość, dorzucił: – Kya, do cholery!

*

Po tygodniu znów usłyszała pomruk jego motorówki w lagunie i skryła się za krzakiem. Kiedy płynął kanałem, czapla z wolna rozpostarła swoje srebrzyste skrzydła. Kya miała ochotę uciec, wyszła jednak na brzeg i czekała.

– Cześć! – przywitał się. Pierwszy raz nie miał na głowie czapeczki i niesforne blond włosy powiewały na wietrze wokół jego ogorzałej twarzy. Kya miała wrażenie, że w ciągu ostatnich miesięcy jego barki stały się szersze, jak u dorosłego mężczyzny.

– Cześć – odpowiedziała.

Wysiadł z łódki, chwycił ją za rękę i poprowadził do konaru dębu, na którym usiedli.

– Okazuje się, że muszę wyjechać wcześniej, niż myślałem. Nie będzie mnie na rozdaniu świadectw, bo zaczynam pracę. Przyjechałem, żeby się pożegnać. – Nawet w jego głosie pobrzmiewało coś męskiego, gotowość na większe wyzwania.

Kya odwróciła wzrok i nie odpowiedziała. Miała ściśnięte gardło. Położył u jej stóp dwa worki z podręcznikami i książkami, głównie naukowymi, których nie chcieli już w bibliotece.

Nie wiedziała, czy zdoła wydusić z siebie choćby słowo. Pragnęła, by znów zabrał ją w to miejsce, gdzie napotkali białą

ropuchę. Skoro mógł nie wrócić, to chciała, żeby posiadł ją tu i teraz.

– Będę za tobą tęsknił. Codziennie, całymi dniami.

– Albo o mnie zapomnisz, bo będziesz miał na głowie studia i poznasz mnóstwo pięknych dziewczyn.

– Nie zapomnę, nigdy. Czuwaj nad mokradłami, póki nie wrócę, i bądź ostrożna.

– Będę.

– Mówię poważnie. Uważaj na ludzi, nie dopuszczaj do siebie obcych.

– Zawsze się przed nimi ukryję albo im ucieknę.

– Pewnie tak. Przyjadę za miesiąc, obiecuję. Na Dzień Niepodległości, czwartego lipca. Wrócę, zanim się obejrzysz.

Milczała. Wstał i wbił dłonie w kieszenie dżinsów. Stanęła obok, lecz oboje odwrócili wzrok, wpatrując się w drzewa.

Chwycił ją za ramiona i długo całował.

– Do widzenia, Kyu.

Zerknęła ponad jego ramię, a potem spojrzała mu w oczy, w otchłań jego duszy, którą znała tak dobrze.

– Do widzenia, Tate.

Bez słowa wsiadł do łodzi i ruszył przez wody laguny. Zanim zaniknął w gęstych zaroślach u wylotu kanału, obejrzał się i pomachał. Kya wyciągnęła rękę nad głowę, a potem przyłożyła dłoń do serca.

19.

On coś tam kręcił

1969

Rankiem ósmego dnia po odnalezieniu na bagnach zwłok Chase'a, przeczytawszy drugi raport z laboratorium, zastępca szeryfa Purdue pchnął nogą drzwi gabinetu szefa i wszedł do środka. Niósł dwa papierowe kubki z kawą i torbę z gorącymi pączkami świeżo wyciągniętymi z frytownicy.

– Kurczę, zapach cukierni Parkera! – rozmarzył się Ed, gdy Joe postawił na biurku przesiąkniętą tłuszczem szarą papierową torbę. Obaj wyjęli z niej po wielkim ciastku. Po chwili ze smakiem mlaskali i oblizywali palce z lukru.

– Nawijaj – zachęcił podwładnego Ed.

– Wiem z kilku źródeł, że Chase kręcił coś na mokradłach.

– „Kręcił"? W jakim sensie?

– Tego nie wiem, ale kilku gości z Dog-Gone twierdzi, że jakieś cztery lata temu zaczął często samotnie wyprawiać się na bagna i bardzo się z tym krył. Na ryby albo popływać łódką z kumplami też się wybierał, ale często wypływał sam. Pomyślałem, że skumał się ze zjarusami albo jeszcze gorzej.

Może się zadłużył u jakiegoś łobuza, handlarza prochów? Sypiasz z kundlami, łapiesz pchły albo – jak w tym przypadku – któregoś dnia nie wstajesz.

– Czy ja wiem? To sportowiec. Nie wyobrażam sobie, żeby władował się w prochy – odparł szeryf.

– Były sportowiec. Wielu z nich ćpa. Sława przemija, więc szukają podniet gdzie indziej. A może przygruchał tam sobie jakąś?

– Z tego co wiem, nie ma tam kobiet w jego typie. Zadawał się wyłącznie z elitą z Barkley Cove, nie z hołotą.

– Może uznał, że się zeszmacił, i dlatego trzymał to w tajemnicy?

– Może. Tak czy owak, jeśli faktycznie coś tam kręcił, to jest to obszar jego życia, o którym nie mieliśmy pojęcia. Powęszmy, zobaczmy, co tam kombinował.

– Wspomniałeś, że ty też coś masz.

– Tylko jeszcze nie wiem co. Dzwoniła jego matka. Ma nam coś ważnego do przekazania w tej sprawie. Chodzi o jakiś wisiorek z muszlą, z którym się nie rozstawał. Jest pewna, że to właściwy trop. Przyjedzie tu, żeby nam o tym opowiedzieć.

– Kiedy?

– Po południu, czyli niedługo.

– Fajnie byłoby mieć jakiś konkret. Lepsze to niż szukanie ubranego w czerwony wełniany sweter faceta mającego motyw, żeby sprzątnąć Chase'a. Przyznaj, że jeśli to zabójstwo, to bardzo cwane. Bagna zatarły wszelkie ślady, jeśli takie były. Zdążymy zjeść lunch, zanim zjawi się tu Patti Love?

– Spokojnie. Dzisiejsze danie dnia: schabowe i placek z jeżynami.

20.

Czwarty lipca

1961

Czwartego lipca ubrana w już trochę przykrótką brzoskwiniową szyfonową sukienkę Kya ruszyła boso nad lagunę i usiadła na konarze dębu. Okrutne słońce przegnało ostatnie wstążki mgły, lecz w powietrzu zalegało tyle wilgoci, że nie było czym oddychać. Kya od czasu do czasu przyklękała i ochlapywała rzeźwiącą wodą kark, nasłuchując warkotu motorówki Tate'a. Nie przeszkadzało jej, że czeka; czytała w tym czasie książki, które jej podarował.

W palącym słońcu dzień wlókł się niemiłosiernie. Konar stawał się coraz bardziej niewygodny, aż w końcu Kya usiadła na ziemi i oparła się o pień drzewa. Wygłodniała pośpieszyła do chaty, gdzie zjadła parówkę i kromkę chleba. Zrobiła to szybko w obawie, że Tate przypłynie w momencie, gdy opuściła swój posterunek.

Parny wieczór przyciągnął komary. Ani łódki, ani Tate'a. O zmierzchu stanęła nieruchomo jak bocian, wpatrując się w pusty kanał. Oddech sprawiał jej ból. Zdjąwszy sukienkę,

weszła do wody i pływała w chłodnym mroku; woda pieściła jej skórę, uwalniając nagromadzony wewnątrz skwar. Po kąpieli przysiadła naga na omszałym brzegu laguny, by wyschnąć, i została tam, póki nad horyzont nie wychynął księżyc. Wzięła ubranie i wróciła do chaty.

Nazajutrz też czekała. Do południa z każdą godziną było coraz goręcej, po południu – upalnie, a po zachodzie słońca serce jej biło coraz niespokojniej. Potem księżyc dał jej jeszcze nadzieję, odbijając się w wodzie, ale i on w końcu zniknął. Kolejny wschód słońca, kolejne rozgrzane do czerwoności południe. Kolejny zachód. Nadzieja zgasła. Spojrzenie Kyi zobojętniało i choć wciąż nasłuchiwała pomruku łodzi, to już nie w napięciu.

Laguna pachniała jednocześnie życiem i śmiercią, organiczną mieszaniną obietnicy i rozkładu. Rechotały żaby. Kya tępo wpatrywała się w bazgrzące po niebie świetliki. Nigdy nie łapała ich do słoików; „dowiesz się o nich o wiele więcej, kiedy nie są zamknięte w szkle”. Jodie powiedział jej, że samice włączają światełko na odwłoku, by zasygnalizować samcom, że są gotowe do godów. Różne ich odmiany mają własny język takich sygnałów. Teraz Kya zauważyła, że niektóre wysyłają komunikat „kropka-kropka-kropka-kreska”, a inne „kreska-kreska-kropka”. Rzecz jasna, samce znają te sygnały i podlatują tylko do samic swojego gatunku. Jodie wyjaśnił jej także, że – jak to ujął – owady ocierają się odwłokami, żeby spłodzić młode.

Nagle coś przykuło jej uwagę – jedna z samic zmieniła kod. Najpierw wysłała typowy sygnał, przyciągnęła samca i połączyła się z nim w parę. Potem wysłała inny i podleciał do niej samiec obcego gatunku. Był przekonany, że znalazł gotową na gody partnerkę tej samej odmiany i zawisł nad nią, by mogli

się połączyć. Tymczasem samica chwyciła go w otwór gębowy i zjadła – całego, z sześcioma nóżkami i obojgiem skrzydeł.

Kya przyglądała się innym osobnikom. Samice zawsze stawiały na swoim – najpierw partner do rozpłodu, potem posiłek – zmieniając sygnały.

Wiedziała, że nie należy tego oceniać. Zło nie miało tu nic do rzeczy – po prostu tak pulsuje życie, czasami kosztem niektórych graczy. Z punktu widzenia biologii dobro i zło mają tę samą barwę.

Poczekała na Tate'a jeszcze godzinę, a później wróciła do chaty.

*

Rankiem, przeklinając ostatki okrutnej nadziei, znów poszła nad lagunę. Usiadła na brzegu i nasłuchiwała odgłosu łodzi pyrkającej po kanale lub na odległym rozlewisku.

W południe wstała i krzyknęła:

– Tate! Tate! Nie! Nie! – Potem padła na kolana i wtuliła twarz w błoto. Coś znowu ją oplotło, ten znany już tak dobrze zew.

21.

Krogul

1961

Gorący wiatr rozrzucał liście palmiczek niczym małe wysuszone kości. Odkąd Kya postawiła krzyżyk na Tacie, minęły trzy dni, które spędziła w łóżku – udręczona rozpaczą i skwarem, miotała się w mokrej od potu pościeli, w ubraniu, które kleiło się jej do skóry. Wysyłała na zwiady palce u nóg w poszukiwaniu chłodniejszych miejsc na sienniku, lecz ich nie znalazła.

Nie zauważała wschodów księżyca, umknęło jej, gdy wielki puchacz zapikował za dnia, by pochwycić sójkę. Do chaty docierały odgłosy mokradeł, choćby trzepot skrzydeł wzbijających się do lotu kosów, lecz Kya nie wychodziła na dwór. Liczyła, że ból wywołany tą obojętnością pomoże zasklepić się ranie w jej sercu – tak się jednak nie stało.

Wyczerpana myślała, cóż takiego zrobiła, że wszyscy ją porzucają. Własna matka. Siostry. Cała rodzina. Jodie. A teraz Tate. Jej najgorsze wspomnienia łączyły się z dniami, których dat nie znała, kiedy to jej najbliżsi krewni znikali za zakrętem

drogi. Migająca między liśćmi biała chustka. Sterta skarpetek pozostawionych na sienniku.

Tate był jej życiem i miłością. Teraz nie było już Tate'a.

– Dlaczego, Tate, dlaczego? – wymamrotała w poduszkę. – Miałeś być inny, miałeś zostać. Mówiłeś, że mnie kochasz, ale miłość nie istnieje. Na nikim na tym świecie nie można polegać.

Na samym dnie duszy poprzysięgła, że już nikomu nie zaufa ani nikogo nie pokocha.

Zawsze odnajdywała w sobie siłę, by otrząsnąć się z nieszczęścia i zrobić następny krok, nawet najbardziej ryzykowny. I co dziś z tego miała?

Raz po raz zapadała w płytki sen i wkrótce się budziła. Nagle na jej twarz padł promień ostrego, palącego słońca. Jeszcze nigdy w życiu nie spała do południa. Usłyszała cichy szelest i wsparłszy się na łokciu, zobaczyła przez moskitierę krogulca czarnołbistego wielkości kruka, który zaglądał do wnętrza chaty. Pierwszy raz od kilku dni coś wzbudziło jej zainteresowanie. Wstała dokładnie w chwili, kiedy ptak odleciał.

Ugotowała kaszę i poszła na plażę nakarmić mewy. Gdy tam dotarła, krążyły i nurkowały, a ona uklękła na piasku i rzucała im pokarm. Czuła pióra tłoczących się wokół niej ptaków, muskające jej ramiona i uda. Odchyliła głowę i uśmiechała się do nich, choć po jej policzkach płynęły łzy.

*

Od czwartego lipca przez miesiąc Kya nigdzie się nie wyprawiała, nie pływała po mokradłach ani po zakupy i benzynę do Skoczka. Jadła suszone ryby, małże, ostrygi, kaszę i warzywa.

Kiedy półki opustoszały, w końcu popłynęła do Skoczka, ale nie gawędziła z nim jak zwykle. Załatwiła sprawunki i zostawiła go wpatrzonego w nią na pomoście. Potrzeba kontaktu z ludźmi przyniosła jej tylko cierpienie.

Po paru dniach, rankiem, krogulec znów przysiadł na stopniach ganku i przypatrywał się jej przez moskitierę. Dziwne, pomyślała, wystawiając ku niemu twarz.

– Cześć, Krogul.

Ptak podskoczył, wzbił się ponad ziemię, przeleciał koło chaty i poszybował w chmury. Patrząc na niego, Kya pomyślała: Już czas wrócić na mokradła. Wsiadła do łódki, po czym ruszyła kanałami w poszukiwaniu ptasich gniazd, piór i muszli – pierwszy raz, odkąd porzucił ją Tate. Mimo to wciąż o nim myślała. Podążył za naukowymi pasjami i pięknymi dziewczynami z Chapel Hill. Kya nie umiała sobie wyobrazić, jak wyglądają studentki, lecz z pewnością ponętniej niż bosa, mieszkająca w chacie pożeraczka małży o potarganych włosach.

Pod koniec sierpnia odzyskała równowagę. Czas wypełniały jej pływanie łódką, gromadzenie okazów, malowanie. Mijały miesiące. Kiedy kończyły się zapasy, wyprawiała się do Skoczka, ale prawie z nim nie rozmawiała.

Jej kolekcja przybrała bardziej dojrzały charakter. Z metodyczną dokładnością opisywała swoje zbiory, uwzględniając rząd, rodzaj, gatunek, wiek oceniany na podstawie zużycia kości, określany w milimetrach rozmiar piór oraz najmniejsze niuanse barw. Łączyła naukę ze sztuką. Kolory, światło i cień, gatunki zwierząt i formy życia tworzyły tu arcydzieło wiedzy i piękna, widoczne w każdym zakamarku chaty – jej własny świat, który był jak korzeń winorośli. To tu dorastała, samotna wśród tych wszystkich cudów.

Wraz z powiększaniem się tej kolekcji rosła także samotność Kyi. W jej sercu ziała wielka rana. Nic nie koiło bólu – ani mewy, ani piękne zachody słońca, ani najrzadsze okazy muszli.

Z miesięcy zrobił się rok.

Nie była w stanie dłużej znieść tej samotności. Tęskniła za czyimś głosem, obecnością, dotykiem, lecz jeszcze bardziej pragnęła chronić swoje serce.

Minęły kolejne miesiące i kolejny rok, a potem następny.

Część druga

BAGNA

22.

Fala gorąca

1965

Kya miała już dziewiętnaście lat, dłuższe nogi, większe oczy, a jej skóra wydawała się ciemniejsza. Siedziała na Beach Point i obserwowała, jak kraby zakopują się w błocie. Gdy z południa dobiegły do niej jakieś głosy, zerwała się na równe nogi. W jej stronę zmierzała grupka dzieciaków, którym przypatrywała się przez lata, teraz już mocno wyrośniętych. Bawiły się piłką, biegały i rozkopywały fale. Nie chciała, by ją zauważyły, więc grzęznąc w piachu, pobiegła między drzewa i skryła się za szerokim pniem dębu, chociaż miała świadomość, że zachowuje się dziwacznie.

Niewiele się zmieniło, pomyślała. Tamci się śmieją, a ja się chowam jak krab. Dzikuska zawstydzona swoją dzikością.

Wysoka Blondynka, Piegowaty Koński Ogon, Zawsze w Perłach i Pulchna o Pełnych Policzkach dokazywały na piasku, śmiejąc się i przytulając. Podczas rzadkich wizyt w miasteczku Kya słyszała ich obelgi. „To ta Dziewczyna

z Bagien, bierze ciuchy od czarnych i handluje małżami, żeby mieć na kaszę”.

Mimo że upłynęło wiele lat, wciąż trzymały się razem, a to już coś. Z pozoru może to głupie, ale – jak kilkakrotnie podkreślała Mabel – stanowiły zwartą grupę. „Potrzebujesz przyjaciółek, słonko, bo przyjaciółka jest na zawsze. Bez składania ślubowania. Grupka kobiet to jednocześnie najczulsza i najtwardsza klika na świecie”.

Kya złapała się na tym, że śmieje się razem z nimi, kiedy rozkopywały fale, ochlapując się nawzajem. Potem z piskiem wbiegły na głębszą wodę. Uśmiech zniknął z twarzy Kyi, gdy wyszły z powrotem na brzeg i zaczęły się ściskać.

Pokrzykiwania dziewczyn sprawiły, że jej milczenie stawało się jeszcze trudniejsze do zniesienia. Ich widok pozwalał zapomnieć o samotności, lecz wiedziała, że etykietka „hołoty z bagien” nie pozwoli jej wyjść zza drzewa.

Powędrowała wzrokiem do najwyższego z chłopców. Ubrany w szorty koloru khaki, bez koszulki, podrzucał piłkę. Kya przypatrzyła się mocnym mięśniom jego pleców i opalonym ramionom. Wiedziała, że to Chase Andrews. Latami, odkąd omal nie rozjechał jej rowerem, widywała go z przyjaciółmi na plaży, jak zachodzili po koktajle mleczne do baru i tankowali benzynę u Skoczka.

Kiedy się do niej zbliżyli, wpatrywała się tylko w niego. Inny chłopak rzucił piłkę, a Chase pognał za nią i znalazł się tuż obok drzewa, ryjąc stopą w rozgrzanym piasku. Gdy brał zamach przed kolejnym podaniem, obejrzał się i napotkał wzrok Kyi. Rzucił piłkę i nie oglądając się na pozostałych, obrócił głowę i spojrzał jej prosto w oczy. Miał ciemne włosy, tak jak ona, ale oczy bladoniebieskie. Po jego ustach, wyraźnie zarysowanych na urodziwej twarzy, przemknął cień uśmiechu. Po chwili wrócił do swoich znajomych, odprężony i pewny siebie.

Zauważył ją. Wytrzymał jej spojrzenie. Kya zamarła, czując wzbierającą w niej falę gorąca.

Poszła za nimi wzdłuż brzegu – a właściwie za nim. Rozum podpowiadał jej jedno, lecz ciało pragnęło czegoś innego. To ono wpatrywało się w Chase'a, nie jej dusza.

Nazajutrz powróciła na tę plażę, też podczas przypływu, lecz o innej porze, ale nikogo tam nie było prócz krzykliwych brodźców i sunących po falach krabów.

Próbowała się przemóc i unikać tej plaży, trzymać się mokradeł, szukać ptasich gniazd i piór.

Samotność kieruje się jednak własną busolą. Kya powróciła tam również nazajutrz, żeby go spotkać. Następnego dnia też.

*

Któregoś późnego popołudnia, po tym jak rozglądała się za Chase'em, wyszła z chaty i położyła się na łasze piasku, zmytej przez ostatnią falę. Ramiona wysunęła za głowę, ocierając się nimi o mokry piach, wyprostowała nogi i przeciągnęła palce. Z zamkniętymi oczami turlała się w kierunku wody. Jej biodra i ręce pozostawiały delikatne wgniecenia na lśniącym piasku, który przy nacisku jaśniał, a potem ciemniał. Przetoczywszy się w pobliże fal, czuła całym ciałem huk oceanu i zadawała sobie pytania: Kiedy mnie dotknie? Gdzie najpierw?

Piana sunęła po piasku. Drżąc w niecierpliwym oczekiwaniu, Kya wzięła głęboki oddech. Turlała się coraz wolniej. Z każdym obrotem, nim dotknęła twarzą piasku, lekko unosiła głowę i wdychała słoneczno-słoną woń wody. Już blisko, bardzo blisko. Nadchodzi. Kiedy ją poczuję?

Ogarnęło ją podniecenie. Piach stał się coraz bardziej mokry, a szum fal coraz głośniejszy. Kya toczyła się jeszcze wolniej,

centymetr po centymetrze, czekając na dotyk. Już zaraz, zaraz. Wyczuwała go, zanim nadszedł.

Chciała otworzyć oczy, by sprawdzić, jak długo jeszcze. Przemogła się jednak, mocniej zaciskając powieki, przez które przebijało słońce, niczego jej jednak nie podpowiadając.

Nagle Kya krzyknęła, gdy podmyła ją fala, pieściła między udami, przepływała wzdłuż pleców, bulgotała pod głową i dzieliła jej włosy na atramentowe strużki. Kya turlała się w coraz głębszej wodzie, obmywana przez muszle i fusy oceanu. Lgnęła do jego ogromu, a on ją podtrzymywał i tulił. Wreszcie nie była sama.

Przysiadła w wodzie, otworzyła oczy, a woda pieniła się wokół niej, tworząc miękkie, białe wzorki, nieustannie zmienna.

*

Od chwil gdy Chase zobaczył ją na plaży, Kya dobiła do pomostu Skoczka dwa razy w ciągu tygodnia. Nie przyznała się przed samą sobą, że pragnie go tam spotkać, ale fakt, że ją widział, rozbudził w niej nadzieję, że pozna go bliżej.

– Jak tam Mabel? – zagadnęła Skoczka jak za dawnych czasów. – Wnuki w domu?

Skoczek dostrzegł przemianę, która zaszła w dziewczynie, ale uznał, że lepiej jej nie komentować.

– A i owszem, czwórka. Nic tylko chichoczą i wariują.

Gdy zawitała do niego kilka dni później, nie zastała go na pomoście. Tkwiły tam za to brązowe pelikany, które omiotły ją wzrokiem, jakby ich zadaniem było pilnowanie kramu. Uśmiechnęła się do nich.

Gdy poczuła, że ktoś dotyka jej ramienia, aż podskoczyła.

– Cześć.

Obróciła głowę i zobaczyła przed sobą Chase'a. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Jestem Chase Andrews. – Przewiercił ją spojrzeniem swoich lodowato błękitnych oczu. Wpatrywał się w nią bez skrępowania.

Nie odpowiedziała, tylko przestąpiła z nogi na nogę.

– Widuję cię tutaj. Od lat, na mokradłach. Jak ci na imię? – Przez moment wydawało mu się, że znów nie odpowie. Może była głucha, albo, jak głosiła plotka, posługiwała się jakimś prymitywnym narzeczem. Ktoś mniej pewny siebie mógłby dać za wygraną.

– Kya.

Najwyraźniej nie pamiętał incydentu z rowerem i pewnie znał ją tylko jako Dziewczynę z Bagien.

– „Kya". Nietypowo, ale ładnie. Skoczymy na piknik? Moją łódką, w niedzielę.

Odwróciła wzrok, rozważając jego słowa, choć do końca nie rozumiejąc ich znaczenia. Wreszcie ma szansę pobyć z drugą osobą.

– Dobrze – odpowiedziała po chwili.

Poprosił, żeby czekała na niego w południe przy dębowym cyplu na północ od Point Beach, wskoczył do swojej biało-niebieskiej, lśniącej od chromów motorówki i pomknął w dal.

Kya obejrzała się, słysząc za sobą czyjeś kroki. Pomostem śpieszył w jej stronę Skoczek.

– Cześć. Wybacz, wynosiłem puste skrzynki. Do pełna?

Kya skinęła głową.

W drodze powrotnej wyłączyła silnik i dryfowała na falach nieopodal brzegu. Oparta o stary plecak, zapatrzyła się w niebo i – jak czasami miała w zwyczaju – recytowała wiersze. Jednym z jej ulubionych była *Morska gorączka* Johna Masefielda.

…proszę tylko o białe obłoki i podmuchy bryzy,
grzywy morskiej piany i wrzask mew krzykliwych.

Przypomniała też sobie wiersz nieznanej poetki, Amandy Hamilton, zamieszczony ostatnio w lokalnej gazecie, którą kupiła w Piggly Wiggly:

Usidlona
Miłość to bestia w klatce
Żrąca własne ciało.

Bo miłość musi wędrować
Osiadać na brzegu z wyboru
I oddychać.

Te słowa skojarzyły się jej z Tate'em i nagle przestała oddychać. Wystarczyło, że znalazł sobie coś lepszego i odszedł. Nawet nie przyjechał, żeby się pożegnać.

*

Kya o tym nie wiedziała, ale Tate próbował się z nią spotkać.

W przeddzień jego wyjazdu na Święto Niepodległości doktor Blum, który go zatrudnił, przyszedł do laboratorium protozoologii i spytał, czy Tate nie zechciałby wyprawić się w weekend z grupą znanych ekologów na podpatrywanie ptaków.

– Zauważyłem, że interesujesz się ornitologią i przyszło mi do głowy, że może miałbyś ochotę. Mam tylko jedno miejsce dla studenta i pomyślałem o tobie.

– Pewnie, że tak. Jadę.

Po wyjściu profesora Tate stał między stołami, mikroskopami i szumiącym autoklawem i zastanawiał się, dlaczego jest taki podatny na sugestię. Dlaczego aż tak bardzo zależało mu, żeby zrobić dobre wrażenie. Bo był dumny, że spośród wszystkich studentów doktor wybrał właśnie jego.

Następna okazja na wyjazd do domu – by spędzić tam tylko jedną noc – trafiła się piętnaście dni później. Postanowił zrobić wszystko, żeby przeprosić Kyę – na pewno zrozumie, kiedy się dowie, że doktor Blum go zaprosił.

Wpływając z oceanu do odnogi rozlewiska, zmniejszył gaz. Na zatopionych kłodach wygrzewały się żółwie o lśniących skorupach. Mniej więcej w połowie drogi Tate wypatrzył znajomą łódź ukrytą w wysokich trzcinach. Odruchowo zwolnił i dostrzegł Kyę kucającą na szerokiej, piaszczystej łasze. Widocznie zafascynował ją jakiś mały skorupiak.

Z głową przy piasku nie zauważyła go ani nie usłyszała płynącej powoli motorówki. Tate skręcił w szuwary, znikając z jej pola widzenia. Wiedział, że latami podglądała go przez zarośla. Instynktownie zapragnął zrobić to samo.

Tymczasem bosa Kya w dżinsach z odciętymi nogawkami i białym podkoszulku wstała, rozprostowała ręce i się przeciągnęła, pokazując światu talię cienką jak u osy. Znów przykucnęła, zagarnęła dłońmi piasek i przesiewała go w poszukiwaniu żyjątek. Tate się uśmiechnął. Młoda biolożka, zaabsorbowana, niepomna niczego. Wyobraził ją sobie, jak stoi gdzieś z boczku w grupie ornitologów, próbując nie zwracać na siebie uwagi, ale zawsze jako pierwsza zauważa i podaje nazwę wszystkich ptaków. Nieśmiało i cicho wyliczałaby gatunki traw wplecionych w gniazda lub z dokładnością co do dnia określała wiek pisklęcia na podstawie kiełkujących barw upierzenia koniuszków skrzydeł. Wszystko to ze szczegółowością przewyższającą zawartość podręczników i wiedzę ekspertów

od ekologii. Detale odnoszące się do poszczególnych gatunków. Kwintesencja nauki.

Nagle Tate zamarł. Kate zerwała się na równe nogi i rozsypując piasek, spojrzała w drugą stronę. Do jego uszu dobiegł niewyraźny, lecz narastający pomruk silnika motorówki. Pewnie był to jakiś rybak albo mieszkaniec mokradeł w drodze do Barkley Cove. Mruczenie, zwyczajny kojący dźwięk, przypominało gruchanie gołębi, mimo to Kya chwyciła plecak, przebiegła przez łachę i skryła się w wysokich szuwarach. Przygarbiwszy się, ruszyła w kierunku swojej łódki, unosząc kolana niemal pod brodę i rozglądając się za nadpływającą motorówką. Teraz była całkiem blisko Tate'a. Dostrzegł jej spojrzenie, oszalałe i mroczne. Wskoczyła do łodzi i się skuliła, chowając głowę między ramionami.

Tymczasem rybak – starszy mężczyzna o jowialnej twarzy, w czapeczce na głowie – przepłynął obok, nie zauważając ich, po czym zniknął za zakrętem. Kya pozostała jednak spięta. Nasłuchiwała, póki warkot silnika nie ustał, a potem wstała i otarła pot z czoła. Wciąż oglądała się za motorówką niczym łania lustrująca zarośla już dawno opuszczone przez panterę.

Tate niby miał świadomość, że czasami tak się zachowuje, lecz odkąd zaczęli obdarowywać się piórami, nie widział jej tak prawdziwej i nieokrzesanej. Tak cierpiącej, wyobcowanej i samotnej.

Spędził w koledżu niecałe dwa miesiące, lecz już zdążył wrosnąć w świat, którego pragnął. Analizując zadziwiającą symetrię cząstek DNA, czuł, jakby wślizgnął się do lśniącej katedry atomów i wspinał po spiralach helisy. Wiedział już, że wszelkie formy życia zależą od precyzyjnego, misternego kodu wpisanego w kruche organiczne skrawki, które natychmiast by zginęły w zaledwie odrobinę wyższej lub niższej temperaturze. Wreszcie stawiał najważniejsze pytania w otoczeniu ludzi

równie dociekliwych i pragnących poznać odpowiedzi jak on. Wszystko to przybliżało go do celu. Być biologiem, mieć własne laboratorium, współpracować z innymi naukowcami.

Umysł Kyi mógłby żyć w takiej przestrzeni, lecz ona sama już nie. Zdyszany Tate skryty w szuwarach pojął, przed jaką staje decyzją: Kya albo cała reszta.

– Kyu, po prostu nie mogę – wyszeptał. – Wybacz mi.

Kiedy odpłynęła, wsiadł do łodzi i wrócił na otwarte morze, przeklinając w sobie tchórza, który bał się z nią pożegnać.

23.

Muszla

1965

Wieczorem po spotkaniu z Chase’em na pomoście u Skoczka Kya usiadła przy kuchennym stole w łagodnym świetle lampy naftowej. Znów gotowała i teraz, czytając, skubała maślane bułeczki z rzepą i fasolą pinto. Z każdym zdaniem wracała do niej myśl o jutrzejszym pikniku z Chase’em.

Wyszła na dwór w kremową poświatę księżyca w ostatniej kwadrze. Delikatne powietrze otuliło jej ramiona niczym jedwab. Jasny blask przeświecał przez sosny, które rzucały wokół przedziwne cienie. Kya szła jak we śnie, gdy naga biała półkula wznosiła się ponad wodę i wspinała po gałęziach dębów. Szlam na brzegu laguny lśnił w świetle księżyca, a las rozbłyskał ognikami setek świetlików. Kya w zwiewnej białej sukience ruszyła do walca, powoli unosząc ręce w takt muzyki koników polnych i ropuch. Potem przesunęła dłońmi po tułowiu i szyi, a na końcu po udach. Oczami wyobraźni ujrzała twarz Chase’a. Pragnęła, by właśnie tak ją dotykał. Jej oddech

przyśpieszył. Jeszcze nikt nie patrzył na nią w taki sposób. Nawet Tate.

Tańczyła pośród przezroczystych skrzydełek jętek, trzepocząc na błotnistej ziemi skąpanej w księżycowej poświacie.

*

Rankiem, opłynąwszy półwysep, ujrzała tuż przy brzegu Chase'a i jego motorówkę. Teraz, za dnia, gdy przemienił się w mężczyznę z krwi i kości, który czekał właśnie na nią, Kyi zaschło w gardle. Podpłynęła do plaży, wysiadła i wciągnęła łódkę, która podrapała dnem o piasek.

Po chwili Chase stanął obok.

– Cześć.

Zerkając przez ramię, skinęła mu głową. Wysiadł i wyciągnął do niej rękę. Długie, opalone palce, dłoń otwarta ku górze. Kya zawahała się. Jeśli go dotknie, odda mu część siebie, coś, czego już nigdy nie odzyska.

A jednak podała mu dłoń. Przyglądał się jej, gdy przechodziła na rufę, by usiąść na ławce wyścielanej poduszkami. Dzień był ciepły i słoneczny. Kya, ubrana w dżinsy z odciętymi nogawkami i białą bawełnianą bluzkę – strój, który podpatrzyła u innych – wyglądała całkiem zwyczajnie. Usiadł obok. Poczuła, jak jego rękaw muska jej ramię.

Chase wyprowadził motorówkę na otwarte morze. Bujało tu bardziej niż na mokradłach. Kya miała świadomość, że ruchy fal sprawią, iż ich ramiona będą się o siebie ocierały. Ta myśl kazała jej patrzeć prosto przed siebie, ale się od niego nie odsunęła.

Gdy przyszła większa fala, jego ciepłe, mocne ramię dotknęło jej ręki. Odskakiwało i znów jej dotykało, gdy się

unosili i opadali. Kiedy nagle fala wyrosła tuż pod nimi, jego udo przylgnęło do jej nogi i Kyi odjęło dech.

Ich motorówka sunąca na południe wzdłuż wybrzeża była jedyną w zasięgu wzroku. Chase dodał gazu. Po dziesięciu minutach rozpostarła się przed nimi kilkukilometrowa biała plaża, odcięta od świata gęstym lasem. Przed sobą, w oddali, mieli Point Beach, plażę, która przypominała przepiękny biały wachlarz.

Od chwili powitania Chase nie powiedział ani słowa. Wjechał motorówką w piach i postawił w jej cieniu kosz z jedzeniem.

– Przejdziemy się? – spytał.

– Chętnie.

Ruszyli wzdłuż brzegu. Drobne fale obmywały im stopy, tworząc wokół nich maleńkie wiry, po czym odbijały z pluskiem do oceanu.

Chase nie wziął Kyi za rękę, ale czasami ich palce w naturalny sposób lekko się dotykały. Przykucali, by przyjrzeć się jakiejś muszli lub wodorostom układającym się na piasku w prawdziwe dzieła sztuki. Błękitne oczy Chase'a były figlarne; co chwilę się uśmiechał. Był mocno opalony, tak jak ona. Tworzyli parę wysokich, eleganckich, podobnych do siebie ludzi.

Wiedziała, że zamiast iść na studia, Chase wolał pracować w firmie swojego ojca. Był miasteczkową sławą i pierwszym kogutem w stadzie. Kyę martwiło, że będzie dla niego kolejnym plażowym trofeum, ciekawostką, którą można obrócić w dłoniach i odrzucić na piasek. Mimo to szła z nim dalej. Kiedyś dała szansę miłości, a teraz chciała po prostu zapełnić pustkę, ulżyć sobie w samotności, wznosząc wokół swojego serca wysoki mur.

Po kilkuset metrach stanął twarzą do niej, głęboko się skłonił i tym przesadnym gestem dał znak, by przysiadła i oparła się

o kłodę wyrzuconą przez ocean. Zagrzebali stopy w białych kryształkach piasku.

Chase wyjął z kieszeni harmonijkę.

– Grasz? – spytała zachrypniętym głosem.

– Raczej słabo, ale kiedy mam słuchaczkę opartą o kłodę na plaży…

Przymknął oczy i zagrał *Shenandoah*, przebierając palcami po instrumencie szybko jak ptak, który tłucze o szybę. Melodia była piękna i tęskna, niczym list z odległego domu. Raptem przerwał i wziął do ręki muszelkę nieco większą od pięciocentówki, kremową, z wyraźnym czerwono-fioletowym wzorem.

– Spójrz.

– To przegrzebek *Pecten ornatus* – wyjaśniła mu Kya. – Rzadko je widuję. Żyje tu sporo odmian tego gatunku, ale tę najczęściej można spotkać dalej na południe, ponieważ tutejsze wody są dla niej zbyt zimne.

Spojrzał na nią uważnie. W plotkach nie wspominano, że Dziewczyna z Bagien, która nie umie przeliterować słowa „kot”, zna łacińskie nazwy skorupiaków, wie, gdzie występują i dlaczego!

– Nie znam się na tym – rzucił. – Patrz, jaka przekrzywiona. – Rogi muszli rzeczywiście były zagięte, a u jej podstawy znajdował się idealnie okrągły otwór. Chase obrócił ją w dłoni. – Weź ją. W końcu jesteś specjalistką od muszli.

– Dzięki. – Wsunęła ją do kieszeni.

Zagrał jeszcze kilka piosenek, kończąc swój popis brawurową *Dixie*. Potem zawrócili do miejsca, w którym zostawili koszyk z wikliny, usiedli na kocu w szkocką kratę i zjedli smażonego kurczaka, peklowaną szynkę, bułeczki, sałatkę ziemniaczaną, słodkie pikle z koperkiem i po kawałku czterowarstwowego tortu z grubą na centymetr polewą karmelową. Wszystko

domowej roboty, zawinięte w pergamin. Chase otworzył dwie butelki coli Royal Crown i nalał ją do papierowych kubków. Kya pierwszy raz w życiu piła napój gazowany. Ten obfity posiłek wydał się jej niezwykły – równiutko złożone serwetki, plastikowe talerzyki i sztućce. Nawet miniaturowa solniczka i pieprzniczka. Przemknęło jej przez głowę: pewnie matka mu spakowała, nie mając pojęcia, że to dla Dziewczyny z Bagien.

Rozmawiali o ptakach – szybujących pelikanach i paradujących po piasku brodźcach – bez dotykania, czasami się śmiejąc. Gdy Kya wskazała ręką poszarpany sznur pelikanów, przysunął się i lekko otarł o jej ramię. Spojrzała na niego. Ujął dłonią jej podbródek i pocałował. Potem musnął jej szyję, a jego palce przemknęły po bluzce do piersi. Całując ją i tuląc, teraz już mocniej, odchylił się, aż w końcu oboje zlegli na kocu. Powoli wdrapał się na nią, naparł kroczem między jej uda i jednym ruchem zadarł jej bluzkę. Odrzuciła głowę, próbując się oswobodzić. Z jej czarnych jak noc oczu buchał żar. Z powrotem naciągnęła bluzkę.

– Spokojnie, nie bój się.

Leżała zarumieniona z włosami rozrzuconymi na piasku i lekko rozchylonymi czerwonymi ustami. Była olśniewająca. Sięgnął, by delikatnie dotknąć jej twarzy, lecz wyrwała się jak kotka i wstała.

Ciężko dyszała. Wczoraj wieczorem, kiedy tańczyła samotnie nad brzegiem laguny w blasku księżyca, pośród jętek, sądziła, że jest już gotowa. Myślała, że wie o godach wszystko, bo przecież podpatrywała gołębie. Nikt nigdy nie rozmawiał z nią o seksie. Doświadczyła tylko gry wstępnej z Tate'em. Znała jednak więcej szczegółów z podręczników biologii i widziała więcej kopulujących stworzeń – i nie było to tylko „ocieranie się odwłokami", jak nazwał to Jodie – niż większość ludzi.

Działo się to jednak zbyt szybko – piknik i od razu gody. A przecież nawet samce ptaków muszą kusić samiczki, strojąc przed nimi piórka, budując gniazda oraz popisując się tańcem i miłosnymi trelami. Owszem, Chase zaprosił ją na ucztę, ale jest warta więcej niż pieczony kurczak. A *Dixie* to nie jest piosenka miłosna. Kya powinna się była domyślić, że tak to się skończy. Samce ssaków zabiegają o samice tylko w czasie rui.

Mierzyli się wzrokiem w ciszy, którą mącił tylko odgłos ich oddechów i szum fal. Chase usiadł i wyciągnął do niej rękę, ale ją odepchnęła.

– Przepraszam. Już w porządku – powiedział i wstał. Faktycznie, przypłynął tu, żeby ją przelecieć, być pierwszym, lecz urzekła go, gdy zobaczył to pełne żaru spojrzenie. Podjął kolejną próbę: – No już, przecież przeprosiłem. Zapomnijmy o tym. Podrzucę cię do twojej łódki.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła przez plażę do lasu.

– Co robisz? Nie możesz wrócić pieszo. To kawał drogi.

Ale Kya już była między drzewami i biegła na przełaj, najpierw w głąb lądu, a potem przez cypel do łodzi. Nie znała tych okolic, ale kosy wskazały jej drogę przez mokradła. Nie zwalniała, mknęła przez trzęsawiska i rowy, rozbryzgując wodę w strumieniach i przeskakując kłody.

W końcu, zgięta wpół, dysząc, opadła na kolana. Mełła w ustach wyświechtane przekleństwa. Póki dyszała, nie mogła dobyć z siebie szlochu, zresztą płacząc, nie zdoła się pozbyć poczucia palącego wstydu i smutku. Przywiodła ją tu nadzieja, że wreszcie będzie z kimś, że ktoś będzie chciał z nią być i jej dotykać, ale te rozgorączkowane ręce tylko brały, nie chciały się dzielić ani dawać.

Nasłuchiwała, czy za nią podąża, niepewna, czy chce, by wynurzył się z krzaków i ją przytulił, błagając o przebaczenie. Znowu poczuła wzburzenie. Wstała i ruszyła do swojej łódki.

24.

Wieża obserwacyjna

1965

Kiedy pewnego popołudnia Kya wypłynęła na otwarte morze, na horyzoncie piętrzyły się ciemne burzowe chmury. Nie widziała Chase’a od dziesięciu dni, od tamtego pikniku na plaży, ale wciąż czuła drzemiącą w nim moc, gdy napierał na nią na piasku.

Wokół nie było innych łódek, więc skierowała motorówkę w wąski przesmyk na południe od Point Beach, gdzie swego czasu widziała niezwykłe motyle, tak białe, że sprawiały wrażenie albinosów. Czterdzieści metrów przed wejściem do kanału pośpiesznie wyłączyła silnik, ujrzawszy znajomych Chase’a, którzy pakowali do łódek koszyki z jedzeniem i jaskrawe ręczniki plażowe. Gwałtownie zawróciła, by jak najszybciej stamtąd odpłynąć, lecz jakaś przemożna siła kazała jej poszukać go wzrokiem. Wiedziała, że jej tęsknota jest całkowicie niedorzeczna. Nielogiczny odruch mający zapełnić pustkę nie spowoduje zaspokojenia innych pragnień. Ile warto poświęcić, by pokonać samotność?

I nagle go zobaczyła, nieopodal miejsca, gdzie ją pocałował. Niósł wędki, a za nim Zawsze w Perłach taszczyła przenośną lodówkę.

Nieoczekiwanie obejrzał się i dostrzegł dryfującą na falach Kyę. Nie odwróciła wzroku, po chwili jednak, jak zawsze, górę w niej wzięła nieśmiałość. Uciekła spojrzeniem, dodała gazu i skryła się w cienistej jaskini. Odczekała, aż ta ich mała flota odpłynie, po czym ruszyła w stronę plaży.

Po dziesięciu minutach, gdy znów wypłynęła w morze, ujrzała Chase'a, samotnie kołyszącego się w swojej łodzi. Czekał.

Znów odezwała się w niej tęsknota. Wciąż był zainteresowany. Owszem, podczas pikniku przesadził, lecz się powstrzymał, kiedy go odepchnęła. Przeprosił. Może jednak powinna dać mu jeszcze szansę.

Skinął do niej ręką i zawołał:

– Cześć, Kya!

Nie podpłynęła, ale też nie skierowała łódki w przeciwną stronę. Zbliżył się do niej.

– Jeszcze raz przepraszam. W porządku? Chodź, pokażę ci wieżę obserwacyjną.

Nie odpowiedziała, ale unosiła się wraz z nim na wodzie. Wiedziała, że okazuje słabość.

– Nigdy się tam nie wspięłaś? To genialne miejsce do podziwiania mokradeł. Płyń za mną.

Zwiększyła obroty silnika i podążyła za nim, rozglądając się, by mieć pewność, że nie ma w pobliżu jego znajomych.

Chase skierował łódkę na północ. Minęli majaczące w oddali pogodne i kolorowe Barkley Cove i przybili do plaży w niewielkiej, otoczonej gęstym lasem zatoce. Wyciągnęli łodzie na brzeg, a następnie ruszyli ścieżką obrośniętą kłującym ostrokrzewem i mirtem woskowym. Kya nigdy nie była w tym

podmokłym, korzenistym lesie, bo rósł po drugiej stronie miasteczka i był zbyt blisko ludzkich siedzib. Spod zarośli sączyły się tu cienkie strużki wody, jakby przestrzegając, że to ziemia, która należy do oceanu.

Dotarli do grzęzawiska o charakterystycznej ziemistej woni stęchlizny. Pojawiło się nagle i bez zapowiedzi, acz subtelnie, i ciągnęło się ku ciemnej paszczy lasu.

Kya ujrzała ponad baldachimem z koron drzew zniszczoną drewnianą platformę opuszczonej wieży obserwacyjnej. Po kilku minutach dotarli do jej rozkraczonej podstawy z nieociosanych pali. Sączył się spod nich czarny szlam, a po belkach pięły się plamy wilgoci. Na górę prowadziły kręte schody. Z każdą kondygnacją wieża stawała się węższa.

Przebrnąwszy przez muł, wspinali się na szczyt. Chase szedł przodem. Na piątym podeście ujrzeli krągłe korony dębów ciągnące się jak okiem sięgnąć na zachód. A wszędzie wokół wśród bujnych traw wiły się strugi, laguny, potoki i rozlewiska, rozciągnięte aż do oceanu. Kya nigdy nie widziała mokradeł z tej perspektywy. Teraz wszystkie elementy układanki leżały w dole; wreszcie ujrzała oblicze tej ziemi – swojej przyjaciółki – w pełnej krasie.

Kiedy weszli na górę, Chase odsunął żelazną kratę nad schodami. Potem, gdy już byli na platformie, wsunął ją z powrotem na miejsce. Kya przetestowała stopą kratę, nim na niej stanęła.

– Nie bój się – zaśmiał się Chase. Poprowadził ją do balustrady, żeby mogła podziwiać widoki. Dwa myszołowy rdzawosterne przemknęły z szelestem przed ich oczami. Łypnęły na nich, zdziwione, że tych dwoje wdziera się w ich przestrzeń.

Chase spojrzał na Kyę i powiedział:

– Dziękuję, że ze mną popłynęłaś i dałaś mi szansę, żebym jeszcze raz cię przeprosił. Zachowałem się paskudnie, to się już nie powtórzy.

Nie odpowiedziała. Właściwie miała ochotę go pocałować i znów poczuć jego moc.

Sięgnęła do kieszeni dżinsów.

– Zrobiłam wisiorek z tą muszlą, którą znalazłeś. Nie musisz go nosić, jeśli nie chcesz.

Poprzedniego wieczoru nawlekła muszlę na skórzany rzemyk z myślą o sobie, lecz wiedząc, że pragnie znów spotkać Chase'a, postanowiła mu go podarować, jeśli trafi się okazja. Mimo to nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczała, że będą wkrótce stać na wieży obserwacyjnej i razem podziwiać świat z jej szczytu.

– Dziękuję. – Przyjrzał się wisiorkowi, zawiesił go sobie na szyi i przesunął muszlę na środek. – Pewnie, że będę go nosił.

Nie zaplątał się w banał, nie powiedział: „Będę go nosił zawsze, do śmierci".

– Zabierz mnie do siebie – poprosił.

Kya pomyślała o swojej przycupniętej pod dębami chacie o poszarzałych ścianach z plamami w kolorze krwi z rdzewiejącego dachu. O moskitierach, w których więcej było dziur niż siatki. Połatany dom.

– To daleko. – Spróbowała uciąć temat.

– Nieważne, jak daleko i jak wygląda. No, chodź.

Jeśli powie nie, może stracić okazję na to, żeby ją zaakceptował.

– Dobrze.

Zeszli na dół i wrócili nad zatokę. Chase powiedział, że popłynie z tyłu. Kya skierowała łódź na południe, w stronę labiryntu rozlewisk. Płynąc ostatnią odnogą, pochylała głowę, by nie zahaczyć o zwisające gałęzie. Motorówka Chase'a ledwo

mieściła się w zarośniętych przesmykach, a już na pewno była jak na nie zbyt wybłyszczona. Rośliny szorowały o kadłub, ale jakoś udało mu się przecisnąć.

Gdy znaleźli się u wejścia do laguny, ujrzeli delikatne, omszałe gałęzie i lśniące liście odbijające się w przezroczystej, ocienionej wodzie. Ważki i śnieżnobiałe czaple zerwały się na widok obcej łodzi, po czym z wdziękiem, bezszelestnie, powróciły na swoje miejsce. Kya zacumowała motorówkę, a Chase zarył w piach. Czapla modra, która już dawno zaakceptowała stworzenia mniej dzikie niż ona, stała bez ruchu niczym bocian ledwie kilka metrów dalej.

Spłowiałe ogrodniczki Kyi i jej podkoszulki zwisały niechlujnie ze sznura na pranie. Rzepa rozpleniła się między drzewami i trudno było określić, gdzie kończy się warzywnik, a gdzie zaczyna las.

Spoglądając na połatany, obity moskitierą ganek, Chase spytał:

– Jak długo mieszkasz tu sama?

– Nie pamiętam dokładnie, kiedy odszedł tata, ale pewnie jakieś dziesięć lat.

– Fajnie. Przynajmniej starzy nie mówili ci, co masz robić.

Kya nie skomentowała tej uwagi.

– W środku nie ma czego oglądać – rzuciła. Tymczasem Chase już wszedł na schody ganku i dojrzał kolekcję zgromadzoną na samodzielnie skleconych półkach, tętniący życiem kolaż widoczny przez moskitierę.

– Sama to zrobiłaś?

– Tak.

Przyjrzał się paru motylom, lecz szybko stracił zainteresowanie. Na cholerę trzymać tu rzeczy, które można zobaczyć na dworze?, pomyślał.

Pokrowiec leżącego na ganku małego siennika był wytarty jak stary szlafrok, ale łóżko zasłano porządnie. Parę kroków i znaleźli się w maleńkim saloniku z wypchaną sofą. Potem Chase zerknął do sypialni, gdzie na ścianach ścieliły się pióra wszystkich możliwych kolorów, rozmiarów i kształtów.

Kya poprowadziła go do kuchni, zastanawiając się, czym może go ugościć. Nie miała przecież coca-coli, mrożonej herbaty, ciasteczek czy choćby maślanych bułek. Na piecu leżała resztka chleba kukurydzianego, obok rondla z obraną fasolką czarne oczko, którą Kya miała ugotować na kolację. Nic, co można by podać gościom.

Z przyzwyczajenia wepchnęła do pieca kilka kawałków drewna, z których – gdy tylko dźgnęła je pogrzebaczem – natychmiast buchnął płomień.

– I to tyle – podsumowała odwrócona do niego plecami i użyła pompy, żeby napełnić wodą poobijany czajnik.

Obrazek jak z lat dwudziestych przeniesiony w lata sześćdziesiąte. Bez bieżącej wody, bez prądu, bez łazienki. W rogu powyginana i przerdzewiała blaszana wanna, w serwantce resztki jedzenia przykryte ścierkami i rozwarta na oścież, przygarbiona lodówka z wystającą z niej packą na muchy. Chase czegoś takiego jeszcze nie widział.

Nacisnął pompę i patrzył, jak woda leje się do służącej za zlew emaliowanej miednicy. Dotknął drewnianych szczap ułożonych w stos pod piecem. Jedynym źródłem światła były tu lampy naftowe z okopconymi kloszami.

Był jej pierwszym gościem od czasu, kiedy odwiedzał ją Tate; ale Tate przyjmował wszystko w sposób naturalny, jak mieszkaniec mokradeł. Przy Chasie Kya czuła się obnażona, niczym filetowana ryba. Płonęła ze wstydu. Stała tyłem, ale słyszała, jak skrzypi podłoga, kiedy chłopak chodzi po kuchni.

Nagle podszedł, delikatnie ją ku sobie obrócił i przytulił. Dotknął ustami jej włosów, jego oddech błądził w jej uchu.

– Nikt, kogo znam, nie mógłby mieszkać samotnie w takich warunkach. Dzieci od razu by się przeraziły, a nawet niektórzy dorośli.

Pomyślała, że zaraz ją pocałuje, ale opuścił ręce i podszedł do stołu.

– Czego ty ode mnie chcesz? Powiedz prawdę.

– Nie będę oszukiwał. Jesteś wspaniała, wolna, dzika jak wichura. Tamtego dnia chciałem być tak blisko ciebie, jak tylko to możliwe. Kto by nie chciał? Ale tak nie można. Nie powinienem był się do ciebie dobierać. Po prostu chcę z tobą być, chcę cię poznać.

– A potem?

– Przekonamy się, czy coś do siebie czujemy. Nie posunę się dalej, chyba że będziesz chciała. Co ty na to?

– W porządku.

– Wspomniałaś, że masz swoją plażę. Chodźmy tam.

Pokroiła resztkę chleba dla mew i poprowadziła go ścieżką wprost nad ocean. Gdy cicho przywołała mewy, te natychmiast się zleciały i krążyły wokół niej. Największy samiec, którego nazwała Rudzielcem, opadł na piasek i przechadzał się między jej stopami.

Chase stał w pewnym oddaleniu i patrzył, jak Kya znika pośród ptasich skrzydeł. Nie przypuszczał, że poczuje coś do tej dziwnej bosej dzikuski, ale gdy patrzył, jak wiruje z mewami na piasku, zafascynowały go jej niezależność i uroda. Nigdy nie znał takiej dziewczyny. Budziła w nim ciekawość i pożądanie. Gdy do niego podeszła, spytał, czy następnego dnia też może ją odwiedzić. Obiecał, że nie dotknie nawet jej ręki. Powiedział, że po prostu chce z nią być. Skinęła głową. Pierwszy promyk nadziei po odejściu Tate’a.

25.

Wizyta Patti Love

1969

W gabinecie szeryfa rozległo się ciche pukanie, po czym Ed i Joe ujrzeli zdeformowany, niewyraźny cień za drzwiami z mlecznego szkła. To była Patti Love Andrews, matka Chase'a. Poznali, że to ona, po czarnej sukience i kapeluszu. Była szpakowatą szatynką z włosami upiętymi w elegancki kok. Na usta nałożyła stosowny do okoliczności, nierzucający się w oczy odcień szminki.

Wstali, Ed otworzył drzwi.

– Patti Love, witaj. Usiądź. Może napijesz się kawy?

Spojrzała na kubki ze śladami warg na brzegach.

– Nie, dziękuję, Ed. – Usiadła na krześle, które podsunął jej Joe. – Macie już jakieś tropy? Jakieś nowe informacje, oprócz tych z laboratorium?

– Nie, ale wszystko bardzo starannie analizujemy. Jak tylko coś ustalimy, ty i Sam dowiecie się pierwsi.

– Ale to nie był wypadek, prawda? Wiem, że nie. Chase w życiu nie spadłby z tej wieży. Wiecie, jaki był wysportowany.

I bystry.

– Rzeczywiście, mamy dość dowodów, które wskazują, że ktoś mu w tym pomógł, ale dochodzenie wciąż jest w toku, więc niczego nie przesądzamy. Wspomniałaś, że chcesz nam o czymś powiedzieć.

– Tak, myślę, że to ważne. – Patti Love przeniosła wzrok na Joego, a potem znów spojrzała na Eda. – Chase nosił wisiorek z muszlą. Od lat. Wiem, że miał go na sobie tamtego wieczoru na wieży. Zaprosiliśmy go z Samem na kolację. Pamiętasz? Mówiłam ci. Pearl nie mogła przyjść, bo zawsze chodzi tego dnia na brydża. Chase miał na sobie ten wisiorek, zanim pojechał pod wieżę. Myślałam, że to patolog mu go zdjął, więc nic nie powiedziałam. Zresztą pogrzeb i tak dalej, nie miałam do tego głowy. Potem któregoś dnia podjechałam do Sea Oaks i poprosiłam koronera o rzeczy Chase'a. Potrzebowali ich do badań, ale chciałam ich dotknąć, żeby dokładnie sobie przypomnieć, jak był wtedy ubrany. Koroner posadził mnie przy stole i pozwolił je przejrzeć. Szeryfie, tego wisiorka tam nie było. Spytałam koronera, czy go zdjął, ale odpowiedział, że nie. Że w ogóle nie widział go na oczy.

– To bardzo ciekawe. Z czego był zrobiony? Może zgubił go podczas upadku.

– To była pojedyncza muszla nawleczona na skórzany rzemyk. Ledwo przechodził mu przez głowę. Był dopasowany i związany na węzeł. Nie wydaje mi się, żeby mógł go zgubić.

– Faktycznie. Skóra jest mocna i idealna do wiązania węzłów – zgodził się Ed. – Dlaczego bez przerwy go nosił? Dostał go od kogoś bliskiego? W prezencie?

Patti Love zamilkła, kierując wzrok na biurko szeryfa. Bała się wyjawić więcej, bo nigdy by nie przyznała, że jej syn miał romans z dziewuchą z bagien. Owszem, ludzie w miasteczku plotkowali, że Chase kręcił z nią ponad rok przed ślubem. Patti

Love podejrzewała, że po ślubie też, ale indagowana w tej sprawie przez znajomych zawsze zaprzeczała. Teraz jednak sytuacja była inna. Musiała powiedzieć prawdę, bo czuła, że ta dziewucha ma jakiś związek ze śmiercią jej syna.

– Tak, wiem, od kogo go dostał. Od dziewczyny, która od lat włóczy się po bagnach tą starą łajbą. Sama go zrobiła i podarowała Chase'owi, kiedy się z nią widywał.

– Masz na myśli Dziewczynę z Bagien? – dopytał szeryf.

– Widziałaś ją ostatnio? – wtrącił się Joe. – To już nie taka dziewczyna, ma dwadzieścia parę lat i jest piękna.

– Córka Clarków? Chcę mieć pełną jasność – zaznaczył Ed, ściągając brwi.

– Nie znam jej nazwiska – odparła Patti Love. – Nie wiem, czy w ogóle je ma. Ludzie mówią o niej Dziewczyna z Bagien. Przez lata sprzedawała małże Skoczkowi.

– Czyli myślimy o tej samej osobie. Mów dalej.

– Byłam zszokowana, kiedy koroner mi oświadczył, że Chase nie miał wisiorka. Później przyszło mi do głowy, że tylko jej mogło na nim zależeć. Chase zerwał z nią i ożenił się z Pearl. Nie mogła mieć go dla siebie, więc może go zabiła i ściągnęła mu z szyi wisiorek.

Patti Love lekko zadrżała, po czym znów odzyskała dech.

– Rozumiem… To bardzo ważna informacja, Patti Love, i warto ją zbadać, ale nie zapędzajmy się. Jesteś pewna, że dostał go od niej? – spytał Ed.

– Całkowicie. Z początku Chase nie chciał mi tego powiedzieć, ale w końcu się przyznał.

– Wiesz coś jeszcze o tym wisiorku albo o ich związku?

– Niewiele. Nawet nie jestem pewna, jak długo się spotykali. Pewnie nikt tego nie wie. Chase bardzo się z tym krył. Jak wspomniałam, całymi miesiącami milczał na ten temat. Nigdy nie wiedziałam, czy wypływa łódką z przyjaciółmi, czy z nią.

– Wyjaśnimy to. Zaufaj mi.

– Dziękuję. Jestem pewna, że to właściwy trop. – Patti Love wstała, Ed otworzył jej drzwi.

– Zawsze możesz tu wpaść, kiedy będziesz chciała pogadać.

– Trzymajcie się.

*

Zamknąwszy drzwi, Ed usiadł i spytał Joego:

– I co o tym myślisz?

– Jeśli ktoś zdjął Chase'owi wisiorek przy wieży, oznaczałoby to, że był na miejscu zdarzenia. Potrafię sobie wyobrazić, że jest w to zamieszany ktoś z bagien. To miejsce rządzi się swoimi prawami. Nie wiem tylko, czy kobieta zdołałaby wypchnąć przez ten otwór takiego wielkiego faceta jak Chase.

– Mogła zwabić go na górę i odsunąć kratę, nim tam wszedł. Kiedy zbliżył się do niej w ciemnościach, mogła go pchnąć, jeszcze zanim ją zobaczył – spekulował Joe.

– Możliwe, chociaż nie byłoby to łatwe. Słaby ten trop. Zniknięcie wisiorka z muszlą.

– Chwilowo jedyny. Oprócz zatartych odcisków palców i tajemniczych czerwonych włókien.

– Zgadza się.

– Jednego nie rozumiem. Po co miałaby zabierać mu wisiorek? Jasne, zdradzona, z chęcią by go zabiła. Powiedzmy, że to motyw, ale po co zabierałaby wisiorek, skoro od razu wiązałoby ją to ze zbrodnią?

– Wiesz, jak to jest. W każdym zabójstwie jest coś, co się nie klei. Ludzie robią różne głupoty. Może zrobiła to w szoku albo z wściekłości, może zobaczyła, że facet wciąż nosi wisiorek, a kiedy już go zabiła, z łatwością mogła mu go ściągnąć. Nie miała pojęcia, że ktoś połączy jej osobę z tym wisiorkiem. Twoi

informatorzy donieśli, że Chase kręcił coś na bagnach. Może wcale nie chodziło o prochy, tylko o kobietę. O nią.

– One są jak prochy – skwitował Joe.

– Ci z bagien umieją zacierać ślady, bo wciąż zastawiają sidła i coś tropią. Nie zawadzi tam popłynąć i ją przepytać, gdzie była tamtej nocy. Można też rzucić pytanie o wisiorek i zobaczyć, jak zareaguje.

– Trafisz tam?

– Czy łodzią, nie jestem pewien, ale autem raczej tak. Jedzie się tam tą mocno krętą drogą przez laguny. Kiedyś byłem tam kilka razy z interwencją. Jej ojciec to był paskudny typ.

– Kiedy tam skoczymy?

– O świcie, żeby ją zastać, nim wyfrunie. Jutro. Ale najpierw pojedziemy pod wieżę i porządnie poszukamy tego wisiorka. Może cały czas tam leży.

– Nie sądzę. Patrzyliśmy wszędzie, szukając śladów opon, włókien i tropów.

– A jednak trzeba to zrobić. Chodź.

Przegrzebali grabiami i rękami błotnisty teren wokół wieży i oficjalnie stwierdzili, że wisiorka tam nie ma.

*

Promienie świtu sączyły się przez niskie, ciężkie chmury, gdy Ed i Joe jechali przez mokradła, licząc, że dotrą do Dziewczyny z Bagien, nim ta dokądś wypłynie. Kilka razy skręcili nie tam, gdzie trzeba, i lądowali na drodze donikąd albo przy jakiejś rozpadającej się szopie. Z jednej dobiegł wrzask: „Szeryf!”, po czym ze środka, wprost w krzaki jeżyn, czmychnęło kilka osób, w większości nagich.

– Cholerne zjarusy! – zaklął Ed. – Bimbrownicy przynajmniej chodzą w ubraniach.

W końcu dotarli do długiej ścieżki, prowadzącej do chaty Clarków.

– To tutaj – powiedział Ed.

Potężny pickup skręcił na ścieżkę. Dyskretnie posuwali się w stronę domostwa i zatrzymali wóz kilkanaście metrów od drzwi. Cicho wysiedli z auta. Ed zapukał w drewnianą ramę moskitiery.

– Jest tam kto? – Odpowiedziała mu cisza, więc ponowił próbę. Odczekali dwie, trzy minuty. – Rozejrzyjmy się, sprawdźmy, czy jest tu jej łódź.

– Nie. Pewnie cumuje przy tej kłodzie. Już wypłynęła. Niech to szlag. – Joe się zafrasował.

– Musiała nas usłyszeć. Pewnie słyszy nawet odgłosy snu królika.

Gdy kolejnym razem pojechali tam jeszcze przed świtem i zaparkowali samochód dalej, łódź stała przywiązana do kłody, ale i tak nikt nie otworzył im drzwi.

– Czuję, że jest tutaj i nas obserwuje. Ty też? – szepnął Joe. – Schowała się gdzieś wśród tych cholernych palmiczek, jest całkiem blisko. Po prostu to czuję. – Obrócił głowę i wpatrywał się w krzaki jeżyn.

– Nic z tego nie będzie. Musimy coś na nią znaleźć i zdobyć nakaz. Spadamy.

26.

Łodzią do brzegu

1965

W pierwszym tygodniu po podjęciu decyzji, że będą razem, Chase odwiedzał Kyę niemal codziennie, kiedy tylko kończył pracę w Western Auto. Pływali razem po odległych kanałach obrośniętych dębami. W sobotni ranek zabrał ją na daleką wyprawę wzdłuż wybrzeża, w miejsce, w którym nigdy nie była, bo nie dopłynęłaby tam swoją małą motorówką. Zamiast rozlewisk i rozległych trawiastych łąk – jak na mokradłach – słoneczny rzadki las cyprysów jak okiem sięgnąć otaczała tu przejrzysta woda. Piękne białe czaple i bociany stały wśród lilii wodnych i innych pływających roślin, których zieleń była tak intensywna, że zdawała się świecić. Przysiadłszy na konarach drzew szerokich jak fotele, Kya i Chase jedli czipsy i kanapki z papryką i serem, uśmiechając się na widok sunących tuż pod nimi gęsi.

Chase, jak większość ludzi, traktował mokradła jako miejsce, gdzie można pływać łodzią lub wędkować, lub które należy osuszyć pod uprawy, dlatego wiedza Kyi na temat tutejszych

stworzeń, prądów i roślin wydała mu się fascynująca. Drwił jednak z jej delikatności, spowalniania motorówki, mijania w ciszy jeleni i szeptania w pobliżu ptasich gniazd. Nie interesowały go muszle ani pióra i dziwił się, kiedy robiła notatki w dzienniku i zbierała okazy fauny i flory.

– Po co malujesz trawę? – spytał ją kiedyś w kuchni.

– Maluję jej kwiaty.

– Trawa nie ma kwiatów – roześmiał się.

– Oczywiście, że ma. Spójrz tutaj. Są maleńkie, ale piękne. Każda odmiana rodzi inne.

– I po co ci to wszystko?

– Zachowam te notatki i dzięki temu dowiem się więcej o mokradłach.

– Grunt to wiedzieć, gdzie i kiedy biorą ryby, a tego dowiesz się ode mnie.

Roześmiała się, żeby zrobić mu przyjemność, jak nigdy wcześniej. Znów oddała cząstkę siebie, by kogoś przy sobie zatrzymać.

*

Po południu, kiedy się pożegnali, Kya wsiadła do łódki i wyruszyła samotnie na mokradła, choć już nie czuła się samotna. Płynęła nieco szybciej niż zwykle. Jej włosy powiewały na wietrze, a usta zdobił łagodny uśmiech. Świadomość, że wkrótce znów zobaczy się z Chase'em i będą razem, dodawała jej otuchy.

Raptem, wyłoniwszy się zza kępy wysokiej trawy, ujrzała przed sobą Tate'a. Był daleko, dzieliło ich jakieś czterdzieści metrów i nie słyszał warkotu jej motorówki. Odruchowo wyłączyła silnik, chwyciła wiosło i wbiła się rufą w szuwary.

– Pewnie ma ferie – szepnęła do siebie. Przez te lata widziała go parę razy, ale nigdy z bliska. Teraz znów się pojawił. Niesforne włosy wymykały się spod nowej czerwonej czapeczki. Twarz miał ogorzałą.

Brodził w waderach po lagunie, zbierając do fiolek próbki wody. Nie boso, nie do słoików po dżemie, jak kiedyś, lecz do małych tubek podzwaniających w specjalnym nosidle. Naukowiec. Gdzie jej do niego?

Nie odpłynęła, chwilę mu się przyglądała z myślą, że pewnie każda dziewczyna pamięta swoją pierwszą miłość. Westchnęła i wróciła do domu tą samą drogą, którą tam dotarła.

*

Nazajutrz, kiedy płynęła z Chase'em wzdłuż wybrzeża na północ, podążały za nimi cztery morświny. Dzień był pochmurny, macki mgły flirtowały z falami. Chase wyłączył silnik. Łódź dryfowała, a on wyjął harmonijkę i zagrał *Michael, płyń łodzią do brzegu*, tęskną melodię, którą śpiewali niewolnicy w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku, wiosłujący na statkach płynących z przybrzeżnych wysp Karoliny Południowej w stronę wybrzeża. Jej mama śpiewała ją przy sprzątaniu i Kya zapamiętała słowa. Najwyraźniej zachęcone muzyką morświny podpłynęły bliżej i pląsały teraz wokół motorówki, bystro wpatrując się w Kyę. Dwa oparły się o kadłub, a ona pochyliła się nad nimi tak, że dzieliło ją od nich ledwie parę centymetrów, i cicho śpiewała:

Siostro, pomóż ogarnąć łódź, alleluja
Bracie, ty też mnie wspomóż, alleluja.
Ojciec wyjechał do dalekiej krainy, alleluja.
Michael, płyń łodzią do brzegu, alleluja.

Rzeka Jordan głęboka i szeroka,
Spotkam matkę na drugim brzegu, alleluja.
Rzeka Jordan rześka i zimna
Chłodzi ciało, lecz nie duszę, alleluja.

Morświny wpatrywały się w Kyę jeszcze przez chwilę, a potem zniknęły w oceanie.

Przez następne tygodnie Kya i Chase w otoczeniu mew wylegiwali się wieczorami na wciąż ciepłym piasku. Chase nie zabierał jej do miasteczka na tańce czy do kina; byli tylko oni, mokradła, ocean i niebo. Nie całował jej, tylko trzymał za rękę lub delikatnie obejmował ramieniem.

Któregoś wieczoru został aż do zmroku. Siedzieli przy małym ognisku na plaży pod rozgwieżdżonym niebem, ramię przy ramieniu, okryci kocem. Płomienie rozświetlały ich twarze i łagodziły swoim blaskiem panujący wokół mrok. Patrząc jej w oczy, Chase spytał:

– Mogę cię pocałować? – Skinęła głową, więc pochylił się nad nią i to zrobił; wpierw delikatnie, a potem jak mężczyzna.

Położyli się na kocu. Przylgnęła do niego tak bardzo, jak tylko mogła. Mocno ją przytulił, ale dotykał dłońmi tylko jej ramion. Oddychała głęboko, wciągając w nozdrza jego ciepły zapach, woń oceanu i tego, co ich połączyło.

*

Kilka dni później, korzystając z przerwy w zajęciach, Tate pomknął motorówką do wylotu kanału prowadzącego do chaty Kyi, pierwszy raz od pięciu lat. Sam nie rozumiał, dlaczego nie zrobił tego wcześniej – pewnie dlatego, że stchórzył i się tego wstydził. Teraz jednak postanowił ją odnaleźć, powiedzieć, że nigdy nie przestał jej kochać, i błagać o przebaczenie.

W ciągu czterech lat spędzonych na uczelni przekonywał sam siebie, że Kya nie pasuje do świata nauki, na którym tak mu zależało. Przez pierwsze dwa próbował o niej zapomnieć, a w Chapel Hill nie brakowało dziewczyn. Miał nawet parę dłuższych związków, ale żaden nie mógł się równać z uczuciem, które przeżył z Kyą. Po tym jak zrozumiał, czym jest DNA, izotopy i pierwotniaki, pojął też, że nie może bez niej żyć. To prawda, że ona nie wpasowałaby się w świat akademicki, ale on mógł teraz zamieszkać w jej świecie.

Wszystko sobie zaplanował. Promotor oznajmił mu, że może skończyć studia i obronić pracę doktorską w ciągu trzech lat, ponieważ zbierał do niej materiały od samego początku studiów i już prawie ją napisał. Tate dowiedział się również, że rząd zamierza wybudować laboratorium badawcze pod Sea Oaks i że ma wielką szansę znaleźć tam zatrudnienie na pełny etat. Nikt nie miał lepszych kwalifikacji; Tate interesował się mokradłami niemal od urodzenia, a wkrótce zyska dodatkowy argument w postaci doktoratu. Za kilka lat będzie mógł zamieszkać tam z Kyą. I się z nią ożenić, jeśli go zechce.

Kiedy jego łódka przecinała fale, zbliżając się do kanału, Tate dostrzegł motorówkę Kyi, płynącą z południa prostopadle do jego kursu. Puścił ster i gwałtownie wymachiwał rękami, żeby przyciągnąć jej uwagę. Wołał do niej, ale Kya spoglądała w drugą stronę. Tate powędrował za jej wzrokiem i zobaczył nadpływającą łódź Chase'a. Dryfując, patrzył, jak krążą wokół siebie, zataczając coraz ściślejsze kręgi niczym orły podczas podniebnych godów. Ich łódki wirowały jak szalone wśród niebieskoszarych fal.

Widział, jak stykają się palcami ponad spienioną wodą. Słyszał plotki od starych znajomych z Barkley Cove, ale miał nadzieję, że nie są prawdziwe. Rozumiał, dlaczego Kya dała się uwieść temu przystojnemu i z pewnością romantycznemu

mężczyźnie, który woził ją swoją wypasioną motorówką na eleganckie pikniki. Nie mogła przecież wiedzieć, że Chase flirtuje i romansuje z innymi młodymi kobietami z Barkley, a nawet z Sea Oaks.

Kim ja jestem, żeby się na ten temat wypowiadać? – pomyślał. – Sam nie potraktowałem jej lepiej. Złamałem słowo i nawet nie miałem odwagi z nią zerwać.

Ukrył się za burtą, a potem zerknął jeszcze raz i zobaczył, jak Chase pochyla się i całuje Kyę. Szybko zawrócił do portu, żeby pomóc ojcu przeładować połów.

*

Kilka dni później, nie mając pewności, czy Chase ją odwiedzi, Kya znów złapała się na tym, że nasłuchuje odgłosu jego motorówki, tak jak kiedyś nasłuchiwała warkotu łodzi Tate'a. Pieląc chwasty, rąbiąc drewno na opał i zbierając muszle, przechylała głowę, by wyłapać ten dźwięk. Miała „uszy otwarte", jak mawiał Jodie.

Zmęczona uzależnieniem od nadziei wrzuciła do plecaka trzydniowy zapas bułeczek, pieczonej karkówki i sardynek i poszła do starej, walącej się chaty z bali – do „czytelni", jak ją nazywała. Tam, na kompletnym pustkowiu, mogła swobodnie spacerować, do woli powiększać swoją kolekcję, chłonąć słowa i naturę. Brak wyczekiwania na cudze odgłosy dał jej wolność i moc.

W gęstym dębowym zagajniku tuż za chatą Kya znalazła piórka z szyi nura rdzawoszyjego i w głos się roześmiała. Zawsze o nich marzyła, a tu leżały o rzut beretem, w dole strumienia.

Zwykle jednak przychodziła tu czytać. Odkąd Tate ją zostawił, nie miała już dostępu do książek, więc któregoś ranka

minęła Point Beach i popłynęła jeszcze kilkanaście kilometrów dalej, do Sea Oaks, miasteczka nieco większego i dużo elegantszego niż Barkley Cove. Skoczek powiedział jej, że każdy może wypożyczać książki z tamtejszej biblioteki. Wątpiła, by dotyczyło to także mieszkańców mokradeł, lecz postanowiła to sprawdzić.

Zacumowała przy nabrzeżu i przeszła przez wysadzany drzewami nadmorski skwer. Kiedy szła do biblioteki, nikt się za nią nie oglądał, nie szeptał za jej plecami i nie przeganiał sprzed sklepowych wystaw. Tutaj nie była Dziewczyną z Bagien.

Wręczyła bibliotekarce, pani Hines, listę podręczników uniwersyteckich.

– Pomoże mi pani znaleźć *Podstawy chemii organicznej* Geissmana, *Zoologię bezkręgowców z obszarów zalewowych* Jonesa i *Podstawy ekologii* Oduma? – Znała te tytuły z bibliografii zamieszczanych w książkach, które Tate podarował jej przed wyjazdem na studia.

– Sprawdzę, ale pewnie będę musiała je ściągnąć z biblioteki uniwersytetu stanowego w Chapel Hill.

Teraz, siedząc przed swoją „czytelnią”, Kya wzięła do ręki przegląd naukowy. Jeden z artykułów poświęcony rozrodczości nosił tytuł *Cwane fajfusy*. Kya wybuchnęła śmiechem.

Napisano w nim, że – jak powszechnie wiadomo – zwykle samce o najbardziej wyrazistych drugorzędnych cechach płciowych, chlubiący się największym porożem, najniższym głosem, najszerszymi barkami czy największą wiedzą, zajmują najlepsze tereny, bo udaje im się odpędzić słabsze osobniki. Samice lgną do tych samców alfa i pozyskują nasienie o najmocniejszym DNA, które przekazują potomstwu. Jest to jedno z najważniejszych zjawisk w procesie życiowej adaptacji gatunków. Ponadto samice zapewniają w ten sposób swoim młodym najlepsze żerowiska.

Jednakże mniej imponujące samce, nie tak silne, urodziwe i mądre, które nie potrafią utrzymać tych terenów, dysponują całym arsenałem sztuczek pozwalających wywieść samice w pole. Przybierają nadęte pozy bądź często wydają z siebie głos, nawet jeśli jest cienki. Wykorzystują pozory i fałszywe sygnały i dzięki temu udaje im się czasami doprowadzić do kopulacji. Niepozorny samiec żaby chowa się w trawie w pobliżu samca alfa, kiedy ten, rechocząc, z werwą wabi do siebie samice. Jeśli jego głośne nawoływania skuszą jednocześnie większą ich liczbę, a samiec alfa skupia się na kopulacji z jedną, jego słabszy kolega dopada którąś z pozostałych. Właśnie takie samce autor artykułu nazwał „cwanymi fajfusami".

Kya przypomniała sobie, jak przed laty mama przestrzegała jej starsze siostry przed chłopakami, którzy żyłują swoje przerdzewiałe pickupy albo jeżdżą starymi rzęchami i puszczają muzykę na cały regulator. „Poznasz huncwota po jego warkotach", mawiała.

Ten artykuł był pocieszający dla wszystkich samic. Natura nie waha się sprawić, że samce wysyłający fałszywe sygnały lub biegający od jednej samicy do drugiej, niemal zawsze kończą w samotności.

Inny poruszał kwestię szaleńczej rywalizacji między plemnikami. Samce większości gatunków konkurują o samice. Lwy niekiedy staczają o nie walki na śmierć i życie. Słonie sczepiają się kłami i tratują ziemię, próbując zadać rany przeciwnikowi. Choć walki te mają charakter rytualny, zdarza się, że prowadzą do okaleczeń.

By ich uniknąć, samce niektórych gatunków rywalizują przy użyciu mniej brutalnych i bardziej pomysłowych metod. Przodują w tym owady. Penis samca ważki równoskrzydłej jest

wyposażony w niewielką łyżeczkę, którą samiec usuwa nasienie poprzednika, nim dostarczy samicy własne.

Kya odłożyła przegląd na podołek i pozwoliła, by jej myśli podryfowały wraz z chmurami. Samiczki niektórych owadów zjadają swoich partnerów, zestresowane matki ssaków porzucają swoje młode, wiele samców knuje lub ryzykuje, by wyprzeć nasienie rywali. Wszystkie chwyty są dozwolone, o ile służy to przedłużeniu cyklu życia. Kya wiedziała, że to nie ciemna strona Matki Natury, tylko pomysłowe sposoby na przetrwanie wbrew wszelkim przeciwnościom. Ludzie z pewnością mieli ich więcej.

*

Po tym jak Kya przepadła na trzy dni, Chase zaczął umawiać się z nią na konkretną datę i godzinę w jej chacie bądź na którejś z plaż i zawsze zjawiał się punktualnie. Już z daleka dostrzegała na falach jego łódkę, jasną niczym upierzenie godowe ptasiego samca, i wiedziała, że płynie właśnie do niej.

Wyobrażała sobie, jak zabiera ją na piknik ze swoimi przyjaciółmi. Śmialiby się, biegali i rozkopywali fale. Chase brałby ją na ręce i wirował z nią na piasku. Potem siedzieliby wszyscy razem, jedli kanapki i pili napoje z przenośnej lodówki. Mimo że się temu opierała, powolutku rodziły się w jej głowie myśli o ślubie i dzieciach. Pewnie biologia popycha mnie do rozrodu, tłumaczyła sobie. Ale dlaczego nie mogłaby mieć rodziny jak wszyscy? Dlaczego nie?

Tyle że zawsze gdy próbowała spytać, kiedy przedstawi ją znajomym i rodzicom, słowa więzły jej w gardle.

Pewnego upalnego dnia kilka miesięcy po tym, jak się poznali, dryfowali łódką i Chase uznał, że to idealne warunki do pływania.

– Nie będę podglądał – obiecał. – Ściągaj ciuchy i skacz, ja po tobie.

Stanęła przed nim i starając się zachować równowagę, zdjęła podkoszulek, ale nie odwrócił głowy. Sięgnął ręką i delikatnie przesunął palcami po jej jędrnych piersiach. Nie powstrzymywała go. Przyciągnąwszy ją ku sobie, rozpiął jej szorty i z łatwością zsunął je z jej szczupłych bioder. Potem sam zdjął koszulę i szorty i lekko pchnął ją na ręczniki.

Klęknąwszy przy jej stopach, bez słowa, powoli, jakby szeptał, przesunął dłonią po jej lewej łydce do zagłębienia za kolanem i wyżej, po wewnętrznej stronie uda. Obróciła się ku niemu. Jego palce zatrzymały się, musnęły bieliznę i lekko jak piórko przemknęły po brzuchu. Czuła, jak wędrują ku jej piersiom, i próbowała się odwrócić. Stanowczym ruchem nakazał jej bezruch i ponowił atak, pocierając palcem jej sutek. Spojrzał na nią bez uśmiechu, przesunął dłoń w dół i odchylił brzeżek majtek. Pragnęła go, całego. Przywarła do niego, lecz po chwili powstrzymała go dłonią.

– Daj spokój. Proszę. Tak długo z tym czekamy. Przecież byłem cierpliwy.

– Chase, obiecałeś.

– Niech to szlag! Na co tu czekać? Udowodniłem ci, że cię kocham. Dlaczego nie?

Usiadła i wciągnęła podkoszulek.

– A potem? Skąd mam wiedzieć, że mnie nie zostawisz?

– Jak można to wiedzieć? Nigdzie się nie wybieram. Zakochałem się i chcę wciąż być przy tobie. Co mam jeszcze zrobić, żeby ci to udowodnić?

Nigdy wcześniej nie wspomniał o miłości. Wypatrywała potwierdzenia w jego oczach, lecz jego spojrzenie było twarde i nieprzeniknione. Właściwie nie wiedziała, co do niego czuje, ale przynajmniej nie była już samotna i to jej wystarczało.

– Niedługo, w porządku?

Przyciągnął ją do siebie.

– W porządku. – Przytulił ją. Leżeli w słońcu, dryfując po oceanie, a fale obijały się o kadłub z cichym pluskiem.

Nużący dzień wreszcie ustąpił miejsca nocy. W oddali, w Barkley Cove, tu i ówdzie rozbłysły światła, a nad oceanem i łódką – ich światem – niebo roziskrzyło się gwiazdami.

– Ciekawe, co sprawia, że gwiazdy migoczą – zagadnął Chase.

– Zawirowania w atmosferze, wiatry w jej wyższych partiach.

– Serio?

– Na pewno wiesz, że większość jest zbyt daleko, byśmy mogli je zobaczyć. Widzimy tylko ich blask zdeformowany przez warstwy atmosfery. Rzecz jasna, gwiazdy nie stoją w miejscu, tylko mkną z dużą prędkością.

Dzięki lekturze książek Alberta Einsteina Kya wiedziała, że czas jest równie niestały jak gwiazdy, lecz przyśpiesza i ulega załamaniom wokół planet i słońc, jest różny na szczytach gór i w dolinach i pochodzi z tej samej tkanki co przestrzeń, która zakrzywia się i wzbiera, podobnie jak woda w oceanach. Obiekty – czy to planety, czy jabłka – spadają lub krążą po orbitach nie z powodu siły ciążenia, lecz wpychane przez inne obiekty o większej masie w jedwabiste fałdy czasoprzestrzeni niczym w zmarszczki wody na tafli stawu.

Tego jednak Kya mu nie powiedziała. Niestety, ludzka myśl nie zawsze nadąża za osiągnięciami nauki i licealne podręczniki wciąż uczyły, że jabłka spadają na ziemię z powodu wszechpotężnej siły grawitacji.

– Wiesz, zaproponowali mi, żebym trenował szkolną drużynę futbolową – rzucił Chase.

Uśmiechnęła się do niego i pomyślała: Jak wszystko we wszechświecie, także my toczymy się ku tym o większej masie.

*

Rankiem, podczas jednej z rzadkich wypraw do Piggly Wiggly po sprawunki, których nie mogła załatwić u Skoczka, wychodząc ze sklepu, Kya omal nie wpadła na rodziców Chase'a – Sama i Patti Love. Wiedzieli, kim jest. Wszyscy wiedzieli.

Przez lata czasami widywała ich w miasteczku, zwykle z daleka. Sama można było zobaczyć za ladą w Western Auto, gdzie stojąc przy kasie, obsługiwał klientów. Kya pamiętała, że gdy była mała, przeganiał ją sprzed sklepu, jakby się bał, że wystraszy kupujących. Patti Love nie pracowała na pełny etat, więc znajdowała czas na spacery po Main Street i rozdawanie zaproszeń na doroczny konkurs narzut lub wybory miss piękności. Zawsze elegancka – w szpilkach, z małą torebką, w kapeluszu dobranym kolorystycznie i stosownie do pory roku. Bez względu na temat rozmowy zawsze wtrącała uwagę, że Chase to najlepszy rozgrywający, jakie to miasto kiedykolwiek widziało.

Kya uśmiechnęła się nieśmiało i spojrzała jej w oczy w nadziei, że miło ją zagadną i się przedstawią. Może nawet dadzą do zrozumienia, że wiedzą, iż jest dziewczyną Chase'a. Tymczasem gwałtownie przystanęli, po czym wyminęli Kyę bez słowa, obchodząc ją szerzej, niż było to konieczne, i poszli dalej.

Wieczorem po tym incydencie Kya i Chase kołysali się w jej łódce pod ogromnym dębem o konarach wystających ponad wodę, służących za schronienie dla wydr i kaczek. Cichym głosem, trochę dlatego, żeby nie płoszyć krzyżówek, a trochę ze strachu, Kya opowiedziała Chase'owi o spotkaniu z jego rodzicami i spytała, czy wkrótce ją im przedstawi.

Milczał, a ona czuła, jak rośnie jej gula w żołądku.

W końcu się odezwał.

– Jasne, że tak. Niedługo, obiecuję. – Kiedy to mówił, odwrócił wzrok.

– Ale wiedzą o mnie? O nas?

– Pewnie.

Widocznie łódź zbytnio zbliżyła się do pnia, bo w tej samej chwili puchacz, krągły i puszysty jak poduszka, opadł z rozpostartymi skrzydłami i poszybował z wolna nad wodami laguny, w których odbijały się jego cętkowane pióra.

Chase ujął dłoń Kyi i wycisnął z jej palców zwątpienie.

Zachody słońca i wschody księżyca towarzyszyły ich wędrówkom po mokradłach całymi tygodniami. Za każdym razem, gdy Kya wzbraniała się przed pieszczotami, nie nalegał. A ona wciąż miała przed oczami gołębice i indyczki, które samotnie chowają młode po tym, jak samce dawno odfrunęły do innych samiczek.

Polegiwanie niemal nago w motorówce to było wszystko, wbrew temu, co mówili ludzie w Barkley Cove. Kya i Chase starali się trzymać od nich z dala, ale miasteczko było małe i widywano ich razem na łodzi albo na plaży. Poławiaczom krewetek mało co umykało. Było gadanie. Plotki.

27.

Nieopodal Hog Mountain Road

1966

Rankiem chata tonęła w ciszy, jeśli nie liczyć łopotu skrzydeł kosów. Gęsta zimowa mgła snuła się po ziemi i otulała ściany niczym garście puchatej bawełny. Za pieniądze uzyskane w ciągu kilku tygodni ze sprzedaży małży Kya kupiła prawdziwe pyszności. Usmażyła kawałki szynki w glazurze z sosem kawowym i podała je z bułeczkami na kwaśnej śmietanie i konfiturą z jeżyn. Chase pił kawę instant Maxwell House, a ona herbatę Tetley. Byli razem już prawie rok, choć żadne z nich o tym nie mówiło. Chase stwierdził, że ma kupę szczęścia jako syn właściciela Western Auto.

– Dzięki temu zbudujemy sobie po ślubie ładny dom. Postawię ci piętrowy, na plaży, z biegnącą wokół werandą. Albo taki, jaki będziesz chciała.

Kyi zaparło dech. Pragnął jej w swoim życiu. Nie była to jakaś tam aluzja, ale coś na kształt oświadczyn. Będzie czyjąś żoną, będzie miała rodzinę. Wyprostowała się na krześle.

– Moim zdaniem nie powinniśmy mieszkać w samym miasteczku – ciągnął Chase. – To byłaby dla ciebie zbyt duża zmiana. Możemy zbudować dom na obrzeżach. No, wiesz, blisko mokradeł.

Ostatnio zaczęły ją nachodzić bliżej niesprecyzowane myśli o ślubie, lecz bała się w nie zagłębiać. Tymczasem Chase teraz wspomniał o tym na głos. Oddech Kyi przyśpieszył; przyjęła to z niedowierzaniem, a jednocześnie zaczęła rozmyślać o szczegółach. Dam radę – przemknęło jej przez głowę. – Jeśli zamieszkamy z dala od ludzi, może się udać.

Spuściła głowę i spytała:

– A twoi rodzice? Powiedziałeś im?

– Kyu, musisz coś zrozumieć. Oni mnie kochają. Jeśli im powiem, że wybrałem ciebie, nie będzie dyskusji. Pokochają cię, jak tylko cię poznają.

Przygryzła wargę. Chciała w to wierzyć.

– Zbuduję ci pracownię na twoją kolekcję – ciągnął. – Z wielkimi oknami, żebyś mogła oglądać te swoje piórka.

Nie była pewna, czy żywi do niego uczucia, jakie żona powinna żywić do męża, lecz w tym momencie jej serce dostało skrzydeł, jakby rzeczywiście to była miłość. Koniec z wygrzebywaniem małży.

Dotknęła wisiorka z muszlą, który miał na szyi.

– À propos, za kilka dni wybieram się po towar do Asheville. Może pojedziesz ze mną?

Spuściwszy wzrok, odpowiedziała:

– To duże miasto. Sporo tam ludzi. Nie mam się w co ubrać ani nie wiem, jak się ubrać.

– Kyu, posłuchaj. Będziesz ze mną, a ja wiem co i jak. Nie musimy chodzić w eleganckie miejsca. Po drodze zobaczysz kawał Karoliny Północnej: płaskowyż Piedmont i park narodowy Great Smoky Mountains! A na miejscu możemy

skoczyć na hamburgery do baru dla zmotoryzowanych. Możesz pojechać w tym, co masz na sobie. Z nikim nie musisz rozmawiać, jeśli nie będziesz miała ochoty. Wszystkim się zajmę. Byłem tam wiele razy. W Atlancie też, a przy niej Asheville to wiocha. Skoro mamy się pobrać, to musisz na trochę wyjść do ludzi, rozprostować te swoje długie skrzydła.

Skinęła głową. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, to przynajmniej zobaczy góry.

– Pojedziemy na dwa dni, więc zostaniemy tam na noc, w jakimś skromnym miejscu, w niewielkim motelu. To nic takiego, w końcu jesteśmy dorośli.

– Aha… – mruknęła. A potem szepnęła: – Rozumiem.

*

Kya nigdy wcześniej nie jechała szosą, więc gdy ruszyli pickupem Chase'a z Barkley na zachód, wyglądała przez okno, trzymając się obiema rękami fotela. Droga wiła się kilometrami pośród wysokich traw i palmiczek, a ocean coraz mniej wyraźnie majaczył w lusterku wstecznym.

Przez ponad godzinę migały jej przed oczami tak dobrze znane trawiaste łąki i rozlewiska. Wypatrywała na nich strzyżyków i czapli, których kojący widok dawał jej poczucie, że wcale nie wyjeżdża z domu, tylko zabiera go ze sobą.

Aż tu raptem, jakby ktoś wyrysował na ziemi granicę, mokradła się skończyły i rozpostarł się przed nimi zakurzony krajobraz – wykarczowany i wygrodzony w kwadratowe, tworzące rzędy działki. Pola okaleczonych ściętych pni, które kiedyś były lasem. Słupy obwieszone drutami ciągnące się aż po horyzont. Oczywiście Kya zdawała sobie sprawę, że przybrzeżne mokradła nie pokrywają całej kuli ziemskiej, ale przecież nie widziała niczego oprócz nich. Co ci ludzie

wyprawiają z ziemią? Przycupnięte na strzyżonych trawnikach identyczne domy przypominały pudełka na buty. Stado różowych flamingów żerowało w którymś z ogródków, ale gdy Kya obejrzała się zaskoczona, dostrzegła, że są z plastiku. Betonowy jeleń. Kaczki wymalowane na skrzynkach pocztowych.

– Niesamowite, prawda? – rzucił Chase.

– Co?

– Te domy. Takich jeszcze nie widziałaś.

– Nie widziałam.

Po paru godzinach na płaskowyżu Piedmont ujrzała w oddali delikatny, błękitnawy zarys Appalachów. Gdy się tam zbliżyli, jak okiem sięgnąć rozciągały się przed nimi górskie szczyty i łagodne zalesione zbocza.

Obłoki leniwie tuliły się do szczytów, po czym ulatywały w dal. Ich strzępy tworzyły niekiedy ciasne spirale i zaścielały ciepłe jary, jak mgła lgnąca do wilgotnych łęgów. Igraszki fizyki w innym wymiarze przyrody.

Kya była dzieckiem nizin, krainy, gdzie widać horyzont, gdzie zawsze o czasie zachodzi słońce i wstaje księżyc. Tu, w tej zawiłej topografii, słońce balansowało na górskich graniach, znikało za jakimś szczytem, by po chwili znów wychynąć, gdy samochód Chase'a wspinał się na kolejne wzniesienie. Kya zwróciła uwagę, że w górach pora zachodu słońca zależy od miejsca, z którego go oglądasz.

Zastanawiała się, gdzie jej dziadek miał tu ziemię. Może jej przodkowie trzymali świnie w przyszarzałym od działań aury chlewie, który zauważyła po drodze na łące przeciętej strumieniem. Krewni, których powinna wciąż mieć, pracowali, śmiali się i płakali pod tym niebem. Niektórzy wciąż tu mieszkali, rozrzuceni po całym okręgu. Anonimowi.

Tymczasem szosa przemieniła się w czteropasmówkę i Kya mocno trzymała się podłokietnika, gdy Chase pędził, jadąc ledwie parę metrów za innymi, równie szybko mknącymi samochodami. Po jakimś czasie skręcił w magiczną, pnącą się łukiem do nieba nitkę drogi prowadzącą do miasta.

– Koniczynka, węzeł drogowy – oznajmił z dumą.

Na tle gór wyrosły nagle ogromne budynki, miały po siedem, dziewięć pięter. Wokół, niczym kraby, przemykały stada samochodów, a na chodnikach kręciło się mnóstwo ludzi. Kya przyglądała się im z twarzą przyklejoną do szyby. Była pewna, że gdzieś wśród nich są jej rodzice. Biegnący chodnikiem, opalony, ciemnowłosy chłopak przypominał Jodiego. Obejrzała się za nim. Jej brat z pewnością był teraz dużo wyższy, ale śledziła wzrokiem tego chłopca, póki nie zniknął za rogiem.

Chase zarezerwował im pokój w motelu po drugiej stronie miasta, nieopodal Hog Mountain Road. Na parterowym budynku z brązową fasadą i rzędem pokoi widniał neon w kształcie – jakżeby inaczej – liści palmy.

Chase otworzył drzwi i Kya znalazła się w dość schludnym pokoju, zalatującym wonią uniwersalnego płynu czyszczącego o zapachu sosny i umeblowanym w stylu amerykańskiej tandety. Ściany obite panelami z PCV, sfatygowane łóżko z wibrującym materacem na monety, czarno-biały telewizor przytwierdzony do stolika niewyobrażalnie grubym łańcuchem z kłódką. Limonkowa pościel, pomarańczowa wykładzina typu „baranek”. Kya przypomniała sobie miejsca, w których obok siebie leżeli – krystaliczny piasek nad brzegiem oceanu i zalane księżycową poświatą, dryfujące łódki. Tu gwoździem programu było łóżko, lecz ten pokój w ogóle nie kojarzył się z miłością.

Kya wymownie stanęła przy drzwiach.

– Super to on nie jest – skomentował Chase, kładąc na krześle worek marynarski. Ruszył w jej stronę. – Już czas, prawda? Już

czas.

Jasne, to jego plan, ale była na niego gotowa. Jej ciało wyczekiwało go od miesięcy, a po tym, jak wspomniał o ślubie, poddał się też rozum. Skinęła głową.

Powoli podszedł i rozpiął jej bluzkę, potem delikatnie obrócił i zrobił to samo ze stanikiem. Powiódł palcami po jej piersiach. Poczuła płomień biegnący od sutków do ud. Kiedy pociągnął ją na łóżko w czerwono-zielonej poświacie przebijającego przez cienkie zasłony neonu, przymknęła oczy. Wcześniej, kiedy już prawie to robili i kiedy go powstrzymywała, jego błądzące palce miały magiczną moc rozbudzania jej ciała, które wyginało się w łuk, pełne tęsknoty i pożądania. Teraz jednak, gdy wreszcie dała mu przyzwolenie, stał się gwałtowny; naparł, nie zważając na jej pragnienia. Krzyknęła, czując rwący ból. Pomyślała, że stało się coś złego.

– Spokojnie. Teraz będzie już tylko lepiej – zapewnił ją buńczucznie.

Ale nie było. Wkrótce z uśmiechem zległ obok niej na materacu.

Kiedy zasnął, Kya wpatrywała się w migoczący neon z napisem „Wolne pokoje”.

*

Kilka tygodni później, zjadłszy na śniadanie jajecznicę na szynce, usiedli przy stole w kuchni. Wcześniej się kochali. Kya otuliła się kocem. W łóżku było jej z nim teraz tylko troszkę lepiej niż wtedy, za pierwszym razem, w motelu. Zawsze pozostawała niezaspokojona, ale nie miała pojęcia, jak mu to powiedzieć. Zresztą właściwie nie wiedziała, czego się spodziewać po seksie. Może tak właśnie wyglądał.

Chase wstał, uniósł jej podbródek, pocałował ją i powiedział:

– Przez te kilka dni przed Gwiazdką raczej nie będę tu zaglądał. Dużo się dzieje, odwiedzą nas krewni.

Spojrzała na niego i spytała:

– Miałam nadzieję, że może… pójdziemy razem na jakieś przyjęcie. Albo chociaż na świąteczną kolację do twoich rodziców.

Chase przysiadł na krześle.

– Właśnie miałem z tobą o tym porozmawiać. Chciałem cię zaprosić na tańce do Klubu Łosia, ale wiem, jaka jesteś nieśmiała i jak bardzo unikasz miasta. Źle byś się tam czuła. Nikogo byś nie znała i nie masz się w co ubrać. Czy ty w ogóle umiesz tańczyć? To nie dla ciebie. Rozumiesz, prawda?

Wbiwszy wzrok w podłogę, odpowiedziała:

– Tak, to wszystko prawda, ale przecież muszę jakoś się do ciebie dopasować. Rozwinąć skrzydła, jak to określiłeś. Muszę sobie kupić jakieś ubrania i poznać twoich przyjaciół. – Uniosła głowę. – A tańczyć ty mnie możesz nauczyć.

– Jasne, i zrobię to. Ale kiedy o nas myślę, wszystko kojarzy mi się z tym miejscem. Uwielbiam ten czas, który spędzamy tu we dwoje. Prawdę mówiąc, nudzą mnie już te głupie potańcówki, od lat wyglądają tak samo. Szkolna sala gimnastyczna, starzy, młodzi, wszyscy razem. I ta beznadziejna muzyka. Chcę czegoś więcej. Po ślubie nie będziemy robić takich rzeczy, więc po co cię w to wciągać? Bez sensu. Dobrze mówię?

Znów wbiła wzrok w podłogę, a on znów uniósł jej podbródek i spojrzał w oczy. Po chwili z szerokim uśmiechem dorzucił:

– A co do świąt w rodzinnym gronie… Przyjadą moje stare ciotki z Florydy. Wciąż gadają, jedna przez drugą. Nikomu nie życzę słuchania tej paplaniny, zwłaszcza tobie. Wierz mi, nic nie tracisz.

Milczała.

– Serio. Chcę, żeby ci było dobrze. To, co nas łączy, jest wyjątkowe, każdy o tym marzy. A reszta to bzdety. – Machnął ręką. Posadził ją sobie na kolanach. Oparła głowę na jego ramieniu. – Liczy się to, co tutaj. Nie tamto. – Czule ją pocałował i wstał. – Dobra, muszę iść.

Kya spędziła święta w towarzystwie mew, jak co roku, odkąd odeszła mama.

*

Od świąt minęły dwa dni, a Chase wciąż się nie pojawił. Łamiąc dane samej sobie słowo, że już nigdy nie będzie na nikogo czekać, Kya przechadzała się nerwowo nad brzegiem laguny. Tego dnia zaplotła włosy w warkocz i pomalowała usta starą szminką mamy.

Mokradła okryły się zimowym płaszczem brązów i szarości. Zwiędłe trawy, zrzuciwszy nasiona, pochyliły głowy nad wodą w geście kapitulacji. Ich chropowate łodygi szeleściły chłostane wiatrem niczym hałaśliwy chór. Kya przygładziła włosy i przetarła usta wierzchem dłoni.

Rankiem czwartego dnia usiadła przy stole w kuchni i grzebała widelcem w jajecznicy i bułkach.

– „Liczy się to, co tutaj”. To gdzie teraz jest?! – syknęła. Wyobraziła sobie, jak gra w futbol z kolegami albo jak tańczy na przyjęciach. – To te bzdety, które tak go nudzą!

Wreszcie dobiegł ją warkot motorówki. Zerwała się od stołu, trzasnęła drzwiami, pobiegła nad lagunę i dostrzegła łódkę. Ale to nie był Chase ani jego motorówka, tylko młodzian o złotych włosach, teraz już krótszych, choć wciąż wymykających się spod czapki. Łódź była stara i stał w niej Tate. Już nie wyglądał jak chłopiec, lecz jak przystojny, dojrzały mężczyzna. W jego

oczach czaiło się pytanie, a na ustach błądził nieśmiały uśmiech.

W pierwszym odruchu Kya chciała uciec, ale rozum krzyczał: NIE! To moja laguna, a ja zawsze uciekam. Nie tym razem! Chwyciła kamień i cisnęła nim w twarz Tate'a z kilku metrów. Uchylił się, kamyk przeleciał tuż obok jego czoła.

– Rany, Kya! Co jest?! Zaczekaj! – zawołał, gdy zamierzyła się drugim. Osłonił twarz rękami. – Na litość boską, przestań! Proszę cię. Porozmawiajmy!

Ten kamień trafił go w ramię.

– WYNOŚ SIĘ Z MOJEJ LAGUNY! PODŁA CUCHNĄCA MENDO! ZADOWOLONY Z ROZMOWY?! – wrzeszcząc jak żona rybaka, zaczęła się rozglądać za kolejnym kamieniem.

– Kyu, posłuchaj. Wiem, że jesteś z Chase'em. Szanuję to. Chcę tylko porozmawiać. Proszę cię.

– Dlaczego miałabym z tobą rozmawiać? Nie chcę cię więcej widzieć! NIGDY! – Zgarnęła garść kamyków i rzuciła mu je w twarz.

Odskoczył na bok, pochylił się i podparł o burtę, a jego łódź zaszorowała po piasku.

– POWIEDZIAŁAM: WYNOCHA! – wciąż krzycząc, ale jakby ciszej, dorzuciła: – Tak, mam kogoś!

Ustawszy na nogach, Tate przysiadł na dziobie motorówki.

– Błagam, są rzeczy, których powinnaś się o nim dowiedzieć. – Nie przypłynął tu, żeby rozmawiać z nią o Chasie. Ta niespodziewana wizyta nie przebiegała tak, jak sobie zaplanował.

– O czym ty gadasz?! Nie masz prawa wtrącać się w moje życie! – wypluła z siebie te słowa, stojąc ledwie dwa kroki od niego.

– Wiem, ale i tak ci to powiem – odparł stanowczo. Ruszyła w stronę chaty, ale ciągnął, podnosząc głos: – Nie mieszkasz

w miasteczku. Nie wiesz, że spotyka się z innymi. Ledwie przedwczoraj widziałem, jak wiózł z przyjęcia jakąś blondynkę. Zasługujesz na kogoś lepszego.

Obróciła się i wypaliła:

– Czyżby?! To TY mnie zostawiłeś, nie przyjechałeś, chociaż obiecałeś! Ani razu! I nawet nie napisałeś dlaczego, nawet nie dałeś znać, czy żyjesz! Nie miałeś odwagi, żeby ze mną zerwać! Taki z ciebie facet! Po prostu zniknąłeś! TCHÓRZLIWY DUPEK! I nagle zjawiasz się po latach! Jesteś gorszy niż on! On też nie jest ideałem, ale ty jesteś dużo gorszy! – Wpatrując się w niego, urwała.

Rozpostarł dłonie.

– Masz rację – przytaknął. – Wszystko, co powiedziałaś, to prawda. Zachowałem się jak tchórz. Nie mam prawa oceniać Chase'a. To nie moja sprawa. Już nie będę zawracał ci głowy. Chcę cię tylko przeprosić i wszystko ci wyjaśnić. Od lat żałuję swojej decyzji.

Opadła z sił, poczuła się jak żagiel, gdy ustaje wiatr. Tate był kimś więcej niż jej pierwszą miłością. Dzielił z nią pasje, nauczył czytać i był jedynym ogniwem – choć być może słabym – łączącym ją z przeszłością i rodziną. Był niczym stary wycinek wklejony do pamiętnika, jedynej rzeczy, która jej pozostała. Jej serce wciąż łomotało, lecz wściekłość gdzieś się rozmyła.

– Spójrz tylko. Jesteś taka piękna. Radzisz sobie? Wciąż sprzedajesz małże? – Tate był zaskoczony tym, jak się zmieniła, jak wyszlachetniały rysy jej twarzy. Wciąż była zniewalająca. Wyraziste policzki, pełne usta.

– Tak.

– Coś ci przywiozłem. – Wyjął z koperty maleńkie piórko z policzka dzięcioła różowoszyjego.

Chciała od razu je wyrzucić, ale takiego jeszcze nie miała. Niby dlaczego go nie zachować? Wsunęła je do kieszeni i nie

podziękowała.

Pośpiesznie rzucił:

– To, że cię zostawiłem, było najgorszą rzeczą, jaką zrobiłem i kiedykolwiek zrobię. Przez lata tego żałowałem i zawsze będę żałował. Myślę o tobie codziennie. Już do końca życia będę sobie wyrzucał, że odszedłem. Nie wierzyłem, że będziesz w stanie porzucić mokradła, by żyć w całkiem innym świecie, dlatego nie wyobrażałem sobie, że możemy zostać razem. I to był błąd. Zachowałem się jak idiota, że tu nie przyjechałem i z tobą nie porozmawiałem. Przecież wiedziałem, ile razy zostawałaś sama. Bałem się zobaczyć, jak bardzo cię skrzywdziłem. Masz rację, facet tak nie robi – dokończył i podniósł na nią wzrok.

– I na co teraz liczysz, Tate? – spytała.

– Żebyś mi wybaczyła, jeśli potrafisz. – Wstrzymał oddech i czekał.

Wbiła wzrok w swoje palce. Dlaczego zranieni, ci, którzy wciąż krwawią, mają wybaczać? Nie odpowiedziała.

– Musiałem ci to powiedzieć.

Nadal milczała, więc dorzucił:

– Studiuję zoologię, a dokładnie protozoologię. Byłabyś zachwycona.

Nie umiała sobie wyobrazić siebie na uczelni. Spojrzała na lagunę, żeby sprawdzić, czy nie ma tam Chase'a. Tate zauważył to. Od razu się domyślił, że na niego czeka.

Tydzień wcześniej obserwował go na świątecznym przyjęciu. Chase, w białym smokingu, tańczył z wieloma kobietami. Jak większość imprez w Barkley Cove, tę też zorganizowano w sali gimnastycznej ogólniaka. Gdy z umieszczonego pod koszem małego zestawu hi-fi dobywały się przytłumione dźwięki *Wooly Bully*, Chase obracał w tańcu jakąś brunetkę. Kiedy rozbrzmiał *Tambourine Man*, zeszli z parkietu i pociągnęli z piersiówki

whiskey Wild Turkey wraz z jego byłymi kolegami z drużyny. Tate rozmawiał nieopodal z dwiema swoimi dawnymi nauczycielkami i usłyszał, jak Chase mówi: „Ostro daje, jak lisica w rui. Jak to dupeczka z bagien. Warta każdego centa wydanego na benzynę”.

Musiał się przemóc, żeby nie zareagować.

*

Przenikliwy, lodowaty wiatr zmarszczył powierzchnię wody w lagunie. Spodziewając się Chase’a, Kya wybiegła na dwór w dżinsach i cienkim swetrze i natychmiast otuliła się ramionami.

– Uświerkniesz. Chodźmy do środka – ponaglił ją Tate, dostrzegając dym uchodzący przez komin z zardzewiałego kuchennego pieca.

– Lepiej już idź. – Kya rzuciła kilka krótkich spojrzeń na wylot kanału. Co będzie, jeśli Chase go tu zastanie?

– Proszę cię, parę minut. Tak bardzo chciałbym znów zobaczyć twoją kolekcję.

W odpowiedzi pobiegła do chaty, a Tate podążył za nią. Przystanął w progu. Kiedyś był to zbiór dziecięcych znalezisk – teraz jej kolekcja przypominała dział poświęcony mokradłom w muzeum historii naturalnej. Tate wziął do ręki muszlę przegrzebka, opatrzoną akwarelą z widokiem plaży, na której została znaleziona, oraz rysunkami przedstawiającymi przegrzebka zjadającego jakieś mniejsze morskie żyjątka. Każdy okaz – a były ich setki, może nawet tysiące – był oznakowany w identyczny sposób. Niektóre widział już kiedyś jako młody chłopak, ale teraz oglądał je jako naukowiec, przyszły doktor zoologii.

Spojrzał na nią. Wciąż stała w drzwiach.

– Te opisy są genialne, bardzo szczegółowe. Możesz je opublikować, wydać książkę, dużo książek.

– Nie. Robię to dla siebie. Pomagają mi poznawać mokradła.

– Posłuchaj. Dobrze wiesz, że praktycznie nie ma publikacji dotyczących tych obszarów. Twoje notatki, dane i piękne ilustracje to coś, na co wszyscy czekają.

Tak było w istocie. Stare przewodniki mamy z informacjami o muszlach, roślinach, ptakach i pozostałych zwierzętach z tych okolic były jedynym drukowanym źródłem wiedzy na ten temat, w dodatku raczej pobieżnym i niezbyt dokładnym, zawierającym tylko czarno-białe ryciny.

– Jeśli dasz mi kilka próbek, poszukam jakiegoś wydawcy i spytam go, jak to widzi.

Wpatrywała się w niego, nie wiedząc, co o tym myśleć. Musiałaby dokądś pojechać, rozmawiać z jakimiś ludźmi? Tate odgadł treść pytań kłębiących się jej w głowie.

– Nie musiałabyś nigdzie jechać, wystarczy przesłać próbki do wydawnictwa. Zarobiłabyś na tym, pewnie niedużo, ale może nie musiałabyś do końca życia zbierać małży.

Wciąż milczała. Tate znowu ją zachęcał, żeby o siebie zadbała, nie proponując, że on to zrobi. Przez tyle lat mogła na niego liczyć, a potem odszedł.

– Spróbuj. Co ci szkodzi?

W końcu zgodziła się, żeby zabrał kilka próbek. Wybrał delikatne akwarele z wizerunkami muszli i czapli modrej, przedstawiające tego ptaka ze wszystkimi detalami o różnych porach roku, a także olejny obrazek, na którym widać zakrzywione pióro na łebku.

Tate wziął do ręki właśnie ten ostatni. Miał przed sobą setki mieniących się kolorami cieniutkich pociągnięć pędzla przechodzących w głęboką, połyskliwą czerń, jakby na płótno padały promienie słońca. Drobne uszkodzenie pióra było

przedstawione tak precyzyjnie, że Tate i Kya jednocześnie uświadomili sobie, iż to obraz tego pierwszego, które podarował jej w lesie. Spojrzeli sobie w oczy, lecz Kya szybko odwróciła głowę. Zdusiła uczucia. Nie wróci do kogoś, komu nie może zaufać.

Podszedł, dotknął jej ramienia i próbował delikatnie obrócić.

– Tak bardzo żałuję, że cię zostawiłem. Nie wybaczysz mi?

W końcu na niego spojrzała.

– Nie umiem. Nie potrafiłabym ci zaufać. Proszę cię, idź już.

– Wiem. Dziękuję, że mnie wysłuchałaś i dałaś szansę, żebym cię przeprosił. – Chwilę odczekał, ale już się nie odezwała. Dobrze, że przynajmniej nie wraca z niczym. Ewentualny kontakt z wydawcą pozwoli mu znów się z nią spotkać.

– Do widzenia, Kyu.

Nie odpowiedziała. Ostatni raz spojrzała mu w oczy i odwróciła wzrok. Wyszedł z chaty i ruszył w stronę łodzi.

Odczekała, aż zniknie, poszła nad lagunę, usiadła na wilgotnym, zimnym piasku i wypatrywała Chase'a. Powtórzyła na głos słowa, które wcześniej skierowała do Tate'a:

– On też nie jest ideałem, ale ty jesteś dużo gorszy!

Wpatrywała się w ciemną taflę wody i wciąż wracała w myślach do tego, co usłyszała od niego o Chasie. „Widziałem, jak wiózł z przyjęcia jakąś blondynkę".

*

Chase pojawił się dopiero tydzień po świętach. Zawitawszy do laguny, oznajmił, że może zostać na noc i uczcić z Kyą Nowy Rok. Ruszyli do chaty, której dach otuliła mgła. Kochali się, a potem, okryci kocami, tulili do siebie przy kuchennym piecu. Parne powietrze nie przyjęłoby już ani odrobiny wilgoci. Kiedy

zagotowali wodę w czajniku, para utworzyła ciężkie krople na chłodnej szybie.

Chase wyjął z kieszeni harmonijkę i przesuwając po niej ustami, zagrał tęskną melodię piosenki *Molly Malone*.

Teraz jej duch z taczką przemyka
po alejach i ulicach,
i śpiewa: „Małże i sercówki żyją,
hejże ho!”

Kya pomyślała, że gdy gra te melancholijne melodie, wreszcie otwiera przed nią serce.

28.

Poławiacz krewetek

1969

W Dog-Gone, przy piwie, serwowano lepsze plotki niż w barze. Szeryf i Joe weszli do długiej, wypełnionej po brzegi sali i skierowali się w stronę kontuaru wyciosanego z pojedynczego pnia sosny długoigielnej, który ciągnął się i rozpływał w półmroku po lewej stronie lokalu. Klienci – wyłącznie mężczyźni, bo kobiety nie miały tu wstępu – tłoczyli się przy barze lub siedzieli przy stolikach. Dwaj barmani grzali hot dogi, smażyli krewetki, ostrygi i krągłe krokieciki z mąki kukurydzianej, mieszali kaszę na patelniach i polewali piwo i bourbona. Jedynym źródłem światła były tu migające neony z reklamami piwa. Tworzyły miękką poświatę, która – niczym płomienie ogniska – wydobywała z mroku twarze gości. Z sali na zapleczu dobiegał stukot kul bilardowych.

Ed i Joe dobili do obleganego przez rybaków kontuaru i gdy tylko zamówili piwo i smażone ostrygi, od razu posypały się pytania: „Coś nowego? Jak to możliwe, że nie ma odcisków palców? Faktycznie nie ma? A pomyśleliście o starym

Hansonie? To kompletny świr, mógł zrobić coś takiego – wejść na wieżę i zepchnąć każdego, kto się tam zjawi. No, to macie zgryz, co?”.

W tym młynie Joe z jednej strony, Ed z drugiej odpowiadali, słuchali, kiwali głowami. Nagle ponad wszechobecny gwar wybił się pojedynczy głos, pewny i wyważony. Obróciwszy się, szeryf zobaczył Hala Millera, członka załogi kutra poławiacza krewetek, Tima O’Neala.

– Możemy pomówić, szeryfie? Sam na sam.

Ed odstąpił od kontuaru.

– Jasne, Hal. Chodź. – Poprowadził go do małego, stojącego pod ścianą stolika. Usiedli. – Jeszcze jedno piwko?

– Nie, chwilowo mam dość, dzięki.

– Chcesz mi coś powiedzieć, Hal?

– A i owszem. Muszę to z siebie wyrzucić, bo ciągle to za mną łazi.

– No, to już.

– Kurczę! – Hal potrząsnął głową. – Sam nie wiem. Może to nieważne, a może powinienem był powiedzieć ci wcześniej. Wciąż mnie to prześladuje.

– No to mów. Później się zastanowimy, czy to ważne, czy nie.

– Chodzi o tę historię z Chase’em. To było tego wieczoru, kiedy zginął. Wpłynęliśmy kutrem do zatoki dobrze po północy. Ja i Allen Hunt widzieliśmy tam tę kobietę, tę, którą nazywają Dziewczyną z Bagien. Płynęła w przeciwną stronę.

– Serio? O której dokładnie to mogło być?

– O jakiejś… pierwszej czterdzieści pięć.

– Dokąd płynęła?

– No, właśnie w tym rzecz, że prosto do wieży. Jeśli nie zmieniła kursu, musiała dotrzeć do tej małej zatoczki.

Ed głęboko odetchnął.

– Tak, Hal, to ważne. Bardzo. Jesteś pewien, że to była ona?

– Rozmawiałem wtedy z Allenem, on też tak uważa. Obaj pomyśleliśmy to samo. Dziwiliśmy się, co tam robi o tej porze. W dodatku nie włączyła świateł. Miała szczęście, że ją zauważyliśmy, bo doszłoby do kolizji. Potem o tym zapomnieliśmy, ale później skojarzyłem fakty i dotarło do mnie, że to było tej nocy, kiedy zginął Chase. No i pomyślałem, że muszę ci o tym powiedzieć.

– Czy oprócz was ktoś ją jeszcze widział?

– Nie wiem. Sporo ludzi kręciło się po pokładzie, bo właśnie wchodziliśmy do portu, ale z nikim innym o tym nie rozmawiałem. Wtedy nie było powodu. Potem też nikogo o to nie pytałem.

– Rozumiem. Dobrze, że mi powiedziałeś. Tak właśnie trzeba. O nic się nie martw. Poproszę tylko ciebie i Allena o złożenie oficjalnych zeznań. To co z tym piwkiem, chcesz?

– Nie, idę do domu. Dobranoc.

– Dobranoc. Dzięki.

Hal wstał, a Ed pomachał do swojego zastępcy, który co chwilę na niego zerkał, próbując wyczytać coś z jego twarzy. Odczekali, aż Hal pożegna wszystkich znajomych i wyjdzie z baru.

Ed zdał Joemu relację z tego, co usłyszał.

– Rany, to chyba wystarczy, nie sądzisz? – spytał Joe.

– Myślę, że sędzia wyda nakaz, choć pewności nie ma, a zawsze wolę ją mieć, nim o to zawnioskuję. Wtedy moglibyśmy zrobić u niej przeszukanie i może trafilibyśmy na te czerwone włókna, które znaleźliśmy na ubraniu Chase’a. Warto ją też spytać, co robiła tamtej nocy.

29.

Wodorosty

1967

Zimą Chase często odwiedzał Kyę, a w weekendy zwykle zostawał na noc. Nawet w chłodne, wilgotne dni pływali przez zasnute mgłą zarośla – ona zbierała swoje okazy, a on grał na harmonijce dziwaczne melodie. Dźwięki unosiły się we mgle i pierzchały w głąb cienistych, równinnych lasów, jakby mokradła próbowały je wchłonąć i zapamiętać, bo gdy Kya mijała później te miejsca, znów je słyszała.

Któregoś ranka na początku marca ruszyła łodzią do miasteczka, pod niebem odzianym w nudny sweter szarych chmur. Za dwa dni wypadały urodziny Chase'a, więc wybrała się do Piggly po zakupy na uroczystą kolację. Pierwszy raz w życiu zamierzała upiec tort z karmelem i wyobraziła sobie, jak stawia go przed Chase'em na stole w kuchni, przystrojony płonącymi świeczkami; odkąd odeszła mama, nie było takiej fety. Ostatnio kilka razy Chase napomknął, że zbiera pieniądze na ich dom, więc pomyślała, że powinna nauczyć się piec.

Zarzuciwszy cumy, ruszyła wzdłuż nabrzeża w stronę jedynego skupiska sklepów w miasteczku i nagle dostrzegła Chase'a, który rozmawiał z przyjaciółmi, obejmując ramieniem jakąś szczupłą blondynkę. Nigdy wcześniej nie podeszła do niego w miasteczku ani przy ludziach, ale teraz jedynym wyjściem, jeśli chciała uniknąć spotkania, było wskoczenie do oceanu.

Znajomi Chase'a od razu obrzucili ją wymownym spojrzeniem, a on wypuścił z objęć dziewczynę. Kya miała na sobie białe szorty z obciętymi nogawkami, które ukazywały jej długie nogi. Dwa czarne warkocze spływały ku piersiom. Tamci, wgapieni, przestali rozmawiać. Świadomość, że nie może do niego podbiec, była niczym piekąca rana. Jakie to wszystko jest niesprawiedliwe!

Gdy już doszła do końca nabrzeża, Chase rzucił:

– Kya! Cześć.

Spojrzała na niego, potem na nich.

– Cześć, Chase – odpowiedziała.

Usłyszała, jak mówi:

– Pamiętasz Briana, Tima, Pearl i Tinę. – Dorzucił jeszcze kilka imion i zamilkł, po czym, wskazując na nią, dodał: – A to Kya Clark.

Jasne, że ich nie pamiętała, bo nigdy ich jej nie przedstawił. Kojarzyła ich tylko pod przezwiskami, jako Wysoką Blondynkę i resztę. Poczuła się jak wodorost zaczepiony o wędkę, ale zdobyła się na uśmiech i słowa powitania. Wreszcie okazja, na którą czekała. Stała wśród jego przyjaciół, do których pragnęła dołączyć. Szukała w myślach jakichś błyskotliwych słów, którymi mogłaby ich zaciekawić. Tymczasem dwoje spośród jego znajomych chłodno się z nią pożegnało i obróciło na pięcie, a reszta poszła za ich przykładem, oddalając się niczym ławica małych rybek.

– No to się spotkaliśmy – bąknął Chase.

– Nie chcę przeszkadzać. Wybrałam się po zakupy, zaraz wracam do domu.

– Nie przeszkadzasz. Akurat na nich wpadłem. Będę u ciebie w niedzielę, tak jak powiedziałem. – Przestąpił z nogi na nogę i dotknął wisiorka z muszlą.

– No, to na razie – odpowiedziała, ale już zdążył pobiec za innymi.

Kya pośpieszyła do sklepu, omijając rodzinę kaczek krzyżówek przechadzających się Main Street. Oranż ich nóżek jaskrawo odcinał się od burego chodnika. Już w Piggly Wiggly, wyparłszy z głowy myśl o Chasie i tamtej dziewczynie, Kya wyszła zza regału z pieczywem i ujrzała, ledwie ponad metr dalej, panią Culpepper, tę z inspekcji szkolnej. Stanęły naprzeciw siebie jak królik i kojot na ogrodzonym podwórzu. Kya była teraz od niej wyższa i dużo lepiej wyedukowana, choć kiedyś zdawało się to nie do pomyślenia. Po tylu wcześniejszych ucieczkach przemknęło jej przez myśl, żeby i tym razem dać nogę, ale się przemogła i wytrzymała spojrzenie pani Culpepper. Ta lekko skinęła głową i przeszła dalej.

Kya znalazła wszystkie produkty na piknik – ser, bagietkę i składniki tortu. Wydała na nie wszystkie zaoszczędzone na ten cel pieniądze. Czuła, jakby to ktoś inny wkładał je do wózka, bo wciąż miała przed oczami Chase'a obejmującego tamtą dziewczynę. Kupiła jeszcze lokalną gazetę, gdyż dostrzegła nagłówki informujące, że nieopodal, na wybrzeżu, miało zostać otwarte laboratorium morskie.

Wyszedłszy ze sklepu ze spuszczoną głową, pomknęła na nabrzeże niczym fretka złodziejka. Później, już w chacie, usiadła w kuchni, żeby przeczytać artykuł o nowym laboratorium. Rzeczywiście, pod Sea Oaks, około trzydziestu kilometrów od Barkley Cove, wznoszono nowoczesną placówkę

badawczą. Zatrudnieni tam naukowcy mieli badać ekosystem mokradeł, który w taki czy inny sposób umożliwia przetrwanie niemal połowy oceanicznej fauny i flory.

Kontynuując lekturę, przewróciła stronę i zobaczyła wielkie zdjęcie Chase'a z jakąś dziewczyną, a pod nim ogłoszenie o zaręczynach: „Andrews i Stone". Ulały się z niej jakieś słowa, szlochała i ledwie łapała oddech. Wstała i spojrzała jeszcze raz. Podniosła gazetę. Przecież się domyślała. Stali tuż obok siebie i się uśmiechali. Ta dziewczyna, Pearl Stone, piękna, widać, że bogata, w naszyjniku z pereł i koronkowej bluzce. To ją wtedy obejmował. Zawsze w Perłach.

Opierając się o ścianę, Kya przeszła na ganek, padła na siennik i zakryła dłońmi rozwarte usta. Nagle usłyszała warkot motorówki. Przysiadła, spojrzała na lagunę i zobaczyła Chase'a wciągającego łódkę na piasek.

Jak myszka, która umyka z niedomkniętej klatki, prześlizgnęła się przez drzwi ganku i nim ją spostrzegł, skryła się w lesie z dala od laguny. Przycupnąwszy wśród palmiczek, patrzyła, jak wchodzi do chaty i ją woła. Musiał zobaczyć zdjęcie w gazecie rozłożonej na stole. Po paru minutach wyszedł i ruszył ku plaży, licząc, że właśnie tam znajdzie Kyę.

Kya ani drgnęła, nawet kiedy wrócił i znów ją nawoływał. Wychynęła z jeżyn, dopiero gdy odpłynął. Zabrała jedzenie dla mew i ociężale podążyła na plażę. Od oceanu mocno wiało, więc gdy stanęła na piasku, mogła liczyć przynajmniej na wsparcie wiatru, by nie upaść. Przywołała mewy i rzucała im duże kawałki bagietki. Klęła, przekrzykując porywistą bryzę.

30.

Prąd odpływowy

1967

Pobiegła do motorówki i na pełnym gazie ruszyła wprost w morze, za odpływem. Odchyliwszy głowę, krzyknęła:

– Ty wredny… SUKINSYNU!

Rozedrgane fale kolebały łódką i szarpały rumpel. Jak zawsze, ocean był groźniejszy niż mokradła. Głębszy, miał do powiedzenia znacznie więcej niż one.

Kya już dawno nauczyła się czytać prądy, te zwykłe i odpływowe. Umiała je wykorzystywać lub wyrwać się z ich mocy, ustawiając łódź prostopadle. Nigdy jednak nie wypłynęła wprost na te najsilniejsze, napędzane Golfsztromem, w którym co sekundę przetacza się ponad sto trzynaście milionów metrów sześciennych wody – więcej niż we wszystkich rzekach świata razem wziętych – i oblewa wybrzeża Karoliny Północnej. Te masy wody generują silne prądy wsteczne i wiry, które wraz z prądami odpływowymi czynią z tego miejsca jeden z najgorszych oceanicznych kotłów na Ziemi. Kya zawsze ich

unikała, lecz nie teraz. Dziś zmierzała wprost w tę czeluść, byleby tylko zagłuszyć ból i gniew.

Zmącone fale naparły na dziób i obróciły łódź na sterburtę. Mocno się przechyliła, ale wróciła do pionu. Wtedy porwał ją wściekły prąd i zaczęła mknąć jeszcze szybciej. Nagła zmiana kursu była zbyt ryzykowna. Kya z trudem utrzymywała ster, wypatrując płycizn czających się pod powierzchnią. Wystarczyło choćby je musnąć, by łódź się przewróciła.

Teraz fale atakowały ją od tyłu, włosy miała już całkiem mokre. Nad jej głową przemykały ciemne chmury, które przesłaniały słońce, co utrudniało wypatrzenie wirów i wysysało ciepło z powietrza.

Strach wciąż jednak przed nią umykał, mimo że go łaknęła. Chciała czuć przerażenie, które znieczuli ranę w sercu.

Raptem spieniony prąd zmienił kierunek i niewielka łódź odbiła w prawo, kładąc się na burcie. Siła uderzenia powaliła Kyę na pokład, przez który przelewały się fale. Oszołomiona, siedząc w chlupoczącej wodzie, zbierała siły przed kolejnym atakiem żywiołu.

Oczywiście łódź nawet nie zbliżyła się do Golfsztromu. Była to tylko rozgrzewka, trening przed prawdziwym morskim wyzwaniem. Kya traktowała tę wyprawę jednak jako czas próby, z której postanowiła wyjść zwycięsko. Chciała wygrać. Uśmierzyć ból.

Zrywając z wszelkimi zasadami symetrii, fale uderzały teraz ze wszystkich stron. Kya wgramoliła się na ławkę i chwyciła rumpel, ale nie wiedziała, w którą stronę się skierować. Ląd był już tylko cienką, rozkołysaną linią, majaczącą między białymi grzywami. Gdy udawało się jej go dostrzec, łódź odbijała w bok lub szła w górę i Kya traciła ląd z oczu. Wcześniej była pewna, że sobie poradzi, lecz prąd nabrał takiej mocy, że wypychał ją coraz dalej na wściekły i coraz ciemniejszy ocean. Zbite chmury

zawisły nisko nad wodą i przesłoniły słońce. Kya, cała przemoknięta, drżała z wysiłku, z trudem panując nad sterem. Nie miała ze sobą ubrania na zmianę, jedzenia ani wody.

W końcu pojawił się strach. Przybył z głębin straszniejszych niż ocean, ze świadomości, że znów zostanie sama. Pewnie na zawsze. Dożywocie. Z gardła Kyi wyrwał się brzydki świszczący dźwięk. Łódka okręciła się i położyła na burcie, z każdą kolejną falą zanurzała się coraz bardziej.

Na dnie chlupotało już kilkanaście centymetrów spienionej, lodowatej wody liżącej bose stopy Kyi. Jakże szybko ocean i chmury pokonały wiosenny upał. Przyciskając rękę do piersi, próbowała się ogrzać, drugą ledwo trzymała ster. Już nie zdoła stawić oporu wodzie, może tylko płynąć tam, gdzie ją skieruje.

W końcu fale zelżały i choć prąd wciąż niósł ją wedle własnej woli, ocean już się nie narowił i nie wierzgał. Kya dojrzała w oddali wąską, połyskującą wilgotnym piaskiem i muszlami łachę długości może trzydziestu metrów. Walcząc z silnym podwodnym prądem, w odpowiednim momencie skręciła ster i wreszcie zapanowała nad motorówką. Wyszła na zawietrzną i w miejscu, gdzie woda była spokojniejsza, wprowadziła łódź w piach niczym w masło. Stanęła na tym wąskim skrawku lądu i opadła na piasek.

Wiedziała, że nie płacze za Chase'em, lecz nad własnym życiem, w którym tyle razy zaznała odrzucenia. Gdy nad jej głową słońce toczyło walkę z chmurami, powiedziała do siebie:

– Muszę ułożyć sobie życie w samotności. Ale wiedziałam, że tak będzie. Od dawna wiedziałam, że wszyscy odchodzą.

To nie przypadek, że Chase kusił ją wzmiankami o ślubie, żeby zaciągnąć do łóżka, a potem rzucił dla innej. Podpatrując zwierzęta, przekonała się, że samce biegną od jednej samiczki do drugiej – więc dlaczego dała się nabrać? Droga motorówka Chase'a była tym, czym u byka potężna szyja i imponujące

poroże, które miały odstraszać rywali i przyciągać kolejne samice. A jednak dała się złapać na ten sam podstęp co mama. „Cwane fajfusy”. Jakież to kłamstwa wcisnął jej tata? Do jakich drogich restauracji ją zabrał, nim skończyły mu się pieniądze i wywiózł ją na swoje prawdziwe żerowisko – do chaty na bagnach? Może miłość jest szczęśliwa tylko w opowieściach?

Kya wyrecytowała na głos wiersz Amandy Hamilton:

Muszę pozwolić.
Pozwolić ci odejść.
Miłość to zbyt często
Pretekst, by zostać
Zbyt rzadko powód
By odejść.
Wypowiadam te słowa
I patrzę, jak znikasz.

Cały czas
Myślałeś
Że płomienny dech
Z piersi twej kochanki
Wciąga cię zbyt głęboko.
Lecz to pław mego serca
Uwolnił cię
Byś spłynął
Z wodorostami.

Wątłe promienie słońca znalazły szczelinę pośród ciężkich chmur i padły na piaszczystą łachę. Kya rozejrzała się. Prąd – potężna miotła oceanu – i ten skrawek piasku, działając w zmowie, zebrały tu najwspanialszą kolekcję muszli, jaką kiedykolwiek widziała. Kształt i położenie łachy sprawiły, że od

zawietrznej woda delikatnie wymywała na nią muszle, nie uszkadzając ich. Kya zauważyła parę rzadkich okazów, a także mnóstwo swoich ulubionych, połyskujących na perłowo i zachowanych w doskonałym stanie.

Wybrała te najcenniejsze; uzbierał się ich niewielki stos. Obróciła łódkę do góry dnem, by wylać z niej wodę, i starannie ułożyła muszle wzdłuż spawu. Potem, spoglądając na fale, zaplanowała powrót na ląd. Umiała czytać ocean. Konstelacja muszli na łasze podpowiedziała jej, by wypłynąć po zawietrznej i skierować się na wprost. Dzięki temu uniknie najsilniejszych prądów.

Gdy stamtąd odpływała, wiedziała, że już nikt więcej nie zobaczy tej łachy. To żywioły wyrysowały na powierzchni oceanu tę uśmiechniętą buźkę. Następny przypływ i prądy ukształtują inne, ale już nie tę, która dała Kyi schronienie i która podpowiedziała jej parę rzeczy.

*

Później, wędrując plażą, Kya wyrecytowała swój ulubiony wiersz Amandy Hamilton.

Blednący księżycu, pójdź
Moim śladem
Przez światło nietknięte
Cieniami ziemi
I wejdź w moje zmysły
Które czują
Chłodne ramiona ciszy.

Tylko ty wiesz
Że z jednej strony chwili

Ciągnie się samotność
Kilometrami
Na jej drugą krawędź
I że niebo
To jeden oddech
Gdy czas zsuwa się tyłem
Po piasku.

Jeśli ktokolwiek rozumie samotność, to właśnie księżyc.

Powróciwszy do tak dobrze jej znanych cykli rozwoju kijanek i baletu świetlików, Kya jeszcze bardziej zagłębiła się w ciszę pustkowia. Przyroda była dla niej niczym jedyny kamień w strumieniu, na którym się nie potknie.

31.

Książka

1968

Przerdzewiała skrzynka pocztowa na drewnianym słupku ociosanym przez tatę stała na końcu drogi bez nazwy. Kya otrzymywała ulotki rozsyłane do wszystkich mieszkańców. Nie miała rachunków do opłacenia, żadnych przyjaciółek ani starych ciotek, które słałyby jej słodko-naiwne liściki. Jedynym listem, jaki dostała, był ten sprzed lat, od mamy. Poczta była nieważna, niekiedy Kya nie zaglądała do skrzynki całymi tygodniami.

Lecz jako dwudziestodwulatka, rok po zaręczynach Chase'a i Pearl, codziennie chodziła piaszczystą, parzącą w stopy ścieżką i zaglądała do skrzynki. Wreszcie któregoś ranka znalazła w niej wypchaną szarą kopertę, z której wyjęła egzemplarz książki *Muszle Wschodniego Wybrzeża* autorstwa Catherine Danielle Clark. Wzięła głęboki oddech. Nie miała jej komu pokazać.

Siedząc na plaży, uważnie obejrzała wszystkie strony. Kiedy napisała do wydawnictwa, z którym skontaktował ją Tate,

i dołączyła więcej ilustracji, w odpowiedzi przesłali jej umowę. Z uwagi na to, że kompletowała te szkice i opisy przez wiele lat, wydawca, pan Robert Foster, napisał, że chce wydać jej książkę w rekordowo krótkim czasie, podobnie jak następną, poświęconą ptakom. W załączeniu przesłał jej pięć tysięcy dolarów zaliczki. Tata pewnie by się przewrócił i rozlał cały bimber.

Teraz trzymała w rękach egzemplarz autorski. Wszystkie pociągnięcia pędzla, każdy starannie przemyślany odcień koloru, każde słowo wydrukowane w książce. Były tam też rysunki stworzeń zamieszkujących te muszle, pokazujące, jak się odżywiają, poruszają i rozmnażają. Ludziom często umyka, że muszle miały swoich lokatorów.

Kya dotykała stron i przypominała sobie te muszle i okoliczności, w jakich je znalazła; gdzie leżały, o jakiej porze roku i jak padały wtedy promienie słońca. Album rodzinny.

W następnych miesiącach sklepy z pamiątkami i księgarnie w Karolinie Północnej i Południowej, w Georgii, Wirginii, na Florydzie i w Nowej Anglii umieszczały jej książkę w witrynach lub wystawiały na półkach z nowościami. W wydawnictwie powiedzieli, że tantiemy będą przekazywane co pół roku i mogą osiągnąć wysokość kilku tysięcy.

*

Usiadłszy przy kuchennym stole, Kya napisała list z podziękowaniami do Tate’a, lecz kiedy go przeczytała, zawahała się. Taki list to chyba za mało. To dzięki jego staraniom jej fascynacja mokradłami przemieniła się w pracę, nadała sens jej życiu. Każde pióro, muszlę czy owada, które znalazła, mogła teraz pokazać innym i już nie musiała grzebać

w szlamie, żeby zjeść kolację. Być może nie będzie musiała codziennie jadać kaszy.

Skoczek doniósł jej, że Tate pracuje teraz jako naukowiec w nowym laboratorium pod Sea Oaks i że dysponuje nowoczesną łodzią służącą do prowadzenia badań. Czasami widywała go w oddali, lecz unikała spotkania.

Na zakończenie dodała *post scriptum*: „Jeśli będziesz gdzieś w okolicach, wpadnij. Chciałabym ci podarować egzemplarz mojej książki" i zapisała na kopercie jego nazwisko oraz adres laboratorium.

W kolejnym tygodniu najęła majstra Jerry'ego, który zainstalował jej w domu bieżącą wodę i bojler i w jednej z sypialni wyrychtował łazienkę z wanną na nóżkach. Miała teraz już umywalkę z szafką i blatem pokrytym glazurą oraz toaletę ze spłuczką. Jerry podłączył też prąd i wstawił kuchenkę oraz lodówkę. Kya uparła się, żeby nie rozbierał starego pieca z piętrzącymi się obok szczapami drewna, bo ogrzewał chatę, ale też głównie dlatego, że jej mama upiekła w nim tysiące bułeczek. Co będzie, jeśli wróci i zobaczy, że piec zniknął? Jerry zbił jeszcze sosnowe szafki, zamontował nowe drzwi frontowe, moskitierę na ganku i półki od podłogi do sufitu na kolekcję. Kya zamówiła nową sofę, krzesła, łóżka, materace i dywaniki z katalogu firmy Sears, Roebuck & Co., ale stół w kuchni został ten sam. Wreszcie miała też szafkę, gdzie umieściła nieliczne pamiątki po rodzinie, która rozpadła się tyle lat temu.

Stojąca pod rozłożystym dębem obwieszonym oplątwą brodaczkowatą chata z rdzawo-szarym dachem, obita zmurszałymi sosnowymi deskami, pozostała niepomalowana. Zrobiła się jakby mniej koślawa, ale wciąż przynależała do mokradeł. Kya nadal sypiała na ganku – chyba że zimowe noce stawały się naprawdę chłodne – ale teraz miała już łóżko.

*

Pewnego ranka Skoczek oznajmił jej, że w okolicy pojawili się deweloperzy mający wielkie plany osuszenia „ponurych bagien” i wzniesienia na tym terenie hoteli. Przez ostatni rok Kya widywała czasami potężne ratraki wycinające w tydzień całe połacie dębowych lasów i maszyny drążące kanały irygacyjne. Potem przenosiły się w inne miejsce, pozostawiając po sobie suchą i ubitą ziemię. Najwyraźniej ci ludzie nie czytali książki Aldo Leopolda.

Amanda Hamilton jasno opisała to w swoim wierszu.

Jak dziecko z dzieckiem
Oko w oko,
rosłyśmy jako jedno
Dzieląc się duszą.
Skrzydło przy skrzydle,
Odeszłaś ze świata
Osierociłaś to dziecko.
Przyjaciółko, Naturo.

Kya nie wiedziała, czy jej przodkowie byli właścicielami ziemi, czy tylko ją zajęli, jak większość mieszkańców mokradeł osiedlających się tu przez cztery stulecia. Poszukując latami informacji o przeszłości mamy, przeczytała wszystko, co wyszperała w chacie, lecz nie znalazła nic, co przypominałoby akt własności.

Po powrocie od Skoczka owinęła starą Biblię kawałkiem materiału i pojechała z nią do sądu w Barkley Cove. Siwowłosy urzędnik z niebotycznie wysokim czołem i zapadniętymi ramionami przyniósł jej tom oprawnych w skórę dokumentów i rozłożył na blacie kilka map i zdjęć lotniczych. Przesuwając

palcem po mapie, Kya wskazała lagunę i z grubsza granice terenu, który uznawała za swoją działkę. Urzędnik sprawdził numer referencyjny i zaczął szukać aktu własności na starym drewnianym regale.

– Jest. Wymierzona przez geodetę i zakupiona w 1897 roku przez Napiera Clarka.

– To mój dziadek – ucieszyła się Kya. Przewertowała cienkie stronice Biblii i wśród wypisanych tam nazwisk znalazła adnotację: Napier Murphy Clark. Brzmiało to po pańsku, tak jak nazwiska jej braci. Powiedziała urzędnikowi, że jej ojciec nie żyje, co pewnie było prawdą.

– Działka nie została sprzedana, czyli jako żywo należy do pani. Niestety, trzeba opłacić zaległe podatki, żeby mogła ją pani zachować. Zgodnie z przepisami każdy, kto uiści należność, przejmie tę ziemię, nawet jeśli nie ma aktu własności.

– Ile?

Kya nie otworzyła rachunku w banku. Wszystkie oszczędności, które jej zostały po remoncie domu – jakieś trzy tysiące dolarów – miała ze sobą w plecaku. Zaległości dotyczyły około czterdziestu lat, czyli z pewnością były to tysiące dolarów.

– Niech no spojrzę. To działka z kategorii „ugory". Zwykle roczny podatek wynosił około pięciu dolarów, ale muszę policzyć. – Podszedł do opasłej kasy, wstukał odpowiednie sumy, za każdym razem przekręcając korbkę, która burczała, jakby naprawdę dodawała te liczby.

– Wychodzi mniej więcej osiemset dolarów.

Kya wyszła z budynku sądu z wystawionym na jej nazwisko aktem własności trzystu dziesięciu akrów[2] przepięknych lagun, połyskliwych mokradeł, dębowych lasów i wstęgi prywatnej plaży na wybrzeżu Karoliny Północnej. „Ugory. Ponure bagna".

Kiedy o zmierzchu wpłynęła na wody laguny, rzuciła do czapli:

– Spokojna głowa. Jesteś u siebie!

*

Nazajutrz znalazła w skrzynce list od Tate'a. Wydało się jej to dziwne i bardzo oficjalne, bo przedtem zostawiał tylko ptasie pióra wetknięte w szczeliny pnia. Dziękował za zaproszenie i obiecany egzemplarz książki i powiadamiał, że zjawi się jeszcze tego samego popołudnia.

Trzymając w ręce jeden z sześciu egzemplarzy autorskich przesłanych jej przez wydawnictwo, Kya czekała na niego, przysiadłszy na kłodzie, na której kiedyś razem czytali. Po jakichś dwudziestu minutach usłyszała pomruk motorówki. Kiedy wyłonił się spośród listowia, pomachali do siebie z uśmiechem, choć oboje mieli się na baczności – przecież poprzednim razem rzucała w niego kamieniami.

Tate zacumował.

– Kyu, ta książka to prawdziwe cudo – powiedział. Wychylił się do przodu, jakby chciał ją przytulić, lecz dawne urazy nie pozwoliły jej się do niego zbliżyć.

Podała mu książkę.

– Proszę, to dla ciebie.

– Dziękuję. – Otworzył ją i zaczął wertować. Rzecz jasna, nie wspomniał, że kupił egzemplarz w księgarni w Sea Oaks i zachwycał się każdą stroną. – Jeszcze nigdy nie wydano czegoś takiego, a jestem pewien, że to dopiero początek.

Skinęła głową i lekko się uśmiechnęła.

Spoglądając na stronę tytułową, Tate dorzucił:

– Bez autografu. Musisz wpisać mi dedykację.

Zerknęła na niego. O tym nie pomyślała. Co też mogłaby mu napisać?

Wyjął pióro z kieszeni dżinsów. Wzięła je i po krótkim namyśle napisała: „Chłopcu od piór, z podziękowaniem, Dziewczyna z mokradeł".

Przeczytał te słowa, obrócił się i spojrzał w dal, bo nie mógł jej przytulić. W końcu ujął jej dłoń i mocno ją uścisnął.

– Dziękuję.

– To dzięki tobie, Tate – odpowiedziała, a w myślach dodała: Wszystko dzięki tobie. Serce rwało się do niego, ale i przed nim się broniło.

Postał jeszcze chwilę, ale milczała, więc ruszył w stronę łodzi. Gdy do niej wsiadał, rzucił jeszcze:

– Kiedy zobaczysz mnie na mokradłach, nie chowaj się w szuwarach jak przerażony jelonek. Zawołaj mnie, a wtedy wyprawimy się gdzieś razem.

– W porządku.

– Jeszcze raz dzięki za książkę.

– Do widzenia, Tate.

Patrzyła, kiedy znikał w zaroślach, a potem przemknęło jej przez głowę: – Mogłam chociaż zaprosić go na herbatę. Nie zaszkodziłoby. Moglibyśmy się przyjaźnić. – A po chwili, z dumą, co było u niej rzadkie, pomyślała, mając na uwadze swoją książkę: – Moglibyśmy też współpracować.

*

Godzinę później Kya popłynęła do Skoczka z drugim egzemplarzem książki w plecaku. Już z daleka zobaczyła go opartego o ścianę chłostanego przez wiatry sklepiku. Wstał i pomachał do niej, ale mu nie odpowiedziała. Przeczuwając, że stało się coś wyjątkowego, czekał w milczeniu, aż zacumuje

łódź. Podeszła, wzięła go za rękę i włożyła mu w dłoń książkę. Z początku nie wiedział, o co chodzi, ale wskazała na swoje nazwisko i oznajmiła:

– Już dam sobie radę. Dziękuję tobie i Mabel za wszystko, co dla mnie zrobiliście.

Spojrzał na nią. W innym miejscu i czasie starszy czarnoskóry mężczyzna i młoda biała kobieta pewnie by się uściskali, lecz nie tam i nie wtedy. Kya położyła dłoń na jego dłoni, obróciła się i odpłynęła. Pierwszy raz widziała, że odjęło mu mowę. Wciąż u niego tankowała i robiła zakupy, ale już nigdy nie przyjęła wsparcia. Zawsze gdy przybijała do pomostu, widziała swoją książkę wystawioną w małym okienku, tak żeby wszyscy widzieli. Tak jakby wystawił ją ojciec.

---

2 Około 125 ha.

32.

Alibi

1969

Ciężkie chmury przemykały nisko po stalowym niebie, sunąc w stronę Barkley Cove. Najpierw pojawił się wiatr, wprawiając szyby w oknach w drżenie i miotając fale ku nabrzeżu. Zacumowane w porcie łodzie podskakiwały jak zabawki, gdy mężczyźni w żółtych sztormiakach zabezpieczali je linami. Potem zerwał się porywisty wiatr, zamazując wszystko oprócz pojedynczych żółtych postaci uwijających się w tej szarudze.

Gdy wiatr zaczął świszczeć przez szpary w oknach, szeryf podniósł głos:

– Joe, chciałeś mi coś powiedzieć.

– Zgadza się. Już wiem, co panna Clark nam odpowie, kiedy spytamy ją o tamtą noc.

– Jak to? Dopadłeś ją?

– Żartujesz? Wymyka się jak węgorz. Znika, kiedy tylko się zbliżę. Dlatego pojechałem rano do Skoczka, żeby spytać, kiedy się jej spodziewa. Jak każdy, musi u niego tankować, więc

pomyślałem, że prędzej czy później ją tam namierzę. Nie uwierzysz, czego się dowiedziałem.

– No, słucham.

– Dwóch poważnych świadków twierdzi, że tamtej nocy nie było jej w mieście.

– Kto? Przecież ona nie wyjeżdża, a nawet gdyby, to kto by o tym wiedział?

– Kojarzysz Tate'a Walkera? Teraz doktora Walkera. Pracuje w tej nowej stacji badawczej.

– Znam go. Jego ojciec to Scupper Walker, poławiacz krewetek.

– Zeznał, że poznał Kyę, bo tak ją nazywa, kiedy byli młodsi.

– Ach tak?

– Nie w tym sensie. Byli dzieciakami. Ponoć nauczył ją czytać.

– Sam ci to powiedział?

– Tak. Spotkałem go u Skoczka, którego spytałem, czy nie wie przypadkiem, gdzie i kiedy mógłbym zadać Dziewczynie z Bagien kilka pytań. Skoczek odparł, że nie ma zielonego pojęcia, kiedy do niego zawita.

– Zawsze ją lubił. Wątpię, żebyśmy czegoś się od niego dowiedzieli.

– Zapytałem też, czy czasem nie wie, co porabiała w noc, kiedy zginął Chase. Odpowiedział, że i owszem, bo była u niego rankiem na drugi dzień po jego śmierci i że to właśnie on jej o niej powiedział. Twierdzi, że wyjechała na dwa dni do Greenville, a to wtedy zginął Chase.

– Do Greenville?

– Powtarzam za Skoczkiem i za Tate'em, który słyszał naszą rozmowę i wtrącił, że faktycznie była w Greenville i że sam jej tłumaczył, gdzie kupi bilet na autobus.

– A to ci heca! – skwitował szeryf. – Ciekawe, że obaj byli na miejscu i potwierdzili tę historyjkę. Po co tam pojechała?

– Tate twierdzi, że napisała książkę o muszlach i jakimś ptaku i wydawnictwo pokryło jej koszty dojazdu.

– Trudno mi sobie wyobrazić, żeby jakiś elegancki redaktor chciał się z nią spotkać. Myślę, że łatwo to sprawdzić. A co z tą nauką czytania?

– Spytałem Tate'a, jak ją poznał. Odparł, że często wędkował w pobliżu i kiedy się okazało, że Kya nie umie czytać, to ją nauczył.

– Takie buty…

– Tak czy owak, to wszystko zmienia. Dziewczyna ma alibi, i to mocne, bo za takie należy uznać wyjazd do Greenville.

– Przynajmniej z pozoru. Wiesz, co mówią o mocnych alibi. Z drugiej strony ten poławiacz krewetek zeznał, że widział, jak płynie łódką w stronę wieży w noc, kiedy Chase z niej zleciał.

– Mógł się pomylić. Było ciemno. Księżyc wychynął dopiero po drugiej. Może Kya była w Greenville, a on widział kogoś innego, podobnego.

– Tak jak powiedziałem, łatwo sprawdzić, czy wyprawiła się do Greenville.

Sztorm ucichł, pozostawiając po sobie silny wiatr i mżawkę. Mimo to stróże prawa wysłali kogoś do baru po kurczaka z kluskami, fasolkę z masłem, zapiekankę z kabaczkiem, syrop trzcinowy i bułeczki, bo sami nie mieli ochoty się tam fatygować.

*

Tuż po lunchu ktoś zapukał do drzwi gabinetu szeryfa. Gdy się otworzyły, stanęła w nich panna Pansy Price. Joe i Ed wstali. Na jej głowie połyskiwał różowy turban.

– Dzień dobry, Pansy. – Mężczyźni skinęli głowami.

– Dzień dobry, Ed. Joe. Mogę usiąść? Ja tylko na chwilkę. Myślę, że mam ważną informację dotyczącą śledztwa.

– Ależ oczywiście, prosimy.

Oni też usiedli, kiedy tylko panna Pansy, kobieta słusznej postury, umościła się niczym kwoka na krześle, ogarniając tu i ówdzie piórka; torebkę umieściła na podołku jak najcenniejsze jajko. Szeryf nie mógł się powstrzymać i zadał jej pytanie:

– Jakiego śledztwa, Pansy?

– Na Boga, Ed! Wiesz jakiego. Tego w sprawie zabójstwa Chase'a Andrewsa.

– Nie wiemy, czy został zamordowany. Dobra, co dla nas masz?

– Jak wam wiadomo, pracuję w Kress's. – Pansy jeszcze nigdy się nie zniżyła, by wypowiedzieć pełną nazwę sklepu: Kress's Five and Dime. Odczekała, aż szeryf potwierdzi jej uwagę skinieniem głowy, choć przecież wszyscy wiedzieli, że pracowała tam, jeszcze kiedy był mały i kupował u niej żołnierzyki, po czym rzuciła: – Podejrzaną jest pewnie Dziewczyna z Bagien?

– Kto tak powiedział?

– Mnóstwo ludzi tak uważa, a przede wszystkim Patti Love.

– Rozumiem…

– Ja i parę innych osób ze sklepu widzieliśmy, jak wsiadała i wysiadała z autobusu, co świadczy o tym, że nie było jej w miasteczku tamtej nocy, gdy zginął Chase. Mogę oficjalnie potwierdzić daty i godziny jej wyjazdu i powrotu.

– Tak? – Joe i Ed wymienili między sobą spojrzenia. – A jakież to daty i godziny?

Panna Pansy wyprostowała się na krześle.

– Wyjechała dwudziestego ósmego października o czternastej trzydzieści, a wróciła trzydziestego o trzynastej szesnaście.

– Inni też ją widzieli?

– Tak. Jeśli chcecie, mogę przygotować listę.

– To zbyteczne. Jeśli będziemy chcieli ich przesłuchać, przyjdziemy do Five and Dime. Dzięki, Pansy. – Szeryf wstał, panna Pansy i Joe też.

Kobieta ruszyła ku drzwiom.

– Dziękuję, że poświęciliście mi czas. Jak wspomnieliście, wiecie, gdzie mnie znaleźć.

Pożegnali się.

– No i proszę – odezwał się Joe. – Mamy potwierdzenie zeznań Tate'a i Skoczka. Była tamtej nocy w Greenville, a przynajmniej wsiadła do autobusu i dokądś pojechała.

Szeryf wziął głęboki oddech.

– Na to wygląda. Ale skoro można pojechać do Greenville w dzień, to można też wieczorem stamtąd wrócić, zrobić swoje i znów pojechać do Greenville. Nic z tego nie wynika.

– Może, ale trochę to naciągane.

– Przynieś mi rozkład jazdy, sprawdzimy, czy godziny się zgadzają: czy w jedną noc da się obrócić w obie strony. – Nim Joe zdążył wyjść, Ed dorzucił jeszcze: – Może chciała, żeby wszyscy zauważyli, jak wsiada do autobusu i z niego wysiada. Jak się tak zastanowić, to musiała zrobić coś wyjątkowego, żeby zdobyć alibi. Gdyby powiedziała, że jak zwykle była wtedy sama w chacie, z alibi byłyby nici. Dlatego wymyśliła coś takiego, żeby dużo ludzi ją widziało. Żelazne alibi: widzieli ją na Main Street. Genialne.

– Może i tak. Przynajmniej nie musimy się bawić w detektywów. Będziemy popijać sobie kawę, a wszystkie panie z miasteczka i tak tu wparują i opowiedzą nam, co wiedzą. Skoczę po ten rozkład.

Joe wrócił po kwadransie.

– Miałeś rację. Da się w jedną noc obrócić z Greenville do Barkley Cove i z powrotem. Bez problemu.

– A między dwoma kursami jest mnóstwo czasu, żeby zepchnąć kogoś z wieży. Czuję, że dostaniemy nakaz.

33.

Blizna

1968

Zimą 1968 roku Kya siedziała pewnego ranka przy stole i malowała pomarańczową i różową akwarelą pękaty grzyb. Skończyła już książkę o ptakach i teraz pracowała nad przewodnikiem dla grzybiarzy. Potem planowała album poświęcony motylom i ćmom.

Fasolka czarne oczko, czerwona cebula i solona szynka pyrkotały w obitym rondlu na piecu, który Kya wciąż ceniła wyżej niż nową kuchenkę, zwłaszcza zimą. Blaszany dach podzwaniał w lekkim deszczu. Nagle Kya usłyszała warkot auta mozolącego się na piaszczystej ścieżce. Dudniło głośniej niż dach. W panice podbiegła do okna i ujrzała czerwonego pickupa grzęznącego w błotnistych koleinach.

W pierwszym odruchu chciała uciec, ale samochód zajechał już przed ganek. Skulona przy parapecie, zobaczyła wysiadającego z auta mężczyznę w szaro-zielonym wojskowym mundurze. Drzwi zostawił uchylone. Stanął, rozejrzał się po

lesie i ścieżce prowadzącej nad lagunę. Cicho zamknął drzwi auta, podbiegł w deszczu do ganku i zapukał.

Kya zaklęła. Pewnie zabłądził, tylko spyta, którędy ma jechać i zniknie, mimo to nie chciało się jej z nim gadać. Schowa się w kuchni i odczeka, aż sobie pójdzie. Usłyszała, jak woła:

– Hej! Jest tam kto?!

Poirytowana, choć zaciekawiona, przeszła przez nowo urządzony salonik na ganek. Wysoki brunet stał na schodach półtora metra od niej, przytrzymując ekran moskitiery. Jego mundur był tak sztywny, że stałby pewnie i bez niego. Na piersi nieznajomy miał kolorowe odznaczenia w postaci naszywek. Najbardziej jednak przyciągała uwagę nieregularna czerwona blizna przecinająca jego twarz, która biegła od lewego ucha do górnej wargi. Kya westchnęła zszokowana.

Natychmiast stanęła jej przed oczami wielkanocna niedziela jakieś pół roku przed odejściem mamy. Śpiewając pieśń *Skało, którą rozwarł Bóg*, przeszła z mamą z saloniku do kuchni po cudownie kolorowe jaja, które pomalowały poprzedniego wieczoru. Jej rodzeństwo wybrało się na ryby, więc miały czas, by ukryć pisanki. Potem wstawiły kurczaka i bułeczki do piecyka. Jej siostry i bracia byli już za duzi, żeby szukać łakoci na podwórku, ale i tak chętnie po nim biegali, udając, że ich nie widzą, i ze śmiechem unosząc ręce z odnalezionymi skarbami.

Kya i mama właśnie wyszły z kuchni z koszykami pełnymi jajek i czekoladowych króliczków z Five and Dime, gdy zza rogu wyłonił się ojciec.

Zrywając świąteczny czepek z głowy córki i wymachując nim w powietrzu, wrzasnął do mamy:

– Skąd masz forsę na te cuda?! Czepki i błyszczące lakierki?! Kolorowe jaja i czekoladowe króliki?! No, mów! Skąd?!

– Daj spokój, Jake. Nie krzycz. Dziś Wielkanoc. To dla dzieci.

Popchnął ją.

– Kurwisz się i tyle! Stąd ta forsa?! Gadaj! – Chwycił ją za ramiona i potrząsnął tak mocno, że aż cała się zatrzęsła, lecz jej szeroko otwarte oczy pozostały spokojne. Pastelowe jajka wysypały się z koszyka i potoczyły po podłodze.

– Tato, proszę cię, przestań! – zaszlochała Kya.

Uniósł rękę i przyłożył jej w twarz.

– Zamknij się, durna siuśmajtko! Ściągaj tę kurewską kieckę i buciki!

Kya skuliła się, kryjąc twarz w dłoniach, i zabrała się do zbierania malowanych jajek.

– Do ciebie mówię, kobieto! Skąd masz forsę?! – Chwycił stojący w kącie żeliwny pogrzebacz i ruszył w stronę mamy.

Kya krzyczała wniebogłosy i chwytała go za rękę, kiedy okładał mamę po piersiach. Na kwiecistej letniej sukience pojawiła się krew – jakby była czerwona, w kropki. Nagle przez korytarz przemknął jakiś duży cień i Kya zobaczyła, jak Jodie rzuca się od tyłu na ojca. Razem upadli na podłogę. Krzyknął do niej i do mamy, żeby uciekały. Rzuciły się do drzwi, lecz kątem oka Kya dostrzegła jeszcze, jak ojciec podnosi pogrzebacz i chlasta nim Jodiego w twarz. Wykrzywiona szczęka, strumień krwi. Teraz, w sekundę, wszystko to do niej wróciło. Jej brat osuwający się na podłogę między fioletowo-różowe jajka i czekoladowe króliczki. Ona i mama biegnące wśród palmiczek i kryjące się w zaroślach. Mama, w pokrwawionej sukience, powtarzająca, że to nic, że skorupki jajek nie popękały i że jeszcze upieką tego kurczaka. Kya nie rozumiała, czemu chowają się w krzakach. Jodie na pewno kona i trzeba mu pomóc. Bała się jednak ruszyć. Długo tam siedziały, a potem przemknęły do domu, zaglądając przez okna, by mieć pewność, że tata już sobie poszedł.

Jodie leżał nieprzytomny na podłodze w kałuży krwi. Kya krzyknęła, że na pewno nie żyje. Mama przeniosła go na sofę

i zszyła mu rany igłą z nićmi. Kiedy wreszcie zapanował spokój, Kya podniosła swój czepek z podłogi, pobiegła do lasu i cisnęła go z całej siły między trzciny.

Teraz spojrzała w oczy stojącego na ganku nieznajomego i wyszeptała:

– Jodie.

Uśmiechnął się, blizna powędrowała gdzieś w bok.

– Kya. Liczyłem, że cię tu zastanę.

Wpatrywali się w siebie, próbując dostrzec tamte dzieci sprzed lat. Jodie nie mógł wiedzieć, że przez cały ten czas był tu razem z nią, wskazywał drogę przez mokradła i uczył o czaplach i świetlikach. Najbardziej chciała się znów spotkać właśnie z nim i z mamą. Wymazała w sercu jego bliznę i to bolesne wspomnienie. Trudno się dziwić. I trudno się dziwić, że mama odeszła. Bita pogrzebaczem po piersiach. Kya znów ujrzała sprane plamy krwi na kwiecistej letniej sukience.

Jodie chciał ją uściskać i tulić w ramionach, lecz gdy się zbliżył, zawstydzona spuściła głowę i zrobiła krok w tył, wszedł więc tylko na ganek.

– Wejdź – zachęciła go i poprowadziła do wypełnionego kolekcją saloniku.

– Rany! – zachwycił się. – Tak, widziałem tę książkę. Nie miałem pewności, czy to na pewno twoja, ale teraz już wiem, że tak. Niesamowite.

Chodził i przyglądał się zbiorom i nowym meblom, zajrzał też do sypialni. Nie z wścibstwa – po prostu chłonął to miejsce.

– Chcesz kawy albo herbaty? – Nie wiedziała, czy przyjechał tu z wizytą, czy na dobre. Czego tu szukał po tylu latach?

– Kawy, dzięki.

Od razu rozpoznał stary piec stojący obok kuchenki na gaz i lodówki. Przesunął dłonią po stole, który Kya zostawiła taki,

jak był, z całą jego historią i odłażącą farbą. Nalała kawę do kubków. Usiedli.

– Czyli zostałeś żołnierzem.

– Odsłużyłem dwie tury w Wietnamie. Zostanę w wojsku jeszcze kilka miesięcy. Dobrze mnie traktują. Opłacili mi studia inżynieryjne na Georgia Tech. Chcę się zrewanżować.

Georgia nie leży tak daleko, mógł odwiedzić ją wcześniej. Ale przynajmniej przyjechał teraz.

– Wszyscy odeszliście. Tata został jeszcze trochę po tobie, ale i on się zwinął. Nie wiem dokąd, nie wiem nawet, czy żyje.

– I odtąd mieszkałaś tu sama?

– Tak.

– Żałuję, że zostawiłem cię z tym potworem. Przez lata gryzło mnie sumienie. Zachowałem się jak tchórz, głupi tchórz. Te pieprzone odznaczenia nic nie znaczą. – Przesunął dłonią po piersi. – Zostawiłem cię, małą dziewczynkę, na bagnach z tym szaleńcem. Nie liczę, że kiedykolwiek mi wybaczysz.

– Jodie, nieważne. Sam byłeś dzieciakiem. Co mogłeś zrobić?

– Wrócić, kiedy już podrosłem. Z początku to była walka o przetrwanie w zaułkach Atlanty. – Uśmiechnął się szyderczo. – Kiedy odszedłem, miałem w kieszeni siedemdziesiąt pięć centów. Zwinąłem je z forsy, którą ojciec zostawiał w kuchni. Wiedziałem, że przez to będzie mniej dla ciebie. Najmowałem się do pracy to tu, to tam, aż w końcu się zaciągnąłem. Po szkoleniu wysłali mnie prosto na wojnę. Kiedy wróciłem, minęło już tyle czasu, że uznałem, że cię tu nie ma, bo pewnie też zwiałaś. To dlatego nie pisałem. Myślę, że zgłosiłem się na ochotnika drugi raz, żeby ponieść karę za to, że cię porzuciłem. Dwa miesiące temu, kiedy skończyłem polibudę, nagle zobaczyłem twoją książkę w księgarni. Catherine Danielle Clark. Jednocześnie ścisnęło mi się serce i skakałem z radości.

Musiałem cię odnaleźć. Pomyślałem, że zacznę tutaj, a potem ruszę twoim śladem.

– No i się spotkaliśmy. – Kya pierwszy raz się uśmiechnęła. Oczy wciąż miał takie jak dawniej. Życie odmienia nasze twarze, ale oczy pozostają oknem tego, co było, i Kya właśnie ujrzała w nich dawnego Jodiego. – Przykro mi, że się tym zamartwiałeś. Nigdy nie miałam ci tego za złe. To nie nasza wina, byliśmy ofiarami.

Uśmiechnął się.

– Dzięki, Kyu.

W ich oczach zatańczyły łzy. Oboje odwrócili wzrok.

Potem Kya rzuciła niepewnie:

– Może trudno ci w to uwierzyć, ale przez jakiś czas tata był dla mnie dobry. Mniej pił, nauczył mnie wędkować, dużo pływaliśmy łodzią po mokradłach. Ale później znów zaczął chlać i musiałam sobie radzić sama.

Jodie kiwnął głową.

– Ja też widziałem go takim parę razy, ale zawsze wracał do flaszki. Kiedyś bąknął, że to przez wojnę. Byłem na wojnie i widziałem tam rzeczy, które faktycznie mogą skłonić do picia, ale nie powinien był się wyżywać na własnej żonie i dzieciach.

– A co z mamą i pozostałymi? Odzywali się? Wiesz, gdzie są?

– O Murphie, Mandy i Missy nie wiem nic. Nie poznałbym ich na ulicy. Pewnie gdzieś się rozpierzchli. A jeśli chodzi o mamę, to właśnie drugi powód, dla którego tu jestem. Mam o niej wieści.

– Wieści? Jakie? Mów. – Po plecach Kyi przebiegł dreszcz.

– Nie są dobre. Dowiedziałem się w zeszłym tygodniu. Zmarła dwa lata temu.

Kya zgięła się wpół, zakryła twarz dłońmi i cicho szlochała. Jodie znów chciał ją przytulić, ale się odsunęła.

– Miała siostrę, Rosemary – ciągnął. – Po jej śmierci ta siostra szukała nas przez Czerwony Krzyż, ale na próżno. Dopiero dwa miesiące temu namierzyli mnie w wojsku i skontaktowali z Rosemary.

– Jeszcze dwa lata temu żyła – wymamrotała zachrypniętym głosem Kya. – A ja wciąż czekałam i liczyłam, że ujrzę ją na tej ścieżce. – Stanęła nad zlewem. – Dlaczego nie wróciła? Dlaczego nikt mi nie powiedział, gdzie jest? A teraz już za późno.

Jodie podszedł do niej i choć próbowała się odwrócić, objął ją ramieniem.

– Przykro mi. Usiądź. Powiem ci, co usłyszałem od Rosemary. – Poczekał, aż osunie się na krzesło. – Kiedy nas zostawiła, była bardzo chora. Pojechała do Nowego Orleanu, miasta, w którym dorastała. Cierpiała fizycznie i psychicznie. Pamiętam trochę Nowy Orlean. Miałem jakieś pięć lat, kiedy stamtąd wyjechaliśmy. Pamiętam ładny dom z dużymi oknami wychodzącymi na ogród. Kiedy się tu przenieśliśmy, tata zakazał nam rozmawiać o Nowym Orleanie i dziadkach, więc wspomnienia się zatarły.

– Ja nic nie pamiętam – przyznała Kya.

– Rosemary wyjawiła mi, że ich rodzice od początku byli przeciwni temu małżeństwu, a jednak mama przeniosła się z ojcem do Karoliny, choć nie mieli ani centa. W końcu mama napisała do Rosemary, że mieszka w chacie na bagnach z mężem pijakiem, który bije ją i dzieci. I nagle, po latach, zjawiła się u niej. W tych szpilkach ze sztucznej skóry aligatora, które tak lubiła. Od wielu dni nie kąpała się ani nie czesała. Miesiącami milczała, nie powiedziała ani słowa. Zamieszkała w swoim dawnym pokoju w domu rodziców. Prawie nie jadła. Oczywiście wzywali lekarzy, ale żaden nie zdołał jej pomóc. Dziadek skontaktował się z szeryfem z Barkley Cove i spytał go,

co się z nami dzieje, ale ten odpowiedział, że nawet nie próbuje śledzić losów mieszkańców bagien.

Słuchając tej opowieści, Kya od czasu do czasu pociągała nosem.

– Wreszcie, niemal po roku, mama dostała ataku histerii i przypomniała sobie, że zostawiła swoje dzieci. Razem z Rosemary napisała list do taty z zapytaniem, czy może nas ściągnąć do Nowego Orleanu. Odpisał, że jeśli wróci albo spróbuje się z nami skontaktować, zleje nas tak, że nikt nas nie pozna. Wiedziała, że jest do tego zdolny.

List w błękitnej kopercie. Mama pytała o nią i o pozostałe dzieci. Chciała się z nią spotkać. Tymczasem list przyniósł efekt odwrotny do zamierzonego. Ojciec wpadł w szał, znów zaczął pić, a w końcu porzucił Kyę. Nie wspomniała Jodiemu, że wciąż przechowuje w słoiku spalone skrawki listu.

– Wiem od Rosemary, że mama z nikim się nie zaprzyjaźniła, nie uczestniczyła w rodzinnych kolacjach i nie nawiązywała żadnych kontaktów. Wycofała się z życia i odmawiała sobie wszelkich przyjemności. Z czasem odzywała się częściej, ale mówiła wyłącznie o dzieciach. Zdaniem Rosemary zawsze nas kochała, ale żyła w koszmarnym przeświadczeniu, że jeśli wróci, spotka nas krzywda. Nie porzuciła nas dla kochanka. Została doprowadzona na skraj szaleństwa i ledwie miała świadomość, że nas zostawia.

– Na co umarła?

– Na białaczkę. Według Rosemary dałoby się ją wyleczyć, ale odmówiła przyjmowania leków. Słabła z każdym dniem, aż w końcu dwa lata temu odeszła. Ponoć tak jak żyła: w ciemnościach i w milczeniu.

Oboje zamilkli. Kyi przypomniał się wiersz Galwaya Kinnella, który mama zakreśliła w tomiku:

Ulżyło mi, że już po wszystkim,
Bo pod koniec czułem tylko żałość
Dla niegasnącej żądzy życia.
…Żegnaj.

Jodie wstał.

– Chodź, coś ci pokażę.

Poprowadził ją do samochodu. Usiedli na tylnym siedzeniu. Jodie ściągnął plandekę, otworzył duże kartonowe pudło i wyciągał z niego i rozpakowywał obrazy, po czym ustawiał je jeden obok drugiego. Na jednym były trzy dziewczynki – Kya i jej siostry – kucające nad laguną i obserwujące ważki. Na innym Jodie i jego brat trzymali nanizane na sznurek ryby.

– Przywiozłem je, licząc, że cię tu zastanę. Przesłała mi je Rosemary. Mama latami, dniem i nocą, malowała swoje dzieci.

Na jednym cała piątka sprawia wrażenie, jakby przypatrywała się malarce. Kya utkwiła wzrok w rodzeństwie spoglądającym na matkę. Szeptem spytała:

– Kto tu jest kim?

– Jak to?

– Nie mieliśmy zdjęć. Nie rozpoznaję ich. Kto jest kim?

Jodie na moment zaniemówił.

– To Missy, najstarsza spośród nas. Murph. Mandy. Ten słodki czaruś to oczywiście ja. I ty.

Chwilę odczekał, po czym rzucił:

– Spójrz na ten.

Wskazał na oszałamiająco kolorowy obraz przedstawiający dwójkę dzieci przycupniętych wśród kłębów zielonej trawy i polnych kwiatów. Dziewczynka była maleńka, mogła mieć ze trzy lata. Proste czarne włosy spływały jej na ramiona. Chłopczyk ze złocistymi loczkami, nieco starszy, jedną ręką wskazywał motyla o czarno-pomarańczowych skrzydłach,

danaida wędrownego, który przysiadł na stokrotce, a drugą obejmował dziewczynkę.

– Wydaje mi się, że to Tate Walker i ty.

– Faktycznie. Podobny do niego. Dlaczego mama go namalowała?

– Często u nas bywał, pływaliśmy na ryby. Bez przerwy pokazywał ci jakieś owady.

– Dlaczego tego nie pamiętam?

– Byłaś malutka. Któregoś dnia, kiedy do nas przypłynął, tata pociągał z flaszki i był kompletnie zalany. Brodziłaś w wodzie, miał cię pilnować. Nagle, bez powodu, chwycił cię i tak tobą potrząsnął, że aż odskoczyła ci głowa, a potem upuścił cię w błoto, śmiejąc się. Tate wyskoczył z łódki i podbiegł do ciebie. Miał siedem, może osiem lat. Wrzeszczał na ojca. Ten oczywiście mu przyłożył i kazał się wynosić z jego działki. Zapowiedział, że jeśli wróci, to go zastrzeli. Wtedy wszyscy przybiegliśmy, żeby zobaczyć, co się dzieje. Ojciec był wściekły, ale Tate i tak wziął cię na ręce i zaniósł do mamy. Nim odpłynął, jeszcze dopytywał, czy na pewno z tobą wszystko dobrze. Potem wyprawialiśmy się razem na ryby, ale już nigdy do nas nie przypłynął.

Do czasu, kiedy poprowadził mnie do domu, kiedy zabłądziłam na mokradłach, pomyślała Kya. Spojrzała na obraz. Był taki pastelowy, taki spokojny. Mamie nawet w tych okolicznościach udawało się dostrzec piękno. Patrząc na te obrazy, ktoś mógłby uznać, że przedstawiają szczęśliwą rodzinę, która mieszka nad morzem i cieszy się słońcem.

Przysiedli na pace i w milczeniu wpatrywali się w obrazy.

– Mama czuła się tu kompletnie samotna, a w takich warunkach ludzie różnie reagują – powiedział Jodie.

Kya wydała z siebie cichy jęk.

– Błagam, nie mów mi o samotności. Nikt mi nie musi tłumaczyć, jak bardzo zmienia człowieka. Sama tego doświadczyłam. Samotność to ja – wyszeptała z lekką urazą w głosie. – Wybaczyłam mamie, że odeszła, ale nie rozumiem, dlaczego nie wróciła i mnie porzuciła. Pewnie tego nie pamiętasz, ale kiedy nas zostawiła, powiedziałeś mi, że lisica czasami porzuca młode, jeśli głoduje bądź przeżywa jakiś wielki stres. Młode padają, chociaż prawdopodobnie i tak by padły, a ich matka, gdy warunki są bardziej sprzyjające, znów się szczeni i odchowuje nowy miot.

– Potem sporo o tym czytałem. W przyrodzie, „tam, gdzie śpiewają raki", takie pozornie okrutne zachowania zwiększają liczbę poczętych później młodych, a tym samym liczbę jej genów w następnych pokoleniach. Z ludźmi jest podobnie. Niektóre pozornie nieludzkie reakcje umożliwiły przetrwanie naszego gatunku we wczesnych stadiach rozwoju człowieka. Bez tego nie byłoby nas tutaj. Te instynktowne zachowania są obecne w naszych genach i w pewnych okolicznościach biorą górę. Gdzieś w głębi pozostajemy tacy, jacy byliśmy dawno, dawno temu, dzięki czemu gatunek przetrwał.

– Może jakiś pierwotny odruch, pradawny gen, kazał mamie odejść z powodu ogromu stresu czy realnego zagrożenia ze strony ojca. To jej nie usprawiedliwia, powinna była zostać, ale skoro znamy te biologiczne wzorce zachowań, to może łatwiej nam wybaczyć nawet matce, która zawiodła. To tłumaczy, dlaczego odeszła, choć nie to, dlaczego nie wróciła. Dlaczego nawet do mnie nie napisała? Mogła słać listy rok w rok, aż któryś w końcu by do mnie trafił.

– Niektórych rzeczy pewnie nie da się wytłumaczyć, można tylko przebaczyć lub nie. Nie znam właściwej odpowiedzi, może taka w ogóle nie istnieje. Przykro mi, że przywożę ci te złe wieści.

– Przez większość życia nie miałam rodziny ani żadnych informacji na jej temat. Teraz w kilka minut odzyskałam brata i straciłam mamę.

– Przykro mi.

– Nie. Tak naprawdę straciłam ją wiele lat temu. Cieszę się, że przyjechałeś. Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałam znów cię zobaczyć. To jednocześnie jeden z najradośniejszych i najsmutniejszych dni w moim życiu. – Kya musnęła palcami jego rękę.

Znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że nieczęsto zdobywa się na taki gest.

Wrócili do chaty. Jodie przyjrzał się nowym meblom, odmalowanym ścianom i wyciosanym z drewna szafkom w kuchni.

– Jak sobie poradziłaś? Zanim wydałaś książkę, skąd miałaś pieniądze i jedzenie?

– Długo by opowiadać, ale to nudne. Głównie sprzedawałam Skoczkowi małże, ostrygi i wędzone ryby.

Odchylił głowę i wybuchnął gromkim śmiechem.

– Skoczkowi?! Od lat o nim nie myślałem. Jest tu jeszcze?

Kya nawet się nie uśmiechnęła.

– Przez cały ten czas był moim najlepszym i jedynym przyjacielem. Był dla mnie jak rodzina. On i mewy.

Jodie natychmiast spoważniał.

– Nie miałaś kolegów ze szkoły?

– Spędziłam w szkole tylko jeden dzień – zachichotała Kya. – Dzieciaki śmiały się ze mnie, więc już tam nie wróciłam. Tygodniami robiłam wszystko, żeby przechytrzyć inspekcję szkolną. Dzięki temu, czego mnie nauczyłeś, nie było to takie trudne.

Był zaskoczony.

– To gdzie nauczyłaś się czytać? Jak napisałaś książkę?

– Czytać nauczył mnie Tate Walker.

– Widujecie się jeszcze?

– Czasami. – Kya podniosła się i stanęła twarzą do pieca. – Jeszcze kawy?

Jodie wyczuł samotność, która kryła się w tej kuchni. Koszyk ze stosikiem cebul, pojedynczy talerz na suszarce, chleb starannie owinięty serwetką. Jak u starszej wdowy.

– Wystarczy, dzięki.

– Nie uwierzysz, mam nowy silnik, ale motorówkę wciąż tę samą, starą.

Promienie słońca przeniknęły przez chmury; jak na zimę, zrobiło się pogodnie i ciepło. Gdy płynęli przez wąskie przesmyki i lśniące rozlewiska, Jodie rozpoznał stary pień, dostrzegł też żeremie w tym samym miejscu, co dawniej. Roześmiali się, wpływając do laguny, gdzie mama, Kya i jej siostry ugrzęzły kiedyś w szlamie.

Po powrocie do chaty Kya spakowała koszyk. Urządzili sobie piknik na plaży, z mewami.

– Byłam taka mała, kiedy odchodziliście. Opowiedz mi o innych – poprosiła.

Opowiedział jej, jak ich starszy brat, Murph, nosił ją po lesie na barana.

– Ciągle chichotałaś, a on biegał albo kręcił z tobą piruety. Któregoś razu tak się śmiałaś, że aż zsiusiałaś mu się na kark.

– No, coś ty?! – Odchyliła się, rechocząc.

– Serio. Zapiszczał, ale nie przystanął, tylko wbiegł wprost do laguny. Widząc to, mama, Mandy, Missy i ja popłakaliśmy się ze śmiechu.

Kya wyobrażała sobie teraz te rodzinne scenki, których – jak sądziła – nigdy nie miała.

– Przed tobą mewy karmiła Missy – ciągnął Jodie.

– Naprawdę? Myślałam, że sama na to wpadłam, kiedy mnie zostawiliście.

– Nie. Karmiła je codziennie, kiedy się tylko dało. Nadawała im imiona. Pamiętam, że jedną nazwała Rudzielcem, bo miała rudą kropkę na dziobie.

– Mój Rudzielec to nie ta sama mewa. Takich z kropkami trafiło mi się już kilka. O, mój to ta po lewej. – Kya próbowała przypomnieć sobie siostrę, po której odziedziczyła zainteresowanie mewami, ale wciąż miała przed oczami tylko tę twarz z obrazu. To i tak więcej niż kiedyś.

Wiedziała, że ruda kropka na dziobie to nie tylko ozdoba. Gdy młode stukają w to miejsce, rodzic oddaje im upolowaną przez siebie zdobycz. Gdyby ją przesłonić, bez pożywienia szybko by padły. Nawet w przyrodzie rodzicielstwo nie jest takie proste, jak moglibyśmy oczekiwać.

Milczeli przez chwilę. Ciszę przerwała Kya:

– Niewiele z tego pamiętam.

– No to masz szczęście. Lepiej niech tak zostanie.

A potem już tylko siedzieli, nie wspominając.

*

Wzorując się na mamie, Kya przygotowała klasyczną kolację z Południa: fasolę czarne oczko z czerwoną cebulą, smażoną szynkę, chleb kukurydziany ze skwarkami i fasolę masłówka gotowaną w mleku z masłem. Do tego placek z jeżynami, bitą śmietaną i odrobiną bourbona, przywiezionego przez Jodiego. Brat oznajmił jej, że chętnie zostanie parę dni, jeśli się zgodzi. Odpowiedziała, że może zostać tak długo, jak zechce.

– Teraz to twoja ziemia. Zapracowałaś na nią. Stacjonuję w Fort Benning, więc nie zostanę na długo. Potem pewnie znajdę pracę w Atlancie i będziemy w kontakcie. Będę cię

odwiedzał tak często, jak tylko będzie to możliwe. Grunt, żebym wiedział, że u ciebie wszystko w porządku.

– Świetnie. Przyjeżdżaj, jak tylko będziesz mógł.

Gdy następnego wieczoru siedzieli na plaży i fale łaskotały ich stopy, Kya szczebiotała jak nie ona i niemal w każdym zdaniu przewijało się imię Tate'a. Opowiadała, jak to kiedyś poprowadził ją do domu, gdy jako mała dziewczynka zabłądziła na mokradłach. I że jako pierwszy przeczytał jej wiersz. Że obdarowywali się piórami, że nauczył ją czytać, że teraz został naukowcem i pracuje w laboratorium. Że był jej pierwszą miłością, ale ją zostawił i wyjechał na studia, a ona czekała na niego na brzegu laguny. No i się skończyło.

– Kiedy to było? – spytał Jodie.

– Jakieś siedem lat temu. Wyjechał do Chapel Hill.

– Widziałaś go później?

– Wrócił, żeby mnie przeprosić. Powiedział, że wciąż mnie kocha. Zasugerował, żebym wydała książkę. Miło czasami się z nim spotkać, ale już nigdy się nie zaangażuję. Nie zaufam mu.

– Kyu, to było siedem lat temu. Był jeszcze młody, pierwszy raz wypuścił się z domu, wokół miał setki ładnych dziewczyn. Ale skoro wrócił, przeprosił i mówi, że cię kocha, to może warto mu odpuścić.

– Większość samców biega od samicy do samicy. Puszą się i próbują nabrać każdą kolejną na swoje sztuczki. Pewnie dlatego mama zakochała się w kimś takim jak ojciec. Tate nie był jedynym, który mnie rzucił. Chase Andrews wspominał nawet o ślubie, ale ożenił się z inną. Nawet mi nie powiedział. Przeczytałam o tym w gazecie.

– Współczuję, ale nie tylko faceci zdradzają. Mnie też nie raz dziewczyna wykiwała, porzuciła i sponiewierała. Powiedzmy sobie szczerze, miłość nie zawsze wypala. Ale nawet jeśli, to przynajmniej łączy cię z innymi, a to wszystko, co mamy, te

połączenia. Pomyśl, teraz odnaleźliśmy siebie. Jeśli ja będę miał dzieci i ty też, powstanie ich nowy strumień, który popłynie dalej. Jeśli kochasz Tate'a, zaryzykuj.

Pomyślała o obrazie, na którym mama namalowała ich razem jako dzieci, z głowami tuż obok siebie, w otoczeniu pastelowych kwiatów i motyli. Może jednak przesłała jej wiadomość.

*

Trzeciego dnia rankiem rozpakowali wszystkie obrazy mamy, oprócz jednego, który Jodie chciał zabrać ze sobą, i powiesili kilka na ścianach. W chacie od razu zmieniło się światło, jakby przybyło tam okien. Kya cofnęła się nieco i przypatrywała się im; to cud, że ma na ścianie obrazy mamy, które uniknęły ognia.

Potem odprowadziła Jodiego do samochodu i dała mu torbę z lunchem na podróż. Patrzyli a to na drzewa, a to na ścieżkę, byle tylko nie spoglądać sobie w oczy.

Pierwszy odezwał się Jodie:

– No to lecę. Tu jest mój adres i numer telefonu. – Wręczył jej skrawek papieru.

Kya wstrzymała oddech, oparła się lewą ręką o maskę auta i zacisnęła karteczkę w prawej dłoni. Taka prosta rzecz – adres brata na skrawku papieru. I zadziwiająca – wreszcie ma rodzinę i namiary, może zadzwonić, a jej brat odbierze. Dławiąc się ze wzruszenia, przyciągnęła go do siebie i wreszcie, po tylu latach, zarzuciła mu ręce na szyję i zaszlochała.

– Bałam się, że już nigdy cię nie zobaczę. Myślałam, że odszedłeś na dobre.

– Zawsze będę przy tobie, obiecuję. A jak się przeprowadzę, przyślę nowy adres. Jeśli będziesz mnie potrzebować, pisz albo

dzwoń, jasne?

– Tak, a ty przyjeżdżaj, kiedy tylko będziesz mógł.

– Odezwij się do Tate’a. To porządny gość.

Machał do niej przez okno aż do końca ścieżki, a ona śmiała się i płakała. Kiedy, wciąż machając, skręcił na drogę, widziała między gałęziami jego czerwonego pickupa tam, gdzie kiedyś migała biała chustka mamy.

34.

Przeszukać chatę

1969

– Znowu jej nie ma – skonstatował Joe, pukając we framugę moskitiery. Ed stał na ceglanych schodach i osłaniając oczy dłońmi, próbował zajrzeć do środka. Rozłożyste gałęzie dębu obwieszone oplątwą rzucały cień na zmurszałą licówkę i szpiczasty dach chaty. Był późny listopadowy ranek; po niebie sunęły szare zagony chmur.

– Pewnie, że jej nie ma, ale nieważne. Mamy nakaz. Śmiało, założę się, że nie zamknęła na zamek.

Joe otworzył drzwi i zawołał:

– Jest tam kto?! Tu szeryf!

Wszedłszy do środka, spojrzeli na półki z kolekcją Kyi.

– Ed, popatrz na to. W sąsiednim pokoju też, i w korytarzu. Chyba jej odwaliło. Pogięło ją jak nic.

– Może, ale na mokradłach to się zna. Wydała trzy książki. Do roboty. Oto, czego szukamy. – I szeryf odczytał krótką listę: – Ubrań z czerwonej wełny, mogących zawierać włókna odpowiadające tym z kurtki Chase’a. Pamiętnika, kalendarza

lub notatek, czegoś, co podpowie nam, gdzie i kiedy przebywała w danym dniu. Wisiorka z muszlą i odcinków biletów z nocnych autobusów. Tylko nie róbmy bajzlu w jej rzeczach, nie ma potrzeby. Zaglądamy pod spód, szukamy dookoła, żadnego bałaganu.

– Dobra. Jak w jakiejś kapliczce. Robi wrażenie, aż ciarki biegną po plecach.

– Niełatwa robota, to na pewno. – Szeryf zerknął za rząd ptasich gniazd. – Zacznę od sypialni.

W milczeniu przeglądali ubrania w szufladach, zajrzeli w kąty szafy, przestawiali słoje z wylinkami węży i zębami rekinów.

Po dziesięciu minutach Joe zawołał:

– Spójrz na to! – A gdy Ed stanął w progu, rzucił: – Wiedziałeś, że samice ptaków mają tylko jeden jajnik?

– Co ty pleciesz?

– Zobacz. Widać to na tych rysunkach i tak wynika z jej notatek.

– Kurde, Joe, nie przyjechaliśmy tu na lekcję biologii! Wracaj do roboty.

– Chwila. Popatrz. To pióro samca pawia, a tu jest napisane, że przez tysiące lat ich pióra stawały się coraz większe, żeby przyciągnąć samice, i doszło do tego, że samce teraz ledwie odrywają się od ziemi. Już prawie nie mogą latać.

– Skończyłeś? Mamy tu coś do zrobienia.

– Ale to bardzo ciekawe.

– Stary, do roboty! – uciął Ed, wychodząc z pokoju.

Dziesięć minut później Joe znów go zawołał. Przechodząc z mniejszej sypialni do saloniku, szeryf rzucił z przekąsem:

– Pewnie znalazłeś wypchaną mysz z trzema oczami.

Joe nie odpowiedział, tylko pokazał mu czerwoną wełnianą czapkę.

– Gdzie była?

– Tutaj, na wieszaku, obok płaszczy i kapeluszy.

– Tak na widoku?

– No przecież mówię.

Ed wyjął z kieszeni plastikowy woreczek z czerwonymi włóknami pobranymi z dżinsowej kurtki Chase'a i przyłożył go do czapki.

– Identyczne. Ten sam kolor, długość i grubość – kwitował Joe. Obaj uważnie się im przyglądali.

– Faktycznie. Tu i tam beżowy wełniany meszek wymieszany z czerwienią.

– Stary, to może być strzał w dychę.

– Oczywiście trzeba wysłać czapkę do laboratorium, ale jeśli włókna pasują, wezwiemy ją na przesłuchanie. Czapka do worka i opis.

Po czterech godzinach w końcu trafili do kuchni.

Przeciągając się, Ed podsumował:

– Gdyby było tu coś jeszcze, już byśmy to znaleźli. Zresztą zawsze możemy wrócić. Kończymy.

Gdy pokonywali koleiny w drodze powrotnej do miasteczka, Joe spekulował:

– Gdyby była winna, schowałaby tę czapkę, a nie wieszała ją na widoku.

– Pewnie nie przypuszczała, że włókna z czapki przykleją się do kurtki. I że technicy je zidentyfikują. Przecież nie ma pojęcia o takich rzeczach.

– Możliwe, ale założę się, że ma pojęcie o innych. Choćby o samcach pawia, które tak się puszą, rywalizując o dymanko, że ledwo mogą latać. Nie jestem pewien, co to wszystko znaczy, ale coś na pewno z tego wynika.

35.

Kompas

1969

Któregoś popołudnia w czerwcu 1969 roku, ponad siedem miesięcy po wizycie Jodiego, w skrzynce pocztowej pojawiła się druga książka Kyi, *Ptaki Wschodniego Wybrzeża* – piękna i pełna zadziwiających szczegółów. Kya przebiegła palcami po cudownej okładce z jej obrazkiem przedstawiającym mewę popielatą, i powiedziała z uśmiechem:

– Cześć, Rudzielcu, załapałaś się na okładkę.

Z książką pod pachą poszła na położoną wśród dębów polanę nieopodal chaty, by poszukać grzybów. Gdy zbliżała się do kępki jaskrawożółtych muchomorów, wilgotna ściółka chłodziła jej stopy. Nagle zatrzymała się w pół kroku. Na starym pniu drzewa, gdzie zostawiali sobie z Tate'em pióra, stał czerwono-biały kartonik po mleku, identyczny jak ten sprzed lat. Kya wybuchnęła śmiechem.

W kartoniku, zawinięty w serwetkę, leżał stary wojskowy kompas w zaśniedziałej mosiężnej kopercie. Kya westchnęła na jego widok. Nigdy nie potrzebowała kompasu, bo kierunki

świata zawsze były dla niej czymś oczywistym, jednak w pochmurne dni na pewno okaże się przydatny.

W kartoniku był jeszcze liścik. „Najdroższa Kyu, to kompas mojego dziadka z czasów pierwszej wojny światowej. Dał mi go, kiedy byłem mały, ale nigdy z niego nie korzystałem, dlatego pomyślałem, że może Ty zrobisz z niego lepszy użytek. Kocham Cię, Tate. PS Cieszę się, że ten list będziesz umiała przeczytać!”.

Jeszcze raz omiotła wzrokiem słowa „najdroższa” i „kocham”. Tate. Złotowłosy chłopiec w łódce, który poprowadził ją do domu, nim nadciągnął sztorm, zostawiał dla niej pióra na starym pniu i uczył czytać. Troskliwy nastolatek, świadek tego, jak stała się kobietą, i który tę kobietę pierwszy w niej rozbudził. Młody naukowiec, który zachęcił ją do pisania książek.

Mimo że podarowała mu swój album z muszlami, wciąż kryła się w łódce w zaroślach, gdy dostrzegała go na mokradłach, i odpływała niezauważona. Kłamliwe sygnały świetlików – to wszystko, co wiedziała o miłości.

Ale nawet Jodie zachęcał ją, żeby dała Tate’owi jeszcze jedną szansę. Zawsze gdy o nim myślała lub go zobaczyła, jej serce pozostawało rozdarte między miłością a bólem odrzucenia. Wolałaby, żeby w końcu się zdecydowało.

Kilka dni później, rankiem, przemknęła we mgle przez rozlewiska z kompasem w plecaku, choć wiedziała, że pewnie i tak nie będzie jej potrzebny. Zamierzała szukać rzadkich gatunków polnych kwiatów na zalesionym, wrzynającym się w ocean cyplu, ale mimochodem rozglądała się za łódką Tate’a.

Uparta mgła nie odpuszczała, okręcając swoje macki wokół pni i nisko zwieszających się konarów drzew. W powietrzu zawisła cisza; milczały nawet ptaki, gdy Kya sunęła łódką przez przesmyk. Nagle usłyszała chrobot wiosła z wolna szorującego o burtę i ujrzała łódkę wynurzającą się z oparów niczym duch.

Przytłumione wcześniej cieniem kolory w słońcu przemieniły się w kształty. Złociste włosy, czerwona czapeczka. Jak senna zjawa na rufie starej motorówki stał Tate, odpychając się od dna drągiem. Kya wyłączyła silnik i wpłynęła tyłem w zarośla, by patrzeć, jak ją mija. Zawsze do tyłu, zawsze w zarośla, żeby ją minął.

O zachodzie słońca, już spokojniejsza, gdy jej serce wróciło na swoje miejsce, stanęła na plaży i wyrecytowała:

Zachody słońca nie takie proste.
Światło w półmroku łamliwe
Nigdy nie oczywiste.
Szarówka niczym przebranie
Zaciera ślady i kłamstwa.

Ale nieważne
Że zmierzch nas mami.
Barwy widzimy krzykliwe
I nie wierzymy
Że słońce pod ziemią
Gdy na horyzoncie wciąż łuna.

Zachody słońca niczym przebranie
Zacierają ślady i kłamstwa.

36.

Usidlić lisa

1969

Joe wszedł przez otwarte drzwi do gabinetu szeryfa.

– Mam raport.

– Pokaż.

Omietli wzrokiem ostatnią stronę.

– Wszystko jasne – orzekł Ed. – Pasują idealnie. Martwy Chase miał na kurtce włókna z jej czapki. – Szeryf wziął raport do ręki. – Podsumujmy. Po pierwsze, poławiacz krewetek zeznał, że widział pannę Clark płynącą w stronę wieży tuż przed upadkiem Chase'a. Jego kolega to potwierdzi. Po drugie, Patti Love zeznała, że Clark podarowała mu wisiorek z muszlą, który zniknął tej nocy, gdy Chase zginął. Po trzecie, włókna z jej czapki były na jego kurtce. Po czwarte, motyw: porzucona kobieta. Do tego alibi, które łatwo podważyć. To raczej wystarczy.

– Przydałby się lepszy motyw – zafrasował się Joe. – To, że ją spuścił, to trochę za mało.

– Jeszcze nie zakończyliśmy śledztwa, ale mamy dość, żeby ją przesłuchać, a być może nawet postawić zarzuty. Zobaczymy, co dalej, kiedy ją tu wezwiemy.

– Z tym może być problem. Bo niby jak? Ona od lat skutecznie wszystkich unika: inspekcji szkolnej, ankieterów spisu powszechnego. Dosłownie wszystkich, jak leci. Nas też. A jeśli będziemy ganiać za nią po mokradłach, wyjdziemy na głupków.

– Ja nie widzę problemu. To, że wszystkim się wymyka, nie znaczy, że sobie nie poradzimy. Ale bieganie za nią to nie jest najlepszy pomysł. Proponuję zastawić sidła.

– Na tym akurat się znam. Zwykle kiedy chcesz usidlić lisa, to cię przechytrzy, zwłaszcza jeśli nie działasz z zaskoczenia. Pukaliśmy do niej tyle razy, że teraz nawet niedźwiedź by zwiał. Może psy? Te by nie zawiodły.

Szeryf na moment zamilkł.

– Czy ja wiem? Mam pięćdziesiąt jeden lat i może mięknę na starość, ale zaszczuwanie dziewczyny psami, żeby ściągnąć ją na przesłuchanie, jakoś mi nie leży. To dobre na zbiegłych skazańców, których już osądzono. Tymczasem jej winę trzeba jeszcze udowodnić, dlatego nie spuszczę za nią psów. Chyba że nie będzie innego wyjścia.

– Dobra, to jakie te sidła?

– Trzeba coś wykombinować.

*

Piętnastego grudnia, kiedy zastanawiali się, jak wezwać Kyę na przesłuchanie, niespodziewanie ktoś zapukał do drzwi. Za mlecznym szkłem majaczyła postać rosłego mężczyzny.

– Proszę! – zawołał szeryf, a gdy ten wszedł, powitał go słowami: – Cześć, Rodney. Jak możemy ci pomóc?

Rodney Horn, emerytowany mechanik, większość wolnego czasu spędzał na wędkowaniu ze swoim kumplem Dennym Smithem. Miejscowym jawił się jako człowiek spokojny i stateczny. Zawsze chodził w dżinsowych ogrodniczkach, nawet do kościoła, w którym nie opuścił ani jednej mszy. Wkładał do nich koszulę, wyprasowaną i wykrochmaloną na sztywno przez jego żonę Elsie.

Rodney zdjął filcowy kapelusz i przytrzymał go sobie na brzuchu. Ed wskazał mu krzesło, ale tamten tylko potrząsnął głową.

– Ja tylko na chwilę – oznajmił. – Może mam coś ważnego w sprawie śmierci Chase'a.

– Co mianowicie? – spytał Joe.

– To było już jakiś czas temu. Trzydziestego sierpnia wyprawiłem się z Dennym na ryby. Zauważyliśmy coś przy Cyprysowej Zatoce. Może was to zainteresuje.

– Mów dalej, ale proszę cię, usiądź – zachęcił go szeryf. – Wszyscy poczulibyśmy się swobodniej.

Rodney przyjął zaproszenie i w pięć minut opowiedział im całą historię. Gdy wyszedł, Ed i Joe spojrzeli po sobie.

– No, to mamy motyw – podsumował Joe.

– Wezwijmy ją.

37.

Stado szarych rekinów

1969

Parę dni przed Gwiazdką Kya płynęła powoli do Skoczka w kompletnej ciszy. Wyruszyła wcześniej niż zwykle. Odkąd myszkowali u niej szeryf i jego zastępca – co obserwowała, kryjąc się wśród palmiczek – wyprawiała się po benzynę i zakupy przed świtem, kiedy to mogła napotkać tylko rybaków. Niskie chmury przemykały nad powierzchnią wzburzonego oceanu. Od wschodu nadciągał szkwał, skręcony jak bicz. Wiedziała, że musi szybko się uwinąć i wrócić do domu, nim uderzy. Z odległości kilkuset metrów dojrzała pomost spowity mgłą. Jeszcze bardziej zwolniła i rozejrzała się, czy wokół nie ma innych łodzi.

Gdy od pomostu dzieliło ją już tylko czterdzieści metrów, dostrzegła rozmytą postać Skoczka, który siedział na wysłużonym krześle, oparty o ścianę. Pomachała do niego. Nie zareagował. Nawet nie wstał, tylko lekko potrząsnął głową. Kya wyłączyła silnik.

Znów do niego pomachała. Spojrzał na nią, ale ani drgnął.

Kya przekręciła ster i gwałtownie zawróciła w stronę oceanu, lecz z naprzeciwka wyłoniła się z mgły jakaś duża łódź z szeryfem na dziobie. Obok płynęło jeszcze kilka – a za nimi szkwał.

Żyłując silnik, prześlizgnęła się między motorówkami i pomknęła przez białe grzywy fal na otwarte morze. Chciała popłynąć wprost na rozlewiska, ale łódź szeryfa była zbyt blisko – doścignęłaby Kyę, nim ta zdołałaby się oddalić.

Fale nie uderzały równo, lecz wierzgały we wszystkich kierunkach. Wraz z nadchodzącym sztormem robiło się coraz bardziej niebezpiecznie. Nagle wzmógł się prąd. Kya była cała przemoczona, kosmyki włosów lepiły się jej do twarzy. Popłynęła z wiatrem, żeby łódka się nie przewróciła, lecz fale obróciły ją w drugą stronę.

Ze świadomością, że tamci są szybsi, skuliła się przed napierającym wiatrem. Może zgubi ich w tej kipieli albo wskoczy do wody i spróbuje dopłynąć do brzegu. Intensywnie zastanawiała się, jak tego dokonać, bo miała wrażenie, że wtedy jej szanse by wzrosły. Tak blisko brzegu na pewno działają prądy wsteczne, które przepchnęłyby ją pod wodą dużo szybciej, niż gdyby płynęła. Od czasu do czasu wynurzałaby się, by zaczerpnąć powietrza, i dotarłaby do plaży, a następnie skryła się w zaroślach.

Tymczasem ryk silników przebijał się przez huk oceanu. Byli coraz bliżej. Jak jednak mogłaby się zatrzymać? Przecież nigdy się nie poddawała. Postanowiła zanurkować. Lecz nagle ją osaczyli niczym stado szarych rekinów. Byli tuż-tuż. Jedna z łodzi wypłynęła z oparów kilka metrów przed nią i Kya wbiła się w jej burtę. Upadła na pokład, aż odskoczyła jej głowa. Szeryf chwycił za krawędź nadburcia jej motorówki wśród spienionych fal. Jacyś dwaj mężczyźni przyskoczyli do niej, a szeryf oznajmił:

– Catherine Clark, jesteś aresztowana pod zarzutem zabójstwa Chase’a Andrewsa. Masz prawo milczeć…

Reszty Kya już nie słuchała, bo nikt tego nie słucha.

38.

Niedzielny Sędzia

1970

Kya zacisnęła powieki. Jaskrawe światło lamp wiszących pod sufitem raziło ją w oczy, podobnie jak promienie słońca wdzierające się przez sięgające sufitu okna. Przez dwa miesiące żyła w mroku, a teraz, gdy uniosła powieki, dojrzała wreszcie miękki zarys ścielących się na zewnątrz mokradeł z masywnymi dębami, pod którymi skryły się paprocie i krzaki ostrokrzewu. Próbowała choćby jeszcze przez chwilę zatrzymać w sobie tę bujną zieleń, ale czyjeś mocne dłonie chwyciły ją i poprowadziły do długiego stołu z krzesłami, przy którym siedział jej obrońca, mecenas Tom Milton. Skuta kajdankami, nieporadnie złożyła ręce, jakby się modliła. Ubrana w luźne czarne spodnie i zwykłą białą bluzkę, z warkoczem opadającym między łopatki, nie obejrzała się, by popatrzeć na zgromadzoną w sali publiczność. Czuła jednak za plecami gorący oddech szeleszczącego tłumu, który ściągnął do sądu na jej proces, w którym oskarżano ją o zabójstwo. Czuła, jak ludzie wychylają się z ławek i obracają głowy, by choć przez moment jej się

przyjrzeć. Woń potu, zastałego papierosowego dymu i tanich perfum wywoływała w niej mdłości. Pokasływania ustały, ale w sali podniosła się wrzawa, gdy Kya podchodziła do swojego miejsca. Wszystkie te dźwięki zdawały się jej odległe, bo słyszała głównie własny, niespokojny i rwany oddech. Gdy ją rozkuwali, wbiła wzrok w wypastowaną podłogę z sękatych sosnowych desek i ciężko opadła na krzesło. Była dziewiąta trzydzieści, dwudziesty piąty lutego 1970 roku.

Tom pochylił się ku niej i szeptem pocieszył, że wszystko będzie dobrze. Nie odpowiedziała, szukając w jego oczach szczerości, czegoś, czego mogłaby się uczepić. Nie żeby mu ufała, ale pierwszy raz była zmuszona powierzyć swoje sprawy komuś innemu. Tom był wysoki, miał siedemdziesiąt jeden lat i gęste siwe włosy; nosił niegustowne lniane garnitury z niewymuszonym, acz banalnym wdziękiem prowincjonalnego męża stanu. Cechowały go łagodność ruchów i cichy głos, a jego twarz rozjaśniał miły uśmiech.

Sędzia Sims wyznaczył jej z urzędu młodego adwokata, gdyż sama nie podjęła żadnych kroków w tym względzie, ale gdy mecenas Milton dowiedział się o całej sprawie, zawiesił emeryturę na kołku i postanowił bronić Kyi, rezygnując z honorarium. Jak wszyscy, słyszał opowieści o Dziewczynie z Bagien i przez lata czasami ją widywał, gdy zgrabnie przemykała po rozlewiskach lub załatwiwszy sprawunki, czmychała z miasteczka niczym szop wypłoszony z pojemnika na śmieci.

Kiedy dwa miesiące wcześniej pierwszy raz odwiedził ją w areszcie, zaprowadzili go do małej, ciemnej sali. Kya siedziała przy stole. Nie spojrzała na niego. Gdy przedstawił się i oznajmił, że będzie ją reprezentował, milczała, wciąż nie podnosząc wzroku. Miał przemożną chęć poklepać ją po ręce, jednak coś – może jej wyprostowana sylwetka albo niewidzące

spojrzenie – uchroniło ją przed dotykiem. Poruszając głową na wszystkie strony, by napotkać wzrok dziewczyny, wyjaśnił niuanse procedury i wspomniał, czego może się spodziewać, po czym zadał jej kilka pytań. Na żadne nie odpowiedziała, nawet nie drgnęła ani na niego nie zerknęła. Kiedy ją wyprowadzali, odwróciła się i popatrzyła w małe okienko, przez które widać było niebo. W porcie krzyczały ptaki; miał wrażenie, że wsłuchuje się w ich pieśni.

Podczas następnej wizyty sięgnął do szarej papierowej torby i podsunął jej książkę w błyszczącej okładce, zatytułowaną *Najrzadsze muszle świata*. Zawierała malowane farbami olejnymi rysunki naturalnej wielkości, przedstawiające muszle z najdalszych zakątków kuli ziemskiej. Z lekko rozchylonymi ustami Kya powoli przewracała strony, czasami z uznaniem kiwając głową. Tom nie pośpieszał jej, a po jakimś czasie znów do niej przemówił. Tym razem spojrzała mu w oczy. Cierpliwie raz jeszcze wyjaśnił procedury i nawet narysował salę sądową z ławą przysięgłych, stołem sędziowskim i ławą oskarżonych. Umieścił tam też postaci strażnika sądowego, sędziego i protokolantki, tłumacząc Kyi, jaką funkcję pełni każda z tych osób.

Tak jak podczas pierwszego spotkania, opisał, jakie mają przeciwko niej dowody, i spytał, gdzie przebywała w noc, gdy zginął Chase, lecz wówczas znów zamknęła się w swojej muszli. Kiedy szykował się do wyjścia, pchnęła książkę w jego stronę. Wtedy powiedział:

– Nie. Przyniosłem ją dla ciebie. Jest twoja.

Przygryzła wargi i zamrugała.

*

Teraz, kiedy pierwszy raz zjawili się w sądzie, próbował odciągnąć jej uwagę od panującego tam zamieszania, pokazując rzeczy, które umieścił wcześniej na rysunku, ale na próżno. O dziewiątej czterdzieści pięć w ławkach na galerii zaroiło się od mieszkańców miasteczka, rzucających głośne komentarze na temat zebranych dowodów i kary śmierci. Na mniejszym balkonie, w głębi sali, siedziało kolejnych dwadzieścia osób. Mimo że nie było tam stosownej tabliczki, wszyscy wiedzieli, że to miejsca dla kolorowych. Jednak tego dnia zajęli je głównie biali i tylko paru czarnych, bo sprawa zdecydowanie dotyczyła białych. W wydzielonej sekcji z przodu siedziało paru reporterów z „Atlanta Constitution" i „Raleigh Herald". Ci, dla których zabrakło miejsc, tłoczyli się pod ścianami i oknami, mamrocząc do siebie i wymieniając plotki. Dziewczyna z Bagien odpowie za zabójstwo – czy mogło być coś lepszego? Niedzielny Sędzia, czarny kot z białą mordką i czarnymi „okularami" wokół zielonych oczu, wygrzewał się w plamie słońca na szerokim parapecie. Zamieszkiwał w budynku sądu od lat, polując na szczury w piwnicy i myszy w sali rozpraw w zamian za dach nad głową.

Z uwagi na to, że Barkley Cove było pierwszym siedliskiem w tym podmokłym zakątku wybrzeża Karoliny Północnej, miasteczku przyznano prawa stolicy okręgu i w 1754 roku powstał tu sąd. Mimo że z czasem inne miasta, takie jak Sea Oaks, bardziej się rozrosły i miały więcej mieszkańców, Barkley Cove utrzymało swój oficjalny status siedziby władz okręgu.

W 1912 roku w gmach sądu uderzył piorun i większość drewnianej konstrukcji spłonęła. Odbudowany rok później w tym samym miejscu na końcu Main Street, był obecnie piętrowym, murowanym budynkiem z mierzącymi trzy metry oknami obramowanymi granitem. Do lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku przywędrowały tu z mokradeł dzikie

trawy i palmiczki, a nawet trochę trzcin, które objęły w posiadanie niegdyś zadbany teren wokół gmachu. Którejś wiosny wylały tu wody porośniętej liliami laguny i z czasem zawłaszczyły część chodnika.

Za to sala rozpraw, odbudowana wedle oryginalnych planów, robiła imponujące wrażenie. Nad umieszczonym na podium stołem sędziowskim z ciemnego mahoniu z inkrustacjami przedstawiającymi godło stanu wisiało kilka flag, w tym konfederackich. Wykonana z mahoniu ścianka ławy przysięgłych została wykończona czerwonym cedrem, a ciągnące się wzdłuż jednej ze ścian okna wychodziły na ocean.

Gdy urzędnicy zjawili się w sali, Tom pokazał ich Kyi na swoim rysunku.

– To strażnik, Hank Jones – wyjaśnił, gdy do pomieszczenia wchodził szczupły, sześćdziesięcioletni mężczyzna z pokaźną, zajmującą pół czaszki łysiną. Miał na sobie szary mundur z szerokim paskiem i przytroczonymi doń krótkofalówką, latarką, imponującym pękiem kluczy oraz sześciostrzałowym coltem w kaburze.

Jones zawołał do zebranych:

– Ludzie, przykro mi, ale znacie przepisy przeciwpożarowe! Kto nie ma miejsca siedzącego, musi wyjść!

– A to Henrietta Jones, jego córka, protokolantka – wyjaśnił Tom, gdy młoda, wysoka i chuda jak jej ojciec kobieta skromnie przycupnęła przy biurku nieopodal stołu sędziego. Siedzący już na swoim miejscu prokurator, Eric Chastain, wyjął z neseseru notatki. Szeroki w barach i rudowłosy, mierzył niemal metr osiemdziesiąt i nosił granatowe garnitury i szerokie, jaskrawe krawaty, które kupował w Sears, Roebuck & Co. w Asheville.

Strażnik zawołał:

– Proszę wstać, Sąd idzie! Obrady pod przewodnictwem sędziego Harolda Simsa.

Nagle zapadła cisza. Otworzyły się drzwi. Sędzia Sims skinął głową, dając znak, by wszyscy usiedli, po czym poprosił przedstawicieli stron, żeby do niego podeszli. Był mężczyzną mocnej postury, o okrągłej twarzy okolonej gęstymi, siwymi bokobrodami. Mieszkał w Sea Oaks, ale od dziewięciu lat przewodniczył rozprawom w sądzie w Barkley Cove. Cieszył się opinią człowieka racjonalnego, opanowanego i obiektywnego. Teraz w sali rozbrzmiał jego niski głos.

– Mecenasie Milton, pański wniosek o przeniesienie procesu poza granice okręgu z uwagi na to, że oskarżona Clark nie może tu liczyć na uczciwy proces ze względu na uprzedzenia lokalnej społeczności, zostaje odrzucony. Przyznaję, że oskarżona żyje w szczególnych warunkach i w jakimś sensie była obiektem uprzedzeń, lecz nie ma dowodów na to, że w większym stopniu niż wiele innych osób z małych miejscowości, które stają przed sądami w Ameryce. Zresztą z dużych miast też. Dlatego wszczynam obrady.

Zebrani z uznaniem kiwali głowami, gdy prawnicy wracali na swoje miejsca.

Tymczasem sędzia kontynuował:

– Catherine Danielle Clark, zamieszkała w okręgu Barkley w Karolinie Północnej, jest pani oskarżona o zabójstwo pierwszego stopnia Chase’a Lawrence’a Andrewsa, również mieszkańca Barkley Cove. Termin „zabójstwo pierwszego stopnia” oznacza zabójstwo z premedytacją, a w takich przypadkach prokuratura może domagać się kary śmierci. Prokurator poinformował mnie, że w przypadku uznania panią za winną zamierza o nią wystąpić.

Po sali przeszedł szmer.

Zdawało się, że Tom nieco przysunął się do Kyi, a jej najwyraźniej to nie przeszkadzało.

– Rozpoczniemy od wyboru przysięgłych. – Sędzia Sims obrócił głowę ku dwóm rzędom foteli, w których zasiedli kandydaci do tego gremium. Gdy odczytywał im regulamin, Niedzielny Sędzia zgrabnie, acz z impetem, zeskoczył z parapetu i tak samo płynnie wskoczył na stół sędziego. Ten, kontynuując, z roztargnieniem głaskał zwierzę po łebku.

– W sprawach o zabójstwo zagrożonych karą śmierci przepisy stanowe zezwalają przysięgłym odmówić pełnienia tej funkcji z racji wyznawanych przekonań. Proszę o podniesienie rąk tych, którzy nie chcą albo nie mogą wydać takiego wyroku, jeśli oskarżona zostanie uznana za winną.

Wszystkie ręce pozostały nieruchome.

„Kara śmierci” – tylko to dosłyszała Kya.

Sędzia ciągnął:

– Drugim powodem odmowy uczestniczenia w obradach ławy jest okoliczność, gdy przysięgły utrzymuje lub utrzymywał bliskie kontakty z panią Clark lub z panem Andrewsem i nie byłby w stanie zachować obiektywizmu. Proszę, by teraz powiadomić o tym sąd.

Siedząca pośrodku drugiego rzędu Sally Culpepper podniosła rękę i podała swoje nazwisko. Jej siwe włosy ściągnięte w niewielki koczek skrywał kapelusz będący w identycznym burym kolorze co kostium i buty.

– Słucham cię, Sally.

– Jak wiadomo, przez prawie dwadzieścia pięć lat pracowałam jako inspektor szkolny okręgu Barkley. Pani Clark była jedną z moich podopiecznych, więc siłą rzeczy miałam z nią kontakt, a przynajmniej próbowałam go nawiązać.

Kya musiałaby się obejrzeć, żeby spojrzeć na panią Culpepper lub inne osoby siedzące za nią, czego rzecz jasna

nigdy by nie zrobiła. Pamiętała jednak całkiem wyraźnie, że ostatnim razem inspektor czekała w samochodzie, gdy mężczyzna w fedorze próbował ją wytropić. Kya robiła wszystko, żeby ułatwić mu zadanie, przedzierając się hałaśliwie przez krzaki jeżyn i chowając w zaroślach tuż obok auta. Tymczasem starszy pan w fedorze pobiegł w przeciwnym kierunku, na plażę.

W końcu, przykucnąwszy, poruszyła gałęzią ostrokrzewu, która otarła się o maskę samochodu. Pani Culpepper wyjrzała przez okno i napotkała jej wzrok. Kya miała wrażenie, że lekko się wtedy uśmiechnęła, a w każdym razie nie próbowała później podpowiedzieć swojemu koledze, gdzie może ją znaleźć. Rzucili tylko parę przekleństw i odjechali.

Teraz pani Culpepper zwróciła się do sędziego:

– Skoro miałam z nią kontakt, to nie wiem, czy nie powinnam zrezygnować.

– Dziękuję, Sally. Niektórzy z was mogli mieć kontakt z panią Clark jako sprzedawcy w sklepach bądź, jak w przypadku pani Culpepper, w innych okolicznościach związanych z pracą. Tutaj chodzi jednak wyłącznie o to, czy możecie wysłuchać zeznań świadków i wyjaśnień oskarżonej i zdecydować o jej winie lub niewinności na podstawie przedstawionych dowodów, a nie doświadczeń czy odczuć z przeszłości.

– Ja z pewnością tak, Wysoki Sądzie.

– Dziękuję, możesz sądzić w sprawie.

O jedenastej trzydzieści sąd powołał na przysięgłych siedem kobiet i pięciu mężczyzn. Teraz Kya będzie już mogła zerkać na ich twarze. Większość znała ze swoich wizyt w miasteczku, choć niewielu z nazwiska. Pani Culpepper siedziała pośrodku i jej obecność dodawała Kyi nieco otuchy, ale tuż obok rozsiadła się Teresa White, ta blondynka, żona pastora metodystów, która przed laty wybiegła ze sklepu z butami, by odciągnąć swoją

córkę od Kyi czekającej na chodniku na tatę po tym, jak jeden jedyny raz zabrał ją na lunch do baru. Powiedziała wtedy córce, że Kya to brudas.

Sędzia Sims ogłosił przerwę do godziny trzynastej. Dla przysięgłych, którzy mieli jeść lunch zamknięci w sali obrad, zamówiono w barze tuńczyka, sałatkę z kurczakiem i kanapki z szynką. Żeby było sprawiedliwie, drugi punkt serwujący posiłki w miasteczku – Bar Dog-Gone – miał im co drugi dzień dostarczać hot-dogi, chili i kanapki z krewetkami. Kotu też zawsze coś się dostawało. Niedzielny Sędzia najbardziej lubił kanapki.

39.

Przypadkowe spotkanie

1969

Pewnego sierpniowego ranka w 1969 roku, gdy znad mokradeł powoli znikała mgła, Kya płynęła w stronę odludnego cypla, zwanego przez miejscowych Cyprysową Zatoką, gdzie swego czasu odkryła rzadkie gatunki muchomorów. W sierpniu grzybów zwykle już prawie nie było, ale w okolicy Cyprysowej Zatoki panowały wilgoć i chłód, więc liczyła, że trafi na jakieś rzadkie odmiany. Minął ponad miesiąc, odkąd Tate zostawił jej na pniu kompas, i choć widywała go później na mokradłach, nie podpłynęła, żeby mu podziękować. Nie używała też kompasu, ale odłożyła go w bezpieczne miejsce, do jednej z licznych kieszeni plecaka.

Omszałe drzewa tuliły się tu do brzegu, a ich konary tworzyły coś w rodzaju jaskini, przez którą Kya teraz płynęła w poszukiwaniu kryjących się w zaroślach małych pomarańczowych grzybków na zgrabnych nóżkach. Wreszcie je dostrzegła – lgnęły zuchwałe w swej urodzie do starego pnia. Wyciągnąwszy łódź na brzeg, usiadła po turecku i rysowała.

Nagle usłyszała kroki na ściółce, a potem głos:

– Kogo ja widzę! Moja Dziewczyna z Bagien!

Zerwała się na równe nogi i stanęła twarzą w twarz z Chase'em.

– Cześć – rzucił. Rozejrzała się. Skąd się tu wziął? Nie słyszała pomruku silnika. Domyślił się, co ją nurtuje. – Wędkowałem, zauważyłem cię i zacumowałem po drugiej stronie.

– Proszę cię, odejdź. – Wepchnęła ołówki i blok rysunkowy do plecaka.

Położył rękę na jej ramieniu.

– Daj spokój. Przykro mi, że tak wyszło. – Pochylił się. Poczuła woń bourbonu wypitego o poranku.

– Nie dotykaj mnie!

– Przeprosiłem cię. Wiedziałaś, że nie możemy się pobrać. Nie mogłabyś mieszkać w mieście. Ale zawsze byłaś mi bliska. Wspierałem cię.

– Wspierałeś?! Niby jak?! Zostaw mnie! – Przytrzymując plecak ramieniem, ruszyła w stronę łodzi, ale złapał ją mocno za rękę.

– Już nigdy nie poznam nikogo takiego jak ty. Wiem, że mnie kochasz.

Wyrwała się mu.

– Mylisz się! Wątpię, bym kiedykolwiek cię kochała. Mówiłeś o ślubie, pamiętasz?! Że zbudujesz dla nas dom. A tymczasem dowiedziałam się o twoich zaręczynach z gazety! Dlaczego mi to zrobiłeś? Dlaczego?!

– No, już. Przecież to było nierealne. Musiałaś wiedzieć, że nic z tego nie będzie. Tak nam było ze sobą źle? Wróćmy do tego. – Chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

– Puszczaj! – Próbowała się wyrwać, ale ściskał ją obiema rękami, powodując ból. Dotknął ustami jej warg i pocałował.

Wyprostowała ręce i uwolniła się z jego uścisku. Odchyliwszy głowę, syknęła:

– Nie próbuj!

– Moja rysica! Jeszcze dziksza! – Znów chwycił ją za ramiona, podciął nogą kolana i pchnął na ziemię. Uderzyła o nią głową. – Wiem, że mnie chcesz – wydyszał pożądliwie.

– Przestań! – krzyknęła. Przykucnął, przytrzymał jej brzuch kolanem, aż straciła dech, a potem rozpiął i ściągnął dżinsy.

Wierzgała, odpychając go rękami. Uderzył ją pięścią w twarz. Coś chrupnęło w jej głowie, szyja zwiotczała i Kya osunęła się na ziemię. Tata też tak bił mamę. Zobaczyła ciemność przed oczami i poczuła pulsujący ból. Próbowała jeszcze wyczołgać się spod niego, ale był zbyt silny. Przytrzymując jej ręce nad głową, rozpiął sobie szorty i ściągnął jej majtki. Kopała i krzyczała, ale wokół nie było żywej duszy. Ryjąc stopami ziemię, wciąż mu się opierała. Wtedy chwycił ją za biodra i obrócił na brzuch. Wcisnął jej obolałą twarz w piach i klęcząc za nią, drugą ręką uniósł jej pośladki.

– Tym razem cię nie puszczę. Chcesz czy nie, jesteś moja.

Odnajdując w sobie jakąś pierwotną moc, Kya uniosła się na rękach i kolanach, zamachnęła łokciem i trafiła go w szczękę. Kiedy głowa odskoczyła mu na bok, zaczęła wściekle okładać go pięściami, aż stracił równowagę i upadł na plecy. Na koniec, dokładnie celując, z całej siły kopnęła go w krocze.

Zgiął się, obrócił na bok i wił się z bólu z dłońmi na jądrach. Dla równego rachunku, kopnęła go jeszcze w plecy, dokładnie tam, gdzie nerki. Kilka razy. Mocno.

Wciągnąwszy szorty, chwyciła plecak i popędziła do łódki. Ciągnąc za linkę, żeby uruchomić silnik, obejrzała się. Chase jęczał, czołgając się na czworakach. Klęła jak szewc, póki silnik nie zaskoczył. W obawie, że spróbuje ją dopaść, ostro skręciła ster i dodając gazu, odbiła od brzegu, kiedy Chase’owi właśnie

udało się wstać. Roztrzęsiona zapięła spodnie i zasłoniła piersi ręką. Była przerażona. Rozejrzała się i dostrzegła w pobliżu dwóch mężczyzn na łodzi, którzy patrzyli na nią.

40.

Cyprysowa Zatoka

1970

Po przerwie na lunch sędzia Sims spytał prokuratora:

– Eric, możesz wezwać pierwszego świadka oskarżenia?

– Tak, Wysoki Sądzie.

W sprawach o zabójstwo Eric zwykle powoływał najpierw koronera, bo jego zeznania dotyczą dowodów rzeczowych, takich jak narzędzie zbrodni, czas i miejsce zgonu oraz zdjęcia z miejsca popełnienia przestępstwa, które robią silne wrażenie na przysięgłych. W tym przypadku jednak nie było ani narzędzia zbrodni, ani odcisków palców czy innych śladów, zatem prokurator postanowił rozpocząć od motywu.

– Wysoki Sądzie, wzywam na świadka Rodneya Horna.

Wszyscy patrzyli, jak Rodney staje za barierką i przysięga mówić tylko prawdę. Kya rozpoznała jego twarz, mimo że widziała ją ledwie przez kilka sekund. Odwróciła głowę. Emerytowany mechanik, swojak. Całymi dniami wędkował, polował albo rżnął w pokera w Swamp Guinea. A wypić mógł więcej niż ktokolwiek. Jak zawsze miał na sobie dżinsowe

ogrodniczki i czystą kraciastą koszulę z wykrochmalonym kołnierzykiem. Trzymając w lewej dłoni wędkarską czapeczkę, uniósł do góry prawą, złożył przysięgę, usiadł i położył czapeczkę na kolanie.

Eric ze swobodą zbliżył się do barierki.

– Dzień dobry, Rodney.

– Dobry.

– Z tego, co mi wiadomo, wędkowałeś ze znajomym nieopodal Cyprysowej Zatoki rankiem trzydziestego sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku, zgadza się?

– Bezwzględnie. Łowiliśmy tam z Dennym. Od świtu.

– Dla jasności: z Dennym Smithem?

– Tak, ja i Denny.

– Dobrze. Opowiedz nam, co wtedy zobaczyłeś.

– Jak już wspomniałem, byliśmy tam od świtu. Na głodniaka, więc tak koło jedenastej mieliśmy złożyć wędki i się stamtąd zmyć, kiedy usłyszeliśmy, że coś się kotłuje, w lesie, na cyplu.

– „Kotłuje”? W jakim sensie?

– Dobiegały stamtąd jakieś krzyki, najpierw przytłumione, a potem głośniejsze. Facet i kobitka. Nie widzieliśmy ich, tylko słyszeliśmy. Jakby się kłócili.

– A potem?

– Kobieta zaczęła wrzeszczeć, więc podpłynęliśmy bliżej, żeby zobaczyć, co się dzieje, czy aby jej nie pomóc.

– I co zobaczyliście?

– Kiedy się tam zbliżyliśmy, ta babka stała nad nim i kopała go w… – Rodney zerknął na sędziego.

– W co go kopała? Proszę powiedzieć – ośmielił go sędzia Sims.

– W jaja, aż przekręcił się na bok i jęczał. Potem kilka razy w plecy. Była wściekła jak muł, który nażarł się trzmieli.

– Rozpoznał pan tę kobietę? Jest w tej sali?

– Od razu wiedzieliśmy kto to. Tam siedzi, to oskarżona. Ta, którą nazywają Dziewczyną z Bagien.

Sędzia pochylił się w stronę świadka.

– Panie Horn, oskarżona nosi nazwisko Clark. Proszę nie używać wobec niej innych określeń.

– Dobra. No więc to była pani Clark.

– A rozpoznałeś mężczyznę, którego kopała? – ciągnął Eric.

– Dobrze go nie widzieliśmy, bo wił się na ziemi, ale po paru minutach wstał i to był Chase Andrews, nasz rozgrywający sprzed lat.

– Co się wydarzyło potem?

– Pani Clark pokuśtykała do swojej łódki, taka nie do końca ubrana. Szorty miała na łydkach, a majtki w okolicy kolan. Próbowała je wciągnąć w biegu i nie przestawała na niego wrzeszczeć. Wskoczyła do łodzi i odpłynęła, wciąż próbując wciągnąć na siebie szorty. Kiedy mijała naszą łódkę, spojrzała prosto na nas. Stąd wiem, kto to był.

– Wspomniałeś, że nie przestawała krzyczeć, kiedy biegła do łódki. Słyszałeś, co krzyczała?

– Tak, wszystko słyszeliśmy, bo była całkiem blisko.

– Możesz nam powiedzieć, co słyszeliście?

– Wrzeszczała: „Zostaw mnie, sukinsynu! Spróbuj jeszcze raz, to cię zabiję!”.

W sali rozległ się głośny szmer, który nie ustawał. Sędzia Sims stuknął młotkiem.

– Dobra, wystarczy.

Eric zwrócił się do świadka:

– To wszystko, dziękuję, Rodney. Nie mam więcej pytań. Świadek do dyspozycji obrony.

Tom minął Erica i stanął obok barierki.

– Rodney, zeznałeś, że początkowo, słysząc niewyraźne, a jednocześnie głośne krzyki, nie widziałeś, co zaszło między panią Clark a panem Andrewsem.

– Tak. Nie widzieliśmy ich, póki tam nie podpłynęliśmy.

– Zeznałeś też, że kobieta, w której potem rozpoznałeś panią Clark, krzyczała, jakby była w jakichś opałach.

– Tak.

– Czyli całkiem możliwe, że gdy kopała pana Andrewsa, po prostu broniła się, jak to samotna kobieta w lesie, przed bardzo silnym i wysportowanym mężczyzną, byłym rozgrywającym, który ją zaatakował?

– Pewnie tak.

– Nie mam więcej pytań.

– A prokurator?

– Owszem, Wysoki Sądzie. – Eric wstał od stołu. – Rodney, bez względu na to, czy doszło między nimi do czegoś za obopólną zgodą, czy nie, potwierdzasz, że oskarżona, pani Clark, była wściekła na Chase'a Andrewsa?

– I to jak!

– Do tego stopnia, że wykrzyczała, że go zabije, jeśli ten jeszcze raz się do niej zbliży?

– Właśnie tak było.

– Wysoki Sądzie, nie mam więcej pytań.

41.

Stadko

1969

Grzebiąc przy rumplu, Kya obejrzała się, żeby sprawdzić, czy Chase przypadkiem za nią nie popłynął. Migiem dotarła do laguny i pokuśtykała na opuchniętych nogach do chaty. Zapłakana padła na podłogę w kuchni. Plując piachem, dotknęła oka, by sprawdzić, w jakim jest stanie, a potem nasłuchiwała odgłosu motorówki Chase'a.

Zauważyła, że miał na sobie wisiorek. Wciąż go nosi. Jak to możliwe?

„Jesteś moja", powiedział. Musi być wściekły, że go skopała, i spróbuje ją dopaść. Albo teraz, za dnia, albo odczeka do wieczora.

Nie może nikomu o tym powiedzieć. Skoczek będzie się upierał, żeby powiadomić szeryfa, ale przecież stróż prawa prędzej uwierzy Chase'owi niż Dziewczynie z Bagien. Nie miała pewności, co widzieli ci dwaj wędkarze, ale wiedziała, że nie staną w jej obronie. Powiedzą, że sama się o to prosiła, bo nim

Chase ją rzucił, wszyscy wiedzieli, że latami się z nim prowadzała. „Gziła się z nim”.

Wiatr znad oceanu zawodził wśród drzew i Kya martwiła się, że nie usłyszy nadpływającej motorówki. Obolała spakowała do plecaka bułeczki, ser i orzechy i kuląc się przed wściekłym wiatrem, podążyła przez wysokie trawy i rozlewiska do swojej „czytelni”. Szła tam czterdzieści pięć minut. Przy każdym dźwięku jej zesztywniałe i pokaleczone ciało tężało, co rusz zerkała na boki, w napięciu wypatrując zagrożenia w zaroślach. I wreszcie ujrzała przed sobą starą chatę z bali, obrośniętą trawą i lgnącą do brzegu strumienia. Tu wiatr nieco przycichł. Polanę wypełniał spokój. Kya nigdy nie wspomniała Chase’owi o swojej kryjówce, ale być może o niej wiedział – nie była pewna.

Po szczurzej woni nie został ślad. Po tym jak Tate zatrudnił się w laboratorium, razem z ojcem wyremontował chatę, gdyż planował zatrzymywać się w niej podczas swoich wypraw. Przetarli ściany, naprawili dach i wstawili proste meble – małe, nakryte kapą łóżko, piecyk, stół i krzesło. Na belkach wisiały patelnie i garnki. Do tego w pomieszczeniu znalazł się pewien zaskakujący element wystroju: przykryty folią mikroskop na składanym stoliku. W starej metalowej skrzyni w kącie leżały zapasy fasolki i sardynek w puszce – nic, co kusiłoby niedźwiedzie.

Kya nie czuła się tu jednak pewnie. Nie dostrzegłaby Chase’a, gdyby się pojawił. Dlatego przysiadła nad brzegiem strumienia, lustrując prawym okiem trawiaste moczary. Lewe było całe spuchnięte.

W dole strumienia stadko pięciu łań skubało liście przy brzegu i kompletnie nie zwracało na nią uwagi. Gdyby tylko mogła do nich dołączyć! Kya wiedziała, że bez jednej łani stado wciąż czułoby się kompletne, za to pojedynczej samicy bez

stada czegoś by brakowało. Nagle jedna z nich uniosła głowę i wpatrywała się w las swymi ciemnymi oczami, tupiąc a to jedną, a to drugą nogą. Inne spojrzały w tamtą stronę i wyraźnie się zaniepokoiły. Kya również łypnęła okiem, szukając oznak obecności Chase'a lub innego drapieżcy, ale wokół panowała cisza. Może spłoszył je wiatr. Przestały tupać, ale ruszyły z wolna w wysoką trawę. Kya znów została sama.

Ponownie wypatrywała na polanie intruzów, ale kosztowało ją to tyle sił, że postanowiła wrócić do chaty. Sięgnęła do plecaka po lekko zawilgły ser, osunęła się na podłogę i jadła, dotykając obolałego policzka. Jej twarz, ramiona i nogi były pokaleczone, pokryte kurzem i krwią. Podrapane i posiniaczone kolana swędziały. Szlochała, próbując pokonać wstyd. W końcu wypluła zaślinione kawałki sera na podłogę.

Sama jest sobie winna. Spotykała się z nim sam na sam. Ulegając naturalnym popędom, wylądowała z nim w tanim motelu, ale pozostała niezaspokojona. Seks przy świetle migającego neonu, krwawe smugi na prześcieradle niczym zwierzęcy trop.

Chase pewnie się tym przechwalał. Nic dziwnego, że wszyscy trzymali się od niej z daleka – była niegodna uwagi, obrzydliwa.

Gdy wśród przemykających chmur na niebie pojawił się półksiężyc, Kya patrzyła w niewielkie okno, pewna, że ujrzy przygarbioną sylwetkę skradającego się mężczyzny. Po jakimś czasie wpełzła do łóżka Tate'a i wciąż nasłuchując odgłosu kroków, wtuliła twarz w miękką narzutę i zapadła w niespokojny sen.

*

Ten sam stary ser na śniadanie. Twarz Kyi była teraz zielonkawo-fioletowa, oko napuchło jak ugotowane na twardo

jajko, szyja znieruchomiała, a górna warga groteskowo się wykrzywiła. Kya wyglądała jak kiedyś jej mama – tak potwornie, że aż bała się pokazać dzieciom. W przebłysku świadomości pojęła, przez co musiała przechodzić i dlaczego odeszła.

– Mamo… – szepnęła. – Wreszcie rozumiem, dlaczego zniknęłaś i nie wróciłaś. Żałuję, że tego nie wiedziałam i nie umiałam ci pomóc. – Spuściła głowę i się rozpłakała. Potem energicznie wyprostowała plecy i powiedziała: – Nigdy nie będę tak żyć, nie będę drżała o to, gdzie i kiedy padnie kolejny cios.

Po południu wróciła do domu. Była głodna i musiała zrobić zakupy, ale nie popłynęła do Skoczka, bo mogła spotkać tam Chase'a. Poza tym nie chciała, żeby ktoś – zwłaszcza Skoczek – zobaczył jej zmasakrowaną twarz.

Zjadła czerstwy chleb z wędzoną rybą, przysiadła na materacu na ganku i wyjrzała przez moskitierę. Od razu zauważyła samiczkę modliszki skradającą się po gałęzi. Sprawnymi odnóżami chwytała ćmy i je pożerała, a skrzydełka częściowo wystawały z jej otworu gębowego. Samiec, napuszony jak paw z dumnie uniesioną głową, próbował ją do siebie przywabić. Udawała zainteresowaną, prężyła swoje czułki jak różdżki. Złapał ją mocno lub czule – Kyi trudno było to stwierdzić – lecz gdy gmerał w niej swoim przyrodzeniem, żeby ją zapłodnić, nagle obróciła długą, zgrabną szyję i odgryzła mu głowę. Był tak pochłonięty kopulacją, że nawet tego nie zauważył. Wymachiwał okaleczoną szyją i robił swoje, gdy samiczka zjadała jego krtań. Potem zabrała się do skrzydełek, aż w końcu z jej gardła wystawał już tylko fragment jego ostatniej kończyny. Tymczasem dół jego pozbawionego serca i głowy korpusu wciąż wykonywał rytmiczne ruchy.

Samice świetlików przyciągają samców obcych gatunków, wysyłając fałszywe sygnały, po czym ich zjadają, a modliszki

pożerają własnych partnerów. Samice owadów wiedzą, jak sobie radzić z kochankami, pomyślała Kya.

Po kilku dniach wypłynęła łodzią na mokradła, w miejsca, których Chase na pewno nie znał, lecz wciąż była niespokojna i czujna, co utrudniało jej malowanie. Jej oko nadal wyglądało jak zapuchnięta szparka, a połowę twarzy pokrywały sińce, których kolor przyprawiał ją o mdłości. W dodatku w wielu częściach ciała nadal odczuwała pulsujący ból. Gdy tylko zapiszczała wiewiórka, natychmiast obracała głowę i wsłuchiwała się w nawoływania wron, gdyż był to język, który zrodził się, nim powstały słowa, w czasach, kiedy komunikacja była dużo prostsza i jednoznaczna. Teraz dokądkolwiek Kya się udawała, zawsze obmyślała plan ucieczki.

42.

Cela

1970

Mętne strużki światła sączyły się przez maleńkie okienko celi. Kya wpatrywała się w tańczące w ciszy drobinki kurzu zmierzające w jedną stronę, jakby podążały za jakimś rozmarzonym przywódcą. Dotarłszy do cienia, znikały. Bez słońca były niczym.

Przestawiła służącą jej za stół drewnianą skrzynkę pod okno, znajdujące się dwa metry nad podłogą. Ubrana w szary drelich z nadrukowanym na plecach napisem ARESZTANT stanęła na skrzyni i spojrzała na ledwie widoczny przez grubą szybę i kraty ocean. Nad chlupoczącymi, tworzącymi białe grzywy falami przelatywały pelikany, wypatrując ryb. Gdy Kya wyciągnęła szyję w prawo, widziała skrawek gęstych, porastających mokradła koron drzew. Wczoraj dostrzegła, jak orzeł nurkuje za zdobyczą.

Areszt mieścił się w betonowym parterowym pawilonie, wzniesionym na tyłach siedziby biura szeryfa na skraju miasteczka. Składał się z sześciu cel o powierzchni cztery metry

na cztery, które ciągnęły się tylko po jednej stronie korytarza, przez co aresztanci nie mogli się nawzajem widzieć. Trzy obłażące wilgocią ściany celi zbudowano z cementowych bloczków, czwartą stanowiła krata z drzwiami. W pomieszczeniu stało drewniane łóżko z wygniecionym bawełnianym materacem, wypełnioną ptasim puchem poduszką, pościelą i szarym wełnianym kocem. Była tam też umywalka, drewniana skrzynia i toaleta. Nad umywalką nie wisiało lustro, lecz wizerunek Jezusa, podarowany przez stowarzyszenie baptystek. Jedynym ustępstwem na rzecz Kyi – pierwszej od lat osadzonej tu kobiety, nie licząc zatrzymanych doraźnie na jedną noc – była szara foliowa zasłona zaciągana wokół umywalki i toalety.

Trzymano ją tu przez dwa miesiące do rozpoczęcia procesu bez możliwości wyjścia za kaucją, gdyż podjęła próbę ucieczki łodzią przed organami ścigania. Zastanawiała się, kto postanowił zastąpić słowo „klatka” określeniem „cela”. Widocznie nastał moment w dziejach, gdy ludzkość domagała się takiej zmiany. Ramiona Kyi pokrywała siatka czerwonych drobnych blizn po zadrapaniach. Zdarzało się też, że godzinami siedziała na łóżku, wpatrywała się w kosmyki swoich włosów i czyściła je niczym pióra. Była jak mewa.

Stojąc na skrzyni i wyciągając szyję w stronę mokradeł, przypomniała sobie wiersz Amandy Hamilton:

RANNA MEWA Z BRANDON BEACH

Skrzydlata duszo, tańczyłaś na niebie
Zaskakiwałaś świt swoim krzykiem.
Ścigałaś żagle na pełnym morzu
Aż wiatr przywiódł cię do mnie.

Skrzydło złamane ciągnęłaś po ziemi
Zostawiłaś swój ślad na piasku.
Gdy pióro złamane, nie możesz latać,
Lecz kto decyduje, że czas umrzeć?

...
Odeszłaś, dokąd, nie wiem,
Ale twoje ślady wciąż tu są.
Złamane serce nie może latać,
Lecz kto decyduje, że czas umrzeć?

Co prawda, osadzeni nie mogli się widzieć, ale dwaj pozostali aresztanci – mężczyźni w celach na drugim końcu korytarza – przez większość dnia wciąż trajkotali. Odsiadywali wyrok trzydziestu dni więzienia za wszczęcie burdy o to, który z nich potrafi dalej splunąć. Jej efektem było parę złamań kości i zbite lustra w barze Dog-Gone. Zwykle leżeli na łóżkach w sąsiednich celach i wołali do siebie jak wędkarze na rybach. Najczęściej wymieniali się plotkami, które zasłyszeli o Kyi od osób, które ich odwiedzały, zwłaszcza na temat tego, czy zostanie skazana na karę śmierci, co nie zdarzyło się w tym okręgu od dwudziestu lat, a w przypadku kobiety – nigdy.

Kya słyszała każde słowo. Nie przejmowała się uwagami o śmierci; nie przestraszy się gróźb, że odejdzie z tego padołu łez. A jednak myśl, że mogą odebrać jej życie w sposób zaplanowany, była dla niej tak niewyobrażalna, że aż odbierała dech.

Sen najwyraźniej jej unikał – czaił się gdzieś na obrzeżach, a potem pierzchał. Jej świadomość nagle osuwała się w głęboki niebyt, gdzie zaznawała chwili szczęścia, z którego gwałtownie wyrywało ją ciało.

Kya zeszła ze skrzyni i usiadła na łóżku z kolanami podciągniętymi pod brodę. Przyprowadzili ją tu po rozprawie, więc pewnie jest szósta. Minęła ledwie godzina. Może nawet niecała.

46.

Mikroskop

1969

Na początku września, ponad tydzień po napaści Chase’a, Kya spacerowała po plaży. Wiatr próbował wyrwać jej list, który trzymała w dłoni, więc przycisnęła go do piersi. Wydawca zapraszał ją do Greenville. Rozumiał, że Kya rzadko bywa w mieście, ale bardzo chciał ją poznać i obiecał, że pokryje wszelkie koszty.

Dzień był słoneczny i upalny, więc popłynęła motorówką na mokradła. U wylotu niedużego rozlewiska, gdy minęła porośnięte trawą zakole, zobaczyła przykucniętego na szerokiej piaszczystej łasze Tate’a, który pobierał próbki wody do fiolek. Jego służbowa łódź – a właściwie jacht – cumowała przy kłodzie i blokowała przesmyk. Kya zamarła nad sterem. Opuchlizna i siniaki na twarzy nie były już tak bardzo widoczne, ale oko wciąż okalały paskudne zielonkawo-fioletowe przebarwienia. Ogarnęła ją panika. Tate nie może zobaczyć jej w takim stanie! Postanowiła jak najszybciej zawrócić.

Tymczasem Tate już ją dostrzegł i machał do niej.

– Zaczekaj! Chcę ci pokazać mój nowy mikroskop!

Efekt był podobny jak w przypadku pani Culpepper, kiedy ta napomknęła o placku z kurczakiem.

– No, chodź. Nie uwierzysz w to powiększenie. Widać nawet nibynóżki ameb!

Kya nigdy nie widziała ameby, a już na pewno nie części jej ciała. Poza tym widok Tate'a przywrócił jej spokój. Z myślą, że ukryje przed nim pokrytą sińcami część twarzy, zaryła łódką w piasek i brodząc w płytkiej wodzie, ruszyła w jego stronę. Miała na sobie dżinsy z obciętymi nogawkami i biały podkoszulek, rozpuszczone włosy spływały na ramiona. Stojąc przy drabince na rufie, Tate wyciągnął do niej dłoń. Uścisnęła ją, odwróciwszy głowę.

Bladobeżowy jacht wtapiał się w kolory mokradeł. Kya jeszcze nigdy nie widziała takiego eleganckiego tekowego pokładu i mosiężnego drążka steru.

– Chodź na dół – zachęcił ją Tate, schodząc do kabiny. Omiotła wzrokiem mostek, niewielką kuchnię wyposażoną lepiej niż jej własna i część dzienną przerobioną na laboratorium z mikroskopami i regałami na fiolki. Wszystko tu pomrukiwało i lśniło.

Tate wyregulował największy z mikroskopów i podłożył szkiełko.

– Moment. – Spuścił na szkło kropelkę wody z mokradeł, przykrył je drugą płytką i ustawił ostrość. – Spójrz.

Pochyliła się z czułością, jakby miała pocałować niemowlę. Światło mikroskopu odbijało się w jej ciemnych tęczówkach. Wciągnęła powietrze na widok korowodu strojnych tancerzy, którzy przemykali przed jej oczami, kręcąc piruety. Oszałamiające pióropusze zdobiły ich zdumiewające ciała, które tak łaknęły życia. Dokazywały, jakby były w cyrku, a nie w kropelce wody.

Kya przyłożyła dłoń do serca.

– Nie miałam pojęcia, że jest ich aż tyle i że są takie piękne – wyznała zapatrzona.

Tate podał nazwy paru gatunków, odsunął się nieco i patrzył na nią uważnie. Ona czuje puls życia, bo nic nie oddziela jej od ziemi, pomyślał.

Pokazał jej więcej próbek.

– To tak, jakby nigdy nie widzieć gwiazd i nagle je ujrzeć – wyszeptała.

– Napijesz się kawy? – spytał cicho.

Uniosła głowę.

– Nie, dzięki. – Odsunęła się od mikroskopu i trochę niepewnie podeszła do kuchni, zakrywając włosami pokiereszowane oko.

Przywykł już do tego, że bywa spięta, ale nigdy nie zachowywała się tak dziwnie i z taką rezerwą. Wciąż się od niego odwracała.

– Daj spokój, wypij kawę. – Nalał wody do ekspresu, z którego kapały intensywnie brązowe krople.

Stanęła przy drabince prowadzącej na pokład. Podał jej kubek i zachęcił, żeby weszła na górę. Zaproponował, żeby usiadła na wymoszczonej poduszkami ławce, ale stanęła na rufie. Jak kotka, zostawiając sobie drogę ucieczki. Cudownie biała piaszczysta łacha skręcała łagodnym łukiem w cień rzucany przez dęby.

– Kyu… – Chciał zadać jej pytanie, ale gdy na niego spojrzała, dostrzegł zanikający siniak na policzku. – Co ci się stało? – Podszedł i wyciągnął rękę. Odwróciła się.

– Nic. W nocy wpadłam na drzwi.

Wyczuł, że kłamie, bo zasłoniła usta ręką. Ktoś ją uderzył. Czyżby Chase? Wciąż się z nim spotykała, mimo że był żonaty?

Tate zacisnął zęby. Tymczasem odstawiła kubek, jakby chciała już iść.

Poskromił nerwy.

– Piszesz nową książkę?

– Już prawie skończyłam tę o grzybach. Pod koniec października mój wydawca przyjeżdża do Greenville i chce się ze mną spotkać, ale sama nie wiem.

– Pojedź, koniecznie. Warto, żebyś go poznała. Codziennie dojeżdża tam autobus z Barkley, wieczorne też kursują. To niedaleko. Godzina dwadzieścia minut i jesteś na miejscu.

– Nie wiem, gdzie kupić bilet.

– Kierowca wszystko ci powie. Musisz tylko przyjść na przystanek przy Main Street. Wydaje mi się, że Skoczek wywiesił w swoim sklepiku rozkład. – Mało brakowało, by wspomniał, że wiele razy jeździł tym autobusem z Chapel Hill; pomyślał jednak, że lepiej nie przypominać jej o tym, jak czekała na niego w lipcu na plaży.

Chwilę milczeli, popijali kawę i słuchali pokrzykiwań pary jastrzębi szybujących pod wypiętrzoną chmurą.

Tate nie spytał, czy Kya ma jeszcze ochotę na kawę, bo czuł, że jeśli to zrobi, przyśpieszy jej powrót do chaty. Zamiast tego zadał jej pytanie o książkę o grzybach i opowiadał o pierwotniakach. Każda skuteczna przynęta była dobra.

Popołudniowy skwar zelżał, powiał chłodny wiatr. Ponownie odstawiając kubek, Kya powiedziała:

– Muszę już iść.

– Chciałem otworzyć butelkę wina. Miałabyś ochotę?

– Nie, dzięki.

– Zaczekaj chwilkę. – Na krótko zniknął w kambuzie, po czym wyłonił się z resztkami chleba i bułeczek. – Pozdrów ode mnie mewy.

– Dziękuję – odparła i zeszła po drabince.

Gdy zmierzała do swojej łódki, zawołał za nią:

– Robi się chłodno. Może dać ci kurtkę?

– Nie, poradzę sobie.

– Weź chociaż to. – Rzucił jej czerwoną czapkę narciarską, ale mu ją odrzuciła. Rzucił jeszcze raz, tym razem dalej. Podbiegła, wychyliła się i ją złapała. Ze śmiechem wskoczyła do łódki, uruchomiła silnik i przepływając obok, znów odrzuciła czapkę na pokład jachtu. Uśmiechnął się, a ona zachichotała. W jednej chwili przestali się śmiać i tylko na siebie patrzyli, rzucając czapką, póki Kya nie zniknęła za kępą trzcin.

– Nie – powiedziała do siebie. – Drugi raz się w nim nie zakocham. Nie pozwolę, żeby znów mnie skrzywdził.

Tymczasem Tate pozostał na rufie i zacisnął pięści, kiedy myślał o tym, że ktoś uderzył jego przyjaciółkę.

Kya skierowała się na południe, płynąc blisko brzegu. Wiedziała, że po drodze minie swoją plażę, nim dotrze do przesmyku wiodącego do chaty. Zwykle tam nie przystawała, tylko wprowadzała łódkę do laguny przez labirynt rozlewisk, a potem wracała pieszo nad ocean.

Teraz jednak mewy od razu ją wypatrzyły i podfrunęły do łódki. Rudzielec przysiadł na dziobie i zaczął kręcić łepkiem. Roześmiała się.

– Dobra, wygrałyście. – Pokonując fale, zaryła dziobem w piasku za kępą wysokich traw, stanęła na plaży i rzucała ptakom okruchy pieczywa, które dał jej Tate.

Słońce ścieliło się na wodzie różem i złotem. Kya przysiadła wśród mew na piasku. Nagle usłyszała warkot motorówki i zobaczyła Chase’a mknącego w stronę przesmyku. Nie mógł zauważyć ukrytej wśród trawy łódki, ale ją jak najbardziej. Położyła się plackiem na piasku, obracając głowę na bok tak, by móc go widzieć. Z rozwianymi włosami i wykrzywioną twarzą

stał przy rumplu. Na szczęście nie spojrzał w tę stronę, tylko od razu wpłynął w przesmyk prowadzący do chaty.

Gdy zniknął jej z oczu, przysiadła. Gdyby się nie zatrzymała, żeby nakarmić mewy, dopadłby ją w domu. Tata nieraz jej powtarzał: „Tacy ludzie zawsze muszą zadać ostatni cios". Zostawiła go sponiewieranego na piachu. Ci dwaj wędkarze pewnie widzieli, jak mu przylała. Jak ująłby to tata, trzeba było dać jej nauczkę.

Nie miała wątpliwości: gdy tylko się przekona, że nie ma jej w chacie, przyjdzie na plażę. Podbiegła więc do łódki, odpaliła silnik i zawróciła do Tate'a. Nie chciała mu jednak mówić, jak potraktował ją Chase – wstyd wziął górę nad rozsądkiem. Zwolniła i dryfowała na falach. Słońce już schowało się za horyzontem. Musiała się ukryć i przeczekać, aż Chase się oddali. Póki nie zobaczy jego łódki, nie będzie miała pewności, czy może wrócić do domu.

Skręciła w przesmyk, przerażona, że mężczyzna w każdej chwili może przypłynąć z naprzeciwka. Maksymalnie obniżyła obroty, żeby w razie czego usłyszeć warkot silnika jego łodzi, i wpłynęła w skryte pośród drzew i zarośli rozlewisko. Rozgarniając zwisające gałęzie, skryła się wśród liści. Zapadający zmierzch był jej sprzymierzeńcem.

Zdyszana nasłuchiwała. W końcu usłyszała warkot silnika, niosący się w łagodnym wieczornym powietrzu. Skuliła się jeszcze bardziej w obawie, że ją zauważy. Był już tuż-tuż, aż wreszcie ją minął. Przesiedziała tam prawie pół godziny, póki nie zrobiło się całkiem ciemno, i pod rozgwieżdżonym niebem popłynęła do domu.

Zaciągnęła materac na plażę i usiadła wśród mew. Nie zwracały na nią uwagi; czyściły sobie pióra, a potem niczym pierzaste kamienie zastygały na piasku. Z cichym gruchaniem chowały łepki pod skrzydła i zapadały w sen, nie przejmując się

leżącą tuż obok Kyą. Lecz nawet ich kojąca obecność i szelest piór nie sprawiły, że zasnęła. Przewracała się z boku na bok i przysiadała na materacu za każdym razem, gdy noc mamiła ją dźwiękiem przypominającym kroki.

O świcie obudziły ją ryk fal i smagający policzki porywisty wiatr. Usiadła wśród mew, które przechadzały się, rozpościerając skrzydła i drapiąc pazurami piasek. Rudzielec przekrzywił łepek i sprawiał wrażenie, jakby znalazł pod swoim skrzydłem coś wyjątkowo ciekawego. W normalnych okolicznościach, widząc to, Kya wybuchnęłaby śmiechem, lecz teraz nawet mewy nie poprawiły jej humoru.

Stanęła nad wodą. Chase nie odpuści. Życie w samotności to jedno, ale życie w strachu to coś całkiem innego.

Kya wyobraziła sobie, jak wchodzi do spienionej wody i zanurza się w spokojną głębię. Kosmyki jej włosów na tafli niczym plama farby na bladym błękicie oceanu, długie palce i ręce unoszące się ku jego rozświetlonej powierzchni. Marzenia o ucieczce – nawet poprzez śmierć – zawsze sięgają ku światłu. Spokój: połyskliwa, nieosiągalna nagroda. Ciało opada na dno i mości się w nieprzeniknionej ciszy. Wreszcie bezpieczne.

Lecz kto decyduje, że czas umrzeć?

44.

Współwięzień

1970

Kya stanęła pośrodku celi. Zatem jest w areszcie. Gdyby ci, których kochała, w tym Jodie i Tate, jej nie zostawili, nie trafiłaby tutaj. Wsparcie innych pozwala zachować równowagę.

Zanim ją aresztowali, dostrzegła możliwość powrotu do Tate'a, coś jakby uchyloną furtkę. Miłość błąkała się tuż pod powierzchnią. Kiedy jednak kilka razy odwiedził ją w areszcie, nie chciała się z nim spotkać. Właściwie nie wiedziała, dlaczego to miejsce sprawiło, że jeszcze szczelniej zamknęła przed nim serce. Dlaczego odrzuciła pocieszenie, które mógł jej dać? Najwyraźniej, czując się tu jeszcze bardziej zagrożona, miała mniej powodów, by komuś zaufać. Znalazłszy się na najniebezpieczniejszym życiowym zakręcie, szukała ukojenia tam, gdzie zawsze je znajdowała – w sobie.

Fakt, że trafiła za kratki bez możliwości wpłacenia kaucji, uzmysłowił jej, jak bardzo jest samotna. Uwaga szeryfa, że zgodnie z prawem może do kogoś zadzwonić, przypomniała jej, że nie ma do kogo. Znała tylko jeden numer, do Jodiego, ale jak

tu zadzwonić do brata i oznajmić mu, że trafiła do aresztu pod zarzutem zabójstwa? Jak po tylu latach mogła zawracać mu głowę swoimi problemami? Być może wstyd też odgrywał tu swoją rolę.

Porzucili ją; musiała przetrwać i bronić się sama. No i jest sama, w areszcie.

Któryś raz wzięła do ręki cudowny album z muszlami, podarunek od Toma – teraz jej najcenniejszy skarb. Na podłodze leżały książki, które – jak wyjaśnił strażnik – przyniósł dla niej Tate, ale nie potrafiła skupić się na słowach. Zdania wędrowały w różnych kierunkach i zataczając kręgi, wracały do punktu zero. Muszle łatwiej było ogarnąć.

Na wyłożonej tanią terakotą podłodze rozbrzmiał odgłos kroków i przy drzwiach celi stanął Jacob, drobny ciemnoskóry strażnik. Trzymał w rękach dużą, zapakowaną w szary papier paczkę.

– Nie chcę przeszkadzać, ale ma pani gościa. Proszę pójść ze mną.

– Kto to?

– Pani adwokat, mecenas Milton. – Metal zadźwięczał o metal, gdy Jacob otwierał drzwi celi. – A to od Skoczka – dodał, wręczając przesyłkę.

Kya położyła ją na łóżku i ruszyła za strażnikiem korytarzem do pokoju jeszcze mniejszego niż jej cela. Na jej widok Tom wstał z krzesła. Skinęła do niego i wyjrzała przez okno, za którym potężny cumulus nadymał policzki w kolorze brzoskwini.

– Dobry wieczór, Kyu.

– Mecenasie.

– Mów mi po imieniu. Co ci się stało w rękę? Skaleczyłaś się?

Wzruszyła ramionami, zakrywając blizny po zadrapaniach.

– Pewnie pocięły mnie komary.

– Pomówię z szeryfem. Nie powinno ich być w… twoim pokoju.

Kya spuściła głowę.

– Proszę, nie mów mu. Owady to dla mnie żaden problem.

– Jasne. Nie zrobię niczego wbrew twojej woli. Chciałbym omówić z tobą wszystkie możliwe opcje.

– „Opcje”?

– Już ci wyjaśniam. Trudno w tej chwili przewidzieć, ku czemu skłaniają się przysięgli. Prokurator ma mocne argumenty, choć oczywiście to tylko poszlaki. Zważywszy jednak na uprzedzenia mieszkańców miasteczka, musisz mieć świadomość, że nie będzie nam łatwo wygrać. Dlatego możesz przyznać się do winy w zamian za ugodę. Wiesz, o czym mówię?

– Nie bardzo.

– Nie przyznałaś się do zabójstwa z premedytacją. Jeśli przegramy, utoniesz. Dadzą ci dożywocie lub, jak słyszałaś, nawet karę śmierci. Ale możesz się przyznać do popełnienia lżejszego przestępstwa, powiedzmy, nieumyślnego spowodowania śmierci. Jeśli powiesz: „Tak, byłam tamtej nocy na wieży, spotkałam Chase’a, pokłóciliśmy się i doszło do koszmarnego wypadku: Chase zrobił krok w tył i spadł”, proces się zakończy, nie będziesz musiała przechodzić przez to piekło i moglibyśmy negocjować wyrok z prokuraturą. Z uwagi na to, że nie byłaś dotąd karana, sąd pewnie skazałby cię na dziesięć lat, a wyszłabyś po jakichś sześciu. To niezbyt miła perspektywa, ale lepsza niż dożywocie albo to drugie.

– W żadnym razie nie przyznam się do winy. I nie pójdę do więzienia.

– Rozumiem, ale lepiej jeszcze przemyśl wszystko. Przecież nie chcesz spędzić reszty życia za kratkami, a tym bardziej… no wiesz.

Znów spojrzała przez okno.

– Nie muszę się zastanawiać. Nie zostanę w więzieniu.

– Nie musisz decydować od razu. Mamy jeszcze czas. Zobaczymy, jak się to rozwinie. Chcesz jeszcze o czymś ze mną porozmawiać zanim wyjdę?

– Błagam, wyciągnij mnie stąd. W jedną albo… w drugą.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Nie poddawaj się. Tylko mi pomóż. Już ci mówiłem, zaangażuj się, zerkaj od czasu do czasu na przysięgłych…

Ale Kya już zbierała się do wyjścia.

*

Jacob odprowadził ją do celi. Wzięła do ręki paczkę od Skoczka, rozpakowaną wcześniej przez strażnika i niedbale oklejoną taśmą. Starannie złożyła papier, w który była owinięta. W środku znalazła koszyk z małymi tubkami farby, pędzlem, blokiem rysunkowym i torbą z muffinkami od Mabel na ściółce z sosnowych igieł, liści dębu, muszelek i długich źdźbeł trawy. Głęboko zaczerpnęła powietrza i przygryzła wargi. Skoczek. Mabel.

Słońce już zaszło – nie powiedzie wzrokiem za drobinkami kurzu.

Po kolacji Jacob przyszedł po tacę.

– Widzę, że mało pani zjadła. Te wieprzowe kotlety i warzywa nie są złe, takie jak w mieście.

Uśmiechnęła się blado, a potem słuchała cichnących w głębi korytarza kroków. Czekała, aż z głuchą nieodwracalnością Jacob zatrzaśnie ciężkie metalowe drzwi.

Nagle coś poruszyło się na podłodze tuż przed jej celą. Spojrzała tam. Niedzielny Sędzia wpatrywał się w jej ciemne oczy swoimi zielonymi ślepiami.

Serce Kyi zabiło gwałtownie. W zamknięciu przez tyle tygodni – i teraz to stworzenie mogło przemknąć tu przez kratę jak jaszczurka! Żeby z nią być. Niedzielny Sędzia odwrócił wzrok i zerknął w głąb korytarza, tam, gdzie gawędziła dwójka osadzonych. Kya bała się, że ją zostawi i pójdzie do tamtych, kot jednak znów na nią spojrzał, mrugnął znudzony i z łatwością prześlizgnął się między prętami. Do niej.

Kya odetchnęła i szepnęła:

– Proszę cię, zostań.

Niedzielny Sędzia nieśpiesznie obwąchał celę, skupiając uwagę na zawilgłych betonowych ścianach, odkrytych rurach i umywalce, ją zaś całkowicie zignorował. Za najciekawszy obiekt uznał małą szparkę. Kya domyśliła się tego, gdyż zdradził go nerwowo drgający ogon. Kot zakończył obchód przy jej łóżku i tak po prostu, ni z tego, ni z owego, wskoczył i zaczął układać się Kyi na kolanach, stąpając grubymi, białymi łapami po jej udach. Lekko uniosła ręce i zastygła, żeby nie przeszkodzić mu w tych manewrach. W końcu umościł się, jakby robił to co wieczór od urodzenia, i spojrzał na nią. Delikatnie pogłaskała go po głowie i poskrobała za uchem. Głośno zamruczał. Ta natychmiastowa akceptacja sprawiła, że Kya aż zamknęła oczy. Wreszcie ktoś koi jej tęsknoty.

Bojąc się poruszyć, siedziała tam tak długo, że aż ścierpła jej noga. W końcu delikatnie zmieniła pozycję, żeby ulżyć mięśniom. Niedzielny Sędzia, nawet nie otworzywszy oczu, zsunął się z jej podołka i położył obok. Nie zdejmując ubrania, też się położyła i go przytuliła. Przypatrywała się kotu, jak śpi, po czym sama zasnęła. Nie przypominało to skoku w otchłań, lecz powolne dryfowanie w upragnioną ciszę.

Obudziła się w nocy i patrzyła, jak Niedzielny Sędzia leży na plecach, wyciągnąwszy przednie i tyle łapy. Gdy przebudziła się

o świcie, już go nie było. Próbowała powstrzymać jęk zawodu, lecz na próżno.

Potem zjawił się Jacob z tacą ze śniadaniem. Wolną ręką otworzył drzwi celi.

– Owsianka dla pani Clark.

Wzięła od niego tacę.

– Jacob, ten czarno-biały kot, który wyleguje się w sali rozpraw, przyszedł tu w nocy.

– Najmocniej przepraszam! To Niedzielny Sędzia. Bywa, że wślizguje się tu za mną, kiedy nie patrzę, bo niosę jedzenie. Z tego wszystkiego zamykam za nim drzwi i zostaje.

Miło, że nie powiedział „zamykam za wami".

– Nie szkodzi. Ucieszyłam się, że przyszedł. Możesz go tu wpuszczać po kolacji? Albo o każdej porze.

Spojrzał na nią swoimi łagodnymi oczami.

– A jakże! Pewnie, że tak. Wiem, że fajny z niego kompan.

– Dzięki.

Wieczorem Jacob wrócił z kolacją.

– Przyniosłem jedzenie. Smażony kurczak i tłuczone ziemniaki z sosem, prosto z baru. Mam nadzieję, że dziś coś pani zje.

Kya wstała, rozejrzała się wokół i wzięła od niego tacę.

– Dzięki, Jacob. Nie widziałeś kota?

– Nie, ale będę się rozglądał.

Skinęła głową, usiadła na łóżku i wbiła wzrok w talerz. Pogmerała widelcem w kurczaku i fasolce. W areszcie jadała lepsze rzeczy niż na wolności, lecz na widok jedzenia jej żołądek tracił rezon.

Nagle dobiegł ją szczęk klucza w zamku i odgłos otwieranych metalowych drzwi. Usłyszała słowa Jacoba:

– Proszę bardzo, panie Niedzielny Sędzio.

Kya wstrzymała oddech i wbiła wzrok w podłogę przed celą. Po paru sekundach zjawił się tam Niedzielny Sędzia. Jego umaszczenie było jednocześnie zaskakująco proste i delikatne. Tym razem bez wahania podszedł wprost do Kyi. Postawiła przed nim talerz. Zjadł kurczaka, ściągnąwszy go najpierw na podłogę, a potem wychłeptał sos. Fasolkę sobie darował. Kya przyglądała się temu z rozbawieniem, a potem wytarła podłogę chusteczką.

Kot wskoczył na łóżko i znów pogrążyli się razem w słodkim śnie.

*

Nazajutrz przed celą znów zjawił się Jacob.

– Ma pani gościa.

– Kogo?

– To pan Tate. Był tu już kilka razy. Zawsze coś przynosi i pyta o panią. Znów go pani odprawi? Dziś sobota, dzień bez rozpraw, do wieczora nic do roboty.

– No, dobrze.

Jacob zaprowadził ją do tego samego brudnego pokoiku, w którym spotkała się z Tomem. Kiedy tam weszła, Tate poderwał się z krzesła. Uśmiechał się, ale widać było po oczach, że smucą go odwiedziny w takim miejscu.

– Dobrze wyglądasz. Martwiłem się. Dzięki, że zechciałaś się ze mną spotkać.

Usiedli naprzeciwko siebie. Jacob stanął w kącie i z uwagą czytał gazetę.

– Cześć, Tate. Dzięki za książki. – Na zewnątrz opanowana, czuła, jak pęka jej serce.

– Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić?

– Może nakarmisz mewy, gdybyś był w okolicy?

– Już karmię. – Uśmiechnął się. – Zwykle co drugi dzień. – Dorzucił jakby od niechcenia, choć jeździł tam codziennie albo płynął łódką o świcie i o zmierzchu.

– Dziękuję.

– Byłem na rozprawie. Siedziałem tuż za tobą. Nie obejrzałaś się ani razu, więc nie wiedziałem, czy wiesz. Będę przychodził codziennie.

Spojrzała przez okno.

– Tom Milton to świetny adwokat, może najlepszy w tym zakątku stanu. Wyciągnie cię z tego. A ty się trzymaj.

Milczała. Tate dodał:

– Bo kiedy już stąd wyjdziesz, znów będziemy wyprawiać się na laguny, jak za dawnych lat.

– Tate, musisz o mnie zapomnieć.

– Nigdy nie zapomniałem i nie zapomnę.

– Wiesz, że jestem inna. Nie pasuję do ludzi i do twojego świata. Proszę cię, zrozum. Boję się ponownie do kogokolwiek zbliżyć. Nie umiem.

– Nie dziwię ci się, ale…

– Tate, posłuchaj. Przez lata tęskniłam za ludźmi. Wierzyłam, że wreszcie ktoś przy mnie wytrwa, że będę miała przyjaciół i rodzinę. Ale nikt nie wytrwał, ani ty, ani nikt z moich krewnych. Teraz już wiem, jak sobie z tym radzić i jak się bronić. Nie chcę już o tym rozmawiać. Jestem ci wdzięczna, że mnie odwiedziłeś. Może kiedyś będziemy się jeszcze przyjaźnić, ale teraz nie jestem w stanie o tym myśleć. Nie tutaj.

– Jasne, rozumiem. – A po chwili dodał: – Wielkie rogacze już ryczą.

Skinęła głową, niemal z uśmiechem.

– Byłem wczoraj u ciebie. Nie uwierzysz. Jakiś krogulec przysiadł na schodach ganku.

Wreszcie pełny uśmiech zagościł na jej twarzy na wzmiankę o Krogulu. Jedno z wielu wspomnień, które należały tylko do niej.

– Wierzę.

Dziesięć minut później Jacob obwieścił koniec widzenia i Tate musiał wyjść. Kya jeszcze raz podziękowała za odwiedziny.

– Będę karmił mewy i przyniosę ci książki.

Potrząsnęła głową i ruszyła za Jacobem.

45.

Czerwona czapka

1970

W poniedziałek rano, nazajutrz po wizycie Tate’a, kiedy strażnik prowadził Kyę do sali rozpraw, tak jak wcześniej, unikała spojrzeń zgromadzonej publiczności, wbijając wzrok w drzewa za oknami. Nagle usłyszała znajomy dźwięk, a może ciche kaszlnięcie, i jednak się obejrzała. W pierwszym rzędzie siedzieli Tate, Skoczek i Mabel w czepku przyozdobionym różami z jedwabiu, w którym chadzała do kościoła. Po sali przebiegł szmer, kiedy usiedli z Tate’em na dole, na miejscach dla białych. Kiedy strażnik doniósł o tym sędziemu, ten kazał mu poinformować, że każdy – bez względu na kolor skóry i wyznanie – może siedzieć w tym sądzie, gdzie zechce, a jeśli komuś się to nie podoba, może wyjść. Ba, wręcz przykazał mu, żeby tego dopilnował!

Na widok Skoczka i Mabel Kya jakby nabrała wigoru i lekko się wyprostowała.

Kolejny świadek oskarżenia, doktor Steward Cone, koroner, miał bardzo krótkie, siwiejące włosy i okulary, które zsuwał na

sam czubek nosa. Nawyk ten sprawiał, że odchylał głowę, by przez nie spoglądać. Gdy odpowiadał na pytania Erica, Kya powędrowała myślami ku mewom. Przez długie miesiące spędzone w areszcie tęskniła za nimi, ale na szczęście Tate wciąż je karmił. Nie czuły się porzucone. Kya pomyślała o Rudzielcu stąpającym między jej stopami, kiedy rzucała im okruchy chleba.

Koroner znów odchylił głowę i poprawił okulary. Jego gest przywołał ją do rzeczywistości.

– Podsumowując, zeznał pan, że Chase Andrews zginął między północą a godziną drugą w nocy z dwudziestego dziewiątego na trzydziestego października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku. Przyczyną zgonu były rozległe obrażenia głowy i kręgosłupa, będące wynikiem wypadnięcia przez otwór w platformie wieży obserwacyjnej i upadku z wysokości ponad dwudziestu metrów. Dodatkowo denat uderzył głową w legar, czego dowodem są znalezione tam ślady krwi oraz włosy. Potwierdza pan to?

– Tak.

– Dlaczego ktoś młody i w dodatku tak inteligentny i sprawny fizycznie jak Chase Andrews miałby nie zauważyć, że krata jest odsunięta? Żeby wyeliminować jedną z ewentualności: czy w krwi zmarłego stwierdzono obecność alkoholu bądź innej substancji, która mogłaby wpłynąć na jego zdolność oceny sytuacji?

– Nie.

– Dowody wskazują, że uderzył w belkę tyłem głowy, a nie czołem. – Eric stanął na wprost przysięgłych i wykonał długi krok. – Kiedy idę, głowę mam lekko wysuniętą w przód. Gdyby przede mną była dziura, ciężar mojego ciała popchnąłby mnie głową do przodu, zgadza się? Czyli gdyby Chase poruszał się w ten sam sposób, uderzyłby w belkę czołem, a nie tyłem głowy.

Zgodzi się pan zatem, doktorze, że dowody wskazują, że Chase cofał się, kiedy wpadł do otworu?

– Tak. Pozwalają wyciągnąć właśnie taki wniosek.

– Możemy więc mniemać, że gdyby Chase stał tyłem do otworu i ktoś go popchnął, spadłby z wieży tyłem, a nie przodem? – Nim Tom zdołał zgłosić sprzeciw, Eric szybko dodał: – Nie wymagam, by definitywnie uznał pan, że Chase został wypchnięty z wieży, kiedy stał tyłem do otworu. Twierdzę tylko, że gdyby ktoś go wypchnął, kiedy stał do niego tyłem, obrażenia byłyby właśnie takie jak te, które odniósł. Zgadza się?

– Tak.

– No, dobrze. A czy podczas oględzin zwłok Chase'a Andrewsa widział pan u niego wisiorek z muszlą?

– Nie.

Próbując przemóc mdłości, Kya skupiła uwagę na Niedzielnym Sędzim, który czyścił na parapecie swoje futerko. Wyciągnąwszy łapę, skręcony niczym precel, lizał podstawę ogona, najwyraźniej całkowicie pochłonięty i uradowany tą czynnością.

Kilka minut później prokurator spytał:

– Czy tamtej nocy, kiedy zginął, Chase Andrews miał na sobie dżinsową kurtkę?

– Tak.

– Czy, jak stwierdza pan w raporcie, znalazł pan na niej wełniane włókna niepochodzące z żadnego z pozostałych elementów jego stroju?

– Tak.

Eric uniósł foliowy woreczek ze strzępkami czerwonej wełny.

– Czy to te czerwone włókna znaleziono na kurtce Chase'a?

– Tak.

Teraz prokurator podniósł ze stołu większy przezroczysty worek i wręczył go świadkowi.

– Czy czerwone wełniane włókna odnalezione na kurtce Chase’a odpowiadają włóknom z tej czapki?

– Badałem obydwie próbki. Włókna z czapki i te z kurtki są identyczne.

– Gdzie znaleziono tę czapkę?

– Szeryf znalazł ją w miejscu zamieszkania pani Clark.

Ten fakt nie był powszechnie znany, dlatego wśród publiczności rozległ się szmer.

– Czy są dowody na to, że ją nosiła?

– Tak. Znalazłem na tej czapce jej włosy.

Przyglądając się Niedzielnemu Sędziemu, Kya uświadomiła sobie, że jej rodzina nigdy nie miała żadnego czworonoga – psa albo kota. Jedynym stworzeniem, które od biedy zasługiwało na to miano, była samica skunksa – gładka, lśniąca i złośliwa – która wykopała sobie norę pod chatą. Mama nazwała ją Chanel.

Kilka razy prawie ich spryskała, ale w końcu zaczęła ich rozpoznawać i stała się dużo grzeczniejsza, demonstrując swój arsenał, tylko gdy dzieci zbytnio brykały. Kręciła się wokół chaty, czasami ledwie parę metrów od schodów ganku.

Każdej wiosny wyruszała z młodymi na wycieczki do lasu i nad wodę. Podążając za nią bezładną gromadką, czarno-białe maluchy wciąż na siebie wpadały i się przewracały.

Ojciec, rzecz jasna, odgrażał się, że ją załatwi, ale Jodie stanął na wysokości zadania i któregoś dnia odpowiedział mu z kamienną twarzą:

– To przylezie druga, a lepszy skunks, którego znasz, niż obcy.

Kya uśmiechnęła się na to wspomnienie, ale natychmiast się zmitygowała.

– Doktorze Cone, w noc, kiedy zginął Chase, w noc, kiedy wypadł tyłem przez otwór w platformie, jakby ktoś go wypchnął, włókna na jego kurtce pochodziły z czerwonej

czapki odnalezionej w miejscu zamieszkania pani Clark. Ponadto na czapce były jej włosy?

– Tak.

– Dziękuję, nie mam więcej pytań.

Tom zerknął na Kyę, która wpatrywała się w niebo. Można było odnieść wrażenie, jakby sala dosłownie przechylała się w stronę Erica, a obojętna i zimna jak lód mina Kyi tylko to potęgowała. Tom odgarnął z czoła swoje siwe włosy i podszedł do koronera.

– Dzień dobry, doktorze.

– Dzień dobry.

– Zeznał pan, że obrażenia głowy Chase'a świadczą, iż wypadł on przez otwór tyłem. Zatem gdyby się cofał i wypadł przezeń przypadkowo, byłyby one identyczne?

– Tak.

– Czy denat miał jakieś zasinienia na piersi bądź na rękach, które świadczą o tym, że został zepchnięty?

– Nie. Oczywiście miał rozległe zasinienia na całym ciele będące wynikiem upadku, głównie na plecach i na nogach, lecz żadne z obrażeń nie wskazuje na to, że został popchnięty.

– Czyli nie ma żadnych dowodów na to, że ktoś go popchnął?

– Istotnie, nie mam wiedzy o żadnych dowodach, które by to potwierdzały.

– Zatem nie istnieją żadne medyczne podstawy na to, iż było to zabójstwo, a nie nieszczęśliwy wypadek?

– Nie istnieją.

Tom odczekał, aż przysięgli pojmą znaczenie tych słów, po czym kontynuował:

– Teraz porozmawiajmy o tych czerwonych wełnianych włóknach z kurtki Chase'a. Czy da się ustalić, od kiedy na niej były?

– Nie. Mogę tylko określić skąd pochodzą.

– Innymi słowy, mogły być na tej kurtce od roku albo od czterech lat?

– Zgadza się.

– Nawet jeśli była prana?

– Tak.

– Czyli nie ma dowodów na to, że przyczepiły się do kurtki tamtej nocy, gdy zginął Chase?

– Nie ma.

– Z jednego z zeznań wynika, że oskarżona poznała Chase’a Andrewsa cztery lata przed jego śmiercią. Zatem jeśli w tym czasie spotkali się choć raz ubrani w te części garderoby, włókna mogły wtedy trafić z czapki na kurtkę?

– Z tego, co wiem, tak.

– Czyli obecność tych czerwonych włókien nie stanowi dowodu, że pani Clark widziała się z Chase’em w tę noc, kiedy zginął. Czy w ogóle są jakieś materiały dowodzące, że pani Clark przebywała wtedy w pobliżu Chase’a Andrewsa? Na przykład fragmenty jej naskórka pod jego paznokciami albo jej odciski palców na guzikach czy na zatrzaskach jego kurtki? Lub jej włosy na jego ubraniu bądź na jego ciele?

– Nie.

– Zatem te czerwone włókna mogły trafić na jego kurtkę już cztery lata wcześniej i nie istnieją żadne podstawy, że pani Catherine Clark widziała się z Chase’em Andrewsem tej nocy, kiedy zginął?

– Ja ich nie znalazłem.

– Dziękuję, nie mam więcej pytań.

Sędzia Sims ogłosił przerwę na lunch.

Tom delikatnie ujął łokieć Kyi i szepnął jej, że sprawy mają się dobrze. Skinęła głową. Zgromadzeni w sali zaczęli wstawać i rozprostowywać kości. Niemal wszyscy zostali trochę dłużej,

by popatrzeć, jak strażnik zakłada Kyi kajdanki i ją wyprowadza.

Kiedy Jacob zostawił ją w celi, a jego kroki wybrzmiały echem na końcu korytarza, Kya opadła na łóżko. Tuż po aresztowaniu odebrali jej plecak, ale pozwolili zabrać parę rzeczy, które musiała przepakować do szarej papierowej torby. Teraz wyjęła z niej karteczkę z numerem telefonu i adresem Jodiego. Od samego początku niemal codziennie myślała o tym, żeby do niego zadzwonić i poprosić, aby przyjechał. Na pewno to zrobi, a Jacob powiedział, że ma prawo się z nim skontaktować. A jednak nie zadzwoniła. Jak mogłaby mu powiedzieć: „Błagam, przyjedź, jestem w areszcie, oskarżona o zabójstwo”?

Odłożyła karteczkę do torby i wyjęła z niej kompas z czasów pierwszej wojny światowej, który dostała od Tate’a. Odczekała, aż rozedrgana wskazówka pokaże północ i przycisnęła go do serca. Bo gdzie indziej mógł przydać się bardziej?

Potem wyszeptała fragment wiersza Emily Dickinson:

Wymieść serce
Odłożyć miłość
Już nie będziemy jej używać
Aż do Wieczności.

46.

Król życia

1969

Wrześniowy ocean i niebo połyskiwały bladym błękitem w delikatnych promieniach słońca, gdy Kya płynęła do Skoczka po rozkład jazdy autobusów. Myśl o podróży wśród obcych ludzi do obcego miasta wytrącała ją z równowagi, ale zależało jej, by poznać swojego wydawcę, Roberta Fostera. Już od ponad dwóch lat przesyłali sobie krótkie – a niekiedy też długie – listy, poruszając w nich kwestie redakcyjne dotyczące tekstów oraz ilustracji w książkach Kyi. Korespondencja ta, w której język biologii mieszał się z poetyckimi opisami, przyczyniła się do powstania między nimi więzi odnajdującej swoisty wyraz w słowach. Kya pragnęła poznać osobę, która wiedziała, w jaki sposób światło padające na pióra kolibra załamuje się w mikroskopie i kreuje feerię złocistych czerwieni widoczną w soczewce oraz jak to opisać słowami równie sugestywnymi jak kolory.

Skoczek powitał ją na pomoście i spytał, czy chce zatankować.

– Dzięki, nie tym razem. Muszę spisać rozkład jazdy autobusów. Masz go, prawda?

– Pewnie. Wisi przy drzwiach, po lewej. – Gdy wyszła ze sklepiku ze spisanym rozkładem, spytał: – Wybierasz się na wycieczkę?

– Kto wie? Wydawca zaprosił mnie na spotkanie do Greenville, ale jeszcze się waham.

– Pięknie! To kawał drogi, ale taka wyprawa dobrze ci zrobi.

Już miała wskoczyć do łódki, gdy pochylił się nad nią i uważnie jej się przyjrzał. – Co ci się stało w oko? Zdaje się, że ktoś cię pobił.

Gwałtownie odwróciła głowę. Siniak miał już prawie miesiąc i przybrał bladożółtawy kolor, liczyła więc, że nikt go nie zauważy.

– Nie… Wpadłam na drzwi…

– Nie opowiadaj mi bajek. Nie wypadłem sroce spod ogona. Kto cię tak urządził?

Nie odpowiedziała.

– Chase? Mnie możesz powiedzieć. Musisz, bo będziesz tu sterczeć, póki mi nie powiesz.

– Tak, to on. – Nie mogła uwierzyć, że to wybąkała. Nie sądziła, że potrafi się komuś zwierzyć. Znów się odwróciła, próbując powstrzymać łzy.

Skoczek zmarszczył czoło i na moment zamilkł.

– Co ci jeszcze zrobił?

– Nic, przysięgam! Próbował, ale go pogoniłam.

– Powinni obić go pejczem i przepędzić z miasta.

– Tylko błagam cię, nikomu nie mów, a zwłaszcza szeryfowi, bo zaciągną mnie na posterunek i każą złożyć zeznania, a tego nie przeżyję. – Zakryła twarz rękami.

– Coś trzeba zrobić. Nie może wyprawiać takich rzeczy, a potem rozbijać się tą swoją błyszczącą motorówką, jakby

nigdy nic. Król życia!

– Wiesz, jak to jest. Tutaj wszyscy trzymają jego stronę. Powiedzą, że mieszam i próbuję wydębić forsę od jego rodziców. Pomyśl, co by było, gdyby któraś z dziewczyn z Colored Town oskarżyła go o napaść i próbę gwałtu. Nie kiwnęliby palcem. – Jej głos stawał się coraz ostrzejszy. – Tylko napytałaby sobie biedy. Obsmarowaliby ją w gazetach, a ludzie gadaliby, że się puszcza. Dobrze wiesz, że ze mną byłoby tak samo. Błagam, przyrzeknij, ze nikomu nie powiesz. – Zaniosła się szlochem.

– Masz rację. Wiem. Nie bój się, na pewno nie zrobię nic, co by ci zaszkodziło. Ale skąd pewność, że Chase nie będzie się mścił? Przecież mieszkasz tam całkiem sama.

– Zawsze umiałam o siebie zadbać. Dziś przemknęłam tu, bo nie słyszałam warkotu jego motorówki. Będę się pilnować. Jeśli pojadę do Greenville, po powrocie mogę pomieszkać jakiś czas w mojej „czytelni". Nie sądzę, by o niej wiedział.

– No dobrze, ale zaglądaj do mnie częściej i dawaj znać, co i jak. Wiesz, że w razie czego możesz zatrzymać się u nas.

– Wiem. Dziękuję.

– Kiedy miałabyś jechać do Greenville?

– Nie jestem pewna. Wydawca wspomniał w liście o końcu października, ale jeszcze się nie ogarnęłam i nawet nie potwierdziłam, że przyjadę. – Kya uświadomiła sobie, że nie pojedzie, jeśli siniak na twarzy całkiem nie zniknie.

– Daj znać, kiedy wyjeżdżasz i kiedy wrócisz. Chcę wiedzieć, że cię nie ma, bo jeśli znikniesz mi z oczu choćby na jeden dzień, od razu się do ciebie wyprawię i jeśli będzie trzeba, zwołam pościg.

– Dobrze. Dzięki.

47.

Biegły

1970

Eric Chastain wypytał szeryfa, w jakich okolicznościach trzydziestego października dwaj chłopcy odkryli ciało Chase'a Andrewsa pod wieżą obserwacyjną. Interesowały go także oględziny zwłok dokonane przez lekarza i początkowa faza śledztwa.

– Proszę powiedzieć, szeryfie, co skłoniło pana do przypuszczeń, że Chase nie spadł z wieży przypadkowo – ciągnął prokurator. – Dlaczego uznał pan, że mogło dojść do przestępstwa?

– Od razu zwróciłem uwagę, że wokół zwłok nie ma śladów butów, nawet denata. Były tylko odciski stóp chłopców, którzy go znaleźli, więc pomyślałem, że ktoś je zatarł, żeby ukryć zbrodnię.

– Czy to prawda, że nie było też odcisków palców ani śladów opon?

– Zgadza się. W laboratorium potwierdzili brak świeżych odcisków palców na wieży, a także na kracie, którą ktoś musiał

przecież odsunąć. Szukaliśmy z moim zastępcą śladów opon i też ich tam nie było. Wszystko wskazywało na to, że ktoś celowo je zatarł.

– Zatem kiedy raport potwierdził, że czerwone wełniane włókna z czapki pani Clark znajdowały się tamtej nocy na ubraniu Chase'a…

– Sprzeciw, wysoki sądzie! – zawołał Tom. – Próba sugerowania odpowiedzi świadkowi. W trakcie zeznań już ustaliliśmy, że te włókna mogły znaleźć się na kurtce pana Andrewsa przed zdarzeniem, do którego doszło w nocy z dwudziestego dziewiątego na trzydziestego października.

– Podtrzymany! – obwieścił basem sędzia Sims.

– Nie mam więcej pytań. Świadek do dyspozycji obrony.

Eric miał świadomość, że zeznania szeryfa niekoniecznie przysłużą się prokuraturze – no bo co tu zrobić bez narzędzia zbrodni, odcisków palców i śladów butów i opon? Było w nich jednak dość konkretów, by przekonać przysięgłych, że Chase został zmordowany i – zważywszy na obecność czerwonych włókien – że zabójcą mogła być pani Clark.

Do świadka podszedł Tom Milton.

– Szeryfie, czy pan lub ktoś inny zwrócił się do biegłego, by poszukał śladów butów lub potwierdził, że zostały one zatarte?

– Nie było to konieczne. Sam jestem w tym biegły. Przeszedłem stosowne szkolenie. Nie potrzebowałem innego fachowca.

– Rozumiem. Zatem, czy były tam ślady zacierania odcisków butów? Na przykład po gałęziach krzaków lub drzew, którymi je zatarto? A może błota, które zostało przeniesione łopatą w inne miejsce? Ma pan jakieś dowody albo zdjęcia, które by o tym świadczyły?

– Nie. Zeznałem już jako biegły, że u stóp wieży były wyłącznie ślady moich butów, mojego zastępcy i chłopców.

Dlatego ktoś musiał usunąć inne.

– Charakterystyczną cechą mokradeł jest to, że podczas przypływu i odpływu wody gruntowe, nawet te bijące z dala od oceanu, podnoszą się i opadają, co sprawia, że teren chwilowo się osusza, a po kilku godzinach znów zamaka. W wielu miejscach napływająca woda nasącza glebę i zaciera wszelkie ślady, także te po butach. *Tabula rasa*, mam rację?

– Owszem, zdarza się, ale nie ma dowodów na to, że tak właśnie było.

– Mam tu godzinową rozpiskę pływów z nocy z dwudziestego dziewiątego na trzydziestego października, z której wynika, że odpływ nastąpił około północy. Czyli kiedy Chase zjawił się pod wieżą i ruszył w kierunku schodów, z pewnością zostawił ślady w błocie. Potem nadszedł przypływ, wody gruntowe wylały i zatarły ślady. To dlatego te pozostawione przez was i przez chłopców były takie wyraźne, a ślady Chase'a zniknęły. Zgodzi się pan, że to całkiem prawdopodobne?

Kya lekko skinęła głową. Była to jej pierwsza taka reakcja, odkąd zaczął się proces. Wielokrotnie widziała, jak woda zaciera to, co zdarzyło się poprzedniego dnia – ślady kozła nad strumieniem lub rysia przy martwym jelonku.

– Nie wiem. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby woda zakryła wszystko tak dokumentnie.

– Ale przecież sam pan powiedział, że jest biegły w tej materii i odbył szkolenie z czytania śladów. Tymczasem teraz wyraża pan wątpliwość, czy to powszechnie znane zjawisko zdarzyło się tamtej nocy, czy też nie.

– Taką rzecz łatwo udowodnić. Wystarczy pójść tam w czasie odpływu, zostawić jakieś ślady i się przekonać, czy przypływ je zmyje.

– Rzeczywiście, łatwo to ustalić. Tylko dlaczego nikt tego nie zrobił? Rozprawa w toku, a pan nie ma żadnego dowodu na to,

że ktoś zatarł ślady, żeby ukryć zbrodnię. Bardziej prawdopodobne jest to, że Chase zostawił ślady u podnóża wieży i zostały one zmyte przez przybierającą wodę. Jeśli towarzyszyli mu jacyś znajomi, którzy dla rozrywki wspięli się na górę, ich ślady też zostałyby zmyte. W tych mało prawdopodobnych okolicznościach nic nie wskazuje na to, że doszło do przestępstwa. Mam rację, szeryfie?

Ed strzelał oczami raz w lewo, raz w prawo, jakby spodziewał się znaleźć odpowiedź wypisaną na ścianie. Zareagowała też zgromadzona publiczność, wiercąc się w ławkach.

– Szeryfie? – powtórzył Tom.

– Jako zawodowiec uważam za mało prawdopodobne, by zwykły przypływ kompletnie zmył ślady, ale jako że nie stwierdziliśmy, by ktoś celowo je zacierał, sam brak śladów butów nie dowodzi, że popełniono tam przestępstwo. Jednakże…

– Dziękuję. – Zwróciwszy się do przysięgłych, Tom powtórzył słowa szeryfa: – „Brak śladów butów nie dowodzi, że popełniono tam przestępstwo”. I kolejna sprawa. Szeryfie, co z kratą pozostawioną na podłodze platformy? Czy szukaliście na niej odcisków palców pani Clark?

– Oczywiście.

– Znaleźliście odciski palców pani Clark na kracie bądź gdzie indziej na wieży?

– Nie, ale nie znaleźliśmy też żadnych innych, więc…

– Odpowiadaj tylko na zadane pytania, Ed – upomniał go sędzia Sims.

– A włosy? Pani Clark ma długie, ciemne włosy. Gdyby wspięła się na samą górę i krzątała po platformie, choćby odsuwając kratę, z pewnością by tam były. Znaleźliście je?

– Nie. – Na czoło szeryfa wystąpił pot.

– Koroner zeznał, że podczas oględzin zwłok nie znalazł dowodów na to, że pani Clark przebywała tamtej nocy w pobliżu denata. Oczywiście znalazł włókna na kurtce, ale mogły tam być od czterech lat. Teraz potwierdził pan, że nie ma żadnych dowodów, iż pani Clark w ogóle weszła tamtej nocy na wieżę. Dobrze to ująłem?

– Tak.

– Zatem nie ma dowodów, które wskazują, że pani Clark była na wieży w czasie, kiedy Chase Andrews z niej spadł. Zgadza się?

– No, przecież powiedziałem.

– Czyli się zgadza?

– Tak.

– Czy to prawda, że bawiące się na górze dzieci często zostawiają odsunięte kraty?

– Czasami się zdarza, ale jak wspomniałem, chodziło o tę nad schodami, a nie o pozostałe.

– Ale czy to prawda, że krata przy schodach, a czasami też inne, były zostawiane odsunięte tak często i stanowiły takie zagrożenie, że wystosował pan oficjalne pismo do służby leśnej, żeby zrobiła z tym porządek? – Tom pomachał jakimś dokumentem. – Czy to ten oficjalny wniosek skierowany do służby leśnej osiemnastego lipca zeszłego roku?

Szeryf zerknął na pismo.

– Tak.

– Kto go napisał?

– Ja.

– Czyli ledwie trzy miesiące przed tym, jak Chase Andrews wypadł z wieży przez niezabezpieczony kratą otwór, złożył pan pisemny wniosek do służby leśnej o zamknięcie wieży lub przytwierdzenie krat w taki sposób, by nikomu nie stała się krzywda, zgadza się?

– Tak.

– Mógłby pan odczytać ostatnie zdanie dokumentu skierowanego do służby leśnej? Tylko jedno, ostatnie zdanie. – Tom podał szeryfowi pismo, wskazując palcem na ostatnią linijkę.

Szeryf przeczytał na głos:

– „Powtarzam, te kraty stanowią ogromne zagrożenie i jeśli nie podejmiecie stosownych działań, ktoś ulegnie tam poważnemu wypadkowi, a może nawet zginie”.

– Nie mam więcej pytań.

48.

Wycieczka

1969

Dwudziestego ósmego października 1969 roku Kya podpłynęła do pomostu Skoczka, żeby się z nim pożegnać, a potem ruszyła w stronę nabrzeża w Barkley Cove, gdzie rybacy i poławiacze krewetek jak zawsze przerwali pracę, by na nią popatrzeć. Nie zwracając na nich uwagi, zacumowała łódkę i z wyciągniętą z maminej szafy wyblakłą, kartonową walizką skierowała kroki na Main Street. Zamiast torebki dźwigała plecak wyładowany książkami. Było w nim też trochę szynki, bułeczek i niewielki plik gotówki; większą część tantiem zakopała w puszce nieopodal laguny. Wreszcie wyglądała jak człowiek. Miała na sobie brązową spódniczkę od Sears, Roebuck & Co., białą bluzkę i pantofle na płaskim obcasie. Wokół sklepikarze zamiatali chodniki lub obsługiwali klientów. Wszyscy jej się przyglądali.

Kya stanęła na rogu pod napisem „przystanek” i czekała na autobus, który wkrótce zajechał z piskiem hamulców i przesłonił jej widok na ocean. Nikt do niego nie wsiadł ani z niego nie wysiadł. Kya podeszła do kierowcy i kupiła bilet do

Greenville. Na pytanie o rozkład jazdy autobusów powrotnych wręczył jej drukowaną ulotkę i załadował walizkę do luku. Kya wsiadła, ściskając kurczowo plecak. Nim się obejrzała, autobus linii Trailways, który zdawał się być długi jak cała Main Street, opuścił Barkley Cove.

Dwa dni później o godzinie trzynastej szesnaście wysiadła z autobusu, który przywiózł ją z Greenville. W miasteczku kręciło się jeszcze więcej ludzi; wszyscy się na nią gapili i szeptali, gdy Kya, odgarnąwszy swoje długie włosy, wzięła walizkę z rąk kierowcy. Przeszła przez Main Street na nabrzeże, wsiadła do łódki i popłynęła prosto do domu. Miała zamiar zajrzeć do Skoczka, żeby mu powiedzieć, że już wróciła – tak jak obiecała – ale przy pomoście czekała kolejka chętnych do tankowania, więc pomyślała, że wróci tu nazajutrz. Zresztą dzięki temu szybciej przywita się z mewami.

Następnego ranka, trzydziestego pierwszego października, podpłynęła do pomostu i zawołała do Skoczka, a ten wyszedł do niej ze swojego sklepiku.

– Cześć. Chciałam tylko dać znać, że już jestem. Wróciłam wczoraj.

Podszedł do niej bez słowa. Dopiero gdy weszła na pomost, wybąkał:

– Kyu…

Przechyliła głowę.

– Co się stało?

Wciąż się w nią wpatrywał.

– Słyszałaś już o Chasie?

– Nie. Że co?

Potrząsnął głową.

– Chase Andrews nie żyje. Zginął tej nocy, kiedy byłaś w Greenville.

– Jak to?!

Spojrzeli sobie głęboko w oczy.

– Znaleźli go wczoraj rano pod wieżą. Mówią, że skręcił sobie kark i mocno rąbnął głową. Ponoć spadł z samej góry.

Kya rozdziawiła usta.

– W mieście aż huczy od plotek – ciągnął Skoczek. – Niektórzy uważają, że to wypadek, ale szeryf nie jest do tego przekonany. Matka Chase'a bardzo się nakręciła, jest przekonana, że ktoś mu w tym pomógł. Niezła afera.

– Skąd przypuszczenia, że ktoś go…

– Jedna z krat na platformie była odsunięta, dlatego wydaje się to podejrzane. Niektórzy mówią, że dzieciaki wciąż odsuwają te kraty, kiedy tam brykają, i Chase mógł wypaść przypadkowo, ale inni uważają, że to zabójstwo.

Kya milczała.

– Jednym z dowodów jest ponoć to, że nie znaleziono przy nim tego wisiorka, który nosił od lat. Jego żona twierdzi, że go miał, zanim wyszedł z domu i pojechał na kolację do rodziców. Mówi, że zawsze go nosił.

Kyi spierzchły usta na wzmiankę o wisiorku.

– Ci dwaj chłopcy, którzy go znaleźli, powtarzają za szeryfem, że nie było tam żadnych śladów po butach. Ani jednego. Jakby ktoś je zatarł. Wszędzie o tym chlapią.

Powiedział jeszcze, kiedy będzie pogrzeb, choć domyślał się, że Kya na niego nie pójdzie. To by dopiero było widowisko dla wszystkich tych kobiet, które co tydzień razem szydełkują albo rozprawiają o Biblii! I tak będą plotkować o Kyi. Chwała Bogu, że była w Greenville, kiedy zginął, bo od razu by ją w to wrobili, pomyślał.

Kya skinęła głową i pomknęła do chaty. Stojąc w szlamie na brzegu laguny, wyszeptała jeden z wierszy Amandy Hamilton:

Zawsze doceniaj
Serce
Zdolne do czynów
Których nie zrodzi rozum.
Ono dyktuje i czuje.
Bo jak inaczej wytłumaczyć
Obraną przeze mnie
Obraną przez ciebie
Dłuższą ścieżkę przez tę przełęcz?

49.

Przebieranki

1970

Zaprzysiężono kolejnego świadka, mężczyznę o krótkich, kręconych siwych włosach w tanim, błyszczącym, granatowym garniturze, który oznajmił, że nazywa się Larry Price i że prowadzi autobusy linii Trailways na różnych trasach w tym zakątku Karoliny Północnej. Indagowany przez Erica potwierdził, że można w jedną noc dojechać autobusem z Greenville do Barkley Cove i z powrotem. Oświadczył też, że to on był kierowcą na trasie z Greenville do Barkley Cove tej nocy, kiedy zginął Chase, i że żadna z pasażerek nie przypominała pani Clark.

– Panie Price – drążył Eric. – Powiedział pan szeryfowi, że tym autobusem jechał jakiś szczupły pasażer, który równie dobrze mógł być wysoką kobietą przebraną za mężczyznę. Proszę nam go opisać.

– Zgadza się. Młody biały mężczyzna. Miał ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, a portki wisiały na nim jak prześcieradło na płocie. Do tego jeszcze miał czapkę, taką za

dużą, granatową. Jechał ze spuszczoną głową i na nikogo nie patrzył.

– Czy widząc panią Clark, uważa pan za możliwe, że ten chudy mężczyzna to była ona w przebraniu? Może schowała włosy pod tą za dużą czapką?

– Uważam, że tak.

Eric poprosił sędziego, by ten kazał Kyi wstać. Kya spełniła polecenie.

– Już może pani usiąść – powiedział Eric i zwrócił się do świadka: – Czy ten młody mężczyzna w autobusie był tego samego wzrostu i postury co pani Clark?

– Moim zdaniem są identyczni.

– Czy zatem jest to możliwe, że ów chudy mężczyzna, który podróżował autobusem o dwudziestej trzeciej pięćdziesiąt z Greenville do Barkley Cove dwudziestego dziewiątego października ubiegłego roku, to w rzeczywistości oskarżona, pani Clark?

– Bardzo możliwe.

– Dziękuję, nie mam więcej pytań. Świadek do dyspozycji obrony.

*

Tom przesłuchał świadka i po pięciu minutach podsumował jego zeznania.

– Zeznał pan, że, po pierwsze, dwudziestego dziewiątego października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku w nocnym autobusie z Greenville do Barkley Cove nie było kobiety, która przypominałaby z wyglądu oskarżoną. Po drugie, że jechał nim wysoki, chudy mężczyzna. Mimo że widział pan z bliska jego twarz, nie pomyślał pan wtedy, że to kobieta

w przebraniu. Po trzecie, pomysł, że pani Clark mogła się przebrać za mężczyznę, zasugerował panu szeryf.

Nim Price zdążył się odezwać, Tom ciągnął dalej:

– Skąd ma pan pewność, że ten chudy mężczyzna jechał autobusem dwudziesta trzecia pięćdziesiąt dwudziestego dziewiątego października? Robił pan notatki, zapisał to sobie? A może to było dzień wcześniej albo później? Jest pan na sto procent pewien, że to był dwudziesty dziewiąty października?

– Wiem, do czego pan zmierza. Kiedy szeryf chciał, żebym sobie przypomniał, wydawało mi się, że facet faktycznie był w autobusie, ale teraz, tak na sto procent, to nie jestem pewien.

– I jeszcze jedna rzecz. Ten autobus miał spore opóźnienie. Spóźnił się dokładnie dwadzieścia pięć minut i przyjechał do Barkley Cove dopiero o pierwszej czterdzieści, zgadza się?

– Owszem. – Price spojrzał na Erica. – Ja tylko chciałem pomóc, zrobić, co trzeba.

– Bardzo nam pan pomógł – uspokoił go Tom. – Dziękuję. Nie mam więcej pytań.

*

Eric powołał kolejnego świadka, Johna Kinga, kierowcę autobusu odjeżdżającego o drugiej trzydzieści trzydziestgo października z Barkley Cove do Greenville, który zeznał, że oskarżona nim nie jechała. Była tam za to jakaś starsza pani wzrostu pani Clark, z siwymi, krótkimi loczkami, jak po trwałej.

– Czy przyglądając się oskarżonej, uważa pan, że gdyby przebrała się za starszą panią, przypominałaby tamtą pasażerkę pańskiego autobusu?

– Trudno mi to sobie wyobrazić. Możliwe.

– Możliwe?

– Chyba tak.

Potem do akcji wkroczył Tom.

– W procesie o zabójstwo nie ma miejsca na słowo „chyba”. Czy widział pan oskarżoną, panią Clark, w autobusie wyruszającym o drugiej trzydzieści z Barkley Cove do Greenville trzydziestego października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku?

– Nie widziałem.

– Czy tamtej nocy był jeszcze jakiś inny kurs na tej trasie?

– Nie.

50.

Pamiętnik

1970

Gdy nazajutrz wprowadzono Kyę do sali rozpraw, zerknęła w stronę Tate’a, Skoczka i Mabel i nagle zamarła na widok munduru i bladego uśmiechu na oszpeconej blizną twarzy. Jodie. Skinęła mu głową, zastanawiając się, skąd wie o procesie. Pewnie z jakiejś gazety w Atlancie. Skuliła się ze wstydu.

Głos zabrał Eric.

– Wysoki Sądzie, prokuratura pragnie wezwać na świadka panią Patti Love Andrews.

Wszyscy wstrzymali oddech, gdy matka w żałobie podeszła do miejsca dla świadków. Patrząc na swoją niegdyś wymarzoną, niedoszłą teściową, Kya uświadomiła sobie, jak niedorzeczne były jej pragnienia. Nawet w tych ponurych okolicznościach ubrana w wytworne czarne jedwabie Patti Love zdawała się najbardziej przejęta swoim wyglądem i statusem. Usiadła wyprostowana z błyszczącą torebką na kolanach, a jej spięte w elegancki kok ciemne włosy okrywał lekko przekrzywiony kapelusz z teatralną, zakrywającą oczy woalką. Ktoś taki

w życiu nie zaakceptowałby bosej mieszkanki mokradeł jako synowej.

– Pani Andrews, wiem, że to dla pani trudne, dlatego ograniczę pytania do koniecznego minimum. Czy pani syn Chase nosił wisiorek z muszlą na skórzanym rzemyku?

– Tak.

– Kiedy, jak często go nosił?

– Na okrągło. Nigdy go nie zdejmował. Przez cztery lata nie widziałam go bez tego wisiorka.

Eric podał jej oprawny w skórę dziennik.

– Może nam pani powiedzieć, co to jest?

Kya wbiła wzrok w podłogę i poruszyła ustami, oburzona tą ingerencją w jej życie prywatne, gdy prokurator pokazywał dziennik wszystkim zgromadzonym w sali. Podarowała go Chase'owi niedługo po tym, jak się poznali. Przez lata była pozbawiona radości dawania prezentów, co niewiele osób potrafiłoby zrozumieć. Poświęciwszy na jego przygotowanie wiele dni i nocy, zapakowała go w szary papier, który udekorowała pięknymi liśćmi paproci i białymi piórami gęsi śnieżnej. Gdy Chase wysiadł z łódki na brzegu laguny, wyciągnęła do niego rękę z prezentem.

– Co to?

– Coś ode mnie. – Uśmiechnęła się.

Malowana opowieść o spędzonych razem chwilach. Na pierwszej stronie atramentowy szkic, na którym siedzą oparci o wyrzuconą przez ocean kłodę, a Chase gra na harmonijce. Łacińskie nazwy traw i muszelki wymalowane na dłoni Kyi. Kolorowa akwarela ukazująca jego łódź w blasku księżyca. I obrazek przedstawiający zaciekawione żółwie krążące wokół motorówki z napisem: „Michael, płyń łodzią do brzegu", umieszczonym wśród obłoków. I jeszcze jeden – Kya wśród srebrzystych mew na srebrzystej plaży.

Chase w zachwycie przeglądał kolejne stronice. Po niektórych przebiegał palcami, przy innych się śmiał, lecz najczęściej podziwiał je w milczeniu, kiwając głową.

– Nigdy czegoś takiego nie miałem. – Pochylił się i ją przytulił. – Dziękuję.

Chwilę posiedzieli na piasku. Okryci kocami rozmawiali i trzymali się za ręce.

Kya przypomniała sobie, jak wielką radość sprawiło jej to, że mogła go obdarować. Nie sądziła, że ten dziennik mógłby obejrzeć ktokolwiek inny – a już na pewno, że mógłby posłużyć jako dowód w sprawie o zabójstwo.

Nie patrzyła na Patti Love, gdy ta odpowiadała na pytania Erica.

– To zbiór obrazków wykonanych przez panią Clark dla Chase'a. Dała mu go w prezencie.

Patti Love znalazła dziennik pod stertą albumów, kiedy sprzątała pokój syna. Najwyraźniej próbował go ukryć. Przycupnęła na łóżku i zajrzała do środka. Na pierwszym szkicu Chase siedział oparty o kłodę z tą dziewczyną. Z Dziewczyną z Bagien. Jej syn z tą szmatą. Patti Love odjęło dech. A jeśli ludzie się dowiedzą?, pomyślała. Chłód, pot, szok.

– Może pani opisać, co widać na tym obrazku namalowanym przez oskarżoną?

– Przedstawia Chase'a i panią Clark na szczycie wieży obserwacyjnej.

Po sali przeszedł szmer.

– Co jeszcze tam pani widzi?

– Ona daje mu wisiorek z muszlą.

Potem już nigdy go nie zdjął – pomyślała Patti Love. – A wydawało mi się, że mówi mi o wszystkim. Sądziłam, że łączy mnie z moim dzieckiem więź silniejsza niż w przypadku

większości matek. Tak sobie wmówiłam, ale nie miałam pojęcia, co dzieje się naprawdę.

– Syn wyznał pani, że się spotyka z panią Clark; wcześniej znalazła pani dziennik. Zatem wiedziała pani, że ten wisiorek jest od niej?

– Tak.

– Czy dwudziestego dziewiątego października, kiedy Chase przyszedł do państwa na kolację, miał go na sobie?

– Tak, kiedy wychodził po jedenastej, miał go na szyi.

– Kiedy nazajutrz pojechała pani do kostnicy, żeby zidentyfikować jego ciało, miał ten wisiorek?

– Nie.

– Czy zna pani powód, dla którego ktoś z jego znajomych, oprócz pani Clark, mógł chcieć mu go zabrać?

– Nie.

– Sprzeciw! – zawołał Tom. – To spekulacje. Świadek nie może się wypowiadać w imieniu innych osób.

– Podtrzymany. Proszę przysięgłych, by nie brali pod uwagę ostatniego pytania i odpowiedzi – powiedział sędzia Sims, po czym łypnął na prokuratora i dorzucił: – Pilnuj się, Eric. Na litość boską, ogarnij się!

Niezrażony tym Eric ciągnął:

– Wiemy z rysunków oskarżonej, że przynajmniej raz weszła na wieżę w towarzystwie Chase'a. Wiemy też, że podarowała mu wisiorek, który nosił codziennie aż do śmierci. I nagle wisiorek zniknął. Zgadza się?

– Tak.

– Dziękuję. Nie mam więcej pytań. Świadek do dyspozycji obrony.

– Nie mam pytań – uciął Tom.

51.

Blednący księżyc

1970

Język sali rozpraw nie był, rzecz jasna, tak poetycki jak język mokradeł, Kya dostrzegła jednak podobieństwa. Sędzia, samiec alfa, czuł się pewnie; był jednocześnie władczy i odprężony, jak knur na swoim terenie. Od Toma również biła pewność siebie – był świadom swojej pozycji i poruszał się po sali z dużą swobodą. Mniejszy samiec musi krzyczeć, by go dostrzeżono. Strażnik stał najniżej w samczej hierarchii. By podkreślić swój status, musiał zdać się na pas z połyskującą bronią, dźwięczący pęk kluczy i nieporęczną krótkofalówkę. Hierarchie oparte na dominacji wprowadzają stabilność do funkcjonujących w przyrodzie populacji, a także tych poza nią, pomyślała Kya.

Prokurator w czerwonym krawacie wystąpił na środek sali i wezwał kolejnego świadka, Hala Millera, chudego jak patyk dwudziestoośmiolatka z brązową czupryną.

– Proszę nam powiedzieć, gdzie pan był i co zobaczył nocą z dwudziestego dziewiątego na trzydziestego października około godziny pierwszej czterdzieści pięć.

– Razem z Allenem Huntem łowiliśmy krewetki na kutrze Tima O’Neala. Właśnie zawijaliśmy do portu w Barkley Cove, gdy ujrzeliśmy panią Clark na motorówce, jakieś półtora kilometra na wschód od nabrzeża. Kierowała się na północny zachód.

– Dokąd mogła trafić, płynąc tym kursem?

– Wprost do zatoczki nieopodal wieży obserwacyjnej.

Sędzia Sims uderzał młotkiem w stół przez dobrą minutę, żeby uciszyć zgromadzonych.

– Może płynęła w inne miejsce?

– Może, ale tam kilometrami nie ma nic oprócz podmokłych lasów. Nic oprócz tej wieży.

Panie się wachlowały, w sali było coraz goręcej. Niedzielny Sędzia, który dotąd spał na parapecie, zeskoczył na podłogę i podszedł do Kyi. Pierwszy raz od początku procesu otarł się o jej nogę i umościł na kolanach oskarżonej. Eric zamilkł i zerknął na sędziego, pewnie licząc na sprzeciw wobec tak jawnych oznak stronniczości, ale ten najwyraźniej nie znalazł precedensu, na który mógłby się powołać.

– Skąd pewność, że to była pani Clark?

– Wszyscy kojarzymy jej łódkę. Pływa tu od lat.

– Czy łódź miała włączone światła?

– Nie. Zderzylibyśmy się, gdybyśmy jej nie zauważyli.

– Pływanie na nieoświetlonej łodzi po zmroku jest wbrew przepisom?

– Tak. Powinna była je włączyć.

– Czyli w noc, kiedy zginął Chase Andrews, pani Clark płynęła motorówką w kierunku wieży na kilka minut przed tym tragicznym zdarzeniem?

– Tak, właśnie to widzieliśmy.

Eric usiadł, a do świadka zbliżył się Tom.

– Dzień dobry, panie Miller.

– Dzień dobry.

– Od jak dawna jest pan członkiem załogi kutra Tima O’Neala?

– Będzie już trzy lata.

– Proszę nam powiedzieć, o której godzinie był wschód księżyca w nocy z dwudziestego dziewiątego na trzydziestego października.

– Był blady i pojawił się, dopiero kiedy zawinęliśmy do portu, pewnie gdzieś koło drugiej.

– Rozumiem. Czyli kiedy zobaczyliście z oddali motorówkę nieopodal Barkley Cove, na niebie nie było księżyca? Musiało być bardzo ciemno.

– Owszem. Świeciło kilka gwiazd, ale było ciemno.

– Proszę nam powiedzieć w co była ubrana pani Clark, kiedy minęła was swoją łódką.

– Byliśmy za daleko, żeby zobaczyć, w co jest ubrana.

– Aha, za daleko, żeby to zobaczyć. – Tom spojrzał na przysięgłych. – Jaki dystans was dzielił?

– Co najmniej sześćdziesiąt metrów.

– Sześćdziesiąt metrów… – Tom znów zerknął na przysięgłych. – W ciemnościach trudno rozpoznać niewielką łódkę z takiej odległości. A jakie cechy wyglądu osoby, która nią płynęła, dały panu pewność, że to pani Clark?

– Jak już wspomniałem, wszyscy tu kojarzymy tę łódkę, wiemy, jak wygląda z daleka i z bliska. Znamy jej kształt i wiemy, jak wygląda pani Clark, kiedy siedzi na rufie. Jest wysoka, szczupła, bardzo charakterystyczna.

– Bardzo charakterystyczna… Czyli każda wysoka i szczupła osoba na takiej łódce wyglądałaby jak pani Clark?

– Mogłaby ją przypominać, ale my tu naprawdę dobrze znamy łodzie i ich właścicieli, bo przecież cały czas pływamy.

– Muszę panu jednak przypomnieć, że to proces o zabójstwo. Trudno o cięższy kaliber sprawy, dlatego musimy mieć pewność. Nie możemy oceniać na podstawie kształtów widzianych w ciemnościach z odległości sześćdziesięciu metrów. Czy zatem jest pan pewien, że osoba, którą widział pan w nocy z dwudziestego dziewiątego na trzydziestego października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku, to pani Clark?

– Całkowitej pewności nie mam. Nigdy nie mówiłem, że jestem absolutnie tego pewien, ale…

– To wszystko. Dziękuję.

– Jakieś pytania? – sędzia Sims zwrócił się do Erica.

Nie wstając z krzesła, prokurator powiedział:

– Hal, zeznałeś, że widywałeś panią Clark na łódce przez co najmniej trzy lata. Czy zdarzyło się, że miałeś wrażenie, iż poznałeś ją z daleka, a potem, kiedy podpłynęła bliżej, okazało się, że to nie ona?

– Ani razu.

– Ani razu przez trzy lata?

– Ani razu.

– Wysoki Sądzie, nie mam więcej pytań.

52.

Motel Three Mountains

1970

Sędzia Sims wszedł do sali rozpraw i skinął głową do Toma.

– Mecenasie, możemy wezwać pierwszego świadka obrony?

– Tak.

– No, to proszę.

Po zaprzysiężeniu Tom zwrócił się do świadka:

– Proszę podać swoje nazwisko i powiedzieć, czym się pani zajmuje.

Kya lekko uniosła głowę i zobaczyła przed sobą niską starszą kobietę o fioletowosiwych włosach po mocnej trwałej, która spytała ją przed laty, dlaczego zawsze przychodzi do sklepu sama. Może teraz wydawała się niższa, a jej loczki były bardziej skręcone, ale wyglądała dokładnie tak jak kiedyś. Pani Singletary sprawiała wrażenie osoby wścibskiej i apodyktycznej, a jednak podarowała jej gwiazdkową skarpetę z niebieskim gwizdkiem w środku w pierwszą zimę po tym, jak odeszła mama. Wtedy to była cała Gwiazdka Kyi.

– Sarah Singletary, ekspedientka w sklepie Piggly Wiggly w Barkley Cove.

– Czy z miejsca, w którym stoi pani przy kasie, widać przystanek autobusowy?

– Tak, bardzo wyraźnie.

– Czy widziała tam pani oskarżoną Catherine Clark o czternastej trzydzieści dwudziestego ósmego października ubiegłego roku?

– Tak, widziałam.

Sarah spojrzała na Kyę i przypomniała sobie małą, bosą dziewczynkę, która przez tyle lat przychodziła do jej sklepu. Nikomu o tym nie mówiła, ale nim Kya nauczyła się liczyć, zawsze wydawała jej parę centów z górką, a potem dokładała do kasy z własnych pieniędzy. Rzecz jasna, Kya zostawiała w sklepie niewielkie sumy, więc Sarah wrzucała tam same pięcio- i dziesięciocentówki, ale zawsze było to jakieś wsparcie.

– Jak długo tam stała? Widziała pani, jak wsiadała do autobusu o czternastej trzydzieści?

– Czekała może dziesięć minut. Wszyscy widzieliśmy, jak kupuje bilet u kierowcy, podaje mu walizkę i wsiada. Kiedy autobus odjechał, na pewno była w środku.

– Jak rozumiem, widziała ją też pani, gdy wróciła dwa dni później, trzydziestego października, autobusem o trzynastej szesnaście?

– Tak. Po dwóch dniach, tak jakoś kwadrans po trzynastej, spojrzałam, kiedy akurat autobus się zatrzymał i wysiadła z niego pani Clark. Zwróciłam na to uwagę moich koleżanek.

– I co potem zrobiła?

– Poszła na nabrzeże, wsiadła do łódki i popłynęła na południe.

– Dziękuję. To wszystko.

– Eric? Jakieś pytania? – spytał sędzia Sims.

– Nie, Wysoki Sądzie, nie mam pytań. Z listy świadków wynika, że obrona zamierza powołać parę osób, które poświadczą, że pani Clark wsiadła i wysiadła z autobusu w dniach i godzinach podanych przez panią Singletary. Nie zamierzam podważać tych zeznań, gdyż pokrywają się one z moją wiedzą na temat podróży, którą pani Clark odbyła w tych dniach i tych godzinach. Dlatego, jeśli Wysoki Sąd się zgodzi, nie musimy odpytywać w tej kwestii innych świadków.

– Dobrze, dziękujemy pani. Mecenasie? Skoro prokuratura uznaje, że pani Clark wsiadła do autobusu o czternastej trzydzieści dwudziestego ósmego października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku i wróciła do Barkley Cove około trzynastej szesnaście trzydziestego października, to czy konieczne jest przesłuchiwanie na tę okoliczność innych świadków?

– Nie, Wysoki Sądzie.

Tom nie dał tego po sobie poznać, ale był wściekły. Alibi dotyczące podróży i nieobecności Kyi w miasteczku w czasie, gdy zginął Chase, było jednym z najmocniejszych punktów linii obrony. Tymczasem Eric z powodzeniem rozmył temat, zaznaczając, że nie musi wysłuchiwać zeznań potwierdzających wyjazd Kyi. Z punktu widzenia Toma było to jednak bez znaczenia, bo prokurator twierdził, że Kya wróciła nocą do Barkley Cove i dopuściła się zabójstwa. Tom przewidywał taką ewentualność i nastawał, by przysięgli wysłuchali wszystkich zeznań i zapamiętali, że Kya wyjechała za dnia i wróciła do miasteczka dopiero po tym tragicznym zdarzeniu. Teraz uznają jej alibi za nieistotne i niewarte potwierdzenia.

– Dobrze, proszę wezwać kolejnego świadka.

Łysy, przysadzisty Lang Furlough z opiętą na krągłym brzuchu marynarką oświadczył, że jest właścicielem motelu Three Mountains w Greenville i że pani Clark zatrzymała się

w nim od dwudziestego ósmego do trzydziestego października 1969 roku.

Kya nie mogła słuchać wynurzeń tego wybrylantowanego mężczyzny, którego miała nadzieję już nigdy w życiu nie spotkać. Wypowiadał się o niej, jakby nie było jej w sali rozpraw. Opowiedział, jak zaprowadził ją do pokoju, ale nie dodał, że ociągał się z wyjściem. Wymyślał wciąż nowe wymówki, by tam zostać, aż w końcu otworzyła drzwi, dając mu do zrozumienia, żeby już sobie poszedł. Na pytanie Toma, skąd wiedział, czy pani Clark przebywa w motelu, czy nie, zarechotał i odparł, że wszyscy mężczyźni zwracają uwagę na takie kobiety. Dodał, że wydała mu się dziwna, bo nie umiała korzystać z telefonu, przyszła z dworca pieszo z walizką i przynosiła sobie w torbie kolację z miasta.

– Panie Furlough, następnego dnia, dwudziestego dziewiątego października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku, pełnił pan całonocny dyżur w recepcji. Zgadza się?

– Tak.

– Widział pan, by pani Clark wychodziła z motelu po tym, jak wróciła tam o dwudziestej drugiej po kolacji z wydawcą?

– Nie. Byłem tam całą noc i nie widziałem, żeby wychodziła z pokoju. Jak już wspomniałem, to pokój naprzeciwko recepcji, więc na pewno bym to zauważył.

– Dziękuję. To wszystko. Świadek do dyspozycji prokuratury.

Po kilku wstępnych pytaniach Eric kontynuował:

– Ustaliliśmy, że dwukrotnie opuścił pan recepcję, by udać się do swojego mieszkania i skorzystać z toalety. Potem dostawca przywiózł panu pizzę, zapłacił pan i tak dalej. Czwórkę gości pan zameldował, dwójkę wymeldował. Przy okazji sprawdził pan rachunki. Było sporo zamieszania, więc domyślam się, że pani Clark mogła bez trudu dyskretnie opuścić pokój i szybko

przejść na drugą stronę ulicy, a pan by tego nie zauważył. Możliwe?

– Pewnie tak, ale niczego takiego nie widziałem. To znaczy nie widziałem, żeby wychodziła z pokoju.

– Rozumiem, ale znaczy to również, że pani Clark mogła opuścić pokój, pójść na przystanek, pojechać autobusem do Barkley Cove, zamordować Chase'a Andrewsa, a potem wrócić i przemknąć do pokoju w ten sposób, że pan tego nie zauważył, bo był zajęty pracą. Nie mam więcej pytań.

*

Po przerwie na lunch, kiedy wszyscy łącznie z sędzią zajmowali swoje miejsca, w sali rozpraw pojawił się Scupper. Tate patrzył, jak jego ojciec ubrany w drelichy i żółte rybackie kalosze sunie wzdłuż przejścia między ławkami. Scupper zarzekał się, że nie chodzi na rozprawy, bo ma za dużo obowiązków, lecz długoletni związek jego syna z panną Clark był dla niego czymś nie do końca zrozumiałym. Inne dziewczyny najwyraźniej go nie interesowały i nawet kiedy syn dorósł i został naukowcem, wciąż kochał tę dziwną, tajemniczą kobietę, którą teraz oskarżono o zabójstwo.

Tego dnia w południe stanął na pokładzie kutra wśród zwiniętych sieci i ciężko westchnął. Płonął ze wstydu na myśl, że – jak niedouczeni mieszkańcy miasteczka – miał wobec panny Clark uprzedzenia, bo wychowała się na mokradłach. Pamiętał, jak Tate pokazał mu z dumą pierwszą książkę Kyi, tę o muszlach, i jak bardzo zachwycił się jej wiedzą i talentem malarskim. Potem kupował wszystkie jej książki, choć nie wspomniał o tym Tate'owi. Świństwo i tyle!

Był dumny z syna, z tego, że zawsze wie, czego chce i umie postawić na swoim. Tak jak Kya, tyle że ona musi walczyć

z całym światem.

Jak mógł go nie wspierać? Przecież to było najważniejsze. Rzucił sieć, którą trzymał w ręku, zszedł z kutra tłukącego o nabrzeże i ruszył do sądu.

Kiedy znalazł się w pierwszym rzędzie, Jodie, Skoczek i Mabel wstali, żeby zrobić mu miejsce obok Tate'a. Ojciec i syn skinęli do siebie, a w oczach tego drugiego pojawiły się łzy.

W sali zapadła kompletna cisza. Tom odczekał, aż Scupper się usadowi.

– Wysoki Sądzie, obrona powołuje na świadka Roberta Fostera.

Pan Foster okazał się schludnym, ubranym w tweedową marynarkę, krawat i spodnie w kolorze khaki mężczyzną średniego wzrostu o łagodnym spojrzeniu, ze starannie przystrzyżoną brodą. Tom spytał, czym się zajmuje.

– Robert Foster, wydawca Harrison Morris Publishing Company z Bostonu.

Podparłszy głowę ręką, Kya wbiła wzrok w podłogę. Robert Foster, jedyny znany jej człowiek, dla którego nie jest Dziewczyną z Bagien, który ją szanuje, a nawet – najwyraźniej – podziwia jej wiedzę i talent. A teraz widzi ją w sądzie, oskarżoną o zabójstwo.

– Czy jest pan wydawcą książek pani Catherine Clark?

– Owszem. To niezwykle zdolna przyrodniczka, malarka i pisarka, jedna z naszych ulubionych autorek.

– Czy potwierdza pan, że dwudziestego ósmego października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku wyprawił się do Greenville w Karolinie Północnej i odbył spotkania z panią Clark, zarówno dwudziestego dziewiątego, jak i trzydziestego października?

– Potwierdzam. Uczestniczyłem tam w skromnej konferencji. Wiedziałem, że będę dysponował dodatkowym czasem, jednak

nie zdążę dojechać do niej, dlatego zaprosiłem panią Clark do Greenville.

– Czy może pan podać dokładną godzinę, o której odwiózł ją do motelu wieczorem dwudziestego dziewiątego listopada ubiegłego roku?

– Po spotkaniu zjedliśmy kolację w hotelowej restauracji, a potem odwiozłem Kyę do motelu o dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt pięć.

Kya przypomniała sobie, jak stanęła na progu restauracji ze świeczkami na stolikach i migoczącymi żyrandolami. Wysokie kieliszki do wina na białych obrusach. Eleganccy goście pogrążeni w cichej konwersacji. A ona w zwykłej spódnicy i bluzce. Zamówili z Robertem pstrąga w migdałach, dziki ryż, purée ze szpinaku i bułeczki. Czuła się przy nim swobodnie; prowadził rozmowę z niewymuszonym wdziękiem, skupiając się na bliskich jej tematach związanych z przyrodą.

Teraz sama się sobie dziwiła, jak dobrze się wtedy odnalazła. Ale nawet wieczór w tej lśniącej restauracji nie umywał się do jej ulubionych pikników. Pewnego dnia, kiedy miała piętnaście lat, Tate przypłynął do niej o świcie i opatuliwszy kocem, zabrał ją motorówką w rejs po rozlewiskach do lasu, w którym nigdy wcześniej nie była. Przeszli półtora kilometra na skraj podmokłej, porośniętej bujną trawą łąki, gdzie Tate rozłożył koc pod paprociami wielkimi jak parasole.

– No, to czekamy – powiedział, nalewając herbatę z termosu i częstując ją „szopimi jajami”, czyli klopsikami z okruchów bułeczek, kawałków ostrej kiełbasy i cheddara, które sam przygotował. Nawet w tej zimnej sali rozpraw wciąż czuła ciepło jego ramion, gdy okryci kocem, raczyli się tym cudownym piknikowym smakołykiem.

Nie musieli długo czekać. Po chwili z północy dobiegł ich uszu huk głośniejszy niż kanonada z dział.

– Lecą! – zawołał Tate.

Ujrzeli na horyzoncie wąską, ciemną chmurę, która zbliżyła się i wzbiła w niebo. Wrzask coraz bardziej się wzmagał, aż w końcu chmura przesłoniła cały błękit. Tysiące łopoczących skrzydłami i gęgających gęsi śnieżnych zasnuły świat aż po horyzont. Ptaki krążyły wokół i przysiadały na ziemi. Może nawet pół miliona białych skrzydeł błyskało *unisono* w słońcu, gdy rój różowo-pomarańczowych nóżek szukał sobie miejsca, by opaść na trawę. Istna nawałnica – jak okiem sięgnąć ani skrawka ziemi. Najpierw jedna, potem dziesięć, a w końcu setki gęsi osiadły tuż obok skrytych pod paprociami Kyi i Tate'a. Niebo opustoszało; łąkę zasnuł biały skrzydlaty puch.

Żadna elegancka restauracja nie mogła się z tym równać, a „szopie jaja" wygrywały o dwie długości z pstrągiem w migdałach.

– Widział pan, jak pani Clark wchodzi do pokoju?

– Oczywiście. Nim wróciłem do hotelu, otworzyłem jej drzwi i upewniłem się, że weszła do środka.

– Czy widział się pan z nią nazajutrz?

– Umówiliśmy się na śniadanie. Przyjechałem po nią o wpół do ósmej. Zjedliśmy naleśniki w Stack 'Em High, a potem o dziewiątej odwiozłem ją do motelu. Następnie zobaczyłem ją dopiero dzisiaj. – Zerknął na Kyę, lecz wpatrywała się w blat stołu.

– Dziękuję, panie Foster. Nie mam więcej pytań.

Eric podniósł się z miejsca.

– Zastanawia mnie, dlaczego pan zatrzymał się w hotelu Piedmont, najlepszym w okolicy, a pańskie wydawnictwo opłaciło pani Clark, utalentowanej autorce, jednej z waszych ulubionych, pobyt w tanim motelu Three Mountains.

– Naturalnie proponowaliśmy, a nawet polecaliśmy noclegi w Piedmoncie, ale nalegała, żeby zatrzymać się w motelu.

– Ach tak? Znała jego nazwę? Sama go wybrała?

– Tak. Napisała mi, że chce nocować w Three Mountains.

– Wyjaśniła dlaczego?

– Nie.

– A ja się mogę domyślać. Oto plan Greenville. – Eric pomachał nim, podchodząc do świadka. – Jak pan widzi, czterogwiazdkowy hotel Piedmont, który zaproponowaliście pani Clark, znajduje się w centrum, a motel Three Mountains przy drodze dwieście pięćdziesiąt osiem w pobliżu dworca autobusowego. Jeśli przestudiuje pan ten plan tak jak ja, przekona się pan, że to motel położony najbliżej dworca…

– Sprzeciw! – zawołał Tom. – Pan Foster nie jest wyrocznią w kwestiach topografii Greenville.

– Za to jest nią ten plan – odparł sędzia. – Dopuszczam tę argumentację. Prosimy dalej.

– Gdyby ktoś zamierzał jak najszybciej dostać się nocą na dworzec, zwłaszcza pieszo, byłoby całkiem logiczne, że wolałby zamieszkać w Three Mountains niż w Piedmoncie. Proszę tylko, by pan potwierdził, że pani Clark wolała zatrzymać się w motelu Three Mountains.

– Jak wspomniałem, sama go wybrała.

– Nie mam więcej pytań.

– Mecenasie? – Sędzia zwrócił się do Toma.

– Panie Foster, jak długo współpracuje pan z panią Clark?

– Od trzech lat.

– Czy uważa pan, że dobrze ją poznał poprzez listy, które do siebie wysyłaliście, mimo że nie znał jej pan, póki nie spotkaliście się w październiku w Greenville? A jeśli tak, to jak by ją pan opisał?

– Sądzę, że tak. Jest miłą, nieśmiałą osobą. Lubi samotne życie w głuszy. Trochę trwało, zanim ją namówiłem na przyjazd do Greenville. Z pewnością unika tłumów.

– Tłumów, jakie mogłaby spotkać w dużym hotelu, takim jak Piedmont?

– Tak.

– Czy powiedziałby pan, że nie był zaskoczony, gdy pani Clark, osoba ceniąca sobie samotność, wolała niewielki i dość odludny motel od wielkiego, hałaśliwego hotelu w centrum miasta? Że taki wybór jest zgodny z jej osobowością?

– Owszem.

– I czy jest to logiczne, że pani Clark, jednocześnie nieobeznana z transportem publicznym, a świadoma, że będzie musiała przejść z dworca do hotelu i z powrotem pieszo, w dodatku z walizką, wybrała motel położony najbliżej dworca?

– Jest.

– Dziękuję. To wszystko.

Po złożeniu zeznań Robert Foster usiadł za Kyą, koło Tate'a, Scuppera, Jodiego, Skoczka i Mabel.

*

Podczas popołudniowego posiedzenia sądu Tom powołał na świadka szeryfa.

Kya znała listę świadków obrony i wiedziała, że nie jest ona długa, co bardzo ją martwiło. Potem będą już tylko mowy końcowe i werdykt. Dopóki zeznawało na jej korzyść wielu świadków, mogła liczyć na uniewinnienie albo przynajmniej na odwleczenie wyroku, a jeśli procedury będą się ciągnąć w nieskończoność, ten może nigdy nie zapadnie. Od początku rozprawy próbowała wędrować myślami na łąki pełne gęsi, lecz wszędzie widziała tylko areszt, kraty i zawilgłe betonowe ściany. Wyobraźnia podsuwała jej obrazy krzesła elektrycznego. Tyle tych skórzanych pasków!

Nagle poczuła, że się dusi, że dłużej już tu nie wysiedzi, nie zdoła utrzymać głowy w pionie. Osunęła się na krześle. Tom zerknął w jej stronę. Ukryła twarz w dłoniach. Podbiegł do niej.

– Wysoki Sądzie, wnoszę o krótką przerwę. Pani Clark musi odpocząć.

– Zgoda. Piętnaście minut przerwy.

Tom pomógł Kyi wstać i szybko wyprowadził ją bocznymi drzwiami do niewielkiej sali konferencyjnej, gdzie natychmiast opadła na fotel. Usiadł obok i spytał:

– Kya, co ci jest?

Znów ukryła twarz w dłoniach.

– Jak możesz o to pytać? Nie rozumiesz? Jak można przeżyć coś takiego? Niedobrze mi, nie mam siły tam siedzieć. Muszę? Nie mogą kontynuować beze mnie?

Marzyła tylko o jednym: wrócić do celi i zwinąć się na łóżku z Niedzielnym Sędzią.

– Niestety, to niemożliwe. W procesach o zabójstwo prawo wymaga obecności oskarżonego.

– A jeśli nie daję rady? A jeśli odmówię? Jedyne, co mogą zrobić, to wtrącić mnie do celi.

– Kyu, takie są przepisy. Musisz być obecna, zresztą to działa na twoją korzyść. Przysięgłym łatwiej skazać kogoś, kogo nie ma w sali. Już niedługo.

– To żadna pociecha, bo to, co nastąpi później, będzie jeszcze gorsze.

– Nie wiadomo. Nie zapominaj, że od wyroku można się odwołać.

Nie odpowiedziała. Myśl o apelacji jeszcze bardziej ją przeraziła. Oczyma wyobraźni ujrzała przemarsz przez kolejne sale rozpraw, coraz odleglejsze od mokradeł. Pewnie w dużych miastach. Pod niebem bez mew. Tom wyszedł na chwilę i wrócił ze szklanką słodkiej mrożonej herbaty i paczką solonych

orzeszków. Kya wypiła herbatę, orzeszki zignorowała. Po paru minutach do drzwi zapukał strażnik i poprowadził ich z powrotem do sali. Umysł Kyi rejestrował tylko skrawki rzeczywistości i strzępy zeznań świadka.

– Szeryfie, prokuratura utrzymuje, że pani Clark wymknęła się nocą z motelu i poszła na dworzec autobusowy; taki spacer trwa co najmniej dwadzieścia minut. Następnie wsiadła do autobusu i o dwudziestej trzeciej pięćdziesiąt wyruszyła z Greenville do Barkley Cove, jednak autobus miał opóźnienie, więc dojechałaby na miejsce o pierwszej czterdzieści. Ponadto pan prokurator twierdzi, że przeszła z przystanku w Barkley na nabrzeże, co zajmuje trzy, cztery minuty, popłynęła do zatoczki nieopodal wieży obserwacyjnej – znów co najmniej dwadzieścia minut – udała się do wieży, osiem minut, wspięła się na nią w kompletnych ciemnościach, co trwałoby znowu od czterech do pięciu minut, w parę sekund odsunęła kratę i czekała tam na Chase'a, trudno powiedzieć jak długo, a potem musiała wykonać te wszystkie czynności w odwrotnej kolejności. Zajęłoby jej to minimum godzinę i siedem minut, nie licząc czasu, gdy czekała tam na Chase'a. Tymczasem powrotny autobus do Greenville, na który musiałaby zdążyć, odjeżdżał ledwie pięćdziesiąt minut po jej rzekomym przyjeździe. Zatem sprawa jest oczywista: miała za mało czasu na popełnienie tego przestępstwa. Mam rację?

– Faktycznie, niewiele, ale mogła przebiec od łódki do wieży i z powrotem i oszczędzić parę minut.

– Parę minut to za mało. Potrzebowałaby dwudziestu. Co najmniej. W jaki sposób mogłaby je zyskać?

– Może wcale nie popłynęła łódką, tylko poszła albo pobiegła z przystanku przy Main Street tą piaszczystą ścieżką, która prowadzi do wieży. Dotarłaby nią tam dużo szybciej.

Eric Chastain wbił wzrok w szeryfa. Przecież bez większego wysiłku przekonał przysięgłych, że Kya miała dość czasu, żeby zabić i wrócić na przystanek. W dodatku prokuratura miała kluczowego świadka, poławiacza krewetek, który zeznał, że widział oskarżoną płynącą łódką w stronę wieży.

– Czy dysponuje pan dowodami na to, że pani Clark przebyła tę drogę pieszo?

– Nie, ale to dobra hipoteza.

– „Hipoteza”? – Tom zwrócił się do przysięgłych. – Na „hipotezy” miał pan czas, zanim aresztował panią Clark i wtrącił na dwa miesiące do celi. Po prostu nie może pan udowodnić, że przebyła tę drogę pieszo, a łódką nie zdążyłaby tego zrobić. Nie mam więcej pytań.

Eric stanął na wprost szeryfa.

– Czy to prawda, że wody w okolicach Barkley Cove obfitują w silne prądy, które mają wpływ na prędkości osiągane przez łodzie?

– Tak. Wszyscy tutejsi o tym wiedzą.

– Zatem ktoś, kto umie je wykorzystać, bardzo szybko dotarłaby łodzią z portu do wieży? Nie miałby wtedy problemu, żeby zyskać dwadzieścia minut na podróży w obie strony, zgadza się? – Eric był poirytowany, że musi uciekać się do kolejnej hipotezy, ale przecież potrzebował jakiejś teorii, do której przekona przysięgłych.

– Owszem.

– Dziękuję.

Gdy Eric skończył, Tom natychmiast wstał.

– Szeryfie, czy ma pan jakieś dowody, że prąd odpływowy bądź silny wiatr skrócił czas potrzebny do pokonania łódką dystansu dzielącego Barkley Cove od wieży w noc z dwudziestego dziewiątego na trzydziestego października lub

jakikolwiek dowód na to, że pani Clark przebyła tę drogę pieszo? Tak czy nie?

– Nie, ale jestem przekonany, że…

– Szeryfie, pańskie przekonania są tu bez znaczenia. Czy ma pan dowody na wystąpienie silnego prądu nocą dwudziestego dziewiątego października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku?

– Nie mam.

53.

Brakujące ogniwo

1970

Nazajutrz Tomowi został już tylko jeden świadek. Ostatni atut. Wezwał Tima O'Neala, który od trzydziestu ośmiu lat był właścicielem kutra łowiącego krewetki w okolicach Barkley Cove. Tim miał już prawie sześćdziesiąt pięć lat. Był wysokim szatynem o mocnej posturze, z bujną czupryną i gęstą, niemal całkowicie siwą brodą. Cieszył się opinią człowieka milczącego, poważnego, uczciwego i szarmanckiego, który zawsze przepuszczał kobiety w drzwiach. Idealny ostatni świadek.

– Tim, czy to prawda, że w nocy z dwudziestego dziewiątego na trzydziestego października ubiegłego roku, między godziną pierwszą czterdzieści pięć a drugą, wprowadziłeś swój kuter do portu w Barkley Cove?

– Tak.

– Dwaj członkowie twojej załogi, powołany na świadka Hal Miller oraz Allen Hunt, który złożył zeznanie na piśmie, utrzymują, że widzieli panią Clark, która minęła swoją łodzią

port i skierowała się na północ mniej więcej w czasie, o którym wspomniałem. Wiesz o tych zeznaniach?

– Wiem.

– Czy ty też widziałeś w tym czasie i miejscu motorówkę, którą widzieli Miller i Hunt?

– Tak.

– I potwierdzasz, że to pani Clark płynęła nią na północ?

– Nie.

– Czemu?

– Było ciemno, dopiero później wychynął księżyc. Łódka była za daleko, żebym mógł ją rozpoznać. Znam tu wszystkich, którzy mają takie motorówki, i wielokrotnie widywałem panią Clark, więc od razu bym ją rozpoznał. Ale tamtej nocy było za ciemno, żebym miał pewność, że to ona.

– Dziękuję, nie mam więcej pytań.

Eric stanął tuż obok świadka.

– Nawet jeśli nie rozpoznałeś łodzi ani osoby, która nią płynęła, zgodzisz się, że motorówka tej samej wielkości i kształtu co łódka pani Clark zmierzała w stronę wieży około godziny pierwszej czterdzieści pięć tamtej nocy w porze, o której zginął Chase Andrews?

– Rzeczywiście, była to podobna łódka.

– Bardzo dziękuję.

Na co Tom wstał i spytał:

– Dla jasności. Zeznałeś, że wielokrotnie rozpoznawałeś łódkę pani Clark i ją samą, ale tamtej nocy nie dojrzałeś niczego, co potwierdziłoby, że była to pani Clark i jej motorówka, zgadza się?

– Tak.

– Czy w okolicy jest dużo takich łódek?

– Tak. To jeden z najpopularniejszych modeli w tym rejonie. Pływa tu mnóstwo takich łodzi.

– Czyli osoba, która nią płynęła, mogła być kimkolwiek w podobnej motorówce?

– Bezwzględnie.

– Dziękuję. Wysoki Sądzie, to wszystko.

– Ogłaszam dwudziestominutową przerwę.

Na mowę końcową Eric stawił się w krawacie w szerokie złoto-ciemnoczerwone pasy. Publiczność czekała w napięciu, gdy zbliżył się do przysięgłych i stanął przy barierce, świadomie przenosząc wzrok na kolejne osoby siedzące po drugiej stronie.

– Szanowni państwo, jesteście członkami społeczności tego dumnego i wyjątkowego miasta. W zeszłym roku straciliście jednego z waszych synów, waszą chlubę, młodego człowieka, który miał przed sobą całe życie u boku swojej pięknej…

Do Kyi ledwo docierała relacja prokuratora na temat tego, jak to zamordowała Chase'a. Siedziała oparta łokciami o blat stołu z twarzą ukrytą w dłoniach i słyszała tylko strzępki jego przemowy.

– …Dwie osoby dobrze znane tutejszym mieszkańcom widziały panią Clark i Chase'a w lesie… Słyszały jej słowa: „Zabiję cię!". Czerwona czapka, której włókna przylgnęły do jego dżinsowej kurtki… Któż inny chciałby ściągnąć mu ten wisiorek… Tutejsze prądy i wiatry mogą zdecydowanie zwiększyć prędkość łodzi… Znamy ją i wiemy, że potrafi pływać nocą i wspiąć się po ciemku na wieżę. Wszystko się zgadza. Każdy jej ruch tamtej nocy jest oczywisty. Musicie uznać, że oskarżona jest winna zabójstwa pierwszego stopnia. Dziękuję, że zechcieliście spełnić swój obowiązek.

*

Sędzia Sims skinął na Toma, który podszedł do ławy przysięgłych.

– Szanowni państwo, wychowałem się w Barkley Cove i nasłuchałem się wielu dziwnych opowieści o Dziewczynie z Bagien. Tak, powiedzmy to sobie wprost. Właśnie tak ją nazywaliśmy. Wielu nazywa ją tak do tej pory. Ludzie szeptali, że to półwilczyca albo brakujące ogniwo między małpą a człowiekiem. Że jej oczy żarzą się nocą. Tymczasem w rzeczywistości była tylko porzuconym dzieckiem, małą dziewczynką walczącą o przetrwanie na bagnach, głodną i zziębniętą. I nie pomogliśmy jej. Nikt oprócz jedynego przyjaciela, Skoczka, żaden kościół, żadna organizacja dobroczynna nie przekazywały jej jedzenia ani ubrań. Naznaczyliśmy ją i odrzuciliśmy, bo uznaliśmy, że jest inna. Tylko, drodzy państwo, czy wykluczyliśmy ją, bo była inna, czy też stała się inna, bo ją wykluczyliśmy? Gdybyśmy potraktowali Catherine Clark jak jedną z nas, sądzę, że byłaby dziś jedną z nas. Gdybyśmy ją karmili, odziewali, kochali, zapraszali do naszych świątyń i domów, nie mielibyśmy wobec niej uprzedzeń. I myślę, że nie siedziałaby tu teraz oskarżona o zabójstwo. Spadło dziś na wasze barki zadanie osądzenia tej nieśmiałej i odrzuconej młodej kobiety. Niech podstawą osądu będą fakty przedstawione w tej sali podczas rozprawy, a nie pokutujące tu od blisko dwudziestu lat plotki i pomówienia. A jakie są niepodważalne fakty?

Podobnie jak podczas wystąpienia prokuratora, Kya wyłapywała tylko strzępy.

– …Prokuratura nie zdołała nawet udowodnić, że zdarzenie to było zabójstwem, a nie nieszczęśliwym wypadkiem. Nie ma narzędzia zbrodni, obrażeń wskazujących na wypchnięcie ofiary z wieży, żadnych świadków ani odcisków palców… Udało się tylko udowodnić jedną ważną rzecz: że pani Clark ma

mocne alibi. Wiemy, że była w Greenville tej nocy, gdy zginął Chase… Brak dowodów na to, że przebrana za mężczyznę wróciła autobusem do Barkley… Prokuratura nie wykazała, że oskarżona w ogóle była tamtej nocy w Barkley Cove i że dotarła do wieży. Powtarzam, nie ma ani jednego dowodu na to, że pani Clark przebywała na wieży czy w Barkley Cove i że zabiła Chase'a Andrewsa… Szyper Tim O'Neal, który od trzydziestu ośmiu lat łowi swoim kutrem krewetki, zeznał, że było zbyt ciemno, by rozpoznać łódź… Włókna z czapki mogły być na tej kurtce od czterech lat… To wszystko niepodważalne fakty… Ani jeden świadek oskarżenia nie był pewien tego, co widział. Ani jeden. Tymczasem wszyscy świadkowie obrony są stuprocentowo pewni swoich zeznań…

Tom zatrzymał się przed ławą przysięgłych.

– Większość z was dobrze znam i wiem, że potraficie odłożyć na bok uprzedzenia. Mimo że Catherine Clark spędziła w szkole tylko jeden dzień – bo inne dzieci jej dokuczały – sama się wyedukowała i została znaną przyrodniczką i autorką książek. Nazywaliśmy ją Dziewczyną z Bagien, a teraz instytuty naukowe widzą w niej Znawczynię Bagien. Wierzę, że nie dacie wiary plotkom i niestworzonym opowieściom. I wierzę, że podejmiecie decyzję, biorąc pod uwagę fakty, z którymi się tu zapoznaliście, a nie krzywdzące pogłoski, których słuchaliście latami. Już czas, żeby wreszcie sprawiedliwie potraktować Dziewczynę z Bagien.

54.

Dokładnie na odwrót

1970

Tom wskazał Tate’owi, Jodiemu, Scupperowi i Robertowi Fosterowi, by usiedli w niewielkiej sali konferencyjnej na krzesłach nie od kompletu, ustawionych przy prostokątnym stole z blatem poplamionym kawą. Ściany pokrywały dwa odcienie obłażącej farby – limonkowej na górze i ciemnozielonej na dole. W pomieszczeniu unosił się stęchły odór bijący od starych murów i mokradeł.

– Możecie tu poczekać – oznajmił im, zamykając drzwi. – W holu naprzeciwko gabinetu asesora stoi automat z kawą, ale jest ohydna. W barze jest niezła. Minęła jedenasta. Później zobaczymy, co z lunchem.

Tate podszedł do okna zabezpieczonego białą kratą – najwyraźniej ci, którzy czekali tu na werdykt, nieraz próbowali stąd uciec.

– Dokąd zabrali Kyę? – spytał. – Do celi? Musi tam czekać w samotności?

– Tak, jest w areszcie. Zaraz do niej pójdę.

– Ile może potrwać debata przysięgłych? – spytał Robert.

– Trudno przewidzieć. Kiedy liczysz, że krótko, potrafią deliberować wiele dni, i na odwrót. Większość pewnie już podjęła decyzję, i to raczej niekorzystną dla Kyi. Jeśli kilku się waha i spróbuje przekonać pozostałych, że nie udowodniono jej winy ponad wszelką wątpliwość, jest jakaś szansa.

W milczeniu pokiwali głowami. Słowa „ponad wszelką wątpliwość" zabrzmiały, jakby winę udowodniono, ale nie do końca.

– Dobra – ciągnął Tom. – Pójdę do niej, a potem zabieram się do pracy. Muszę przygotować wnioski odwoławcze, a także wniosek o unieważnienie procesu z uwagi na uprzedzenia przysięgłych. Pamiętajcie, nawet jeśli ją skażą, to jeszcze nie koniec. Zdecydowanie nie koniec. Będę się tu kręcił i jeśli pojawią się jakieś wieści, dam wam znać.

– Dzięki – odezwał się Tate. – Powiedz jej, że tu jesteśmy i że, jeśli chce, możemy do niej pójść – dorzucił, choć w ostatnich dniach Kya dopuszczała do siebie wyłącznie Toma, a przez dwa miesiące niemal nikogo.

– Jasne, przekażę – odpowiedział Tom i wyszedł.

Skoczek i Mabel wraz z nielicznymi innymi czarnoskórymi musieli czekać na werdykt na porośniętym trawą i palmiczkami skwerze przed budynkiem sądu. Gdy tylko rozłożyli na ziemi barwne narzuty i wyjęli z papierowych toreb bułeczki i kiełbasę, nagła ulewa sprawiła, że musieli to wszystko zgarnąć i szukać schronienia pod daszkiem stacji benzynowej. Lane wrzasnął, żeby nie wchodzili do środka – o czym doskonale wiedzieli – i nie przeszkadzali klientom. Tymczasem część białych tłoczyła się w Dog-Gone, popijając kawę, a inni stanęli grupką na ulicy, osłaniając się przed deszczem kolorowymi parasolami. Dzieci biegały po kałużach i zajadały popcorn z orzeszkami i karmelem, jakby czekały na paradę.

*

Kya sądziła, że wie, co to samotność, bo przecież była ona jej udziałem przez miliony minut. Całe życie wpatrywała się w stary kuchenny stół, puste pokoje i bezmiar wody i traw. Nie miała z kim dzielić radości ze znalezionego pióra czy namalowanej akwareli. Recytowała wiersze mewom.

Kiedy Jacob zatrzasnął kratę celi, zniknął w korytarzu i zamknął za sobą dudniące ciężkie drzwi, wokół zapanowała zimna cisza. Wyczekiwanie na werdykt w procesie o zabójstwo przyniosło Kyi całkiem inny rodzaj samotności. Nie rozmyślała nad tym, czy będzie żyć, czy umrze; o wiele bardziej przerażała ją myśl o latach, które może spędzić samotnie bez swoich mokradeł. Bez mew, bez oceanu, bez gwiazd na niebie.

Jej irytujący współtowarzysze zostali zwolnieni. Niemal tęskniła za ich bezustannym gadaniem – za obecnością drugiego człowieka, nawet tą najgorszą. Teraz została jedyną lokatorką tego długiego, betonowego tunelu, pełnego krat i zamków.

Zdawała sobie sprawę z ogromu żywionych wobec niej uprzedzeń. Jeśli werdykt zapadnie szybko, będzie to oznaczało brak wahań, czyli wyrok skazujący. Przypomniała sobie o szczękościsku – życiu w konwulsjach z widmem śmierci.

Przemknęło jej przez głowę, żeby przystawić skrzynię do okna i wypatrywać nad mokradłami drapieżnych ptaków. Wciąż jednak siedziała na łóżku. W ciszy.

*

Po dwóch godzinach, o trzynastej, Tom otworzył drzwi sali, w której czekali Tate, Jodie, Scupper i Robert Foster.

– Mam wieści.

– Jakie? – Tate podniósł głowę. – Chyba jeszcze nie werdykt?

– Nie. Ale myślę, że wiadomość jest dobra. Przysięgli poprosili o protokoły zeznań kierowców autobusów. A to oznacza, że się zastanawiają, zamiast wydać werdykt od ręki. Zeznania kierowców są tu kluczowe. Obaj stwierdzili, że nie wieźli Kyi, a co do przebieranek, jeden z nich też nie był pewien. Czasami zeznania na piśmie są dla przysięgłych bardziej oczywiste. Zobaczymy, ale jest promyk nadziei.

– Dobre i to – ocenił Jodie.

– Pora coś zjeść. Idźcie do restauracji. Jakby co, od razu dam wam znać.

– Wolę nie – rzucił Tate. – Wszyscy tam rozprawiają, jaka to Kya jest winna.

– Dobrze, wyślę mojego pracownika po hamburgery, może być?

– Jasne. Dzięki – odpowiedział Scupper i wyjął z portfela kilka dolarów.

*

Kwadrans po drugiej wpadł do nich Tom z wiadomością, że przysięgli zażądali protokołu zeznań koronera.

– Nie wiem, czy to dobrze, czy źle.

– Cholera! – zaklął Tate. – To nie do zniesienia!

– Spokojnie. To może potrwać jeszcze parę dni. Będę was informował.

Zasępiony Tom znów pojawił się w drzwiach o czwartej.

– Panowie, przysięgli ustalili werdykt. Sędzia wzywa wszystkich do sali.

– Co to oznacza? Szybko im poszło – zafrasował się Tate.

– No, już, chodź. – Jodie chwycił go za ramię.

Korytarzem sunął strumień przepychających się ludzi ciągnących od wejścia do budynku. Towarzyszyła im woń stęchlizny, papierosów, przemokniętych włosów i ubrań.

Sala zapełniła się w niecałe dziesięć minut. Wiele osób, które nie znalazły miejsca, tłoczyło się w holu i na schodach. O wpół do piątej strażnik wprowadził Kyę. Pierwszy raz podtrzymywał jej łokieć. Zdawało się, że mogłaby zemdleć, gdyby tego nie zrobił. Ani razu nie oderwała wzroku od podłogi. Tate wpatrywał się w jej twarz. Musiał się przemóc, żeby opanować mdłości.

Protokolantka, panna Jones, zajęła miejsce przy biurku. Potem, niczym smutny chór żałobny, w ławkach zasiedli przysięgli. Pani Culpepper zerknęła na Kyę, pozostali patrzyli przed siebie. Tom próbował wyczytać coś z ich twarzy. W galerii dla publiczności nikt nie kaszlnął ani nawet nie zaszurał.

– Proszę wstać.

Otworzyły się drzwi i za stołem usiadł sędzia Sims.

– Proszę usiąść. Panie przewodniczący, czy przysięgli ustalili werdykt?

Siedzący w pierwszym rzędzie pan Tomlinson, małomówny właściciel sklepu z obuwiem, wstał.

– Tak, Wysoki Sądzie.

Sędzia spojrzał na Kyę.

– Proszę oskarżoną o powstanie. Za chwilę zostanie ogłoszony werdykt.

Tom ujął ją za ramię i pomógł dźwignąć się z krzesła. Tate położył dłoń na barierce tak blisko Kyi, jak tylko się dało. Skoczek chwycił Mabel za rękę.

Nikt obecny w tej sali jeszcze nigdy nie doświadczył takiej wspólnoty bijących serc i wstrzymanych oddechów. Nerwowe spojrzenia, spocone dłonie. Poławiacz krewetek, Hal Miller,

wciąż bił się z myślami, próbując przekonać samego siebie, że naprawdę widział tamtej nocy łódkę pani Clark. A jeśli się pomylił? Większość zgromadzonych wpatrywała się nie w tył głowy Kyi, lecz w podłogę i ściany. Zupełnie jakby to nie ona, lecz miasteczko czekało na werdykt; paru odczuwało złośliwą satysfakcję na myśl, co się teraz zdarzy.

Przewodniczący Tomlinson wręczył karteczkę strażnikowi, który przekazał ją sędziemu. Ten rozwinął ją i przeczytał z kamienną twarzą. Następnie strażnik podał karteczkę protokolantce, pannie Jones.

– Niech ktoś nam to wreszcie przeczyta! – wypalił Tate.

Panna Jones wstała, obróciła się do Kyi, rozwinęła karteczkę i przeczytała:

– Ława przysięgłych uznaje Catherine Danielle Clark za niewinną zabójstwa Chase'a Andrewsa.

Kya opadła na krzesło, a Tom za nią.

Tate zamrugał. Jodie łapczywie wciągnął powietrze. Mabel zaszlochała. Publiczność siedziała bez ruchu. Pewnie czegoś nie zrozumieli. „Niewinna?". Pytanie najpierw zadawane szeptem, a potem głośno i ze złością. Pan Lane krzyknął:

– Nie może być!

Sędzia uderzył młotkiem w stół.

– Cisza! Pani Clark, przysięgli uznali panią za niewinną stawianych jej zarzutów. Jest pani wolna. Wyrażam ubolewanie w imieniu władz stanowych, że musiała pani spędzić dwa miesiące w areszcie. Dziękuję przysięgłym za poświęcony czas i spełnienie obywatelskiego obowiązku. Koniec posiedzenia.

Wokół rodziców Chase'a zebrała się grupka osób. Patti Love płakała. Sarah Singletary patrzyła gniewnie, jak inni, ale w duchu czuła ogromną ulgę. Panna Pansy liczyła, że nikt nie zauważy, iż jej twarz łagodnieje. Po policzku pani Culpepper

spłynęła pojedyncza łza, a potem pojawił się u niej blady uśmiech; małej wagarowiczce z bagien znów się udało.

W głębi, pod ścianą stanęło kilku mężczyzn w drelichach.

– Ci przysięgli muszą się z tego wytłumaczyć.

– Eric nie może wystąpić o unieważnienie procesu? Nie można go powtórzyć?

– Nie. Zapomniałeś? Za zabójstwo nie mogą jej sądzić dwa razy. Jest wolna. Wywinęła się.

– Szeryf zawalił sprawę. Nie trzymał się jednej wersji, tylko wciąż coś wymyślał. Tu hipoteza, tam hipoteza.

– A puszył się, jakby grał w westernie!

Ta grupka zawiedzionych szybko się jednak rozpierzchła. Wychodząc, rozmawiali już tylko o tym, jak tu się wyrobić z pracą i że po deszczu zrobiło się chłodniej.

Jodie i Tate minęli drewnianą bramkę i podbiegli do Kyi, a za nimi Scupper, Skoczek, Mabel i Robert. Otoczyli ją kołem. Nie dotykali jej, ale stali bardzo blisko. Tymczasem Kya siedziała bez ruchu.

– Możesz wrócić do domu – przerwał milczenie Jodie. – Podwieźć cię?

– Tak.

Kya wstała i podziękowała Robertowi, że przyjechał tu aż z Bostonu. Uśmiechnął się.

– Zapomnij o tych bredniach i bierz się do pracy.

Kya pogłaskała Skoczka po ręce. Mabel przytuliła ją do piersi. Potem Kya zwróciła się do Tate’a.

– Dziękuję za wszystkie te rzeczy, które mi przyniosłeś.

Później spojrzała na Toma i zabrakło jej słów, a on ją uściskał. Następnie zerknęła na Scuppera. Tate nigdy mu jej nie przedstawił, ale widziała po jego oczach, że wie, z kim ma do czynienia. Skinęła do niego głową, a ten – ku wielkiemu zaskoczeniu – położył rękę na jej ramieniu i delikatnie uścisnął.

Następnie Kya i Jodie ruszyli za strażnikiem do bocznego wyjścia. Kiedy mijali okienny parapet, musnęła ogon Niedzielnego Sędziego. Zignorował ją. Była pod wrażeniem. Żeby do tego stopnia umieć udawać, że nie muszą się żegnać!

Gdy otworzyły się drzwi, Kya poczuła na twarzy oddech oceanu.

55.

Kwitnące trawy

1970

Samochód Jodiego stoczył się z asfaltu na piaszczystą drogę. Brat przemawiał łagodnie, powtarzał, że wszystko będzie dobrze, że potrzeba tylko trochę czasu. Kya spoglądała na trzciny, czaple, sosny i połyskujące w słońcu rozlewiska. Obróciła głowę, by przyjrzeć się dwóm pluskającym się w wodzie bobrom. Niczym migrująca rybitwa, która pokonuje kilkanaście tysięcy kilometrów, by osiąść na rodzimym brzegu, wracała do domu pełna tęsknot i nadziei. Ledwo słuchała paplaniny Jodiego. Wolałaby, żeby zamilkł i wsłuchał się w pustkowie. Może wtedy by zrozumiał.

Zaparło jej dech, gdy samochód pokonał ostatni zakręt i ujrzała swoją starą, przycupniętą pod dębami chatę. Oplątwa bujała się w lekkiej bryzie nad przerdzewiałym dachem, a w cieniu nad laguną stała czapla na jednej nodze. Jak tylko się zatrzymali, Kya wyskoczyła z auta i pobiegła do chaty. Pogładziła łóżko, stół i piec. Uprzedziwszy jej życzenia, Jodie zostawił na kuchennym blacie torbę z okruchami chleba. Kya

od razu odzyskała wigor, zabrała ją i pędem ruszyła na plażę. Łzy spłynęły po jej policzkach, gdy zewsząd zleciały się mewy. Rudzielec osiadł na piasku i zaczął dreptać wokół niej, przekręcając łepek.

Kya przyklękła wśród ptaków na plaży, czując, że drży.

– Nigdy nikogo o nic nie prosiłam. Może teraz dadzą mi spokój.

Jodie zaniósł do chaty jej skromny bagaż i zaparzył herbatę w starym czajniczku, a potem usiadł przy stole i czekał. Wreszcie usłyszał skrzypienie drzwi na ganku. Kya weszła do kuchni.

– Jeszcze tu jesteś? – zdziwiła się. Pewnie, że był, przecież przed chatą wciąż stał jego samochód.

– Błagam, usiądź na chwilę – poprosił. – Chcę porozmawiać.

Nie usiadła.

– Wszystko w porządku, Jodie. Naprawdę.

– Czyli mam już iść? Samotnie spędziłaś w tej celi dwa miesiące w przekonaniu, że całe miasto jest przeciwko tobie. Nie chciałaś żadnych gości. Rozumiem to, serio, ale nie sądzę, że powinienem zostawiać cię teraz samą. Chcę zostać kilka dni. Mogę?

– Byłam sama niemal całe życie, nie przez dwa miesiące! I to nie przekonanie, tylko pewność, że całe miasto było przeciwko mnie!

– Nie pozwól, by to koszmarne doświadczenie sprawiło, że jeszcze bardziej odsuniesz się od ludzi. To było rzeczywiście potworne, ale masz szansę, żeby zacząć wszystko od nowa. Może ten werdykt to obietnica, że teraz cię zaakceptują.

– Większość nie potrzebuje uniewinnienia od zarzutu zabójstwa, żeby ich zaakceptowali.

– Wiem. Masz wszelkie powody, żeby nienawidzić ludzi. Nie dziwię ci się, ale…

– I właśnie tego nikt nie rozumie! – Kya podniosła głos. – To nie ja ich nienawidziłam! To oni nienawidzili mnie! Śmiali się ze mnie. Porzucali. Dręczyli. Atakowali. To prawda, że nauczyłam się żyć bez nich. Bez ciebie. Bez mamy! Bez nikogo!

Chciał ją przytulić, ale się wyrwała.

– A może po prostu jestem tylko zmęczona. Wręcz wyczerpana. Proszę cię, muszę sama to sobie poukładać, proces, areszt, myśli o karze śmierci, przecież zawsze robiłam wszystko sama. Nie umiem być pocieszana. Jestem zbyt zmęczona nawet na tę rozmowę. Ja… – Tu jej głos się załamał.

Nie poczekała, aż jej odpowie, tylko wyszła z chaty do lasu. Nie ruszył za nią, wiedząc, że to bez sensu. Poczeka. Dzień wcześniej zrobił zakupy, na wypadek gdyby ją uniewinnili. Posiekał warzywa do jej ulubionego dania – domowego placka z kurczakiem. Gdy jednak zaszło słońce, uznał, że nie będzie wchodził jej w paradę; zostawił skwierczący placek na blasze i wyszedł przed chatę. Kya była na plaży. Gdy usłyszała warkot silnika jego auta wolno sunącego ścieżką, pobiegła do domu.

Woń chrupiącego ciasta wypełniała chatę aż pod sufit, ale Kya nie była głodna. Usiadła w kuchni, wyjęła farby i rozmyślała nad kolejną książką, tym razem o trawach. Ludzie rzadko o nich myśleli, chyba że akurat je kosili, deptali po nich bądź truli jako chwasty. Kya gorączkowo przesuwała pędzel po płótnie; jej trawa była bardziej czarna niż zielona. Powstał posępny widok – uschnięta łąka pod burzowymi chmurami? Trudno to było ocenić.

Kya spuściła głowę i zaszlochała.

– Dlaczego jestem taka zła? Akurat teraz. Dlaczego byłam taka wredna dla Jodiego?

Osunęła się na podłogę, bezwładnie niczym szmaciana lalka. Zwinąwszy się w kłębek, zapłakana, chciała przytulić się do

jedynego stworzenia, które bezwarunkowo ją akceptowało. Ale ten kot został w sądzie.

Tuż przed zmierzchem poszła na plażę, gdzie mewy czyściły sobie piórka, szykując się do snu. Gdy brodziła w wodzie, fragmenty muszli i krabów muskały jej stopy, spływając z falami do oceanu. Podniosła dwa pióra pelikana, takie jak to, które Tate wsunął między hasła na „P” do słownika – prezentu gwiazdkowego sprzed lat – i wyszeptała wiersz Amandy Hamilton:

Znowu przyszedłeś
I mnie oślepiłeś
Jak słońce lśniące na wodzie.
Czuję się wolna
Księżyc wyświetla twoją twarz na progu.
Zawsze, gdy cię zapominam,
Śledzisz wzrokiem me serce i ono przycicha.
Zatem bywaj,
Do następnego razu
Póki wreszcie cię nie ujrzę.

Nazajutrz, jeszcze przed świtem, Kya przysiadła na materacu na ganku i koiła serce bujną wonią mokradeł. Gdy do kuchni zajrzały pierwsze promienie słońca, ugotowała kaszę, usmażyła jajecznicę i upiekła bułeczki – tak lekkie i puchate jak te, które robiła mama. Zjadła wszystko do ostatniego kęsa. Potem, kiedy wzeszło słońce, wsiadła do łódki i popłynęła przez lagunę, zanurzając palce w głębokiej, przejrzystej wodzie.

Dryfując przesmykiem, przemawiała do żółwi i czapli z rękami wyciągniętymi ku niebu. Była w domu.

– Będę zbierać okazy przez cały dzień, wszystko, co zechcę.

Gdzieś z tyłu głowy czaiła się myśl, że może zobaczy Tate'a. Może prowadzi badania gdzieś w okolicy i się na niego natknie. Mogłaby go zaprosić do chaty na placek z kurczakiem, który upiekł Jodie.

*

Niecałe dwa kilometry dalej Tate brodził w płytkiej wodzie, pobierając próbki do fiolek. Za każdym razem, kiedy zrobił krok albo zanurzył rękę, na tafli wody tworzyły się drobne fale. Zaplanował sobie, że będzie się kręcił w pobliżu chaty Kyi. Może wypłynie na mokradła i się spotkają. A jeśli nie, to wprosi się do niej wieczorem. Nie wiedział jeszcze, co jej powie. Pomyślał tylko, że będzie ją całować i może wtedy ona wreszcie zmądrzeje.

Usłyszał z oddali gniewny ryk silnika, dużo głośniejszy niż warkot motorówki, przebijający wszystkie odgłosy mokradeł. Podążał w jego stronę. Nagle Tate dostrzegł poduszkowiec, nowy wynalazek, którego nigdy wcześniej nie widział. Ślizgał się chełpliwie ponad lustrem wody, a nawet nad kępami trawy, pozostawiając za sobą mokrą mgiełkę. Brzmiał jak głos dziesięciu syren.

Miażdżąc zarośla i szuwary, zatoczył koło, przeciął własny szlak i pomknął przez rozlewisko. Czaple podniosły krzyk. Przy sterze stało trzech mężczyzn. Gdy zobaczyli Tate'a, skręcili w jego kierunku. Rozpoznał szeryfa Jacksona i jego zastępcę. Tego trzeciego nie znał.

Szpanerska łódź osiadła rufą na wodzie i się zatrzymała. Szeryf krzyknął coś do Tate'a, lecz nawet przyłożywszy dłonie do uszu, nie dosłyszał go w tym jazgocie. Tamci podpłynęli do jachtu, wywołując fale, które sięgały Tate'owi do ud. Szeryf pochylił się i znów wrzeszczał.

Kya też usłyszała ten dziwny odgłos silnika. Ruszyła w tamtą stronę i zobaczyła, jak poduszkowiec zbliża się do Tate'a. Skryła się w zaroślach i patrzyła, jak Tate słucha słów szeryfa, po czym staje bez ruchu i zrezygnowany opuszcza głowę i ramiona. Nawet z daleka Kya wyczuła, że jest załamany. Szeryf znów coś krzyknął. Tate podał rękę zastępcy szeryfa i ten wciągnął go na pokład. Trzeci z mężczyzn zeskoczył do wody i wdrapał się na jacht Tate'a. Jej przyjaciel stał ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w ster, gdy dwaj mundurowi zawrócili łódź i pomknęli w stronę Barkley Cove. Potem podążył za nimi ten trzeci, na jachcie.

Kya patrzyła, jak łodzie znikają za kępą nurzańca. Dlaczego go zatrzymali? Czy ma to jakiś związek ze śmiercią Chase'a? Aresztowali go?

Ogarnęła ją rozpacz. Wreszcie po tak długim czasie przyznała się przed samą sobą, że – odkąd skończyła siedem lat – wiodła ją na mokradła nadzieja, że go ujrzy, jak wyłania się zza zakola strumienia. Że będzie na niego patrzeć, schowana wśród trzcin. Znała jego ulubione laguny i przesmyki na grzęzawiskach. Zawsze podążała za nim w bezpiecznej odległości. Przyczajona, podkradała miłość, nie dzieliła się nią. Bo przecież nie spotka jej krzywda, kiedy będzie go kochać, podpatrując z drugiego brzegu rozlewiska. Przez te wszystkie lata, gdy go odrzucała, przetrwała, bo wciąż był gdzieś na mokradłach i czekał. A teraz być może go zabraknie.

Obejrzała się za cichnącą w oddali dziwną łódką. Skoczek wiedział wszystko, więc będzie też wiedział, dlaczego szeryf zatrzymał Tate'a i czy ona, Kya, może mu jakoś pomóc.

Odpaliła silnik i pomknęła przez mokradła.

56.

Ślepowron

1970

Cmentarz w Barkley Cove krył się wśród tuneli cienistych dębów. Gęste zasłony oplątwy tworzyły tu sanktuaria dla starych nagrobków. Tam rodzina, tu jakiś samotnik, bez ładu i składu. Paluchy pogiętych korzeni drzew drapały i rozrywały pomniki, przemieniając je w przygarbione, bezimienne rzeźby. Znaczniki śmierci przerobione przez żywioły na kamienie wielkości kolby kukurydzy. Niebo i ocean w oddali śpiewały zbyt radośnie, by mogły zespolić się z tym pełnym powagi miejscem.

Poprzedniego dnia zaroiło się tu od mieszkańców miasteczka, w tym wszystkich rybaków i właścicieli sklepów, którzy niczym mrówki zbiegli się, by pochować Scuppera. Zbici w grupki stali w krępującej ciszy, a Tate szedł między nimi. Rozpoznawał twarze miejscowych, a te należące do dalekich krewnych – nie zawsze. Odkąd szeryf odnalazł go na mokradłach i powiadomił, że jego ojciec nie żyje, Tate zachowywał się, jakby podążał za wskazówkami przewodnika, który popycha go ręką lub nagle

daje kuksańca w bok. Nie był w stanie ogarnąć ostatnich wydarzeń pamięcią, a teraz przyszedł na cmentarz, żeby pożegnać ojca.

Przez ostatnie miesiące, gdy tak bardzo tęsknił za Kyą, a potem próbował odwiedzić ją w areszcie, prawie go nie widywał, a teraz potrzebował czasu, by zwalczyć poczucie winy i żalu. Może gdyby nie był tak skupiony na własnym sercu, zauważyłby, że słabnie serce Scuppera. Nim aresztowali Kyę, czuł, że zaczyna do niego wracać. Podarowała mu swoją pierwszą książkę, weszła na jacht, żeby oglądać pierwotniaki pod mikroskopem, śmiała się, gdy rzucali sobie czapkę – ale gdy rozpoczął się proces, oddaliła się od niego jeszcze bardziej niż wcześniej. Pewnie tak to jest, kiedy cię aresztują, pomyślał.

Nawet teraz, podążając w stronę grobu z brązową, plastikową skrzynką, Tate złapał się na tym, że myśli o niej, a nie o ojcu, i był na siebie zły. Podszedł do muldy świeżo usypanej pod dębami i spojrzał na ocean. Obok był grób jego matki, a dalej siostry. Okalał je niski murek z polnych kamieni połączonych zaprawą z wklejonymi muszlami. Wystarczy tu miejsca też dla niego. W ogóle nie czuł, że jego ojciec tu jest.

– Powinienem był go skremować, tak jak skremowali Sama McGee – wyszeptał niemal z uśmiechem.

Potem, spojrzawszy na ocean, pomyślał: Mam nadzieję, że Scupper tam też ma kuter. Czerwony.

Postawił plastikową skrzynkę – adapter na baterie – na ziemi obok mogiły i puścił płytę. Igła uniosła się, a potem opadła i wśród drzew rozbrzmiał srebrzysty głos Milizy Korjus. Tate usiadł między grobem matki i tym świeżym, obłożonym kwiatami. Dziwne, słodka, świeża ziemia pachniała bardziej jak początek niż jak koniec.

Spuściwszy głowę, przeprosił na głos ojca za to, że spędzał z nim tak mało czasu; wiedział, że tato mu wybaczy.

Przypomniał sobie jego definicję prawdziwego mężczyzny, który nie wstydzi się płakać, odbiera poezję i operę sercem i zrobi wszystko, by bronić honoru kobiety. Scupper zrozumiałby, dlaczego on, Tate, odnalazł ślady miłości w szlamie mokradeł.

Tate siedział tak jeszcze jakiś czas, z jedną ręką na grobie mamy i drugą na grobie ojca. Wreszcie pogładził go ostatni raz, wsiadł do samochodu i pojechał na nabrzeże do swojej łodzi. Wróci do pracy, skupi uwagę na wijących się żyjątkach… Podeszło do niego kilku rybaków. Nieporadnie przyjął od nich równie nieporadne kondolencje.

Spuścił głowę, żeby już nikt go nie zaczepiał, i wszedł na tylny pokład jachtu. Nim jednak zdążył usiąść za sterem, dostrzegł leżące na siedzeniu beżowe pióro. Od razu wiedział, że to delikatne piórko z piersi samicy ślepowrona, długonogiego, skrytego ptaka, który żyje samotnie w głębi mokradeł. Nie zapuściłby się aż tutaj.

Tate rozejrzał się po pokładzie. Niemożliwe, żeby tu była, za blisko miasta. Przekręcił kluczyk w stacyjce, ruszył na południe, aż wreszcie dotarł do mokradeł.

Niebezpiecznie przyśpieszając w wąskich przesmykach, ocierał się o nisko wiszące gałęzie, które drapały o kadłub jachtu. Dopłynął do laguny i zacumował obok łódki Kyi; fale, które wywołał, tłukły o brzeg. Z komina chaty unosiła się ku niebu rozedrgana smużka dymu.

– Kya! – zawołał ją. – Kya!

Otworzyła drzwi ganku, wyszła i stanęła pod dębem. Miała na sobie długą białą spódnicę i błękitny sweter – jedno i drugie w kolorach ptasich skrzydeł. Włosy opadały jej na ramiona.

Odczekał, aż do niego podejdzie, chwycił ją za ramiona, przyciągnął do siebie, a potem zrobił krok w tył.

– Kocham cię, wiesz o tym. Od dawna wiedziałaś.

– Ale odszedłeś, jak inni.

– Już nigdy cię nie zostawię.

– Wiem.

– A ty mnie kochasz? Nigdy mi tego nie wyznałaś.

– Zawsze cię kochałam, nawet jako dziecko, w czasach, których już nie pamiętam. – Spuściła głowę.

– Spójrz na mnie – powiedział cicho. Zawahała się. – Kyu, muszę mieć pewność, że nie będziesz już uciekać i się chować. Że potrafisz kochać bez strachu.

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy, a potem poprowadziła go przez las na polanę wśród dębów, w miejsce, gdzie obdarowywali się piórami.

57.

Świetlik

Pierwszej nocy spali na plaży, a nazajutrz Tate wprowadził się do niej. Załatwił wszystko podczas jednego pływu, jak żyjące na piasku skorupiaki.

Kiedy późnym popołudniem szli brzegiem morza, wziął ją za rękę i spojrzał w oczy.

– Wyjdziesz za mnie?

– Już jesteśmy małżeństwem, jak te gęsi.

– Dobra, niech ci będzie.

Codziennie wstawali o świcie. Gdy nad laguną wschodziło słońce i w porannej mgle pozowała im na jednej nodze czapla, Tate parzył kawę, a Kya smażyła placki kukurydziane albo kaszę z jajkami na starej, pogiętej i sczerniałej żeliwnej patelni mamy. Potem pływali po rozlewiskach, brodzili w wodzie i przemykali przez wąskie strumienie, kolekcjonując pióra i ameby. Wieczorami dryfowali jej starą motorówką aż do zachodu słońca, a później pływali nago w blasku księżyca lub kochali się na łożu z chłodnych liści paproci.

Laboratorium zaproponowało Kyi posadę, ale odrzuciła tę ofertę – postanowiła skupić się na pisaniu kolejnych książek. Najęli z Tate’em cieślę, który zbudował im za chatą laboratorium i pracownię z drewnianych, ręcznie ciosanych

bali, pokrytą blaszanym dachem. Tate podarował Kyi mikroskop oraz zainstalował blaty, półki i szafy, w których trzymała swoje zbiory, a także narzędzia i niezbędne materiały. Potem odnowili chatę – powiększyli salon, dodali sypialnię i łazienkę. Kya uparła się, by nie ruszać kuchni i nie malować ścian z zewnątrz, żeby ich chata – a raczej już dom – pozostała lekko zniszczona i autentyczna.

Zadzwoniła z budki w Sea Oaks do Jodiego i zaprosiła go do siebie wraz z żoną, Libby. We czwórkę pływali po mokradłach i wędkowali. Kiedy Jodie złowił dużego leszcza, Kya zapiszczała:

– Ho, ho! Wielki jak Alabama!

Upiekli rybę i kukurydziane pączki wielkie jak „gęsie jaja".

Kya później już ani razu nie była w Barkley Cove. Głównie spędzała czas z Tate'em na mokradłach. Mieszkańcy miasteczka widywali ją tylko z oddali, gdy przemykała łodzią przez mgłę. Z czasem jej tajemnicza historia obrosła legendą, którą ludzie bez końca opowiadali sobie w barze przy naleśnikach i ostrych kiełbaskach. Domysłom i plotkom na temat śmierci Chase'a nie było końca.

Ostatecznie wszyscy zgodzili się co do jednego – że szeryf nigdy nie powinien był jej aresztować. Przecież nie miał żadnych twardych dowodów, nawet na to, że doszło do przestępstwa. To zwykłe okrucieństwo traktować w ten sposób nieśmiałą dziewczynę. Od czasu do czasu nowy szeryf – bo Jacksona już nie wybrali – sięgał po teczkę z aktami i rozpytywał o podejrzanych, ale niewiele z tego wynikło. Z czasem ta sprawa również obrosła legendą. Mimo że Kya nigdy do końca nie zapomniała o pogardzie i podejrzeniach, to wreszcie czuła się zadowolona z życia, a może nawet szczęśliwa.

*

Któregoś popołudnia leżała na miękkiej ściółce nieopodal laguny i czekała na powrót Tate'a z kolejnej wyprawy. Oddychała lekko, świadoma, że zawsze do niej wróci, że pierwszy raz w życiu nie zostanie porzucona. Usłyszała głęboki pomruk jego jachtu sunącego przesmykiem. Czuła towarzyszące mu delikatne drżenie ziemi. Przysiadła i pomachała do Tate'a, gdy łódź wyłoniła się z zarośli. On też do niej pomachał, ale bez uśmiechu. Kya wstała.

Zacumował przy niewielkim, zbudowanym przez siebie pomoście, i zszedł na brzeg.

– Przykro mi, mam złe wieści. Skoczek zmarł tej nocy, we śnie.

Ból przeszył serce Kyi. Inni odchodzili z własnej woli. Tu było inaczej. Skoczek jej nie odrzucił; z nim było jak z Krogulem, który nagle wzbił się ku niebu. Po policzkach Kyi pociekły łzy. Tate ją przytulił.

Niemal wszyscy mieszkańcy miasteczka przyszli na pogrzeb Skoczka. Ale nie Kya. Dopiero po uroczystości ruszyła do Mabel z dawno obiecanym słoikiem dżemu z jeżyn.

Zatrzymała się przy płocie. Rodzina i przyjaciele Skoczka stali na jak zwykle idealnie pozamiatanym podwórku. Jedni rozmawiali i śmiali się z opowieści o zmarłym, a inni płakali. Gdy Kya otworzyła furtkę, spojrzeli na nią, a potem się rozstąpili, żeby ją przepuścić. Mabel podbiegła do niej od progu. Zapłakane, uściskały się, kołysząc na boki.

– Boże, przecież on cię kochał jak córkę – powiedziała Mabel.

– Wiem. I był mi jak tata.

Potem Kya poszła na plażę i pożegnała go własnymi słowami, po swojemu, sama.

Gdy spacerowała po piasku, wspominając Skoczka, nagle pojawiły się myśli o mamie. Kya poczuła się, jakby znowu miała sześć lat i patrzyła, jak mama idzie piaszczystą ścieżką

w starych butach ze sztucznej skóry aligatora, klucząc między koleinami. Lecz teraz mama przystanęła na końcu ścieżki, obejrzała się i pomachała jej na pożegnanie. Kya uśmiechnęła się do niej, a mama wyszła na drogę i zniknęła w lesie. Tym razem wreszcie wszystko było już dobrze.

Bez łez czy słów potępienia, szepnęła:

– Żegnaj, mamo. – Przez moment pomyślała jeszcze o pozostałych: tacie, bracie i siostrach, ale zbyt krótko byli obecni w jej życiu, by umiała się z nimi pożegnać.

Żal po utraconej rodzinie stał się mniejszy, odkąd Libby i Jodie przyjeżdżali do nich kilka razy do roku z dwójką swoich dzieci – Murphem i Mindy. Wtedy wokół starego pieca znów robiło się tłoczno, gdy Kya – jak kiedyś mama – smażyła jajecznicę i kukurydziane pączki albo kroiła pomidory. Teraz jednak gościły tu śmiech i miłość.

*

Barkley Cove zmieniło się z upływem lat. Inwestor z Raleigh wybudował elegancką przystań tam, gdzie przez ponad sto lat bujał się na pomoście sklepik Skoczka. W miejscu, gdzie cumowały jachty, pojawiły się niebieskie markizy. Żeglarze z wielu zakątków wybrzeża przechadzali się po deptaku, płacąc trzy i pół dolara za espresso.

Na Main Street jak grzyby po deszczu wyrosły kafejki z kolorowymi parasolami i galerie sprzedające nadmorskie landszafty. Jakaś kobieta z Nowego Jorku otworzyła sklep z pamiątkami, gdzie było wszystko, czego nie potrzebowali miejscowi, a bez czego nie mogli obyć się turyści. Niemal w każdym sklepie wystawiano witryny z książkami Catherine Danielle Clark, „miejscowej pisarki i wybitnnej przyrodniczki”. Kasza zwykle figurowała w jadłospisach jako „polenta” w sosie

grzybowym i kosztowała sześć dolarów. Pewnego dnia turystki z Ohio weszły do baru Dog-Gone, nie mając pojęcia, że są pierwszymi kobietami, które przekroczyły jego progi, i zamówiły krewetki na ostro w papierowych kapelusikach oraz piwo, teraz już z beczki. Dorośli obojga płci i wszystkich kolorów skóry mogą tam teraz zaglądać, ale wybite w ścianie okienko, gdzie kobiety mogły zamawiać na wynos, wciąż ma się dobrze.

Tate cały czas pracował w laboratorium, a Kya wydała jeszcze siedem książek, za które zdobyła liczne nagrody. Mimo napływających zewsząd dowodów uznania – w tym doktoratu *honoris causa* uniwersytetu stanowego w Chapel Hill – nigdy nie zgodziła się wystąpić z odczytem na żadnej uczelni ani w muzeum.

*

Kya i Tate chcieli powiększyć rodzinę, ale nie doczekali się dziecka. To rozczarowanie jeszcze bardziej ich do siebie zbliżyło. Rzadko rozstawali się na dłużej niż na parę godzin.

Czasami Kya wyprawiała się samotnie na plażę i gdy zachód słońca malował barwne pasy na niebie, czuła, jak fale biją w rytmie jej serca. Schylała się wtedy, dotykała piasku, wyciągała ramiona ku obłokom – i czuła te połączenia. Nie takie, o jakich mówiły jej mama i Mabel, bo Kya nigdy nie miała przyjaciółek, ani nie takie, jakie miał na myśli Jodie, bo nie miała dzieci. Wiedziała, że lata spędzone w samotności zmieniły ją, aż w końcu stała się inna niż wszyscy. Lecz to nie ze swojej winy była samotna. Jej nauczycielką była dzika przyroda. To ona ją karmiła i chroniła, kiedy inni nie chcieli. Zatem ta jej inność też wynikała z działań natury.

Oddanie, z jakim traktował ją Tate, przekonało w końcu Kyę, że miłość jest czymś więcej niż tylko dziwacznym rytuałem godowym stworzeń zamieszkujących mokradła. Życie nauczyło ją jednak również, że pradawne geny służące utrzymaniu gatunku przetrwały – czasami w niepożądanej formie – w genotypie człowieka.

Jej wystarczało, że była częścią naturalnego cyklu, choćby takiego jak pływy. Jak mało kto czuła silną więź z życiem i ziemią, wrosła w nią korzeniami, to ziemia była jej matką.

*

Włosy sześćdziesięcioczteroletniej Kyi z czarnych zrobiły się całkiem białe, jak piasek. Któregoś wieczoru, gdy nie wróciła z wyprawy, Tate wsiadł do łódki i rozpoczął poszukiwania. O zmierzchu, kiedy wypłynął zza kępy traw, dostrzegł jej łódź dryfującą w lagunie obrosłej sięgającymi nieba platanami. Kya leżała oparta o swój stary plecak. Zawołał ją cicho, a gdy się nie poruszyła, zaczął krzyczeć, a potem wyć. Dobił do niej i z trudem przeszedł na rufę jej motorówki. Chwycił Kyę za ramiona i delikatnie potrząsnął. Jej głowa opadła na bok. Te oczy już niczego nie widziały.

– Kya! Nie!

Wciąż taka młoda, taka piękna, mimo to jej serce niepostrzeżenie przestało bić. Doczekała powrotu bielików, czyli – jak sądziła – żyła wystarczająco długo. Tate wziął ją w ramiona i kołysał się, szlochając. Okrył ją kocem i przyholował w jej starej łódce na wody laguny przez labirynt strumieni i rozlewisk. Ostatni raz minęła czaple i jelenie.

Ukryję swą pannę w koronie cyprysa
gdy kroki śmierci usłyszę…

Tate wystarał się o pozwolenie na pogrzeb na jej działce, pod dębem z widokiem na ocean. Przyszło całe miasto. Kya nie uwierzyłaby w ten powolny pochód żałobników. Oczywiście przyjechali Jodie z rodziną i wszyscy kuzyni Tate'a. Ściągnęli też ciekawscy, ale większość pojawiła się, by okazać szacunek kobiecie, która tyle lat przetrwała samotnie w głuszy. Niektórzy pamiętali tę dziewczyneczkę w za dużym, wyświechtanym paltociku, przybijającą do nabrzeża i biegnącą boso po kaszę do sklepu. Inni przyszli ją pożegnać, bo dzięki jej książkom pojęli, że mokradła łączą ziemię z oceanem, bo tak siebie nawzajem łakną.

Tate zrozumiał, że przydomek, który jej nadano, wcale nie był okrutny. Niewiele osób staje się legendą, więc na jej nagrobku umieścił taki napis:

CATHERINE DANIELLE CLARK
„KYA"
DZIEWCZYNA Z BAGIEN
1945–2009

Wieczorem po pogrzebie, kiedy wszyscy już wreszcie poszli, Tate zajrzał do laboratorium. Starannie oznakowane znaleziska, zbierane przez ponad pięćdziesiąt lat, stanowiły najstarszą i najbardziej kompletną tego rodzaju kolekcję. Kya życzyła sobie,
by została przekazana jego instytutowi badawczemu; Tate kiedyś to zrobi, ale na razie rozstanie się z nią było dla niego nie do pomyślenia.

Kiedy wrócił do chaty, poczuł bijący od niej oddech Kyi i usłyszał szuranie stóp po podłodze, tak wyraźnie, że aż ją zawołał. Później oparł się o ścianę i zapłakał. Podniósł jej stary plecak i przytulił go do piersi.

Sąd zwrócił się do niego, by odnalazł jej testament i akt urodzenia. Tate przeszukał szafę w dawnej sypialni jej rodziców i znalazł tam wciśnięte na dno, niemal ukryte pod stertą koców pudełka z dokumentami. Wyciągnął je, postawił na podłodze i usiadł obok.

Ostrożnie otworzył stare opakowanie po cygarach, które dało początek jej kolekcji. Wciąż pachniało słodką wonią tytoniu i małej dziewczynki. Wśród ptasich piór, skrzydełek owadów i nasion dostrzegł mały słoiczek ze spopielonymi skrawkami listu od mamy i flakonik z lakierem do paznokci firmy Revlon. Blady róż. Skrawki i okruchy jej życia. Kamyki z jej strumienia.

Na samym spodzie leżał akt własności działki, która, dzięki staraniom Kyi, została objęta ochroną i zakazem zabudowy. Przynajmniej ten zakątek mokradeł na zawsze pozostanie dziki. Nie było tam testamentu ani żadnych osobistych zapisków, co nie zdziwiło Tate'a – Kya w życiu nie pomyślałaby o takich drobiazgach. Postanowił, że zostanie w chacie aż do śmierci, bo tego właśnie by sobie życzyła, a Jodie na pewno nie zaoponuje.

Pod wieczór, gdy słońce zachodziło już nad laguną, Tate przygotował kukurydzianą papkę dla mew i bezmyślnie wpatrywał się w podłogę. Przekręcił głowę, bo pierwszy raz zauważył, że pod stosem drewna i starym piecem posadzka nie została wyłożona linoleum. Kya zawsze trzymała dużo szczap w domu, nawet latem. Teraz, gdy było ich mniej, Tate dostrzegł rozcięcie w deskach podłogi. Odsunął szczapy i zobaczył, że jest tam właz ze sklejki. Przykucnąwszy, uniósł go ostrożnie. W schowku między belkami leżało stare, zakurzone kartonowe pudełko. Wyciągnął je i otworzył. Wewnątrz było sporo szarych kopert i kolejne mniejsze pudełeczko. Na wszystkich kopertach widniały inicjały „A.H.". Tate wyjął z nich kartki z wierszami Amandy Hamilton, miejscowej poetki publikującej w lokalnych czasopismach. Zawsze uważał, że nie jest to poezja najwyższych

lotów, ale Kya zbierała wszystkie wycinki i – jak widać – wkładała je do kopert. Niektóre wiersze były skończone, lecz większość nie. Zawierały przekreślone zdania i dopiski na marginesach. To był charakter pisma Kyi!

Czyli Amanda Hamilton to Kya. Kya była poetką.

Na twarzy Tate'a pojawił się grymas niedowierzania. Latami musiała wrzucać te koperty z wierszami do zardzewiałej skrzynki na listy, rozsyłając je do wydawców. Pod pseudonimem, więc bez ryzyka. Pewnie próbowała się odkryć, wyrazić swoje uczucia nie tylko mewom, znaleźć ujście dla tkwiących w niej słów.

Tate rzucił okiem na parę tekstów, w większości o przyrodzie i miłości. Jeden z wierszy był schowany do osobnej koperty i starannie złożony. Wyjął go i przeczytał:

ŚWIETLIK

Zwabić go było tak łatwo
To jak kartka na Walentynki.
Lecz u samicy świetlika
Kryje śmiertelną pułapkę.

Ostatni akt
Niedokończony.
Ostatni krok w mrok.
I spada, spada w dół
Wciąż widzę jego wzrok
Na tamten świat go przeniesie.

Widzę jego przemianę.
Niedowierzanie,

Odpowiedź
I koniec.

I tak mija miłość
Do tego, co było, nim się zaczęła.

A.H.

Wciąż klęcząc, Tate przeczytał wiersz jeszcze raz, a potem przyłożył go do piersi, do bijącego w niej serca. Wyjrzał przez okno, by się upewnić, czy nikt nie idzie – ale, no skąd, kto by tu przyszedł? Chciał mieć pewność. Potem otworzył to małe pudełeczko, świadom, co w nim znajdzie. Na skrawku bawełny leżał starannie ułożony wisiorek z muszlą, który Chase nosił aż do śmierci.

Tate długo siedział przy kuchennym stole, trawiąc to wszystko, wyobrażając sobie Kyę, jak jedzie nocnymi autobusami, wykorzystuje prądy, planuje i rozmyśla o fazach księżyca. Jak cicho woła Chase'a w ciemnościach. Jak go popycha, a potem kuca w błocie i unosi ciężką, martwą głowę, żeby zdjąć mu wisiorek. Jak ściera odciski palców, by nie zostawić żadnych śladów.

Rozłupawszy szczapę na drzazgi, Tate rozniecił ogień w piecu i spalił jej wiersze, koperta po kopercie. Może nie musiał palić wszystkich, może wystarczyło zniszczyć ten jeden, ale nie mógł zebrać myśli. Stary, pożółkły papier buchał pięknym, wysokim płomieniem, a potem już tylko się ćmił. Tate ściągnął muszlę z rzemyka, wrzucił go do ognia i zakrył schowek deskami.

Później, tuż przed zmierzchem, poszedł na plażę i stanął na kostropatym, pełnym fragmentów muszli i krabów białym piasku. Przez chwilę przyglądał się muszli Chase'a, trzymając ją

w rozwartej dłoni, i upuścił ją na piach. Wyglądała jak inne i wkrótce zniknęła. Zbliżał się przypływ. Tate poczuł na stopach falę, która zabierze setki muszli z powrotem do oceanu. Kyę zrodził ten ląd i ta woda; teraz znów ją do siebie przyjmą, głęboko skrywając jej sekrety.

Nadleciały mewy. Gdy spostrzegły Tate'a, krążyły nad jego głową. Nawołując i nawołując…

Gdy zapadła noc, Tate ruszył do chaty. Dotarłszy nad lagunę, przystanął pod ciemnym baldachimem nieba i patrzył, jak setki świetlików nęcą inne swoim światłem w mrokach mokradeł. Gdzieś tam, gdzie śpiewają raki.

Podziękowania

Z głębi serca dziękuję mojemu bratu bliźniakowi, Bobby'emu Dykesowi, za bezustanne słowa zachęty i wsparcie. Dziękuję mojej siostrze, Helen Cooper, za to, że zawsze mogę na nią liczyć, i mojemu bratu, Lee Dykesowi, za to, że zawsze we mnie wierzył. Jestem też niezmiernie wdzięczna moim wiernym przyjaciołom i krewnym za słowa wsparcia i otuchy i za ich śmiech. Oto oni: Amanda Walker Hall, Margaret Walker Weatherly, Barbara Clark Copeland, Joanne i Tim Cady, Mona Kim Brown, Bob Ivey, Jill Bowman, Mary Dykes, Doug Kim Brown, Ken Eastwell, Jesse Chastain, Steve O'Neil, Andy Vann, Napier Murphy, Linda Denton (podziękowania za trasy narciarskie i te do jazdy konnej), Sabine Dahlmann oraz Greg i Alicia Johnsonowie.

Oto ci, którzy dzielili się ze mną cennymi komentarzami redakcyjnymi: Joanne i Tim Cady (wielokrotne sczytywanie!), Jim Bowman, Bob Ivey, Carolyn Testa, Dick Burgheim, Helen Cooper, Peter Matson, Mary Dykes, Alexandra Fuller, Mark Owens, Dick Houston, Janet Gause, Jennifer Durbin, John O'Connor oraz Leslie Anne Keller.

Dziękuję mojemu agentowi, Russellowi Galenowi, za to, że pokochał i zrozumiał Kyę i świetliki oraz za entuzjazm, z jakim dążył do przedstawienia czytelnikom tej opowieści.

Dziękuję G.P. Putnam's Sons za wydanie tej książki. Jestem też niezmiernie wdzięczna mojej wydawczyni, Tarze Singh Carlson, za słowa zachęty, piękną stronę graficzną oraz wizję tej

powieści. Dziękuję również Helen Richard z wydawnictwa Putnam za bezustanne wsparcie.

Szczególne podziękowania dla Hannah Cady za pomoc przy opisach bardziej przyziemnych aspektów rzeczywistości przedstawionych w tej powieści – choćby takich, jak palenie ogniska.